KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 2/52 — 3/53 1952



• «La Culture» • Revue mensuelle •

Czesław Straszewicz –
Pióra w ukropie czyli strach nami rządzi.
J. S. Eliot – **Ziemia Jałowa.**
J. Łobodowski – **Przeciw upiorom przeszłości.**
Teodor Parnicki – **Mieszaniec.**
ARCHIWUM POLITYCZNE ◆ ARKUSZE POETYCKIE ◆ SPRAWY KRAJOWE ◆ SPRAWY I TROSKI ◆ KRONIKA KULTURALNA ◆ KSIĄŻKI ◆ LISTY DO REDAKCJI.

SPIS RZECZY:

Czesław Straszewicz: *Pióra w ukropie albo strach nami rządzi* 3

Józef Łobodowski: *Przeciw upiorom przeszłości* . . 14

Jan Tokarski: *Kościół i wojna* 67

Teodor Parnicki: *Mieszaniec* 78

T. S. Eliot: *Ziemia Jałowa* (przekład Czesława Miłosza) 97

Alicja Iwańska: *Z poematu o nas samych* 117

Józefa Radzymińska: *Gałąź kwitnąca* 119

» » *Poranek* 119

» » *Strzał partyzancki* 120

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *List z Wyspy* 121

Jerzy Prądzyński: *List z Niemiec* 127

Anatol Mühlstein: *Próba wytłumaczenia nonsensu* 134

SPRAWY KRAJOWE

Berlińczyk: *Książki polskie drukowane w Lipsku* 142

» » *Ofensywa prawosławia* 144

» » *Szkolnictwo ogólnokształcące* . . 145

SPRAWY I TROSKI

Janusz Kowalewski: *Śmierć tragarza Johna* 148

Londyńczyk: *Kronika angielska* 163

KRONIKA KULTURALNA

L.: *Polskie Kluby Artystyczne* 169

KSIĄŻKI

Michał Sambor: *O Wańkowiczu i jego nowej książce* 171

Darsie Gillie: *„Osobny świat"* 181

J. M.: *Pamiętnik J. Forrestala* 184

Branko Lazitch: *„La guerre en question"* 186

Zygmunt Markiewicz: *Zbuntowany człowiek* 191

— *Nadesłane nowości wydawnicze* 193



A. Uziembło, W. Kosarenko-Kosarewicz, A. Russovich, J. Kowalewski, Z. K., J. Barański, Ks. Z. Majewski, A. Wasung, W. Gombrowicz: *LISTY DO REDAKCJI* 195



— *Résumé en langue française* . . . 207

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Février — Mars 1952

Numer poświęcony Polskim Klubom Artystycznym

W STANACH ZJEDNOCZONYCH

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Anatol MÜHLSTEIN ur. w 1889 r. Studia uniwersyteckie w Genewie, Paryżu i Brukseli z zakresu nauk przyrodn., społ. i historii. W czasie pierwszej wojny światowej wydaje i redaguje w Brukseli, pod okupacją niemiecką, podziemny dziennik "Flambeau". Wstępuje do dyplomacji polskiej w 1919 r. Do 1930 jest radcą i chargé d'affaires w Brukseli; bierze udział ponadto we wszystkich delegacjach polskich do Ligi Narodów. Od 1930 do 1936 minister pełnomocny przy ambasadzie R. P. w Paryżu. W 1936 odwołany do centrali bez przydziału. W 1939 r. wydał w Paryżu, u Plon'a, książkę o Marsz. Piłsudskim. Autor szeregu prac na tematy polityczne i społeczne. Ostatnio opublikował studium o ustroju społecznym USA oraz broszurę o sytuacji międzynarodowej pt. "La guerre et la paix", (Ed. "Flambeau", Bruxelles).

Teodor PARNICKI, ur. w 1908 r. w Charlottenburg (Berlin). Ukończył gimnazjum w Charbinie. Wrócił do Polski w 1928. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W latach 1938-39 członek Zarządu Gł. Zawodowego Związku Literatów. W 1939, po otrzymaniu stypendium Polskiej Akademii Literatury na wyjazd zagranicę, wyjechał do Bułgarii, Turcji, Grecji i Włoch. Wrócił do kraju 26 sierpnia 1939 r. Aresztowany przez NKWD zostaje wywieziony do Sowietów i skazany na 8 lat więzienia. Po uwolnieniu pracował w Ambasadzie polskiej w Kujbyszewie jako z-ca attaché prasowego i redaktor pisma "Polska". Następnie, po krótkim pobycie na Środkowym Wschodzie i w Londynie, został attaché kulturalnym przy poselstwie polskim w Meksyku, gdzie przebywa dotychczas jako emigrant polityczny. Wydał nast. książki: "Aecjusz" (1937), "Srebrne Orły" (1944).

Alicja IWAŃSKA, ur. 13 maja 1918. W 1941 magisterium z filozofii na Uniwersytecie Warszawskim (3 lata studiów przed wojną, rok na tajnym uniwersytecie). Od 1947 w USA asystentka na uniwersytecie w Chicago. Wykłada metodologię i socjologię. W 1938 r. wydała tom wierszy "Wielokąty". Współpracowała z szeregiem pism literackich i naukowych. Przygotowany do druku tom wierszy, tom nowel pt. "Biuro kontroli ruchu" oraz praca o obozach koncentracyjnych.

Darsie GILLIE, ur. w r. 1903. W latach 1926-1929 korespondent "Morning Post" w Polsce. Przetłumaczył na język angielski i wydał w Faber and Faber tom autobiograficznych urywków z dzieł Piłsudskiego. Następnie był 4 lata korespondentem w Berlinie, a od r. 1935 korespondentem "Manchester Guardian" w Paryżu. Podczas wojny pracował w Sekcji Francuskiej BBC, a po Liberacji wrócił z powrotem do Paryża znów jako korespondent "Manchester Guardian" i stały współpracownik "Spectator'a".

Branko LAZITCH, Serb, ur. w r. 1923 w Uzice. Szkołę śr. ukończył w Belgradzie w r. 1941.

Za okupacji niem. poszukiwany przez Gestapo jako członek młodzieżowej organizacji serbskiej w ramach ruchu oporu Dragi Michajłowicza. Prowadził sekcję dokumentalną, dot. ruchu komunistycznego w Jugosławii. W 1944 wybrany reprezentantem młodzieżowym w kwaterze gł. gen. Michajłowicza. Po wejściu armii czerwonej do Serbii ucieka do Szwajcarii, gdzie kończy wydział nauk ekonom. i socjalnych na uniwersytecie w Genewie, uzyskując dyplom doktora nauk ekonomii.

Wydał następujące prace: "Le mouvement et la régime de Tito en Yougoslavie 1941-1946 (w Monachium, po serbsku), "La tragédie du général Draja Michailovitch (w jęz. serbskim, francuskim i angielskim, z przedmową F.A. Voigta), "Lénine et la IIIe Internationale" (w jęz. francuskim).

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi

Redaktor "Kultury" odnalazł podpisanego niżej Straszewicza, zagubionego w dużym świecie w małym porcie — i napisał: "Pan, który przed wojną... o którym przed wojną... którego przed wojną... — wstyd, żeby Pan do "Kultury" nie napisał. Z życiorysem".

Wstyd wstydem, ale nie wstyd jest powodem, że Straszewicz pierwszy raz od lat jedenastu zeschnięte pióro swoje stara się umoczyć w atramencie.

Ale o tym, potem. Na wstępie ów zamówiony Straszewicza życiorys:

Straszewicz urodził się niedaleko kościoła Św. Rocha, vis à vis cmentarza pod tym samym wezwaniem. Pierwsze zgłoski sylabizował na tego cmentarza nagrobkach. Nauczywszy się, pannie Janinie, nauczycielce, podyktował swój pierwszy w życiu i ostatni wiersz: "Serce, serce, W poniewierce, To największy ból — Mrą nadzieje, Moc się chwieje, Widmo śmierci — król!" We fioletowym zeszycie fioletowym atramentem musiała to ozdobnie napisać biedna panna. Zatem ona i miła Matka jego zgodnie orzekły "że z żołędzia może być dąb" — co niekoniecznie miało miejsce.

Wobec tego uczył się Straszewicz całe życie kiepsko, natomiast zbierał muzeum rzeczy dawnych, zaś w filozofię starożytnych Greków wkładał go wykwintny profesor Tatarkiewicz.

Męskie samopoczucie zbiegło się u Straszewicza z "Wystawą Bogów". Tę wystawę w trzech tysiącach egzemplarzy lekkomyślnie mu wydał Mortkowicz, a to ze względu na jedno opowiadanie, które się nazywało "Na śniegu dojrzewa ryż". Ryż kiepsko dojrzał, Mortkowicz stracił. Odbijał się na Żeromskim.

Potem Straszewicz wysiadywał w Konstancinie w willi "Kaprys" nad bardzo grubą "Przeklętą Wenecją". Znaczenie później złapał się na nią Rój, czyli Kister, i Gebethner, czyli Wat. O tej Wenecji Bohdan Suchodolski pisał, że ją spermą o-staję czuć..

Straszewicz by się w tej Wenecji utopił, gdyby nie Matka jego. Rzekła mu: Czesiu (S. pamięta), Czesiu, te Gromy, które teraz piszesz, mnie się bardzo podobają, ale mnie się zawsze

wszystko podoba, co ty piszesz. Może tak wiesz, dla ludzi — jednak potrafisz być lepszy.

Pisząc "Gromy z Jasnego Nieba", — Straszewicz starał się, dla Matki swojej, być lepszy.

Po Gromach pojawiły się "Kukułki z lasku Vizile" i ostatnia, na manewrach pod granicą bolszewicką robiona Straszewicza lepszego "Litość".

Potem ma się rozumieć był "Swan" i "Zodiak" i "Ziemiańska" szumna w Warszawie — i słodki gdzieniegdzie między stolikami szept: ten z dużym nosem, to Straszewicz!

Na zakończenie życiorysu trzeba oddać głos Gombrowiczowi, który rondem w "Kulturze" opisał ocean i Transatlantyk Chrobrego i Straszewicza. Witold to opisał, mało kłamiąc.

I na tym się kończy zamówiony życiorys pełzającego jeszcze po ziemi Esa. Bo że potem była wojna, czołgi, szpital, Świt i 6 lat Calle Zabali — to już się nie tyczy literackiej koncepcji. Koniec żądanego przez "Kulturę" życiorysu.



Jak się rzekło, nie wstyd jest powodem, że Straszewicz pierwszy raz od lat jedenastu suche pióro swoje stara się umoczyć w atramencie.

Podżegaczów jest dwóch: Gombrowicz i Miłosz. Miłosz. Straszewicz znał tego różowego chłopczyka z tych wspomnianych wyżej a lubych miejsc, w których muskani przez muzy codziennie się spotykali. Miłosz był na buzi różowy, oczka miał okrągłe i bardzo bystre — i pisał zdumiewająco bystre wiersze. Nieboszczyk Światopełk Karpiński mówił o Miłoszu: "Jeśli mu brzuszek od karesów nie spuchnie, zaproszę go kiedyś do siebie na pomnik". I Karpiński tak jeszcze mówił: "A ja, zanim tę ryżą wódę wypiję, powiem waściom, że jeśli się sprawdzi moje przeczucie wiosenne, będzie wojna — a jak będzie wojna, zapiszcie sobie, wasz boski Światek z góry może sobie ułożyć nekrolog.

Jeśli wasz luby nie zginie od kuli — zginie od świstu, jaki — według Sienkiewicza — czynią kule. Jeśli wasz luby nie zginie od bomby — skona od cienia, jaki w kształcie krzyża rzuca samolot. Wyiskrzy się wasz Światek w czasie wojny, powiadam wam, jak samochodowa świeca. Ej wy, pióroroby, rąbnijcie sobie po jednym pod światkowy nekrolog!"

Rzec można — po raz pierwszy wówczas — u Millera — pojawił się w Warszawie strach!

A że to było w maju — i w roku 1939 — Karpiński Światopełk nie miał wiele czasu przed sobą — co i było.

Jak rzekł — tak uczynił. Jak obiecał — tak umarł. Jeśli nie bohatersko — to prędko. Jeśli nie bogobojnie — to w Wilnie...

I tak pióro jego — pierwsze się rozgotowało w ukropie.

Karpińskiego, jak i resztę, wskrzesił na tej stronicy Miłosz, który nie umarł. Którego nie zabił strach, o jakim nie mają pojęcia ludzie nie gnębieni przez fatum gwiazd. Którego strach wywiódł na inne drogi, niż Światopełka — Witolda — Czesława...

Miłosz prowokuje tę rzecz o strachu. Miłosz, objawiony w "Kulturze", który jeśli nie ma już dzisiaj buzi różowej i oczek jarzących — ma pióro ostre i prowokujące, jakby dzisiaj wyrwane z kupra dostojnej gęsi — muzy.

I Miłosz, oraz Gombrowicz, oraz nieboszczyk Karpiński robią, że Straszewicz za oceanem w samotności zaczyna powoli — piłować, piłować...



Straszewicz, któremu najbliższy jest Światopełk Karpiński, oraz Bolesław Miciński, oraz Stanisław Piasecki, oraz Stefan Essmanowski, oraz Tadeusz Hollender dlatego, że nie żyją — któryś tam rok z rzędu prowadzi audycje radiowe. Wobec tego, rzecz swoją własną, oraz ogólną, po tylu latach tak mu teraz najłatwiej wyrazić:

"Drodzy słuchacze! Wy w Polsce i wy na obczyźnie! Posłuchajcie rachunku sumienia waszego spikera, jeśli w obliczu globalnych zjawisk rachunek taki potrafi was zatrzymać na fali.

Drodzy słuchacze! Pisarzem się urodziwszy, jestem człowiekiem z natury zalęknionym. Straszył mnie, nomen omen, w dzieciństwie moim cień pana rządcy Milewskiego, którego fornal Żuk zadźgał w stajni widłami. Straszyła mnie trumna doktorowej Rutkowskiej, na którą w wieczornym mroku patrzałem z ulicy Szosowej, oraz synek pani Rutkowskiej, który z czarną kokardą szedł za trumną. Potem straszyły mnie w Kostromie wrony na sinych kopułach cerkiewnych i dragoni Wołodyjowskiego, gdy im "konie zwijały się w skoku". Potem straszyła mnie szkoła imienia Staszyca i gromki matematyk profesor Boufał, oraz pan profesor ze Lwowa, "który czekał na moje oko". To były strachy dzieciństwa mojego. Miałem wówczas okresy chorobliwej pracowitości i jeszcze bardziej chorobliwego lenistwa. Durny byłem i dziki, leniwy i pracowity — w napadach pracowitości zadania algebraiczne próbowałem rozwiązywać rymami.

Ale do rzeczy. Żyłem pod znakiem strachu mego. Pisałem pod znakiem strachu mego. Ze strachu mego urodziła się miłość moja — i Mojżesz — i Chór Gładkowa i Litość. Potem przyszła ta podróż, którą w "Kulturze" rondem wycackał Gombrowicz. I przyszło — już nie przez Gombrowicza, ale przez Jezu Chryste neonem pisane na niebie — że Polska, że wojna... że najgorsze w roku Pańskim 1939 tuż, tuż!

(Gong)

I był sobie ze mną wówczas w Buenos Aires tenże Witold Gombrowicz Ferdydurke z głową w chmurach, joga wiedzy poetyckiej, świadom jogom wyznaczonej roli. Oczy miał latające i język biały. "I — panie Czesław — mówił do mnie — i — przed kataklizmem geniuszom zmykać przystoi! Co się gapisz,

co myślisz, bierz walizki za uszy jak ja — i w nogi, panie Czesław, za burtę, panie Czesław, po cichutku hyc, hyc!".

Co tu w wełnę obwijać, drodzy słuchacze: w gapieniu, w myśleniu — ja też miałem oczy latające i język biały.

Strach jego, strach mój, dwaj bracia przyrodni, z jednego ojca — z innej były matki:

Matka mojego strachu mówiła: Jedyny mój! Wojny się lękaj i śmierci się bój — ale więcej się lękaj i więcej się bój aury tchórzostwa i wyrzutów sumienia, bo według polskich odwiecznych praw — każdy za życia wart tyle, ile pożytku z niego ojczyźnie. Muskuły twoje i twoja szarża w większej są teraz cenie niż twój śliczny talent i mózg. Doszlusuj! Stań w szeregu! Bądź jak wszyscy. Kiedy działa grają — milkną muzy. Nie staniesz, nie doszlusujesz — to ci każdą godzinę żywota pretensją zatruję. Stań, mówię ci, w kupę się weź, doszlusuj! Zostaw walizki w spokoju i melduj się, synku!

A matka ferdydurkowskiego strachu mówiła: Geniu, Gieńku, Geniuszku, Geniuszu — świata cudzie — ty! Taki jak ty, Geniu, urodzić się potrafi raz na sto lat — i dobrze ci radzę, kiedy mówię: Oszczędzaj siebie! Pilnuj siebie! Opnij swój talent i talent swój okryj słomą, właśnie jak krzew różany na czas zimy. Ty! Geniusz twój, a nie pożal się Boże mięśnie twoje, przyrodzie potrzebne! Oplują cię dzisiaj — ha! — jutro ci wymurują na placu pomnik. Wielka trójca karków nie nadstawiała pod Stoczkiem, a ile ma w Polsce pomników, wiesz? Czterdzieści! W czasach rebelii skarby się kryje w sejfach, a nie wystawia na rabunek! Benjaminku — skarbie — łap za walizki i kryj się kryj!".

Po tych przemowach obu matek strachu naszego — Gombrowicz Geniusz się skrył — a ja, drodzy słuchacze, nie całkiem się skryłem — i bomby na mnie ma się rozumieć padały, a na niego nie, i czołg mnie na 9 miesięcy przejechał, a jego nie — i ja ma się rozumieć zeschłem się, a on nie!

No i, drodzy słuchacze — która matka naszego strachu w miłości swojej matczynej — była mądrzejsza?

Albo: Która z matek strachu naszego, po zrobieniu sprawiedliwego rachunku, dzisiaj powie: — oto z synkiem zrobiłam mądrzejszy porządek?

(Gong)

W tym miejscu, drodzy słuchacze, pora was wezwać na proces i sąd.

Abyśmy wszyscy razem i każdy z osobna — zważyli, ocenili — i sąd przysięgłych według praw polskich skleiwszy — na wagę wzięli — i raz na zawsze matki strachów naszych w kodeks ujęli.

A więc Miłosz, podżegacz. Nie znam matki strachu jego. Jak do niego mówiła, co mu ta matka tłumaczyła, że jak doński rysak w ruskich szlejach łbem trząsł — pojęcia nie mam. Mi-

łosz, który się objawił w "Kulturze", w pełni ogiernych sił i który galopuje aż patrzeć lubo — Miłosz tylko wie i może kiedyś o matce strachu swego powie.

Ale — drodzy słuchacze: do bani z matką strachu jego — faktem jest, że wzmógł się on, Miłosz, stężał i jak ogon starego kota wysztywniał — a że przez lat trudnych kilka leżał na ciepłej, przychylnej fali, miał wokół siebie tylu podżegaczy, co żaden z nas, i miał gęstą, przychylną atmosferę, jak żaden z nas — Bóg z nim, Bóg z nim — matka jego strachu poetyckiego tylko taki może mieć na jego temat komentarz:

— Miłoszu! Miłoszu! Chyba mądrze zrobiłeś, żeś mnie posłuchał... Żeś talent swój oblizywał właśnie jak kot oblizuje puszysty ogon swój — żeś zdrowo strawił wojnę, żeś dzielnie przełknął okupację, że czerwone wyjadałeś powidła — ale poezja twoja zawsze była cudowna, sztuka twoja zawsze była jedyna, miłoszowska! Żeś był jak korek, co na wodzie pływa, albo jak boja, co w największej burzy nie zatonie i w nocy świeci! Na wschodnim oceanie, czy na zachodnim — zarówno świeci! Miłoszu, Miłoszu — chyba dobrze zrobiłeś — słuchając mądrej matki swojej?!

Wobec tego, drudzy słuchacze, co z Miłoszem?

Światka Karpińskiego matka jego strachu własnymi rękami zabiła, więc nie idzie w tej chwili nad zastrachanymi dziećmi sąd.

Gombrowicz. Patrzcie: jego warszawski melonik przyklapnął i stracił fason, ale ma za to fajny, hiszpański beret i pisze do "Nacion" kastellańszczyzną, której pozazdrościłby mu Unamuno i Bergamin. Ten także objawił się w "Kulturze" z zakonserwaną ikrą swoją, z ferdydurkowskim geniuszem swoim, Gombrowicz Witold Ferdydurke, uchowany przez matkę strachu swego — który rży na Corientes i — wiem ja, wiem ja! — rży, i Rży, i Rży — jak sam pisze — i Rży i pewno do końca dni swoich Rżeć będzie.

Zostaje do sądu mówca wasz i spiker od lat wielu, bezimienny radia waszego służebnik, zagłuszany co w drugim słowie przez omnipotentną Moskwę. Matka li też macocha strachu mego pognała mnie raz na bój, i drugi raz na wojnę tradycji i wierzeń pokoleniowych świętą — a ja cóż? — widziałem bunt Karola Zbyszewskiego i bunt Fidlera Arkadiego, i bunt Ksawerego Pruszyńskiego, ale pod wpływem matki strachu mojego naprzód przy czołgu, a potem przy chorągwi, a nie przy piórze musiałem wytrwać.

Jeśli mnie kto z czołgów pamięta — ten wie, iż bojowo umiałem napisać majorowi bohaterowi Świetlickiemu Henrykowi batalionowy, bojowy raport.

Słuchacze mili! Za to pióro moje batalionowe i sztandarowe — suche się zrobiło, i tępe, i popielate...

Powiedzcie: czy w zamian wybawiłem się przynajmniej od dąsów ojczyzny mojej, która mnie — i Miłosza — i Gombro-

wicza Witolda — na służbę swoją — chyba — powiadają — wydała?!

(Gong)

I — drodzy słuchacze tego radia polskiego samotnego i zagłuszanego przez maszyny zagłuszające — powiedzcie:

Co w proporcji do Mistrzów Sztuk Wielkich powiecie o mnie, o spikerze waszym, który was co tydzień po bożemu i po ojczyźnianemu wita i którego z głosu rozbijającego żelazną kurtynę znacie — oj, chyba znacie!?

Że bił się jak umiał, że wolność, z punktu, nie czekając wybrał, że do encyklopedii Laroussa drogę zmylił — że w koleinę Ksiąg Pielgrzymstwa się wtoczył — że z błogosłowieństwa Polaków dobrych radio świąteczne prowadzi — i dalej: że w portowym kiosku jest sub-agentem "quinieli", i dalej: — że na szczęście swoje i dla chleba swego wysiaduje w fabryce wełny, tak zwanych "topsów"!?

Co jest prawdą. Któremu Generał Sprawapolski może nie wytoczy procesu — ale topsowy prezydent ma do zarzucenia, że "Los Alamos" nie odróżnię od "Esperona".

A wełna — trzeba wam wiedzieć, nazywa się po kastellańsku "lana" — i lanę należy tu lubić więcej niż Maupassanta.

Reasumując: jeden uciekł od strachu matki swojej przed wojną, zaś w progi demludowego banku przed nędzą. Drugi uciekł od strachu matki swojej nurknąwszy w wojnę, a po wojnie w alembik społeczno-wełnianych spraw. Trzeci, różanolicy, uciekł od strachu swego do demludowych ambasad, a w kilka lat później — nagrzany i rześki — do polskiej powojennej, nienadzwyczajnej rzeczywistości.

I jeśli głosem moim radio polskie o tym wszystkim mówi — to tylko dlatego, że was wszystkich, słuchaczów miłych, wezwało na sąd!

A sąd ma być taki: patriotyczny! Artystyczny! Pod kątem doczesności! Pod kątem nieśmiertelności! Pod kątem polskiego, zachodniego, demokratycznego i ego widzenia!

Kto z nas trzech (bo Karpiński nie żyje), znaczy: Miłosz, Gombrowicz i ja — mądrze słuchał matki strachu swego, a kto matkę miał głupią i zmazał się grzechem wobec siebie, społeczności, wieczności?...

Za kilka bażańcich ćwirków kupić rzecz bezcenną, bez której ja na przykład, wasz lokutor, nie umiem żyć — kupić podnietę do wyczynów w piórze bohaterskich, atrament, w którym maczać można, aby nie zaschło, gęsie artysty z bożej łaski pióro — czy dobrze?

Uciekać od rozbitych miast i trupów spalonych — w zamian w państwie ferdydurkowskim budować lepsze miasta i wszystkim spalonym trupom umieć nakazać mądrzej żyć — czy dobrze?

Boga chwalić, ojczyźnie współczuć, bigos robić — czy dobrze?

(Gong)

Ot, strachy nasze — miłoszowskie, gombrowiczowskie, straszewiczowskie!

(Gong)

A teraz nas sądźcie, słuchacze mili, mnie jałowego — i sądźcie Gombrowicza hiszpańskiego — i sądźcie Miłosza imiennika mojego — z ogonem twardym jak u kota i z piórami bażanta w czubie.

(Gong)

Patrzcie na pióro moje rozgotowane w ukropie i drwijcie sobie, gdy ja, myśląc o piórach, przepraszam was, po cichu czasami płaczę.

(Gong)

No i wyrok sądu waszego?

Iść z diabłem, jak Miłosz, przez tyle lat co trzeba — kąpać się w solucji, która twórczości sprzyja — dbać o geniusz swój, jak o jajko żywota świętego, bo dla narodu i kultury i potomności jajko to jest nieśmiertelne i najważniejsze — czy?

Czy jak Ferdydurke uciekać od piany nieszczęść i wojny i od wścieklizny ludzkiego bestialstwa — i w obcym środowisku szukać dla geniusza swego zapłodnienia — czy?...

Odrzucać podszepty wabiące od sióstr i braci z gombrowiczowskiej i miłoszowskiej familii i deptać niewdzięczną dróżkę, którą frasobliwa ojczyzna milionom swoich synów wyznacza?

Powiedzcie: o co człowiek, w którego Bóg i ludzie wmówili przeznaczenie — taki Miłosz, Gombrowicz i ten tam Straszewicz dawny — o co taki człowiek ma dbać?

O jajo swego geniuszu?

Dbać o pióro, żeby się nie wygotowało w ukropie?

O frasobliwą ojczyznę swoją?

O co ma dbać?

(Gong)

Jeśli, drodzy słuchacze, jakiekolwiek dbanie pomoże i jeśli los geniuszów nie jest grą w domino, w której zawsze i we wszystkich okolicznościach — szóstkę się dokłada do szóstki, a mydło do mydła!

(Gong)

Czekając na wyrok, słuchacze mili, spiker, czyli lokutor wasz na zakończenie wyzna, że pisarska jego bezrozumność zaczęła się od chwili, gdy na łajbie "Fort de Troyon" (tę wrześnio-

wą podróż dla odmiany opisał B. Pawłowicz), przysiągł sobie, że zdjąwszy pisarskie ostrogi a wdziawszy wojenne — tak długo wojennymi ostrogami brzęczeć będzie, dopóki na Placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie w tych ostrogach nie uklęknie i wszystkich dzieci matki strachu swojego na klęczkach nie złoży przed Damą. Czas idzie, lata idą, a on brzęczy i brzęczy...

(Gong)

Koniec audycji. Rozbić żelazną kurtynę! Precz z okupacją sowiecką! (grają: «*Tysiąc Walecznych*»)— Dobranoc państwu".

◆

Tak się mówi, albo nie mówi przez radio, prowadzone przez Straszewicza. Który chciałby od siebie dodać:

"Rzekł mi raz brat najmilszy, Bolek Miciński, gdy go w czasie wojny w roku 1940 wraz z Bogdanem Kwiatkowskim odwiedziłem na motocyklu pod Vichy (A chory był Bolek i choroba go żarła i wyglądał jak święty, bo umrzeć miał prędko):

Rzekł do mnie Miciński, kołysząc wózek swego dziecka, gdy noc była późna i żona i siostra już spały.

— Ty Sławek, motocyklisto wściekły, który 500 kilometrów do mnie pod wiatr i przez góry się darłeś, zrozumiesz mój wysiłek, jaki wkładam, aby — idąc pod wiatr — zrozumieć wrogów, którzy są przyczyną naszego nieszczęścia. Tak jakbyś na Mont Blanc na swoim Gnômie pod wiatr przeciwny chciał w czasie burzy się dostać! Wiatr był wielki w czasie naszej ucieczki z Łotwy, gdy na wozie konnym żona moja wiła się w bólach porodowych — a ja — na tym wozie — w tym wietrze — starałem się pojąć filozofię Kanta. I Kartezjusza. Oraz Świętego Tomasza z Akwinu. W obliczu katastrofy funkcjonowałem najsprawniej, wtenczas na wozie, gdy wiatr w oczy dmuchał, latarki błyskały, a żona prosiła bym ją zabił. Nie zważaj na wiatr, który ci w oczy dmucha, najmilszy mój Sławku!"

Miciński, wszyscy wiedzą, był święty. Widzę jego oczy w gorączce, gdy obejmował mnie za szyję — nocy owej, gdy księżyc stał nad śliczną, francuską doliną — a ja czoło spocone mu ocierałem chusteczką, mówiąc: nie przejmuj się, Bolku, nie mów tyle, widzisz jak jest parno!

A on mówił: Ja już nie mam siły, ale ty, proszę cię, Sławku — nie daj się z gór znosić wiatrom...

Mnie matka strachu mojego za włosy w dolinę francuską pognała, i pobiegłem. I księżyc francuski świecił. I kwitnące migdały pachniały. Gdy wróciłem zziajany — sobie a nie jemu czoło otarłem z potu, mówiąc na dobranoc: nie przejmuj się Bolku, widzisz jak jest parno!

◆

Po latach wielu — innym tonem rozmawia ze Straszewiczem

w Ameryce Południowej José Emski z rodu Emskich i nad wyraz inteligentna Chinka Ha-Ko.

Gdyby Bolek Miciński był tu z Straszewiczem i gdyby nie był zdecydowany szybko umrzeć — powiedziałby pewno: — gór tu nie znajdziesz, wiatru nie ma, wracajmy do Vichy.

Ameryka bowiem, którą Straszewicz zna, jest straszna. A może on, w wieku swoim, jest w Ameryce straszny? Małżeństwo jego z Ameryką raczej niedobrane, predystynowane do zdrad i do konfliktów duchowych i materialnych. W Ameryce jest on nerwowy, jak ogon psa. I jest zielony zielonością najbardziej zielonych gringów. A w małżeństwie tak podobno nie idzie. Owszem, są jurni onaniści, co na niekochanej i niekochającej żonie wyzwalają się potężnie ze swych namiętności i którym dobrze. Płodzą dzieci nie nerwowe i nie zielone. A innym znowu — i do nich, mówią, Straszewicz należy — potrzeba drażniącego paluszków dotknięcia, szeptów ciepłych, tej całej aury zaufanych przynagłań, właśnie do aktów twórczych i do potomstwa pięknego płodzenia.

Potężna baba Ameryka, nie ma aksamitnych paluszków, a jak huknie do ucha, nie kochać się chce, lecz lecieć do portu.

Ameryka więc, jak owa przysłowiowa koszula, tancerzowi Straszewiczowi w produkcjach przeszkadza!...

Co się ustroi, pióro z ukropu wyjęte w czub wetknie, pierwsze pas zrobi — żadnego spektatora w zasięgu krótkowidzących oczu nie widząc — wnet przestaje się wdzięczyć, w strachu swoim!

Chinka Ha-Ko dopowiada: w lenistwie swoim!

Inne go jeszcze strachy dźgają. Właśnie go dźgają w Ameryce, wśród rodaków dobrych i ckliwych, szeptunów przysięgłych i piastunów piastowych, którzy jak pszczoły koło ucha brzęczą polskim pszczelnym i Kochanowskiego brzęczeniem — i tak obrzęczą i tak żądłami słodki wosk skłują, że pod Arcis sur Aube, wśród bomb, paniki takiej w tchórzostwie swoim od Boga danym Straszewicz klnie się, nie miał! Koleinki, żłobinki, rowki, strużki, strumyczki jak na Podlasiu, jak na Zalesiu, jak w Browarkach i jak w starostwie równieńskim — kiedy Dziadek żył, kiedy straż pożarna była i w ułańskich się przyjeżdżało na urlop lampasach. Miłe, dobre, kochane, życzliwe, Najjaśniejszej jak nikt wierne, twarde, nieustępliwe, uparte, zdrowe — i srogie! — "szag w prawo, szag w lewo szczytajetsia pabiegom"! Więc w koleinkach, więc w rowkach, więc w strumyczkach i strużkach w strachu wielkim z chorągwią trzeba się pławić, brzęczenia pszczół słuchać, wiatrem z Babiej Góry wzdychać — amoniakiem ukąszenia swędzące smarować. A strach za włosy rwie — wszystko brzęczy i brzęczy pszczół lipowym brzęczeniem — i tak właśnie — Straszewicz — pióro swoje wygotowane w wojennym — macza je od lat sześciu w miodem podsyconym ukropie!...

Co niedziela tą słodyczą pióro namaszcza i woskiem i miodem w eter bryzga a bryzga.

Rozmawiając po nocach ze śp. Bolkiem Micińskim pyta się go tkliwie: gdy się tak bryzga — droga jest z wiatrem czyli też pod wiatr?

◆

A słuchaj tego wszystkiego święty Bolku, patronie nasz!
Co nie z wiatrem, ale pod wiatr, z wiatrami przeciwko wiatrowi i z wiatrem przeciwko wiatrom:

Światowid, bożek polski, w cztery strony świata patrzał i z czterech stron wiatry na siebie brał; jak z czterech stron świata za radą matki swojej wiatry zbiera Miłosz Czesław imiennik.

Z instynktu Jogów mądrych, słuchając mądrej matki swojej — w jamach metropolii ściąga wiatry i soki jawnogrzesznik Gombrowicz Joga Ferdydurke Witold Kastellański.

W miodzie lepkim, w lanie baraniej, w Ameryce młodej, dnie swoje dobija Straszewicz...

◆

Ten ostatni uważa, że mu zapytać przystoi: w czym trzeba wytrwać?

◆

Taka jest na dzisiaj kwintesencja pompatyczna gotowanych w ukropie piór trzech.

◆

Był taki, który w czasie wojny musiał uciekać z Zagrzebia, bo mu Pàvelich chciał oczy wyłupić i wraz z innymi go przeznaczył na śmierć. Konduktor wagonów sypialnych, nazwiskiem Czan dał się ubłagać: “Dobry pan był, hojny, lubiłem pana, więc w nocy idź pan za stację kilometrów pięć, będzie ulica, będzie płot, przeskoczysz pan przez płot, wejdziesz na tory i będziesz liczył: szósty tor będzie twoim torem. Torem tym pójdziesz w kierunku stacji i tam będzie stał sypialny wagon niebieski. Wskoczysz pan do wagonu, a ja cię w tym wagonie po cichu umieszczę i jeśli dobrze pójdzie dojedziesz po kryjomu do Włoch. Licz, nie pomyl się, szósty tor, kierunek na stację!”

Ksiądz Majchrzak trząsł się, ale pomagał. Noc była, śnieg leżał, wiatr huczał — przez płot go ksiądz Majchrzak jak piłkę przerzucił. W śnieg. A tamten ledwie się podniósł zaczął: “szósty tor, szósty tor, kierunek na lewo”. Wygramolił się ze śniegu i liczy: Pierwszy tor, drugi tor, trzeci tor — nie — ta szyna w śniegu należy jeszcze do drugiego toru! A więc: drugi tor, trzeci tor, czwarty tor — nie, ta szyna nie może należeć jeszcze do czwartego toru! Więc od początku. Pierwszy tor, drugi tor — nie, na guzikach płaszcza będę liczył: pierwszy tor, drugi tor — noc ciemna, śnieg, wiatr wieje, tyle torów, tyle torów! — Pierwszy tor, drugi tor, tu miałem guzik drugi, teraz chwytam za guzik trzeci. Tu jest tor, i tu jest tor, ta szyna do tego toru, ta szyna do tego toru! Pierwszy tor, drugi tor,

trzeci tor. Pierwszy guzik, drugi guzik, trzeci guzik. Błyskają światła semaforów. Lepiej zacząć od początku. Pierwszy tor, pierwszy guzik; drugi tor, drugi guzik. Lepiej krzyczeć, wołać, rzucić się w śnieg, zginąć! Trzeci tor, trzeci guzik, czwarty tor, czwarty guzik. Nie wolno myśleć o pomyłce. Piąty tor — braknie już guzików — piąty tor, piąty tor, — zwrotnica, szósty tor! Na prawo czy w lewo? Z obu stron jednakowo śnieg błyszczy i semafory błyskają. Tu stoją wagony i tam stoją wagony. W lewo, w prawo — w lewo, w prawo? Wiatr wieje. Wszędzie szyny. Szósty tor — a może piąty — a może dziesiąty? W prawo czy w lewo? Szósty czy dziesiąty? Lepiej spytać. Wiatr wieje. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć! Teraz w lewo. Ten wagon, czy tamten, niech się dzieje co chce! Ten wagon w lewo niebieski, czy ten wagon w prawo niebieski? Piąty tor, szósty tor. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Ten wagon, ten guzik, ten tor?...



Z tymi i owymi tak samo jest: pierwszy tor i drugi tor, pierwszy guzik i drugi guzik, i oby się im guziki nie pomieszały z torami!

A temu, co to pisze, właśnie się tory pomieszały z guzikami — i pierwszy tor, i drugi tor — i trzeci guzik i czwarty guzik — za guziki się chwyta i torów się doliczyć nie może. W prawo czy w lewo, pod ten semafor z zielonym światłem, czy pod ten semafor z pomarańczowym? Torów tyle, guzików tyle, a konduktora Czana i księdza Majchrzaka jak nie ma tak nie ma. Piąty tor, szósty tor! Na którym torze — może kto wie — czeka na Straszewicza niebieski wagon Bolka Micińskiego?



Straszewicz, niżej wymieniony, brzemię z siebie zrzucił wielkie, rzecz swoją dla "Kultury" w sztucznych wywarach zrobiwszy — i tak jak zaczął żywot swój pisarski w wieku dziecięcym — tak pod zmierzch się mając tym samym wierszem dziecięcym, złym, kończy: Serce, serce, W poniewierce — To największy ból, Mrą nadzieje, Moc się chwieje, Widmo śmierci król...

Co znaczy: nie z każdego żołędzia wyrasta dąb, panno Janino biedna.

Niech mu wełna — "lana" — w strachu jego — lżejszą odtąd będzie!

Czesław STRASZEWICZ.

Przeciw upiorom przeszłości

Mój artykuł pt. «Między Muszalskim i Zagłobą», drukowany ubiegłego lata w «Wiadomościach», podsycił i rozszerzył dyskusję toczącą się uprzednio na łamach tegoż pisma, zresztą dyskusję dość marginesową, bo ograniczoną niemal w całości do działu «Korespondencja». Tym razem jednak Jędrzej Giertych wystąpił z obszernymi uwagami, dołączył się Zbyszewski, napisali listy profesor Studnicki i Jan Tokarski. Żywo zareagowała strona ukraińska. Szereg czasopism, wychodzących w Europie i Ameryce, ogłosił przekład mojej pracy w całości lub obszernych wyciągach, zaopatrując je w komentarze; zasadniczo odpowiedziało paryskie «Ukraińskie Słowo». Wreszcie otrzymałem sporo prywatnych listów, przeważnie od osób mi nieznanych.

Niektórzy korespondenci zwrócili uwagę, że artykuł mój był prawie w całości polemiczny, natomiast zabrakło w nim konkretnego programu ugody polsko-ukraińskiej. «Bo przecież — słusznie pisze jeden z nich — praktycznie biorąc, cała sprawa sprowadza się do pogranicznych ziem spornych. Gdyby któraś ze stron zrezygnowała na rzecz drugiej ze Lwowa, nic nie stało by porozumieniu na przeszkodzie. Ci z Polaków, którzy usiłują udowodnić, że Ukraina powstać nie może, a gdyby nawet powstała, nie utrzyma się pod naporem Rosji, bardziej wpatrują się w Lwów i Tarnopol, niż w Kijów i Połtawę. Ukraińcy znów wszystkie problemy, łączące się z Polską, rozpatrują w skali: Zbrucz—San. Skoro ustępstwo którejkolwiek ze stron wydaje się, przynajmniej w chwili obecnej, niemożliwe, pisanie na ten temat ma sens tylko wtedy, gdy autor widzi i proponuje trzecie rozwiązanie i to bardzo konkretnie sprecyzowane. Cała reszta, włącznie ze szlachetnym wzywaniem do nieprzelewania krwi w bratobójczych walkach, nosi charakter zdecydowanie utopijny i z politycznego punktu widzenia — obojętny».

Jest w takim sformułowaniu sporo racji, ale nie całkowita. Myślę, że nawet w wypadku nie znalezienia trzeciego rozwiązania, wzajemne rozmowy i rozładowywanie sąsiedzkiej nienawiści nie stanowią utopii i mogą okazać się pożyteczne. Nie znaczy to jednak, abym innych możliwości nie widział. Zanim

---

Stanowisko J. Łobodowskiego w sprawie ukraińskiej, sprecyzowane w tym artykule — odpowiada poglądom zespołu "Kultury".

dojdę do sedna zagadnienia, trzeba podsumować dotychczasową dyskusję i odeprzeć wysunięte zarzuty. Nawet marginesowa polemika miewa niekiedy swą pozytywną podszewkę. Gdy się kompromituje fałszywą argumentację, przyczepioną do niesłusznej i szkodliwej tezy, również i sama teza zaczyna chwiać się w oczach czytelnika. Teren, na którym odbywają się nieliczne spotkania polsko-ukraińskie, jest tak najeżony kolczastymi zasiekami, przekopany wilczymi dołami, zaśmiecony wzajemnymi uprzedzeniami i podejrzeniami, przesiąknięty stęchłą wodą anachronicznych opinii, że trzeba go choćby częściowo oczyścić i zdrenować, bo inaczej zagubimy się w nim bez ratunku. Oczywiście, po obydwu stronach barykady są ludzie, którym już nic nie pomoże. Jedni zawsze oświadczą: «Ty sobie gadaj, co chcesz, a ja wiem, że Ukraińcy to czarnopodniebienne gady!» — a inni odpowiedzą: «Lach, Żyd i sobaka — wira odinaka».

Zatem spróbujmy raz jeszcze podsumować zarzuty, z różnych stron pod mym adresem wysunięte i cierpliwie na nie odpowiedzieć, choć w wielu wypadkach należało by ich autorów odesłać do szkółki, by trochę poślęczeli nad logiką, historią, a nawet nad podręcznikiem elementarnej geografii. Innym znowu — i to przeważnie tym, co najgłośniej krzyczą o katolicyźmie i moralności, przydałby się i katechizm.

STUDNICKI — PIERWSZY

Zacznę od profesora Studnickiego. Z wieku mu i urzędu ten zaszczyt należy. Powołując się na moje własne wyznanie, że czytałem jego artykuł z uczuciem «oburzenia i wściekłości», profesor w liście do «Wiadomości» przygważdża mnie spokojnie i lakonicznie: «Te stany uczuciowe nie pozwoliły mu ocenić mych zasadniczych twierdzeń, opartych na obiektywnych danych...» Inaczej mówiąc — wpadł we wściekłość, o logicznym rozumowaniu nie ma mowy. Opowiem tu autentyczną anegdotę, dotyczącą znakomitego pisarza hiszpańskiego, Miguela Unamuny. Był on wielkim śpiochem, co mu zresztą nie przeszkadzało w bardzo intensywnej pracy. «Don Miguel — zagadnął go kiedyś na wszechnicy w Salamance pewien młody żartowniś, — czy to prawda, że pan przesypia po kilkanaście godzin na dobę?» «Tak, to prawda — odparł żywo Unamuno — ale pamiętaj, młodzieńcze, że ja nawet we śnie bywam czujniejszy niż ty na jawie!» Trawestując powiedzenie znakomitego Hiszpana, mógłbym i ja oświadczyć przy nadarzającej się okazji: «Tak jest, często daję się ponosić uczuciom oburzenia i wściekłości, ale nawet wówczas, gdy wpadam we wściekłość, lepiej panuję nad moimi argumentami, niż pan profesor nad swoimi na spokojno».

«Zasadnicze twierdzenia, oparte na obiektywnych danych», Badajmyż te twierdzenia, a może czegoś się nauczymy. Pan profesor operuje zarówno czasem teraźniejszym jak przeszłym. Czas teraźniejszy mówi mu, że «Ukraińcy na terytorium Ukrainy stanowią mniejszość». Na jakich «obiektywnych danych», na ja-

kich statystykach Studnicki się oparł, nie wiemy. Nie cytuje żadnego źródła i słusznie, bo nawet praca Stanisława Skrzypka, ostrożna i solidna, choć miejscami zbyt daleko idąca, nie wypadłaby po jego myśli. Więc poprostu «obiektywne dane», bez bliższych, najwidoczniej zbędnych, wyjaśnień.

Czas przeszły powiada mu znowu, że na Ukrainie «nigdy nie było woli niepodległości». Cytuje Hruszewskiego, a z cytowanego tekstu wynika, że «żołnierze pochodzenia ukraińskiego rozjeżdżali się do domów» i o niepodległość Ukrainy walczyć nie chcieli. To samo w wieku XIX-tym. «Kulisz był politycznie Rosjaninem». Zatrzymajmy się nad sprawą Kulisza, bo tu, jak na dłoni, cały profesor Studnicki. Zresztą on sam tego chciał, jak ów bohater molierowskiej komedii, albo fredrowski szambelan z «Pana Jowialskiego».

«Pan Łobodowski — pisze Studnicki — oburza się, że nazwałem Kulisza i Kostomarowa Rosjanami. Pisze, że Kulisz należał do starego rodu ukraińskiego i że pisał wiersze ukraińskie. Wierszy tych nie znam, lecz znam i cytowałem memoriał Kulisza, zalecający środki rusyfikacyjne na Litwie». A więc nareszcie coś konkretnego. Studnicki «wierszy Kulisza nie zna». Niech się czytelnik wczuje w te słowa. «Wierszy Kulisza nie zna» natomiast «zna jego memoriał» antypolski. Wielkim poetom zdarzało się pisywać różne memoriały i nie według nich przywykliśmy oceniać ich rolę we własnym narodzie. Wyobraźmy sobie, że jakiś cudzoziemiec insynuuje sfałszowany wizerunek Mickiewicza, a gdy mu się wskaże na «Dziady», «Konrada Wallenroda», «Pana Tadeusza», odpowie z czarującą studnicką dezynwolturą: «Wierszy Mickiewicza nie znam, natomiast znam taki a taki artykuł z «Trybuny Ludów».

Kulisz nie miał mickiewiczowskiego geniuszu, ale w rozwoju literatury ukraińskiej i myśli politycznej odegrał rolę zasadniczą. Tłumaczył Szekspira, Goethego, również pisarzy polskich, z intencją zbliżenia Ukrainy do Zachodu. Był namiętnym szermierzem pojednania polsko-ukraińskiego. W książce «Malowana Hajdamaczyzna» gwałtownie zaatakował anarchiczne instynkty ukraińskiego stepu. Ujemnie oceniał kozaczyznę, przez co wszedł w konflikt z niejednym współczesnym Ukraińcem. Ostro przeciwstawiał się pisarzom, idealizującym ślepą nienawiść do Polaków. Cóż z tego wyszło? We własnym obozie spotkał się z niechęcią, po stronie polskiej, gdy zaczął działać we Lwowie, z całkowitym lekceważeniem. Wtedy przecież «Rusinów» w Galicji nie brano na serio. Cóż tam Kulisz i jego dłoń wyciągnięta do Polaków! Rozgoryczony pisarz zaczął szukać porozumienia gdzie indziej. Stąd jego przejściowy flirt z Rosją. Ale i na tym się nie zatrzymał, umieszczając swe nadzieje w innym kierunku. W każdym razie, choćbyśmy najsurowiej oceniali pomyłki i złudzenia polityczne Kulisza, opinia Studnickiego nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Jeśli Kulisz w okresie swej orientacji pro-rosyjskiej był «politycznie Rosjaninem», w takim razie w latach orientacji pro-polskiej musiał być «politycznie Polakiem».

Ani jedno, ani drugie. Był Ukraińcem i szukał takich rozwiązań, jakie mu w danej chwili wydawały się dla jego ojczyzny najkorzystniejsze. I czy nie wystarczy fakt, że w czasach gdy taki Hohol-Janowśkyj stawał się Gogolem i oddawał swój geniusz w służbę literatury rosyjskiej, Kulisz pisał po ukraińsku, a przede wszystkim, że całą swą twórczość pisarską wypełniał narodową treścią ukraińską?*) A co do pomyłek... Czy Mickiewicz w okresie ideologicznych szaleństw, poczętych z towiańszczyzny, nie wyskakiwał z dziwacznymi pomysłami, które tyle krwi napsuły Krasińskiemu, a Słowackiego odstręczyły raz na zawsze od towiańczyków? Czy nie zamierzał nawrócić cara Mikołaja? A cóż powiemy o Czaykowskim? Sturczył się, więc przestał być Polakiem. Gdy zaś na starość «pokajał się» w upokarzającej formie i błagał o pozwolenie na powrót w ojczyste strony, stał się Rosjaninem? To są wolne żarty ichmościów, ani biorących pod uwagę ówczesnej sytuacji politycznej, ani umiejących wniknąć w psychologię pisarzy, o których wydają arbitralne sądy.

Jeśli profesor Studnicki powróci kiedykolwiek do tego tematu, z góry zapowiadam, że nie będę z nim więcej dyskutował, jeśli uprzednio nie pofatyguje się sprawdzić, kim był Kulisz, podobnie jak nie polemizowałbym z Ukraińcem, który by wydawał lekkomyślne sądy o Mickiewiczu, oświadczając bez żenady: «Wierszy Mickiewicza nie znam».

«Patrioci ukraińscy pragnęli chwilowego zerwania z Moskwą... trwałej woli oderwania się od Rosji nie było...» — twierdzi Studnicki, pisząc o latach 1917-20. Ma rację o tyle, że istotnie pewne frakcje czy partie myślały o zachowaniu związku federacyjnego z Rosją. Ale nie wszystkie. Petlura był niepodległościowcem. Anarchiści Nestora Machna bili się tak samo z bolszewikami, jak z Denikinem i Wranglem. Ale istota rzeczy na pewno nie tkwi w tym, jaką orientację wyznawały poszczególne partie ukraińskie przed trzydziestoma przeszło laty. Dla trzeźwego polityka, który szuka właściwej drogi w stosunkach polsko-ukraińskich, najważniejsza jest teraźniejszość. Nie to, czego Ukraińcy kiedykolwiek chcieli czy robili, ale czego chcą i do czego dążą w chwili obecnej. Pawło Kotowycz słusznie wskazał w swym liście do «Wiadomości», iż fakt, że sto tysięcy Ukraińców z Ukrainy Sowieckiej, którzy znaleźli się w Niemczech w charakterze dipisów, zorganizowali się w ukraińskim obozie niepodległościowym, jest bardziej wymowny niż dziesiątki pseudohistorycznych spekulacji. Ktoś powie: «To są po prostu ludzie, nie chcący wracać pod sowieckie panowanie, wrogowie Stalina i jego systemu, a nie Rosji». Świetnie. Dlaczego więc nie idą do obozu Kiereńskiego, choć ich tam zapraszają

*) Polecam profesorowi Studnickiemu, a również Giertychowi, który dla odmiany widzi w Kuliszu "tajemniczą postać" i wielką figurę międzynarodowej masonerii, moje obszerne studium o pisarzu ukraińskim, drukowane w miesięczniku "Problemy Europy Wschodniej", Styczeń, 1939. Tam znajdą wszystkie interesujące ich szczegóły.

czapką i papką, dlaczego nie chcą słyszeć o federacji z Rosją, dlaczego psują krew rosyjskim «jedino-niedielimowcam»?

«Pan Łobodowski nie rozumie zasadniczego antagonizmu polsko-ukraińskiego. Ten antagonizm ma podstawy bardzo realne, sprawę Małopolski Wschodniej. Czym jest historia Ukrainy tak jak ją ujmują Ukraińcy? Historią rzezi Polaków, walk polsko-ukraińskich. Bohaterami jej są Gonta i Bandera». Trudno w kilkunastu słowach zmieścić więcej nonsensów i fałszów historycznych. Spór polsko-ukraiński nie zaczął się od Małopolski Wschodniej. To raz. Rzezie Polaków przez Ukraińców nie wyczerpują dziejów tego sporu ani w pracach historyków naszych ani ukraińskich. Poza tym ten medal miał odwrotną stronę, gdyż rzezie były wzajemne. Nie wiem, czy profesor Studnicki słyszał o krwawej pacyfikacji «prewencyjnej» na Wołyniu, tuż przed pierwszym rozbiorem, pacyfikacji niczym przez chłopów wołyńskich nie sprowokowanej. Mam na to koronnego świadka w osobie króla Stanisława Augusta, który gorzko skarżył się na samowolę szlachty, na własną rękę przeprowadzającej masowe egzekucje Bogu ducha winnych chłopów. Pisałem już o Kuliszu, że w swych pracach historycznych stanowczo potępia cały ruch hajdamacki wraz z Gontą. A co do Bandery... No, nie wszyscy Ukraińcy uważają go za bohatera. Niech by pan profesor pofatygował się i poczytał sobie, co o Banderze piszą na przykład melnykowcy, ci sami, z których Studnicki już kiedyś w polemice, toczącej się na łamach «Lwowa i Wilna» zrobił mielgunowców, za jednym pociągnięciem pióra mianując nacjonalistą ukraińskim jednego z szefów «Sojuza bor'by za swabodu Rassiji». He, he... jeśli Kulisz był Rosjaninem, dlaczego Mielgunow nie ma być Ukraińcem? Tak to się panu profesorowi beztrosko mylą nazwiska, sprawy i fakty.

Natomiast o walkach ukraińsko-rosyjskich Studnicki woli nie wspominać. Nawet, gdy chodzi o walki, w których malinowy sztandar kozacki szedł obok złotego sztandaru polskiej Korony. Nie mówi, jakiego zerwania z Rosją chciał hetman Mazepa, «chwilowego» czy «po wieczne czasy». Żadnych rewelacyj na temat stosunku Szewczenki do «Małopolski Wschodniej» nie ogłasza. Symona Petlury indygenatem rosyjskim nie obdarza. Szkoda! Bo gdyby przypomniał sobie, że jednak istnieli Konaszewicze, Kisiele i Niemirycze, a w bliższej przeszłości inni Ukraińcy, którzy pragnęli porozumienia z Polakami, może by nie napisał, że wszystko sprowadzało się do «rzezi». I gdyby mnie po przeczytaniu tej haniebnej bzdury nie dławił wstyd za Studnickiego, gdyby nie to, że nie chcę obrażać ani tych Polaków, którzy dalecy są od podobnego stanowiska, ani tych Ukraińców, którzy portretu Gonty nad łóżkiem nie wieszają, miałbym prawo powiedzieć wszystkim upiorom bratobójczej przeszłości: «Rzeź Polaków? Tak! Bo macie Ukraińców właśnie takich, jakimi chcecie ich mieć!»

Najzabawniejsze, że pisząc w roku Pańskim 1951 o ziemiach, będących przedmiotem sporu, Studnicki sięga do argumentów

niemal typu biologicznego. «Małopolska Wschodnia była krajem rolniczo przeludnionym. Walka o ziemię była ważnym elementem». Była przeludniona... Ale teraz chyba już nie jest. Jeden ważny element ubył. Może więc zaczniemy używać argumentów, nieco mniej pachnących niemieckim «Blut und Boden», byśmy się zaś nie wykierowali na drogi raczej niespodziewane.

Profesor Studnicki jest człowiekiem starym i ma za sobą niejedną piękną kartę polityczną i pisarską. Ale sprawa, o którą toczy się spór, to nie fraszka. Zbyt wiele krwi lepi się nam na rękach, abyśmy tracili czas na wzajemnych reweransach, podczas gdy nieodpowiedzialni ludzie przygotowują grunt pod nową, być może, jeszcze straszniejszą walkę. Więc powiem Studnickiemu twardo: zarówno on, jak inni, którzy dmą w miechy przy ogniu polsko-ukraińskiej nienawiści, będą współodpowiedzialni za tę krew, która się jeszcze w przyszłości poleje. I lepiej nie zapisywać ostatnich rozdziałów długiej pracy publicystycznej słowami, które poczęła ślepa niechęć, a trzymała do chrztu zarozumiała ignorancja.

Pozostaje mi tylko zapewnić pana profesora, że nie poczułem się dotknięty jego lekceważącym zwrotem końcowym, w którym odmawia mi, jako poecie, prawa do szukania leków na konflikty historyczne. Ale przypomnę mu jego własne słowa, jakimi uważał za możliwe podsumować swe wspomnienia sprzede dnia wojny, drukowane w 1947 roku w «Wiadomościach». Oto po omówieniu tego, co by się stało, lub stać mogło, gdyby armia polska uderzyła wraz z Niemcami na Rosję, Studnicki dodał: «Po zwycięstwie na Wschodzie nastąpić by musiał kompromisowy pokój na Zachodzie. Rosja bolszewicka zwyciężona. Europa sfederowana». Postawić takie twierdzenie w roku 1939 mógł człowiek, nie orientujący się, czym jest bestia hitlerowska; powrócić do niego w osiem lat później — jedynie ktoś, dla kogo doświadczenia historyczne nie mają żadnej wartości, jeśli nie potwierdzają jego własnej tezy. A jeśli nie potwierdziły, tym gorzej dla tych doświadczeń. Czy więc na podstawie podobnego oświadczenia, wydrukowanego czarno na białym w dwa lata po zagaśnięciu ostatniego pieca krematoryjnego, nie mógłbym, chociaż tylko poeta, zarzucić profesorowi Studnickiemu właśnie... «poetyzowania»?

Być może, że — jak pisze pan profesor — nigdy «nie znajdę lekarstwa» na «zasadnicze prawo biologiczne», jakim jest «walka o ziemię», w danym wypadku o Ziemię Czerwieńską. Pozostanie mi pociecha, że go szukałem. Natomiast profesor Studnicki chce nam sprzedać truciznę, bełkot polityczny, szalej nienawiści, odwieczną, dobrze znaną otrutę w pseudo-historiozoficznym opakowaniu. Jego list, który obecnie kwituję, przekonał mnie o jednym: że po przeczytaniu mego artykułu, bądź co bądź dostatecznie nabitego argumentami i faktami historycznymi, dowiedział się tylko tego, jak się poprawnie pisze nazwisko Bandery. To wiele. Pogratulować!

Z KOLEI — GIERTYCH

Jędrzej Giertych odpowiedział mi nie krótkim listem, jak profesor Studnicki, ale obszernym artykułem. Okazuje się jednak, że miejsca było za mało. «Aby odeprzeć skutecznie — pisze Giertych — zbiorową proukraińską sugestię — a więc nprz. aby odpowiedzieć p. Józefowi Łobodowskiemu — nie wystarcza artykuł, lecz potrzebna jest właściwie książka. Niestety jednak, na książkę w sprawie ukraińskiej Giertych «zdobyć się w tej chwili nie jest w stanie». Ha, trudno! Oczekując z niecierpliwością, aż publicystyka polska wzbogaci się o nowe dzieło, poprzestańmy na razie na artykule.

Giertych zaczyna od oświadczenia, że «zabierając czasem głos w sprawie ukraińskiej, występuje nie tyle przeciw Ukraińcom, ile przeciw polskiemu obozowi proukraińskiemu». Mówi, że nie ma nic przeciw powstaniu niepodległej Ukrainy, byle by polscy ukrainofile nie angażowali żywych sił narodu w tej sprawie, która jest sprawą «nie tylko cudzą, lecz i niedwuznacznie wrogą». Inaczej mówiąc, Ukraińcy mogą spać spokojnie — ze strony Giertycha nic im nie grozi. Kogo chce zniszczyć — to właśnie nas, niepoprawnych, niczego nie rozumiejących, dążących do samobójstwa narodowego, zwariowanych «ukraińców». «Trwoniliśmy już siły — powiada Giertych — na budowanie Ukrainy wielokrotnie. Owo budowanie zawsze kosztowało nas wiele, a czasem wręcz groziło nam katastrofą, lub wręcz katastrofę na nas sprowadzało. Oby nie sprowadziło na nas nowych katastrof w przyszłości!» Po czym omawia plusy i minusy, jakie w jego pojęciu miałaby z polskiego punktu widzenia niepodległa Ukraina, i dochodzi do kategorycznego wniosku, że minusy stanowczo przeważają.

Zdawało by się, to powinno wystarczyć. I nawet stanowisko Giertycha, choć w moim przekonaniu całkowicie błędne, należało by uszanować. Uważa, że powstanie niepodległej Ukrainy stanowić będzie poważne niebezpieczeństwo dla Polski, a że polska koszula bliższa ciała niż ukraińskie hajdawery, więc dbajmy przede wszystkim o koszulę. Punctum. Nie ma o czym gadać. Ale nie — to dla Giertycha za mało. Chce mieć czyste sumienie i wyjść z polemiki w godowej szacie niepokalanego anioła. Więc swój ściśle polityczny wywód podbudowuje rozważaniami natury historycznej, kulturotwórczej, nawet lingwistycznej, by ostatecznie oświadczyć, że naród ukraiński w gruncie rzeczy nie istnieje i prawa do niepodległości nie posiada.

I tu zaczyna się zwykły mętlik, stawanie na głowie, szastanie faktami historycznymi w najbardziej bezceremonialny sposób, reprezentacyjny popis ignorancji, a także wyraźnie złą wolą nacechowane fałszowanie wydarzeń z najbliższej, a więc bardzo łatwo sprawdzalnej przeszłości.

Pisze Giertych, że między dwoma ośrodkami narodowego ruchu ukraińskiego — na Zadnieprzu i na Ziemi Czerwieńskiej — ruch ten albo w ogóle nie istnieje albo jest «niezmiernie nikłą

roślinką». Między Lwowem i Kijowem rozpościera się «etnograficzna mgławica, wśród której proklamują przynależność do tego narodu tylko doktrynerzy, podobni do naszego Floriana Ceynowy, który głosił ideę kaszubskiej odrębności narodowej». A naród «nie może składać się z kilku luźnych ośrodków, przedzielonych» ową mgławicą. Zaiste, rewelacyjna teoria! Przypuśćmy, że istotnie poza «kilku luźnymi ośrodkami» na wschód od Bugu i Zbrucza — bo Ukraińcom halickim Giertych świadomości narodowej łaskawie nie odmawia — rozciąga się ziemia niczyja pod względem narodowościowym. Ale wszędzie na tej «ziemi niczyjej» mówi się tym samym językiem, śpiewa się te same pieśni, czyta się tych samych pisarzy, tańczy się te same tańce. «Doktrynerów» coraz więcej i wcale żwawo sobie poczynających. W «mgławicy» odbywa się ciągły ruch. Nasz specjalista od narodowej astronomii i kosmologii powinien wiedzieć, że z takiej «mgławicy» musi prędzej czy później wyłonić się jakaś planeta, kometa choćby. Niestety, muszę Giertycha rozczarować. Zapomniał on w swoim historiozoficznym ferworze, że nprz. Wołyń już przed wojną szybko nadrabiał swe opóźnienia w świadomości narodowej w stosunku do Ziemi Czerwieńskiej. Krwawy pług wojny przeorał go do głębi i przyśpieszył ten proces. Chłop wołyński masowo szedł do szeregów UPA-y, która była zbrojnym ramieniem obozu niepodległościowego. To samo działo się na sąsiednim Podolu, a nawet — horrible dictu, do czego dożyliśmy! — na Polesiu! Giertych opisuje z rozrzewnieniem swoje wycieczki kajakiem po Łużycach. Ja też jeździłem kajakiem, ale po Styrze, Horyniu i Prypeci. Bywał tam i Giertych, ale nigdy go nie spotkałem. Natomiast często spotykałem różnych Grzesiów, kubek w kubek, jak z giertychowej powieści, i wiem, jak niewiele ze swych kresowych wycieczek wynosili. Zapewniam Giertycha, że dzisiejszy Wołyń do jego mgławicowej teorii już nie pasuje. Mgławica kurczy się, coraz liczniejszy zastęp «doktrynerów» i to nie takich, jak poczciwy Ceynowa, ale takich, którzy w razie potrzeby strzelają. Ejże, panie Onufry herbu Wczele, czy to waszmości nie przerywa słodkich snów o «etnograficznej mgławicy»?

Giertych raz jeszcze rozwija tezę, że w latach 1917-20 narodu ukraińskiego nie było. «Była partia polityczna — jeden z prądów politycznych na Ukrainie, i to wcale nie najsilniejszy». Giertych nie rozumie mechaniki rewolucji społecznej, która nastąpiła na Ukrainie jednocześnie ze zrywem niepodległościowym. Zawsze w takich okolicznościach następuje zatarcie ostrych linii, zamęt ideologiczny, rozbicie, a przynajmniej osłabienie ośrodków krystalizacyjnych. Przypomnijmy czasy napoleońskie. Nawet narody o takiej historii i kulturze, jak niemiecki i włoski, znalazły się w stanie wrzenia na poły rewolucyjnego, i na żadne zwarte działanie nie zdobyły się. Czy lud wenecki bronił sztandaru Świętego Marka przed najazdem francuskim? Aby mnie nie posądzono o dobieranie wygodnych przykładów, wezmę przykład inny, właśnie najmniej mojej tezie odpowiada-

jący: Hiszpanię. Gdyby nie bezceremonialność, z jaką Napoleon potraktował rodzinę królewską, nie bezwzględność generałów i brutalne zachowanie się żołnierzy francuskich, wypadki potoczyłyby się zapewne inaczej. Ogromną rolę odegrał kler katolicki, który widział w Napoleonie przede wszystkim wroga religii i Kościoła. A i tak spora ilość intelektualistów i tych wszystkich, którzy znajdowali się pod wpływami osiemnastowiecznego racjonalizmu, stanęła po stronie najeźdźcy, a w każdym razie «kolaborowała». Pierwsza polityczna emigracja hiszpańska, to przecież właśnie emigracja «pro-francuska». Zrobię Giertychowi przyjemność i dam jeszcze jeden przykład, na pewno bardzo miły jego sercu: zachowanie się szlachty ariańskiej i kalwińskiej podczas najazdu szwedzkiego. Wówczas, jak utrzymuje sam Giertych, działała w Polsce piąta kolumna protestancka. Więc na Ukrainie działała piąta kolumna komunistyczna. Lubię wybitnych świadków. Przed chwilą w polemice ze Studnickim powołałem się na Stanisława Augusta. Obecnie powołam się na Lwa Trockiego. To właśnie on w przemówieniu pożegnalnym do agitatorów, po ukończeniu specjalnego kursu wyruszających na Ukrainę, by siać zamęt ideologiczny, oświadczył: «Pamiętajcie, że wpływy niepodległościowców na Ukrainie są bardzo silne. Niekiedy powinniście udawać, że jesteście petlurowcami, by tym łatwiej zdobyć zaufanie». Omawiałem kiedyś szczegółowo to przemówienie na łamach «Biuletynu Polsko-Ukraińskiego». Giertych, oczywista, go nie zna. A może... może Trocki był również... ukrainofilem?

Co bodaj najbardziej zaważyło na losach Ukrainy w owych przełomowych latach, to zjawisko «atamańszczyzny». Typu anarchistycznego, jak Nestor Machno, bolszewickiego, jak Kotowski, najczęściej zaś po prostu «tutejszego», w granicach jednego powiatu czy gminy. I w Polsce były takie tendencje, że przypomnę czerwony sztandar na wieży magistratu lubelskiego, czy ogłoszenie «republiki tarnobrzeskiej». Tyle, że inna była struktura społeczna, inne okoliczności, inne tradycje, no, i różny stopień uświadomienia narodowego. Na marginesie zabawna anegdota — za republiki hiszpańskiej pewna zabita gmina andaluzyjska ogłosiła «niepodległość i suwerenność», zaznaczając w wydanym manifeście, że pragnie żyć w zgodzie i pokoju z okolicznymi gminami i «państwami całego świata». Znów zastanawiająca analogia, którą trzeba wziąć pod uwagę. Zjawisko dość powszechne, a jeśli je pomnożymy przez step, przez Hulaj-Pole, przez Czarny Szlak, przez niezagasłe, czy choćby we krwi drzemiące tradycje Zaporoża, otrzymamy to, co działo się wówczas na Ukrainie.

Giertych wątpi, aby na Ukrainie było wiele ludzi, umiejących napisać list poprawną pisownią, ba, w ogóle znających język ukraiński i nie odnoszących się do niego z drwinami. Jako do lingwisty nie mam do Giertycha zaufania od czasu, gdy z poważną miną napisał, że dłuższy czas po rewolucji Rosjanie mówili z akcentem żydowskim. Sam słyszał w pociągu, gdy jeździł

do Sowietów, jako urzędnik M.S.Z.-tu, zanim go brzydki Beck posłał na zieloną trawkę. Z równą racją mógłby Giertych napisać, że mówiono — ach, dusza łubeznyj, ty znajisz paczamu Tyfłys samyj gławnyj gorod? — z akcentem ormiańskim. Jeśli wszystkie wiadomości, które Giertych przywoził z urzędowych wyjazdów do Rosji, były na tym samym poziomie, trzeba przyznać, że Beck słusznie ocenił jego kwalifikacje.

Ale do rzeczy. «Wolne żarty!» — wykrzykuje Giertych pod adresem tych, którzy, jak niżej podpisany, twierdzą, że nie było tak źle z literackim językiem ukraińskim w omawianym okresie. To prawda. Żarty. Bardzo kiepskie żarty. Niestety, żartownisiem jest właśnie sam Giertych. Czy słyszał on o tych wszystkich pisarzach, filologach, historykach, naukowcach ukraińskich pierwszej połowy XX-go wieku, którzy w najbardziej niesprzyjających warunkach pisali w języku ojczystym? Przecież intensywniejszy ruch artystyczny i kulturalny nie jest możliwy, jeśli nie istnieje odpowiednie środowisko i zainteresowanie. Jeśli nie istnieje odbiorca. Jakże sobie wyobrazić bujny renesans kultury ukraińskiej, począwszy od 1921 roku, gdyby nic się przedtem nie działo w samym społeczeństwie, gdyby nie było wytworzonej już uprzednio przychylnej atmosfery! Teatr, publicystyka, poeci, przekładający na język ukraiński — i jak przekładający! — największych pisarzy świata, od Greków i Rzymian poczynając — toż to nie wyskakuje jak murawa spod ziemi, na ugorze się nie rodzi, ale wymaga długiej pracy przygotowawczej. Giertych tego wszystkiego nie wie. To jeszcze nie grzech. Grzech powstaje z chwilą, gdy nie tylko wygłasza on absurdalne i krzywdzące adwersarzy sądy, ale wygłasza je ex catedra, owinięty w togę nieomylności.

Nie od dziś Giertych zabawia się w poprawianie i rewizję historii. Już mu kiedyś Tadeusz Siuta w bardzo spokojnej i delikatnej formie wytknął całkowite nieliczenie się z rzeczywistością historyczną, oraz bezceremonialne naginanie jej do własnych tez politycznych. To w stosunku do historii Polski. Ale włosy stają dęba na głowie dopiero z chwilą, gdy Giertych «rewiduje» historię Ukrainy.

«Ukraina nie została przez Moskwę podbita, lecz w Perejasławiu dobrowolnie się pod władzę cara oddała». Iłowajskij twierdził to samo. Ale mnie w szkole uczono, że perejasławska umowa nie została dotrzymana przez żadną z umawiających się stron. Że istniało pewien czas niezależne państwo pod buławą Chmielnickiego. Z polskiego punktu widzenia tylko de facto, dla niektórych państw, jak Porta Otomańska, Chanat Krymski i Multany — również d e i u r e. Że po Perejasławiu był Hadziacz. I bitwa pod Konotopem. I Doroszenko. Że lewobrzeżna Ukraina dostała się pod władzę Moskwy — zresztą przy zachowaniu hetmanatu — dopiero na mocy pokoju w Andruszowie. Że wreszcie opór przeciw włączeniu definitywnemu trwał odtąd kilkadziesiąt lat i to opór w wielu momentach zbrojny. Czego mnie jeszcze uczono? Że kto te sprawy ignoruje, powinien siedzieć

cicho jak mysz pod miotłą i głosu publicznie nie zabierać. Więc do tego dobrnęliśmy, że na łamach poważnych czasopism emigracyjnych mamy wykładać szkolny kurs historii?

Tak, tak... Gdyby Giertych był Turkiem, napisałby zapewne, że w końcu wieku XVII Polska była lennem tureckim, ponieważ po upadku Kamieńca komisarze Rzeczypospolitej, by zyskać na czasie, zgodzili się na coroczny okup i sułtan posłał królowi Michałowi kaftan lennika. Ale Giertych tego nie napisze, bo jest Polakiem. Historiografia turecka straciła niebyle jakie pióro.

Według Giertycha, ukraiński nacjonalizm nie ma żadnego prawa do spadku po dawnej Rusi Kijowskiej i Halickiej. To tylko «polscy ukrainofile dobudowują narodowi ukraińskiemu genealogię tysiącletnią». Czyli starym rosyjskim systemem: ukrainizm — «polskaja intriga». Ukrainofile niczego nie muszą «dobudowywać», bo Ukraińcy sami sobie dawno tę genealogię zbudowali. Kozaccy przywódcy XVII wieku mieli już jasną tego świadomość i na książąt kijowskich stale powoływali się jako na swych antenatów. Nie tylko ludzie miary Chmielnickiego i Konaszewicza-Sahajdacznego, ale i pomniejsi, typu Ostranicy czy Nalewajki, choć większość polskich dziejopisów uważa ich za ciemnych i niepiśmienych watażków. Nprz. w «Kronice», Samijły Wełyczki można sobie teksty odpowiednich uniwersałów i «hramot» z pożytkiem przeczytać i słuszność słów moich sprawdzić.

O poziomie wywodów Giertycha najlepiej niech zaświadczy opinia, że «wspólny między polskimi Rusinami i Rosją alfabet» jest «moskiewskiej proweniencji». Daję słowo honoru, że profesor Stanisław Horyszewski z gimnazjum Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie nie puściłby mnie z szóstej do siódmej klasy, gdybym powyższe zdanie napisał. Przecież to są czyste kpiny z historii, chronologii, elementarnej znajomości dziejów cywilizacji na Wschodzie Europy! Alfabet na Ukrainie proweniencji moskiewskiej! Musiałby Giertych przedtem udowodnić, że w Moskwie kwitły nauki, gdy na miejscu przyszłego Kijowa był pusty majdan, że kultura szła znad Klaźmy nad Dniepr, a nie odwrotnie. Jakim alfabetem posługiwał się Jarosław Mądry? Jakim — poza łaciną — posługiwano się w akademiach kijowskich? Jakich czcionek używano do druku książek, przeznaczonych na eksport do Moskwy? Niech się Giertych nie krępuje. Niech wygarnie tym samym tchem, że Święty Cyryl urodził się w Suzdalu, a wynalazku swego dokonał w Solwyczegodskiej Pustelni. I znów trzeba siadać na szkolnej ławce, otwierać podręcznik i dowiadywać się, że na Białorusi i Ukrainie powstawały drukarnie w tym samym czasie, gdy w Moskwie Iwanów Srogich i Groźnych drukarzy, przybyłych z zagranicy, palono na stosach. Zaś rosyjska g r a ż d a n k a stanowiła taki sam wynalazek, jak dorobienie nowego ucha do starego czajnika. Ot, wam i «moskiewska proweniencja»!

Na deser Giertych używa typowego chwytu spod znaku «jedinoj i niedielimoj», porównując Ukrainę do Prowancji, a Szew-

czenkę do Mistrala. Przed paru laty jużeśmy na ten temat polemizowali w «Wiadomościach», przy czym, jak mi się wydało, kwestię wyczerpałem w artykule pt. «Masońskim dyszlem z Kreszczatiku na Ramblas». Giertych, choć zwykle chętny do dyskusji, wówczas z dalszego ciągu zrezygnował. Teraz powraca do starych i dawno obalonych argumentów. «Prawo Prowancji do niepodległości — pisze z całą powagą — mierzyć trzeba nie prowansalską dwutysiącletnią historią, ale siłą lub słabością ruchu prowansalskiego od czasu założenia «Félibrige». Podobną miarą mierzyć trzeba sprawę Ukrainy».

Mierzmy. Prowansja utraciła niezależność bardzo wcześnie. Stała się obiektem walk feudalnych i dynastycznych. Andagawenowie, królowie aragońscy, później francuscy, a nawet książęta sabaudzcy, którzy od czasu do czasu również wtrącali trzy grosze. Właściwie już za Walezjuszów, nie mówiąc o Burbonach, kwestia ta nie istnieje. Rewolucja francuska zmiata resztki politycznych tradycji. Odrodzenie języka langwedockiego w literaturze, zainicjowane przez Jeana Jasmina, a kontynuowane przez felibryżystów z Mistralem na czele, skutków politycznych nie miało. Gdzież tu analogia z Ukrainą? Gdzież zrywy niepodległościowe, choćby w przybliżeniu dające się porównać z ukraińskim XVII i XVIII wiekiem? Również analogia Mistral—Szewczenko świadczy jedynie o tym, że Giertych nie bardzo wie o czym pisze. Na Szewczence wychowały się i modliły całe pokolenia, jak u nas na Mickiewiczu i Słowackim, — «Mirellę» Mistrala czytywano jako piękny poemat i ciekawostkę językową. Ukraina w czasie drugiej wojny światowej dała potężny ruch narodowy i armię powstańczą: Prowansja — marché noir między Marsylią i Niceą i zjazd dam z półświatka do Juan-les-Pins na wywczasy z amerykańskimi żołnierzami. Jeśli zaś dała również «résistance», to pod sztandarem ogólno-francuskim, a nie prowansalskim. Oto i giertychowe analogie!

A teraz sprawa umowy warszawskiej i pokoju w Rydze. Giertych podtrzymuje swe stanowisko, twierdząc, że «nie pogwałciliśmy żadnego z artykułów umowy». Zgadzam się, że Wyprawa Kijowska skończyła się «aktem siły wyższej, zamykającym sprawę». Prowadzić wojnę po bitwie niemeńskiej, ani przygotowywać się do nowej wyprawy na wiosnę 1921 nie mogliśmy. Ale uznawać w Rydze Rakowskiego i Joffego jako przedstawicieli Ukrainy nie mieliśmy prawa. Oddziały Petlury dotrzymały wierności do końca. W krytycznych momentach bitwy warszawskiej odegrały swoją rolę, broniąc uporczywie Zamościa, co nie było bez znaczenia dla powodzenia kontrataku znad Wieprza. Dla całego świata różnica między Rygą i Jałtą jest właśnie taka, jak między szarżą pułku ułanów pod Komarowem, a wybuchem bomby atomowej w Hiroshimie. A dla Ukraińców Ryga miała identyczną wymowę, co Jałta dla nas. W tym sensie analogia jest pełna.

Wśród fint i chwytów stosowanych przez Giertycha są i takie, za które na ringu groziłaby natychmiastowa dyskwalifika-

cja. Giertych przyznał rację memu oskarżeniu niepoczytalnej polityki kresowej, stosowanej w Polsce przedwojennej. Ale zarzuca mi nielojalność, twierdząc, że metody gwałtu wobec Ukraińców nie mają nic wspólnego z polskim obozem antyukraińskim, czytaj: Stronnictwem Narodowym i samym Giertychem. Albo Giertych cierpi na amnezję, albo liczy na krótką pamięć u innych. Według niego, «metody gwałtu były ubocznym wytworem kierunku pro-ukraińskiego. Zrodziły się one z irytacji, że z Ukraińcami nie można się dogadać, i wyrażały odruchową reakcję: «Jeśli jesteście tacy, to my wam pokażemy!» A więc coś w rodzaju krwawej zemsty zawiedzionego kochanka.

Chętnie wierzę Giertychowi na słowo, że, jeśli nie protestował przeciw polityce kresowej, to wyłącznie ze względów cenzuralnych, natomiast protestował w formie mu dostępnej, między innymi, tłumacząc lwowskiej młodzieży akademickiej, że «pacyfikacja jest zarówno niepoczytalnością, jak zbrodnią». Jeśli tak było — a powtarzam, że wierzę mu na słowo — Giertych jest pod tym względem w porządku. Ale, widać, miał w swym obozie nikłe wpływy, skoro interwencje jego żadnego skutku nie odniosły.

Co się działo na zamkniętych konwentyklach lwowskiej młodzieży narodowej, oczywiście, wiedzieć nie mogłem. Ale jakie były nastroje i poglądy wśród o g ó ł u młodzieży narodowej, wiem bardzo dobrze. Byłem stałym i gorliwym czytelnikiem prasy narodowej, od stołecznej poczynając, a na lokalnych czasopismach kończąc. Chyba się jeszcze znajdą gdzieś roczniki tych pism, — łatwo sprawdzić, czy Giertych ma rację. Bo dzieją się rzeczy, zaiste, rewelacyjne. Okazuje się, że zwolennicy «polityki gwałtów» ograniczali się do grupki «istniejącej na peryferii obozu narodowego, ze Stanisławem Grabskim i Klaudiuszem Hrabykiem na czele». Zaś cała reszta była czysta jak łza.

Pomówmy więc o faktach konkretnych. Czy Giertych pamięta reakcję prasy swego obozu, gdy wybuchła «rewindykacja wołyńska»? Właśnie główne organy prorządowe zachowywały raczej kłopotliwe milczenie, a taki «Głos Lubelski», że wezmę przykład mi najbliższy, dął we wszystkie surmy i złote rogi zwycięstwa. Przypomnę, że nagonka, rozpętana przeciw wojewodzie Józewskiemu, który rewindykacji usiłował przeciwdziałać, miała gorliwych pomocników, a w wielu wypadkach inicjatorów wśród publicystów obozu narodowego. Akurat w tym czasie byłem na Wołyniu i widziałem z bliska, co się działo.

Społeczeństwo polskie w Łucku i innych miastach Wołynia to był cocktail ideologiczny zupełnie specjalnego rodzaju. Różnice polityczne zacierały się i ustępowały miejsca pełnej harmonii, gdy chodziło o «świętą wojnę» przeciw Ukraińcom i «zdradzającemu sprawę polską» wojewodzie. Przysięgły sanator był za pan brat z miejscowym prezesem Stronnictwa Narodowego; były legionista całował się z dubeltówki z Januszajtisem; czule patronował im ksiądz Tokarzewski, który z tej racji, że przez pewien czas był kapelanem w Belwederze, uważał siebie za naj-

bardziej autoryzowanego wykładnika ideologii Piłsudskiego; do tego dochodził KOP i Sąd Okręgowy, a wszystko znajdowało swój wyraz publicystyczny w dymiącym kociołku «Kuriera Wołyńskiego», gdzie pewien pułkownik w stanie spoczynku, w asyście pewnego kaprala na emeryturze i dziennikarza spod ciemnej gwiazdy, szkalował co tydzień Józewskiego i nawoływał do «ratowania polskości». Otóż bardzo mi przykro, ale muszę stwierdzić, że w tej równie brudnej, co samobójczej robocie brało czynny udział Stronnictwo Narodowe, i na to Giertych po niewczasie nic nie poradzi. Trzymało się z dala od tej akcji kilku wyższych wojskowych, którzy widzieli rzeczywistość inaczej, ale wpłynąć na nią nie mogli czy nie chcieli, spora część duchowieństwa i ziemiaństwa, wreszcie w miarę swych sił starało się ratować dobre imię narodu polskiego nauczycielstwo, a przynajmniej jego duży odłam, ośrodek krzemieniecki, «Rocznik Wołyński» Hoffmana, poszczególni działacze ze «Związku Młodzieży Wiejskiej», ten i ów ze starostów.

Nigdy nie miałem zwyczaju potępiania wszystkiego w czambuł, więc chętnie się zgodzę, że niejeden z członków Stronnictwa Narodowego, gdyby wiedział dokładnie, co się dzieje na Wołyniu, zaprotestowałby z oburzeniem. Szkoda więc, że Giertych nie zawadził wówczas o Łuck. Miałby wdzięczne pole do działania w uśmierzaniu miejscowych entuzjastów pałki i kolby, jako uniwersalnego środka na spolszczenie i skatolicyzowanie Wołynia.

Powiem więcej, skoro się już o tym zgadało. W ostatnich latach przedwojennych reżim sanacyjny poszedł na kokietowanie skrajniejszej młodzieży narodowej, uważając, że jest to najwartościowszy element z wojskowego punktu widzenia. Na pewnych odcinkach życia społecznego powstało zjawisko wzajemnej osmozy, którą ktoś celnie określił jako «endeczenie się sanacji». Papierek lakmusowy tej tendencji stanowiły choćby zmiany w zespole współpracowników «Polski Zbrojnej», a barometr publicystyczny — osławiony «Merkuriusz Ordynaryjny». Między moim kolegą szkolnym, korporantem z KUL'u, który po powrocie ze ślubowania w Częstochowie, gdzie krzyczał w pochodzie: «Precz z sanacją!», oświadczał mi kategorycznie: «Co? Ukraińcy? Trzymać za mordę! Za mordę!», a sanacyjnym starostą w Tomaszowie Lubelskim, wysadzającym dynamitem cerkwie prawosławne, nie było już żadnej różnicy.

Zanotujmy inny niedozwolony chwyt. Giertych daje do zrozumienia, że sanacja a «obóz ukrainofilski» — to jedno i to samo. Giertych był i jest wojującym członkiem swojej partii; moje partyjnictwo trwało krótko choć intensywnie, i skończyło się przeszło szesnaście lat temu. Byłem przed wojną takim «ukrainofilem», który artykuły polityczne w «Biuletynie Polsko-Ukraińskim» musiał pisywać pod pseudonimem, bo dla «opiekunów» byłem trefny. Włodzimierz Bączkowski, nie chcąc rezygnować z mojej współpracy, musiał trzymać mnie pod korcem. Łatki sanatora Giertych mi nie przypnie, chociaż wiem, że mnie uważa za człowieka, którego mentalność ukształtowała się w kręgu

«piłsudczyzny». Mego pozytywnego, a nawet, jeśli ktoś chce, entuzjastycznego stosunku do Marszałka nie ukrywałem nawet wobec dygnitarzy paryskiej «Reginy», tym bardziej nie będę ukrywał go dziś. Ale od tego do «sanacji» daleko. Nieszczęście Polski przedwojennej polegało głównie na tym, że obóz Piłsudskiego nie stworzył zwartej ideologii, nie stał się partią polityczną w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Gdy dawne orliki legionowe zaczęły obrastać tłuszczem, została już tylko siuchta, z niedojrzałych jajek ideowych wykluwały się hasła rocznicowe, a z liści, obsypujących się z wieńca więdnącej legendy, można było uwarzyć już tylko zupkę osobistej kariery. Polski obóz ukrainofilski — to były jednostki. Jedni, jak Hołówko, Wasilewski, odchodzili na zawsze; inni, jak Łoś, Dunin-Borkowski, coraz rzadziej brali pióro do ręki; jeszcze inni, jak Pruszyński zdradzali; reszta szamotała się bezsilnie w narzuconych ograniczeniach i sieciach. A teraz przychodzi Giertych i powiada, że to właśnie «ukrainofile», obrażeni na Ukraińców za ich upór, wymyślili pacyfikację, Berezę, rewindykację i palenie świątyń prawosławnych.

A wreszcie pomówmy i o tym, jak wyglądały sprawy przed rokiem 1926. Czy Giertych zna różne wyczyny na Wołyniu za czasów wojewody Aleksandra Dąbskiego, który przecież piłsudczykiem nie był? Czy słyszał o słynnych wypadkach w Łucku, na które musiały reagować aż czynniki wojskowe w Warszawie, a zareagowały tak, że kilkunastu funkcjonariuszów policji wyleciało ze służby państwowej? Czy zna okoliczności śmierci Olgi Basarab w więzieniu lwowskim? I dziesiątki i setki innych wypadków. Tego «sanacyjnym ukrainofilom» nie podrzuci. To przecież było za czasów «demokracji» i «parlamentaryzmu»!

W tym moim wodzeniu się za czuby z Giertychem pozostaje sprawa najtragiczniejsza: lata 1939-45. «Ukraińcy — pisze Giertych — zastosowali wobec nas metodę rzezi. Rzeź ta nie była nieopanowanym wybrykiem motłochu, ale planową operacją... odpowiada jej w zupełności wynalezione przez kilku laty słowo: «genocide».

Ciężko mi pisać o tej sprawie, o której wolałbym zapomnieć. Ale zapomnieć można by tylko pod warunkiem, że obydwie strony przeprowadzą rachunek sumienia i, wyznawszy wzajemne winy, będą prosiły o wzajemne wybaczenie. Ton, w jakim pisze Giertych, ton, jakiego używa niejedno pismo ukraińskie, świadczy że jeszcze daleka droga do Jordanu, którego świętą wodą zmylibyśmy piętno Kainów z naszych czół. Materiał, jakim rozporządzam, jest tylko drobnym ułamkiem tego, co się działo, ale i on wystarczy, by móc zabierać głos z pewnym poczuciem odpowiedzialności za swoje słowa. Więc w innej części artykułu omówię i tę haňbiącą sprawę dokładnie.

MIĘDZY KIJOWEM I MOSKWĄ

A teraz przejdźmy do kwestii zasadniczej. Czy powstanie nie-

podległej Ukrainy leży w interesie Polski, czy nie? Jeżeli tak, warto dalej prowadzić dyskusję, jeżeli nie — cała reszta traci znaczenie. Bo jeśli prawdą jest, jak utrzymują Giertych, Studnicki, Zbyszewski, że przykładanie przez nas ręki do budowania ukraińskiej niepodległości, lub choćby nieprzeszkadzanie temu budowaniu grozi narodowi polskiemu całkowitą zagładą, cóż któregokolwiek Polaka mogą obchodzić zagadnienia, które tu zostały poruszone! Są Ukraińcy narodem, czy nie, mają prawo czy nie mają do spadku po Rusi Kijowskiej, był Szewczenko prorokiem, czy rodzajem ukraińskiego Mistrala — wszystko to przesuwa się na płaszczyznę zainteresowań czysto akademickich. A jeśli Giertych ma rację? Jak tu ratować, a choćby tylko współczuć tonącemu, jeśli natychmiast po uratowaniu przebije mnie nożem, albo inni, silniejsi ode mnie, rozgniewani, że wtrącam się do nie swoich spraw, mnie samego wrzucą do rzeki? Rzeczywiście, niepodobna! Więc czy nie lepiej, otarłszy «ukrainofilską» łezkę z powieki, dać sobie spokój i rodakom czułej wątroby nie jątrzyć?

Właśnie takie stanowisko zajął Zbyszewski w artykule «Wedle stawu grobla». Nie interesuje go «nastawienie sentymentalne p. Łobodowskiego», ani «strona historyczna polemiki». Natomiast w zgodzie z Giertychem twierdzi, że nasza czynna interwencja w walce narodu ukraińskiego o swój niepodległy byt skończyć się może straszliwą katastrofą, ponieważ Zachód utwierdziłby się w przekonaniu, że «jesteśmy narodem awanturniczym, którego nie można brać na serio», no i dlatego, że «dla Rosji kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci». Giertych przytacza argumenty bardzo zbliżone. Stanowisko proukraińskie mogą poprzeć wyłącznie Niemcy, ale będzie to poparcie zdradzieckie, zaś «Rosji narazimy się na śmiertelną nienawiść i zemstę».

Przede wszystkim wyrażę przekonanie, że w sprawie ukraińskiej, jak i w każdej innej musimy zdobyć się na stanowisko czynne. Zbyszewski sugeruje zachowanie się wręcz odwrotne. Ponieważ nie mamy sił na rozbijanie Rosji, a nasze urojenia mocarstwowe i tak już nam wiele szkody przyniosły, więc «nie wkładać palca między drzwi», pamiętać, że «wedle stawu grobla», i w ogóle trzymać się przysłowia ukraińskiego: «Moja chata z kraju, ja niczoho ne znaju». Gdyż «maksimum czego w najpomyślniejszym wypadku możemy oczekiwać, to to, że będziemy p r z e s ł u c h i w a n i w sprawie naszych granic».

To wszystko brzmi wielce rozsądnie, ale ma jeden logiczny mankament. Oto wcale nie jesteśmy w sytuacji owego gospodarza, którego chata stoi «z kraju». Nigdy nie stała. Dziś mniej niż kiedykolwiek. Więc albo Zbyszewski zmieni geografię, przesunie na wzór genialnego Stalina góry i zmieni kierunek rzek, albo przeniesie polską «chatę» na inne wygodniejsze miejsce. Mamy spór z Niemcami, mamy spory ze wszystkimi wschodnimi sąsiadami i musimy się zdecydować na którym froncie pójdziemy na ugodę. Natomiast nie stać nas, jak proponuje Zbyszewski, na

czekanie, aż zwycięscy Yankesi zawołają nas do stołu, przykrytego zielonym suknem, i łaskawie zapytają: «No, a ty, pętaczyno, coś przykucnął pod miedzą, czego właściwie sobie życzysz?»

Tragedia polega jeszcze i na tym, że zanim możni tego świata zaczną nas «przesłuchiwać», już cegły polecą nam na głowy. Zanim zaczęła się konferencja w Wersalu, już był front ukrainski, a potem awantury z Grenzschutzem, kłopoty z Litwinami i nawała bolszewicka od wschodniej ściany. Tym razem może to wyglądać jeszcze groźniej.

Więc gdy Zbyszewski twierdzi, że nie stać nas na politykę w większym stylu, ja postawię tezę wręcz przeciwną: jeśli na co nas nie stać, to na bierność, na koncepcje połowiczne, na przeczekiwanie burzy pod dziurawym parasolem oportunizmu. Jeśli stoimy na stanowisku, że idealne dla nas rozwiązanie na Wschodzie to granica ryska z przyszłą Rosją — chcą tego i Giertych i Zbyszewski, choć widzą trudności —, zaś niepodległej Ukrainy trzeba się strzec, jak diabeł święconej wody, czemuż zwlekamy? Jest Kiereńskij, są inne grupy emigracyjne, większość przyjmie nasze oferty z wyciągniętymi rękami. Zbyszewski jednak w ogóle z Rosjanami zadawać się nie chce, bo to «raby» i kraj, nadający się wyłącznie pod okupację i kolonie; Giertych chciałby, ale konkretnego programu w tej mierze również nie precyzuje.

Gdzież wzór dla ogarniętych duchem don Kichota Polaków? Zbyszewski już go znalazł. W Sztokholmie. «Szwecja też pewno wolałaby, by Rosja była pokawałkowana, ale mimo to przezornie zapomniała o Karolu XII i Mazepie i pary z ust nie puszcza na temat Ukraińców». Ja wiem, że Zbyszewski jest dowcipnym człowiekiem, ale gdzie Kijów, gdzie Moskwa, gdzie karczmy sztokholmskie? Szwecja miała konflikty z Rosją, dopóki chciała odgrywać rolę głównego mocarstwa w północnej Europie i panować nad Bałtykiem. Wyprawa ukraińska, zakończona katastrofą połtawską, była funkcją tych dążeń. Skończyło się! Szwedzi fabrykują zapałki, sprzedają żelazo, jeżdżą raz na tydzień na wycieczki za miasto, co czwartek folgują sentymentom, wódkę piją na naparstki, do nikogo pretensji nie mają, ani nikt do nich — i tyle. Tu rzeczywiście «moja chata z kraju» ma pełne zastosowanie. Niech Zbyszewski odgrodzi nas Bałtykiem od Moskali i też będzie spokój. Ale zamiast Bałtyku równinka i trzeba się do przyszłego «przesłuchiwania» jakoś przygotować.

Giertych grozi «śmiertelną nienawiścią i zemstą Rosji», Zbyszewski poszukał straszaka w postaci Żydów. To Żydzi decydują o wszystkich posunięciach w skali światowej i oni «nigdy przenigdy do powstania niepodległej Ukrainy nie dopuszczą». Dotychczas Zbyszewski zgadzał się we wszystkim z Giertychem, tu wynikła poważna kontrowersja. Bo ten drugi twierdził przecież przy innej okazji, że ukraiński ruch niepodległościowy powstał z natchnienia masonerii. A masoneria — wiadomo. Zabawne, jak to się wszystko plecie. Paru Rosjan przekonywało mnie niedawno, że największym wrogiem «jedinoj i niedieli-

moj» jest żydowska masoneria, działająca za parawanem Białego Domu. Gdyby nie ona, już dawno Truman zaprosiłby Władimira Kiriłłowicza na week-end nad brzegi Potomacu. Dziwni ci Żydzi i masoni, — ciągle cierpią na rozdwojenie jaźni.

Inny argument: «Żadna Ukraina wobec Rosji nie utrzyma się trzech miesięcy bez obcej okupacji». Tak przecież było w roku 1918. Wprawdzie Dniepr wielka rzeka, ale dla wielu osób woda w niej stała najwidoczniej na miejscu w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie zamierzam bawić się w proroctwa, bo nie wiem w jakich okolicznościach zewnętrznych i wewnętrznych nastąpi krach sowiecki. Od tego i od zachowania się Zachodu, Stanów Zjednoczonych przede wszystkim, zależeć będzie niemal wszystko. Ale coś zostanie i dla nas. Pewnie, że jeśli naród ukraiński nie wykaże dostatecznej decyzji i siły w owym momencie, to i nasza ewentualna pomoc na nic się nie zda. Ale chodzi o co innego, o to mianowicie, by nie powtórzyła się wojna, rozbijająca nasze siły, by Ukraińcy mieli rozwiązane ręce na Północy a my na innych, żywotnych dla nas odcinkach. A do tego nie dojdzie bez uprzedniego porozumienia.

We wszystkich polemikach z przeciwnikami tezy pro-ukraińskiej zauważyłem uparte przechodzenie do porządku dziennego nad głównym argumentem adwersarzy. Tak i tym razem. Giertych w ogóle go ignoruje, Studnicki również, Zbyszewski ledwie o niego potrąca. Tego argumentu nie wymyśliłem, ani go podaję po raz pierwszy. W «Biuletynie Polsko-Ukraińskim», w «Myśli Polskiej», w «Problemach Europy Wschodniej» zapisaliśmy na ten temat tony papieru, a tu nic, szanowni przeciwnicy wciąż udają, że nic o tym nie wiedzą. Więc Giertych mówi: «Ukraina byłaby nieuchronnie sojuszniczką Niemiec, a więc brałaby nas wraz z Niemcami nieuchronnie w kleszcze». Pamiętam, w roku 1938 identyczny argument wysunął po odczycie Bączkowskiego w Równem świeżo z pułkownika zaawansowany generał brygady Korytowski. «Być może, panie generale — odparł Bączkowski —, ale wówczas Rosja stałaby się naszym naturalnym sprzymierzeńcem, neutralizując ukraińskie ramię tych kleszczy; mielibyśmy tylko jednego przeciwnika — na Zachodzie». Po namyśle Korytowski przyznał mu rację.

Zdawało by się: proste. Rosja usunięta z basenu czarnomorsko-kaspijskiego, będzie dążyć do powrotu. Ukraina będzie więc miała zbyt wiele kłopotów z obroną własnej niepodległości, aby myśleć o atakowaniu Polski. Natomiast w razie sojuszu Berlina z Moskwą Kijów stałby się natychmiast naszym sprzymierzeńcem, nawet w wypadku rozstrzygnięcia spornych granic nie po myśli ukraińskiej. Nieprzebłagani nacjonaliści ukraińscy mogą mówić i pisać dzisiaj inaczej. To nie zmienia faktu, że w razie powstania przedstawionej powyżej sytuacji Ukraina byłaby naszym sprzymierzeńcem. Takie były od początku tezy zwolenników niepodległej Ukrainy, do których niżej podpisany ma zaszczyt zaliczać się. Powtórzmy: niepodległa Ukraina będzie neutralizować niebezpieczeństwo rosyjskie. I osłabiać tym samym

skuteczność ewentualnego porozumienia Moskwy z Berlinem. Takie są rozumowe podstawy mego «ukrainofilstwa». A to, że podobają mi się pieśni ukraińskie, że staję się lirycznie roztkliwiony, gdy słyszę granie bandury, że mam we krwi pewne tradycje stepowe, to już jest moja sprawa prywatna, w niczym nie osłabiająca przedstawionego wyżej argumentu. To dla amatorów wyłapywania moich sentymentów osobistych.

No, dobrze, odpowiedzą stratedzy, ale co nam po takim sojuszniku, który nie utrzyma się w walce z Rosją nawet trzech miesięcy, jak zapowiada Zbyszewski. Wtedy czeka nas straszna zemsta Rosji, jak zapowiada Giertych. Teraz ja powiem: Wolne żarty, panowie! Po wojnie, przegranej przez Sowiety Rosjanie utrzymają się na Ukrainie, lub nie. Jeszcze raz: wszystko zależy od okoliczności, w jakich nastąpi przełomowy moment. Ale Ukraina, która będzie miała za sobą choćby kilka lat samodzielnego życia, stanie się orzechem, niełatwym do zgryzienia nawet przez Rosję i skuteczną przeciwwagą eurazjatyckiego olbrzyma. Moi adwersarze widzą wszystko w perspektywie kilku miesięcy powojennych; ja uparłem się patrzeć — cóż za niepoprawny romantyk! — w perspektywie historycznej.

Przy okazji trzeba wywrócić na nice jeszcze jeden argument Giertycha i Zbyszewskiego, Obydwaj są zgodni w tym, że dla Rosji «kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci, a nie zachłanności imperialistycznej», a nawet jakby się umówili, formułują tę opinię w identycznych słowach. Dlaczego kwestią życia i śmierci? Czy Rosja nie ma dość bogactw na Uralu i Syberii, dość obszarów rolniczych, dość terenów pod kolonizację w miarę wzrostu ludności? Naród rosyjski może żyć, rozwijać się i prosperować zarówno bez Ukrainy, jak bez Kaukazu i Turkiestanu. Tyle, że gdy nareszcie zrozumie, iż jego sąsiedzi mają prawo do rządzenia się samodzielnie, zrezygnuje ze swych planów hegemonicznych i straci niezdrowe apetyty, może i w tej części świata zapanuje nareszcie spokój i jako takie współżycie narodów. Bardzo zabawnie wyglądają ci Polacy, którzy wyrażają dziwną pewność, że kuracja odtłuszczająca musi zabić nażartego rekina.

Boją się oni sojuszu Berlin-Kijów, zapominając, że sojusz Berlin-Moskwa działa już od dwustu lat. «Kleszcze niemiecko-ukraińskie» będą stanowić wielkie niebezpieczeństwo. B ę d ą dopiero, bo dotychczas ich nie było. Natomiast był sojusz Fryderyka z Katarzyną, Bismarcka z Aleksandrem, Ribbentropa z Mołotowym. Było Rapallo. Ciekawe, że osoby, tak bardzo wyczulone na sojusz niemiecko-ukraiński, zawsze zapominają w polemice o sojuszu niemiecko-rosyjskim. Profesor Studnicki zagalopował się tak bardzo, że uznał niepodległą Ukrainę za przyszły wysunięty posterunek imperializmu rosyjskiego. Napisałem mu, że Ukraina, włączona do imperium rosyjskiego, jest takim samym posterunkiem, tyle że o większej potencji, a więc zwiększającym możliwości porozumienia Prus z Moskwą. W swej odpowiedzi Studnicki raczył tego argumentu nie zauważyć.

A cała dyskusja sprawia takie wrażenie, jak gdyby moi adwersarze zatrzymali się w swej «znajomości» problemu ukraińskiego na jakiejś bardzo zamierzchłej reminiscencji historycznej. Przypomina się anegdota o tym diaku, co to zaczął czytać gazety dopiero na starość. Zbierał więc chłopów wieczorami i czytał im stare pisma, które do niego dotarły. Przez kilka dni cała wieś była niesłychanie przejęta wiadomościami z frontu bałkańskiego. Aż znalazł się ktoś, bardziej wprowadzony w rzeczywistość, kto wytłumaczył pobożnym parafianom, że wojna rosyjsko-turecka skończyła się przed dwudziestu laty. Proszę nie mieć do mnie pretensji, jeśli wyznam, że nie mam najmniejszego pojęcia, w którym roku skończyła się dla Giertychów i Studnickich historia wojen polsko-kozackich.

Giertych przewiduje następującą możliwość. Oto jeśli w świecie zwycięży koncepcja budowania nowej Europy, jako systemu niemieckiego, wówczas może powstać sprzymierzone z Niemcami państwo ukraińskie nie nad Dnieprem bynajmniej, lecz na Ziemi Czerwieńskiej, «ewentualnie z Bukowiną, Rusią Zakarpacką, Wołyniem, może Chełmszczyzną, Przemyślem itd.» Jak widzimy. Giertych ma niebylejaką fantazję. Liczy się poważnie z powstaniem niepodległej Ukrainy ze Lwowem, a bez Kijowa, Połtawy, Charkowa i Odessy. Gdy Giertych któregoś dnia zamiast artykułów zacznie pisać romantyczne wiersze, będzie to niepowetowana strata dla publicystyki narodowej.

Muszę jeszcze pokwitować pewną uwagę, zwróconą pod moim osobistym adresem. Giertych wyraża z lekka ironiczne przeświadczenie, że dobrze znam jego książkę «O program polityki kresowej», wydaną w roku 1932. Niestety, nie znam. Mimo to znam dostatecznie poglądy Giertycha w sprawie ukraińskiej na podstawie tego, co napisał na emigracji, podobnie jak on zna poglądy moje, choć na pewno tego, co pisałem przed wojną, nie czytał.

Giertych jest dumny z tego, że w swoim czasie zwalczał metody gwałtu, stosowane wobec Ukraińców. Właśnie we wspomnianej książce opowiedział się przeciw «uciskowi ludności ruskiej i nietolerancji wobec jej dóbr, takich jak obrządek czy mowa ojczysta». To bardzo ładnie. Ten liberalizm nie przeszkodził mu jednak twierdzić, że «musimy n a r z u c i ć naszym Rusinom alfabet łaciński» i w ogóle «włączyć społeczność ruską w nasze życie narodowe w podobny sposób, jak Walia włączona jest ze swoją odrębnością językową w życie brytyjskie, a Bretania w życie francuskie». Czyli — modlił się pod figurą, a diabła miał za skórą. Przecież program taki z góry implikował zastosowanie metod gwałtu, od których Giertych tak żarliwie się odżegnuje. A wreszcie jest to typowe bujanie w obłokach, oraz bujanie czytelników i samego siebie. Dla Giertycha Ukraińcy są czymś w rodzaju polskich Walijczyków, czy rosyjskich Szkotów. A jakże, toż napisał, że między Kijowem i Moskwą jest akurat taki dystans, jak między Edymburgiem i Londynem. Rozumiem, że panu Onufremu Zagłobie mogą się śnić przy komin-

ku bardzo smaczne sny, ale po cóż po przebudzeniu się podawać te sny za rzeczywistość! Jako bajkopisarz Giertych mógłby być zabawny; jako publicysta i historyk jest niepoważny, nieuczciwy*) i szkodliwy.

REAKCJA UKRAIŃCÓW

Jak zaznaczyłem na wstępie, artykuł mój «Między Muszalskim i Zagłobą» odbił się dość szerokim echem wśród Ukraińców. Regularnie dochodzą do mnie tylko nieliczne pisma ukraińskie, inne od przypadku do przypadku, zapewne więc nie rozporządzam całym materiałem. «Soborna Ukraina», wychodząca w Paryżu, zamieściła skrót artykułu, zaopatrując go krótkim komentarzem, w którym między innymi zwraca uwagę na to, że «Łobodowski traktuje skomplikowane i drastyczne sprawy w sposób, nie znieważający ukraińskich sentymentów narodowych». Katolicki dziennik «Amerika», wychodzący w Filadelfii, ograniczył się do przedrukowania artykułu w całości, nie dodając żadnego omówienia. Dał je natomiast monachijski dwutygodnik «Suczasna Ukraina». Komentarz ten podaję w całości, gdyż dobrze precyzuje ukraińskie stanowisko i nie ujmuje sprawy fanatycznie, jak to często zdarza się Ukraińcom. Napisał go Jewhen Wrzeciona, wybitny publicysta, znany czytelnikom «Kultury» z przełożonych przeze mnie wspomnień z Berezy Kartuskiej.

"Ogłosiliśmy artykuł Józefa Łobodowskiego, jako rzeczowy i bezstronny głos w tak doniosłej ukraińsko-polskiej dyskusji. W dyskusji tej istnieje pewien zasadniczy moment, nad którym osoby dyskutujące zwykle pragną przechodzić do porządku dziennego: wyjściowe pozycje Polaków i Ukraińców są różne, aczkolwiek nie są całkowicie przeciwstawne. Polacy wciąż jeszcze pragną, rozpatrywać ukraińskie walki wyzwoleńcze wyłącznie z punktu widzenia polskich interesów państwowych, Ukraińcy — z punktu widzenia interesów ukraińskich. Nie możemy zgłaszać do Polaków żadnych zastrzeżeń z tego powodu, że sprawy własne i obce rozpatrują właśnie z takiego punktu widzenia, ale mamy prawo wymagać, aby rozumieli i nas. Cały czas po roku 1918 (oczywista, również i przedtem), Polacy widzieli w nas wyłącznie zbuntowanych obywateli polskiego państwa, podczas gdy moralnie myśmy się nimi nie czuli i czuć nie mogli. Nie chodzi o to, jaka była nasza sytuacja prawna, gdyż wynikała ona z organicznego faktu przegranej wojny, o czym w dyskusji nie wolno zapominać. Dlatego też nie warto powtarzać słusznych uwag autora artykułu o polskiej polityce w latach 1818-39. O wiele bardziej istotną rzeczą jest zrozumieć, że po roku 1939 widzieliśmy dla naszych wyzwoleńczych zmagań całkiem określoną polityczną koniunkturę, którą chcieliśmy wykorzystać, co prawda, bez natychmiastowego powodzenia. Czy celowe jest powracanie do tych czasów tylko po to, aby nawzajem przypominać sobie pomyłki? Polacy prowadzili wojnę z Niemcami, ale ta wojna nie była i nie mogła być naszą wojną. Po roku 1941 i my znaleźliśmy się w wojnie z Niemcami, ale wówczas Polacy byli sojusznikami bolszewików, naszych wrogów.

---

*) Dla uniknięcia nieporozumień od razu zastrzegam się, że słowo "nieuczciwy" stosuję wyłącznie do publicystyki Giertycha i nie jest moim zamiarem obrażać go osobiście. "Nieuczciwością publicystyczną" nazywam zabieranie głosu autorytatywnym tonem w sprawach, których się nie zna. W sprawie ukraińskiej Giertych musiałby dopiero postudiować stronę rzeczową zagadnienia.

Kwestia odpowiedzialności jest bardziej skomplikowana, niż jej prawne sformułowanie. Oprócz indywidualnej i zbiorowej odpowiedzialności istnieje również odpowiedzialność historyczna. Zgadzamy się, że okres 1941-45 nie zapisał się w naszej wspólnej historii złotymi literami. Ale czy szanowny autor zadał sobie trud przeprowadzenia chronologicznej rekonstrukcji faktów? Nie ma wielkiego znaczenia, ile ofiar padło z obydwu stron, bo to jest kwestia stosunku sił w danym okresie. W każdym zderzeniu ktoś wygrywa i ktoś przegrywa. Przypomnijmy, że zanim doszło do pożałowania godnych wydarzeń na Wołyniu i w Galicji, miał miejsce powszechny terror Polaków przeciw Ukraińcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed 1941. Wystrzeliwanie wiejskich nauczycieli, pracowników spółdzielni, palenie cerkwi i nawet "podziemne" pacyfikacje całych miejscowości w Hrubieszowszczyźnie i Chełmszczyźnie — takie były preliminaria smutnych wydarzeń. Ukraińcy byli wówczas bezbronni, zaś Polacy wykorzystywali dziwną bezczynność niemieckiej żandarmerii i policji, wymierzając karę "zdrajcom". Janowa Dolina to osobny rozdział. Ale czy wiedzą nasi polemiści, że przed Janową Doliną był Dermań, gdzie ludzie wbijano na pal, a dzieci rzucano do studni? Czy wiedzą nasi polemiści, że po odejściu ukraińskiej policji w las zjawiła się na Wołyniu policja polska i słynny oddział "wołyńskiej żandarmerii" w niemieckich mundurach? Nie możemy zgodzić się z twierdzeniem autora, że odezwy OUN przeciw terrorowi były spóźnione i że nie można było przeprowadzić odpowiedniej kontroli. Przypomnijmy jednak, że identycznych odezw, choćby i spóźnionych i niekontrolowanych, ze strony polskiej nie było.

Możliwe, że próby dogadania się były spóźnione, ale nie należy ich nie doceniać. Od roku 1942 toczyły się między miejscowymi Polakami i Ukraińcami rozmowy, które dały nawet poważne praktyczne wyniki, co więcej, doprowadziły do nienotowanego od stuleci polsko-ukraińskiego braterstwa broni. Niestety, nie z naszej winy rozmowy te nie mogły rozwinąć się na szerszej politycznej płaszczyźnie. Polacy wciąż jeszcze chcieli widzieć w nas buntowników, z którymi trzeba rozmawiać w terenie, ale nie przy okrągłym stole. Ukraińscy rozmówcy dobrze to wyczuwali i zrozumieli całą nienaturalność polskiej sytuacji. Być może, że i wówczas gdzieś od góry burczał głos Zagłoby i przeszkadzał miejscowym Muszalskim być sobą.

Jesteśmy dalecy od pobrzękiwania szabelką, ale gdy nam przypominają Tucholę, Dąbie, Brześć, trudno nam milczeć i, chociaż nie chcielibyśmy tego, wracamy do starych urazów. To nie dobrze. Ale jakie inne wyjście? Do platonicznej miłości jeszcześmy politycznie nie dojrzeli i co najwyżej staramy się nie iść drogą dawnych pomyłek.

Istnieje inne jeszcze zagadnienie, związane z kwestią pokojowego współżycia dwóch sąsiednich narodów — zagadnienie etnograficznych granic. Na naszej ziemi chcemy być gospodarzami i w tej sprawie próżne są powoływania się na rozsądne kompromisy. Ale nie odmawiamy Polakom dawno osiadłym na Ukrainie prawa do pozostania na tej ziemi. Teraz jest jeszcze zawcześnie, ale gdy przyjdzie czas, powiemy owym z dawna osiadłym Polakom: wracajcie, żyjcie, mieszkajcie wraz z nami jako ukraińscy obywatele. Wówczas przyjdzie czas nie tylko na rozwiązanie sprawy pokojowego współżycia dwóch narodów i dwóch państw, ale i na kładzenie trwałych podwalin pod wspólne wysiłki dla zabezpieczenia istnienia i potęgi tych dwóch narodów, które, stojąc ramię przy ramieniu, będą bronić nowego, sprawiedliwego porządku w Europie. Nie wiemy jak daleko jeszcze do tego czasu, ale chcemy wierzyć, że ani Sanem ani Dniestrem nie popłyną polskie i ukraińskie trupy, a jeśli, to trupy tych, którzy padną we wspólnym boju za wspólną sprawę".

Jak widzimy, Wreciona słusznie kładzie nacisk na dwa momenty, które nasi «wąskotorowi» konduktorzy polityki kresowej stale przeoczali: na kwestię odpowiedzialności historycznej i psychologiczny kompleks Polaków, widzących w niepodległoś-

ciowcach ukraińskich zwykłych «buntowników» i zdrajców obywatelskiego obowiązku. W dalszym ciągu pomówimy zarówno o tym, jak i o sposobie postawienia sprawy wydarzeń z lat 1939-45. Wreciona docenia w całej pełni znaczenie porozumienia polsko-ukraińskiego, ale jak wszyscy Ukraińcy zagadnienie Ziemi Czerwieńskiej stawia sztywno i bezkompromisowo.

Jeśli jednak odpowiedź Wreciony utrzymana jest w tonie, który nie tylko nie zamyka dalszych rozmów, ale wręcz do nich zachęca, trudno powiedzieć to samo o obszernym artykule, zamieszczonym na naczelnym miejscu w paryskim «Ukraińskiem Słowie». Jest to wystąpienie ściśle i wszechstronnie anonimowe. Nie wiadomo, kto pisze, ani też komu i na co odpowiada. Ukrainiec, który poza tym pismem niczego więcej nie czytuje, nie dowiedział się wiele. Tyle tylko, że toczyła się jakaś dyskusja i że była ona całkowicie «chybiona». Po prostu «w polskiej prasie zjawiło się kilka artykułów na ukraińskie tematy. Natychmiast to podchwyciła część ukraińskiej prasy, a nawet ten i ów przedrukowywuje te i owe artykuły, które przy użyciu taktyki Łosia i Hołówki usiłowały uspakajać («usmiriuwaty») Ukraińców. Poniektóry Polak (to niby ja — J. Ł.) nawet obraża się, żeśmy swego czasu napisali, że «Polacy niczego nie nauczyli się i niczego nie zapomnieli». Poniektóry (to znowu ja — J. Ł.) przy pomocy taktyki Hołówki pragnie przekonać Ukraińców, że możliwości powstania niepodległej Ukrainy są niezbyt duże i że, chcemy czy nie, trzeba chwytać się za polską połę...»

«Duże welmiszanohnoho pana redaktora pereproszuju!» Ja takiej «dywowyży» nie napisałem. Twierdziłem natomiast, że spokój od zachodniej granicy może stać się warunkiem powstania ukraińskiej niepodległości. I żeby nikt nie miał najlżejszej wątpliwości, sprecyzowałem moją myśl raz jeszcze w tych niedwuznacznych słowach: «Nie musi, ale może». Jeżeli się z czyjąś opinią polemizuje, to trzeba ją przedstawiać w relacji autentycznej. Więc b u d' ł a s k a, moich twierdzeń nie przekręcać.

«Polacy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli». Pragnę zwrócić uwagę Ukraińców dobrej woli i nie zaślepionych nienawiścią, że jednak ci i owi sporo się nauczyli. Ukrainożercze artykuły Giertycha spotkały się na łamach «Wiadomości» z niejedną zdecydowaną odprawą i to bynajmniej nie ze strony osób, znanych z dotychczasowej pracy w dziedzinie ukrainoznawczej. Szkoda, że polakożercze artykuły, drukowane bardzo często właśnie na łamach «Ukraińskiego Słowa», nie spotykają się z podobną reakcją ze strony swych czytelników. I czy «Ukraińskie Słowo» wydrukowałoby odpowiedź na nie, jak redaktor «Wiadomości» wydrukował listy Kosarenki-Kosarewycza i Pawła Kotowycza?

Ale mniejsza o galanterię. Streszczę rozumowanie autora zaczepionego artykułu już choćby z tego względu, że «Ukraińskie Słowo» reprezentuje wcale poważny odłam politycznej emigracji ukraińskiej.

Punkt wyjścia jest następujący. Sytuacja Ukrainy nie jest gorsza niż Polski. Bliska jest ta chwila, gdy Niemcy «znów wdzieją buty». Nikt na Zachodzie, nawet Francja, nie uznał i nie uzna granicy na Odrze i Nysie. Podczas trzeciej wojny światowej Polska spłynie krwią, podobnie jak Ukraina spływała podczas drugiej. Przyszła walka polsko-niemiecka nie będzie łatwiejsza niż ukraińsko-rosyjska. Straszyć zatargiem z Rumunią również nie ma sensu, bo Rumuni będą mieli dość kłopotu z Węgrami. Polska znalazła się między dwiema potęgami i jej los bardziej jest od nich zależny, niż los Ukrainy. «Szans na trwałą niepodległość» Polska nie ma. Wniosek, którego autor artykułu nie dopowiada, ale który wynika logicznie z całego rozumowania: Ukrainie na ugodzie z Polską zbytnio nie zależy. I drugi wniosek, sformułowany w sposób nie podlegający wątpliwości: «Prowadzenie dyskusji z Polakami jest rzeczą zbędną, bo do niczego nie prowadzi.»

Na tym można by właściwie skończyć. Jak Giertych nie chce słyszeć o Ukrainie, bo to sprawa stracona i może nam najwyżej popsuć dobre sąsiedzkie stosunki z przyszłą Rosją i narazić na straty na Zachodzie, tak «Ukraińskie Słowo» nie chce słyszeć nawet o rozmowach, bo i tak «Polska na niepodległość nie ma szans». Poza tym wszystko przewidziane i jasne. Wehrmacht «wdzieje buty» lada dzień, Polska spłynie krwią i będzie bezsilna, Rumuni podrą się z Węgrami i ani im będzie w głowie Besarabia i Bukowina. Nad Kijowem zwycięski znak tryzuba, o Lwów w ogóle żadnych kłopotów nie będzie. «Otom Papkin, Lew Północy, rotmistrz sławny i kawaler!» — jak powiada stary Fredro.

No, dobrze, a *podywysia druże,* co się stanie, jeśli wszystko potoczy się innym torem, niż to sobie wykoncypował publicysta z «Ukraińskiego Słowa»? Jeśli wojna wybuchnie i Moskale pomaszerują przez Paryż ku Pirenejom, zanim Amerykanie zdążą wyładować w Hamburgu pierwszą partię butów dla odrodzonego Wehrmachtu? Jeśli wojna obejdzie Polskę? Jeśli powtórzy się na wielką skalę operacja krymska i nie Polska ale Ukraina spłynie krwią? Jeśli bomby atomowe posypią się na Donbas i Zaporoże? Jeśli Moskwa poprosi o zawieszenie broni w chwili, gdy front będzie o tysiące kilometrów od granic sowieckich? Jeśli sztab amerykański pójdzie w pewnym momencie na wysuwaną już w projekcie operację spadochronową na węzeł warszawski i Polska stanie pod bronią, gdy na Ukrainie będą jeszcze stały garnizony sowieckie? Ja tu niczego nie twierdzę, nie prorokuję, ani bawię się we wróżenie ze szklanej kuli, ja tylko przewiduję i n n e wersje wojenne, równie logiczne i prawdopodobne, jak podana przez mego adwersarza. Takich wersji można ułożyć jeszcze kilka i nie wiadomo która z nich stanie się rzeczywistością.

Więc może jednak, szykując się na najgorsze, lepiej nie urządzać sobie kpin z tych Polaków, którzy pragną powstania niepodległej Ukrainy i trwałej z nią ugody? Bo właśnie rok 1919

może się powtórzyć. Powtarzam, jak uprzednio: nie musi, ale może. A wiadomo, kto z ówczesnej wojny polsko-ukraińskiej wyciągnął największe korzyści.

Taka pewność siebie gubiła już wielokrotnie i nas i Ukraińców. «I Lachów rozbijemy i Tatarów zniszczymy i na tureckiego sułtana wojną pójdziemy i przy pożarze Galaty lulki będziemy zapalać». «Hej — jak krzyknął Hamalija — bracia, będziem żyli, będziem żyli, wino pili, bisurmanów bili, a kurenie aksamitem aż po dach ścielili!» A Polacy z drugiej strony dziarsko odkrzykują: «Ani jednego guzika! I to obronimy i tamto odbierzemy, kupą, mości panowie!» Prawda, jakie to wszystko proste, łatwe i zabawne?

Pewni publicyści polscy nie są w stanie napisać dwóch słów, nie uraziwszy boleśnie ukraińskiej ambicji narodowej. Pewni publicyści ukraińscy nie chcą pozostać w tyle i godnie stają do licytacji. Ktoś, cytując francuskiego durnia, przyświadcza mu z przekonaniem: «Polska istnieje tylko po to, by było kogo rozbierać». Ktoś napisał, że w czasie pierwszej wojny światowej Polacy kolaborowali z Niemcami, a w czasie drugiej z bolszewikami. Ktoś dodał, że podczas, gdy UPA trwa w walce, Polacy wysługują się Rokossowskiemu. A w ogóle byli oni, «jak dotychczas, politykami w skali sezonowej». Połknijmy z pokorą tę gorzką pigułkę w przeświadczeniu, że pochodzi ona od polityków nie w skali sezonowej, lecz epokowej. Poczekajmy tylko, a przekonamy się do jakich epokowych wyników doprowadzi myśl polityczna, podążająca przedstawionymi powyżej szlakami.

Trzeźwi Ukraińcy wiedzą doskonale, że sprawa ukraińska na terenie międzynarodowym dobrze nie stoi. Na niektórych jego odcinkach w ogóle nie stoi. Oczywiście, od czasu wojny wiele uległo zmianie na lepsze, ale do optymizmu wciąż jeszcze powodu nie ma. Wpływy polskie na świecie są bardzo niewielkie, wpływy ukraińskie znacznie mniejsze. Niedawno jedno z pism emigracyjnych wystąpiło ze skrajnie pesymistyczną tezą, że amerykańska polityka zewnętrzna musi być, jeśli chodzi o «plan prometejski», zawsze i stale prorosyjska, a tym samym wrogo nastawiona do ukraińskich postulatów niepodległościowych. Sądzę, że autor tej tezy przesolił, ale faktem jest, że bardzo wiele musiałoby się zmienić na szerokim świecie, aby Waszyngton zaczął myśleć na serio o niepodległej Ukrainie. «Ukraińskie Słowo» twierdzi, że sytuacja Polski wcale nie jest lepsza od sytuacji Ukrainy. To jest polityczna ślepota, zrodzona chyba tylko z antypolskiego urazu. Praw Polski do niepodległości nie kwestionuje nikt. Najwyżej poddawana jest dyskusji kwestia granic. Te same prawa Ukrainy są kwestionowane na każdym kroku. Nawet George Kennan, który napisał niedawno w emigracyjnym piśmie rosyjskim «Nowyj Żurnał», że w zasadzie Ukraina zasługuje na pełną niepodległość, dodał natychmiast, że jednak z punktu widzenia gospodarczego Ukraina stanowi część składową Rosji w takim samym stopniu, w jakim Pensylwania stanowi część składową Stanów Zjednoczonych. A nie zapominajmy, że

Yankesi myślą przede wszystkim kategoriami gospodarczymi i że forma wielkich zgrupowań federacyjnych jest ich ideałem również i dla Europy. Stąd koncepcje Kiereńskiego zawsze będą rozpatrywane w Białym Domu w sposób raczej przychylny. Zresztą ten sam Kennan, będący w Departamencie Stanu rzeczoznawcą od spraw rosyjskich, ostrzega Amerykanów przed mieszaniem się w «separatystyczne konflikty», jakie powstaną po upadku sowieckiego reżimu. «Amerykanie — oświadcza Kennan — nie powinni brać na siebie odpowiedzialności za określone stanowisko w tej dziedzinie».

Czy Ukraińcy nie zdają sobie z tego sprawy? Zdają i to jak najbardziej. Niektórzy tak wzięli na serio flirt Amerykanów z Kiereńskim, że wpadli w nastrój, nieledwie graniczący z paniką. Toć są już i tacy, którzy zakładają możliwość zbrojnego wystąpienia (na Ukrainie) przeciw wojskom amerykańskim, gdyby Waszyngton miał nie uznać postulatów niepodległościowych. Czy w tych warunkach jakikolwiek sprzymierzeniec, a choćby sąsiad, z którym dogadało się do wzajemnej neutralności, będzie do pogardzenia?

Ale jak się tu do takiej choćby neutralności dogadać? Przekleństwem wszystkich emigracyj politycznych jest ich rozbicie. Sądzę, że się na mnie Ukraińcy nie obrażą, jeśli napiszę, iż rozbicie wśród emigracji ukraińskiej jest jeszcze większe niż w innych środowiskach. Nie ulega wątpliwości, że skuteczność ich działania i oddziaływania na opinię międzynarodową byłaby znacznie większa, gdyby nie walka partyj i koteryj, wzajemne podstawianie sobie nogi, rozwalanie silniejszych ośrodków. Jota w jotę można powiedzieć to samo o Polakach. Z tych samych powodów rozmowy między nami muszą ograniczać się do publicystycznych dyskusji. Nie można usiąść do okrągłego stołu, nawet, gdyby znaleźli się partnerzy. Bo okrągłego stołu nie ma ani po tej ani po tamtej stronie. Jest kilkanaście czy kilkadziesiąt kawiarnianych stolików, przy których siedzą nabunduczeni i poodwracani plecami ichmoście i, grzebiąc łyżeczkami w gorzkiej emigracyjnej kawie, udają, że robią w wielkiej polityce.

SĄSIEDZKIE KOMPLEKSY I URAZY

Jednak i w tych rozmowach, które się toczą, rzadko kiedy obywa się bez wzajemnego przydeptywania obolałych nagniotków. I trudno, żeby było inaczej, skoro zjawisko nie powstało wczoraj ani przedwczoraj, ale tkwi głęboko w przeszłości. Każdy Ukrainiec nosi w sobie zadawnione poczucie krzywdy, a sentyment ten podsycany był systematycznie z jednej strony przez literaturę i historię polską pewnego typu, z drugiej — przez pisarzy i historyków ukraińskich. Wśród Polaków panoszyła się ignorancja, zupełna nieznajomość przemian, odbywających się tuż o miedzę; ukraiński nacjonalizm celowo odgradzał się od wszystkiego, co polskie szczelnym murem zasadniczej wrogości.

Wojna 1918-19 zamiast stać się dla strony polskiej źródłem dociekań, dlaczego do niej w ogóle doszło, pogłębiła jeszcze bardziej wspólnie wykopaną przepaść. Wreszcie przyszły mity jurnej krzepy, które tyle złego narobiły jednym i drugim: u Ukraińców «doncowszczyzna», u nas — mocarstwowa frazeologia.

Świetne ziarno, rzucone przez romantyków ze «szkoły ukraińskiej», nie znalazło w następnych pokoleniach czujnych i starannych ogrodników; zdrowe tendencje, tkwiące w «bałagulstwie», rozeszły się po kościach; jak przystało na społeczeństwo naskórkowych wzruszeniowców, problem ukraiński widziany był głównie od strony swej «malowniczości» i tradycyjnych legend i legendek. No, jakżeby inaczej! Przecież Chmielnicki powstał przeciw Rzeczypospolitej, bo mu Czapliński zabrał «rudą kosę», a Bohun, gdyby Helena Kurcewiczówna nie zapatrzyła się w pięknego husarza, jużby zwołał swych kozaków i rozniósł Chmiela na kopytach. A poza tym: «Ej, ty na szybkim koniu...», «niemasz bo rady dla duszy kozaczej...», «Bat'ku Josype, na armaty wiedź!» — i cała reszta poetyckiego sztafażu, za który nie wychodzono. Dopieroż potem zdumienie: — Jakto, to ci Rusini uważają siebie za odrębny naród a nie za «lud», więc żądają niepodległości? Ale jeszcze i po 1920 roku był czas na odrobienie błędów przeszłości. Był czas, nie było programu. Ani złego, ani dobrego. Naiwność pewnych ludzi była, zaiste, bezgraniczna, ale gdy chodzi o polityków, odpowiedzialnych za losy dużego państwa, naiwność jeest gorszym grzechem niż zła wola.

Toż dla byłego, a wieloletniego premiera Rzeczypospolitej jeszcze dziś, po dwunastu latach, nacjonalizm ukraiński wypłynął w y ł ą c z n i e z niemieckiego natchnienia. To tak, jakby pan doktór Składkowski chciał leczyć chorego na gruźlicę przez wycinanie wyrostka robaczkowego. W roku 1937 toczył się w Łucku proces z oskarżenia Stronnictwa Narodowego przeciw tygodnikowi «Wołyń», oficjalnie wydawanemu przez prywatne towarzystwo, a faktycznie, co było publiczną tajemnicą, kierowanego przez wojewodę Józewskiego. Na rozprawie doszło do gorszącego wywlekania prochów Piłsudskiego. Wspomniany już przeze mnie ksiądz prałat Tokarzewski wręcz określił wojewodę jako zdrajcę ideologii Piłsudskiego. Przewodniczący sądu zadał odpowiednie pytanie Waleremu Sławkowi, który występował jako świadek. «Marszałek mianował Józewskiego wojewodą, Marszałek trzymał go na Wołyniu przez cały czas» — odparł lakonicznie Sławek. Nazajutrz «Kurier Wołyński» również i Sławka mianował «zdrajcą».

A w gruncie rzeczy, o co chodziło tym wszystkim obrońcom polskości «zagrożonej na Kresach»? Prawdziwie poważną sprawą, o którą Józewski się przewrócił, była dopiero rewindykacja. Ale kochanym rodakom nie mogło pomieścić się w zakutych łbach, że wojewoda rozmawia z Ukraińcami «po rusku» i chętnie chadza do «Ridnej Chaty», gdzie mu śpiewają przy bandurze pieśni o Bajdzie Wyszneweckym. A ten Bajda... już samo imię wskazuje, że rżnął Polaków. A przy tym, czyż Józewski nie prze-

forsował na posła do Sejmu Skrypnyka, który był adiutantem «tego Petlury»?

Napisałem wówczas wierszyk satyryczny pt. «Lament polskiego patrioty», który mógł ukazać się dopiero po poważnych retuszach. Było to krzywe, ale wiernie odbijające zwierciadło.

O, ty polski narodzie,
czy ty wiesz, co się dzieje?!
Że już ku twojej szkodzie
zmawiają się złodzieje,
by w masońskim niewodzie
zagmatwać twe koleje
i na manowce zwabić,
oszukać i oszwabić.

Bo sprzedał cię wojewoda
przedwczoraj w mieście Łucku
Żydom o długich brodach.
Gadali nie po ludzku,
po chińsku, po kałmucku,
nim stanęła ugoda,
grzebali w długich sakwach,
szeptali: Kukarakwa!

Wołali: Revidentor
pstrikundi pamałwajem!
A potem hostię świętą
— tak mi się zdaje —
dawali jeść Żydziętom
i ponad całym krajem
rzucali czar żydowski...
— Cóż na to pan Składkowski?

Widziałem wreszcie, przebóg!
jak wśród masonów ścisku
ukazał się Belzebub
z pianą na rudym pysku,
podskakiwał ku niebu,
połączony w uścisku
z sprzedawczykiem Józewskim.
O, mój Królu Niebieski!

Tak plugawili żartem
kraj polski, katolicki.
Przyszła do nich Astarte
z długimi cycki,
sprawował straszną wartę
Bohdan Chmielnicki,
pluli i rechotali,
świętość szargali.

I znów pejsaty łajdak,
wlazłszy na gazet stertę,
głosił, że witerajda
redintach peterwerter
że rezun i że Bajda
złożyli mu ofertę...
Szczekał godziny całe.
Niewiele zrozumiałem.

Lecz, choć masońską mową
— niechaj ich gromy trzasną! —
dość mi było pół słowa,
by pojąć całkiem jasno,
że szlachtę zagrodową
i całą polską własność
sprzedano — albom ślepiec? —
Petlurze i Mazepie.

O, panie generale!
Czy słyszysz jako bluźnią
Polsce, Bogu i chwale
i w swych szatańskich kuźniach
szczekają jak szakale?!

... Dopóki nie za późno,
oczyść Wołyń z tych zakał:
przyszlij Hauke-Nowaka!!!

Patriotyczny lament został wysłuchany. Józewski pojechał do Łodzi. W Łucku zainstalował się Hauke-Nowak. Rewindykacja rozszerzała się jak trąd. Coraz więcej złotych krzyży zasługi zdobiło piersi «obrońców polskości».

Wreciona napisał w zacytowanym uprzednio artykule, że Ukraińcy moralnie nie czuli się zbuntowanymi obywatelami. Zastanówmy się spokojnie nad tym oświadczeniem. Jaki był stan faktyczny? Na terenie pięciu województw południowo-wschodnich Ukraińcy stanowili większość. Przygniatającą na Wołyniu i ukraińskiej części Polesia. Zdecydowaną na Podkarpaciu. Większa równowaga była we Lwowskiem i Tarnopolskiem, głównie dzięki znaczniejszemu procentowi ludności miejskiej. Stopień uświadomienia narodowego — bardzo nierówny. Najwyższy w b. Galicji, najniższy — na Polesiu. Niewątpliwie przy mądrej — jeśli kto woli : sprytnej — polityce można było w ciągu dwudziestu lat część chłopów poleskich i wołyńskich spolonizować. Ale pod dwoma zasadniczymi warunkami: posyłając do administracji, szkolnictwa, handlu element najwartościowszy i dobrze rozumiejący złożoność problemu, oraz systematycznie podnosząc poziom gospodarczy najbardziej zacofanych regionów Polski B. I jedno i drugie było w ówczesnych warunkach marzeniem ściętej głowy. Żywiołowego procesu ukrainizacyjnego

«Rusinów» i «tutejszych» nawet Mahomet nie potrafiłby zatrzymać.

Ukraińcy haliccy ogłosili w roku 1918 niepodległość i doszło do walki o Lwów. Ukraińcy naddnieprzańscy również ogłosili niepodległość i doszło do walki o Kijów. Jedni i drudzy przegrali. Ale niepodległości nie wyrzekli się. Skoro program federacyjny zawalił się zarówno na skutek klęsk wojennych, jak i zupełnej niedojrzałości obydwu narodów do wprowadzenia w rzeczywistość tej idei, Rzeczpospolita Polska miała do wyboru trzy drogi. Ogłoszenie szerokiej autonomii przy zrównaniu w prawach miejscowej ludności polskiej i ukraińskiej. W tym wypadku moralna sytuacja Ukraińców, idących do podziemia i strzelających do Polaków, byłaby zupełnie inna. W tym wypadku — naturalnie przy dotrzymaniu przez nas owej autonomii — walka z Rzeczpospolitą byłaby robotą w stu procentach prosowiecką i samobójstwem nawet ze stanowiska Ukrainy Sobornej.

Na drogę, prowadzącą w kierunku wręcz odwrotnym, weszlibyśmy, gdyby ster państwa znalazł się na stałe w rękach Stronnictwa Narodowego. Ta droga — to program Giertycha. Nie ma Ukraińców, są Rusini, których trzeba odciąć od kontaktu ze Wschodem, narzucić im alfabet łaciński, związać mocno z kulturą polską, aż wreszcie zaczną patrzeć na Warszawę tak, jak patrzą Szkoci na Londyn, lub Bretończycy na Paryż. Program o tyle dobry, że w razie jego zrealizowania załatwiał sprawę raz na zawsze. O tyle zły, że łatwiejszy do zrealizowania na księżycu, niż — powiedzmy — w Kopyczyńcach.

Rzeczpospolita poszła drogą trzecią, której na imię: zupełny bałagan. Ideowy, polityczny, administracyjny. Od wypadku do wypadku, od pomysłu do pomysłu, od wojewody do wojewody. Program kresowy tworzony był przez miejscowych wojskowych, komisarzy policji, starostów, a często po prostu przez przodowników policji i starszych sierżantów KOP-u. Panowie w Warszawie budzili się od czasu do czasu na odgłos strzałów w Gródku Jagiellońskim lub na odblask pożarów w majątkach polskich pod Lwowem. Słynna pacyfikacja, po dwudziestu latach nazwana przez Sławoja po wersalsku «bezkrwawą», przyszła w chwili, gdy trzeźwiejsza część społeczeństwa ukraińskiego, przerażona skutkami masowej akcji sabotażowej, zaczęła nawoływać do opamiętania. Prawdziwą pacyfikację można więc było przeprowadzić bez dragonad, w rozmowach z Ukraińcami. Chciano zgnieść podziemie, a uczyniono wszystko, by zyskać mu nowych zwolenników.

To są wszystko biadania po niewczasie, ale jednak konieczne, bo jeśli ma dojść do jakiegoś porozumienia, Polacy muszą zrozumieć psychiczne nastawienie strony przeciwnej. Nie może być skutecznego leczenia urazów, jeśli się nie zna ich przyczyn.

Wreciona pisze o «odpowiedzialności historycznej». Tak, ona również istnieje. Ta odpowiedzialność historyczna istnieje i działa również i w sporze polsko-ukraińskim.

Wychowaliśmy się na tym, że, jak mówi poeta, epoka jagiel-

lońska była «złotym wiekiem pogody ludów» Rzeczpospolitej, dumni jesteśmy z dzieła unijnego, a przecież po tamtej spronie barykady unia przedstawiana jest jako nadużycie i oszustwo, jako kres niepodległości i zamknięcie dróg harmonijnego rozwoju narodowego. Gdzie jest prawda, kto ma rację? Jak zwykle, prawda leży pośrodku.

Wielkie Księstwo nie było państwem jednolitym narodowo. Rusząca się szybko dynastia złączyła pod swym kołpakiem poza Litwą historyczną, dzisiejszą Białoruś i Ukrainę, oraz szereg ziem, które wcześnie padły ofiarą imperialistycznej Moskwy i których ludność wchłonięta została bez reszty przez naród rosyjski. Gdy za Olgierda państwo litewskie sięga niemal do rogatek miejskich Moskwy, już za jego prawnuków nie tylko Kozielsk, Siewiersk, Drohobuż, ale nawet Smoleńsk i nieco później Połock znajdują się pod ciężką ręką carów moskiewskich. Zwycięstwa Batorego i Wazów zahamują i odrzucą ten pochód ku Wschodowi. Nieprzeprowadzenie na czas rekonstrukcji państwa Jagiellonów, bo Hadziacz był spóźniony o dobre kilkadziesiąt lat, powoduje wojny kozackie, Wielką Ruinę — i historyczna walka jest przesądzona na rzecz Moskwy, przekształcającej się właśnie w imperium rosyjskie.

Związek Księstwa z Polską miał sporo stron ujemnych, o których nie miejsce tu mówić szczegółowo. Większość ukraińskich historyków wyolbrzymia je, wielu historyków polskich grzeszy tendencją odwrotną. Że sprawa jest mocno skomplikowana i tylko bezstronna rewizja historyczna mogłaby oddać Bogu co boskie i cesarzowi co cesarskie, niech zaświadczy fakt, iż najbardziej zainteresowani: Ukraińcy, Białorusini, Litwini — nie mogą po dziś dzień pogodzić się co do wielu zagadnień, przypisując sobie pierwsze miejsca w minionym koncercie i zgłaszając się po lwią część historycznego spadku. W jednym są zgodni — w negatywnej ocenie trzywiekowego współżycia z Polską. Próby retrospektywnej rekonstrukcji «ciągów» dziejowych mają wartość względną, bo nigdy nie ma się w ręku wszystkich elementów. Ukraińcy w swych rozważaniach lubią jednak dywagować na te tematy i opisywać, co by się stało, gdyby Ukraina nie połączyła się w końcu XIV wieku z Polską. Gdyby... Kaby da kaby, tak wo rtu roslib griby, i byłby to nie rot, a całyj agorot! No cóż, popuszczę i ja wodzów poetyckiej fantazji i oświadczę, że jednak w ostatecznym rozrachunku wyniki nie były najgorsze. Nie będę powtarzał truizmów o kulturalnej roli Polski na Wschodzie. Negować ją w całości mogą jedynie ludzie, o których powiedziałem, że obolałe nagniotki nie pozwalają im rozumować spokojnie. Chodzi mi o co innego. Postawię mianowicie twierdzenie, które zresztą nie jest moim wynalazkiem, że mapa etnograficzna na olbrzymiej przestrzeni między Bugiem a Dońcem od wschodu i Dźwiną od północy wyglądałaby dziś zupełnie inaczej, gdyby nie Unia Horodelska, a później Lubelska. Ryzykowne? Postarajmy się udowodnić.

Dzięki małżeństwu Jadwigi z Jagiełłą podcięte zostały korzenie

potęgi krzyżackiej. W świetle nowszych badań historycznych okazuje się, że inicjatywa tego związku wyszła nie tyle od panów małopolskich, jak dotychczas sądzono, co od bojarów litewskich, co niewątpliwie świadczy, że zdawali sobie jasno sprawę z takich rzeczy, z jakich nie zdaje jej sobie niejeden «polityk» emigracyjny. Można sobie łatwo wyobrazić, co by się stało, gdyby Niemcy utrzymali Żmudź na stałe w swoich rękach. Powstało by potężne państwo teutońskie od Noteci po Zatokę Fińską.

Z narodu litewskiego zostałyby strzępy. Białoruś znalazłaby się w kleszczach niemiecko-moskiewskich już w wieku XV i nolens volens musiałaby schronić się w cieniu «biełokamiennoj». Polska spadłaby do roli wasalnego państewka. Mazowsze i Kujawy pod krzyżacką ostrogą. A Ukraina? Czy zdana na własne siły obroniłaby się Półksiężycowi od południa, Moskwie od północy? Przed Moskwicinami Wielkie Księstwo bronić się samo nie umiało. Ani za Iwanów i Wasylów, ani za Romanowych. Były zwycięstwa, jak pod Orszą, ale w ciągu stulecia zaledwie ziemia po ziemi, miasto po mieście wpadały jak dojrzałe gruszki do podstawionej czapki Monomacha. Dopiero Unia Lubelska odwróciła kolej rzeczy. Nie spostrzeżono niebezpieczeństwa tatarsko-tureckiego i książęta ruscy, wówczas jeszcze nie spolszczeni, nie tylko nie udzielili pomocy Polsce, gdy usiłowała utrzymać się w Kilii i Białogrodzie, ale czynnie, z bronią w ręku przeciwdziałali próbom ratowania Genueńczyków na Krymie. Wampir tatarski, który tyle krwi wyssał później z narodu ukraińskiego, nie został zlikwidowany na czas. Sicz Zaporoska — przy całym szacunku dla jej cnót wojennych — umiała jedynie prowokować wojny z Turcją w najmniej odpowiednich chwilach. Ukraińcy mogą mi na to odpowiedzieć, że bitwa pod Chocimem — jedna z najważniejszych w historii Europy, choć głucho o niej w zachodnich annałach — wygrana była dzięki pomocy kozackiej. Słusznie, ale czy wygrałby ją Konaszewicz bez Chodkiewicza i Lubomirskiego?

Miron Korduba postawił kiedyś tezę, że granice etnograficzne ukraińsko-rosyjska i białorusko-rosyjska ustaliły się dość dokładnie na linii granic Rzeczpospolitej sprzed Andruszowa, za co dostał wielkie zmywanie głowy od innych ukraińskich historyków. A jednak... Gdyby nie związek Księstwa z Polską, Moskwa wdarłaby się na ziemie białoruskie i ukraińskie znacznie wcześniej i miałaby czas na dokonanie większych zniszczeń, niż dokonała. I znów słyszę odpowiedź: Potrafił stary Chmiel wyrzucić Lachów z Ukrainy, dałby rady i Moskalom. Albo: Nie udało się Petersburgowi narzucić sztancy wszech-rosyjskiej w wieku XIX, gdy Rosjanie kulturalnie mogli imponować wielu Ukraińcom, tym bardziej nie daliby rady w wiekach poprzednich. Otóż Moskwa działaby znacznie sprytniej i skuteczniej, niż Polacy. Nie miałaby przeciw sobie patriarchy konstantynopolitańskiego i Porty Otomańskiej, ani obciążeń w postaci Jezuitów i Żydów. Wyłuskiwałaby miasto po mieście, powiat po powie-

cie. A opory miejscowej ludności... Przypomnijmy sobie losy Tweru, Wielkiego Nowogrodu, Pskowa.

Po co te wszystkie rozważania? Bo była mowa o odpowiedzialności historycznej. Więc tak! — Polska popełniła wiele błędów, pomyłek, grzechów nawet. Nie wpadajmy tylko w powszechną przesadę i nie mierzmy tamtych czasów miarką dzisiejszą. Już kiedyś proponowałem, by zechciano porównać zachowanie się Polaków na Ukrainie — w iluż wypadkach spolszczonych Rusinów! — z zachowaniem się Anglików w Irlandii, Niemców w Zachodniej Słowiańszczyźnie i Prusach, Francuzów w Katalonii, dokąd przyszli jako sprzymierzeńcy, Węgrów w Słowacji... Jeszcze nie wypadniemy tak źle!

Grzechy grzechami, ale trzystoletni kontakt z kulturą zachodnią, idącą wprawdzie nie tylko przez Polskę, ale głównie przez nią i z niej, to również nie byle co. Bo — jak słusznie w swym zarysie literatury ukraińskiej pisał Bohdan Łepkij — Ukraina dawała Polsce wielkie bogactwa i ludzi, Polska dawała Ukrainie idee.

Ale, niestety, historia obydwu narodów pisana była w czasie, gdy nad Ukrainą i Polską stała czarna noc niewoli. Nie najwłaściwsza to atmosfera dla bezstronnych badań i beznamiętnych sformułowań. I tak oto dla nas przewodnikiem po odwiecznym pobojowisku stało się «Ogniem i mieczem», dla nich — podrzucony przez tragicznego c h o c h ł a «Taras Bulba».

Więc u nich powstał kompleks krzywdy, u nas kompleks wielkopańskiego zdziwienia, że ktoś, kto otrzymywał same niemal «dobrodziejstwa», ośmiela się zgłaszać pretensje. Nauka historii w szkole kompleksu tego nie łagodziła, choć w niektórych podręcznikach przyczyny powstań kozackich przedstawiane były dość przyzwoicie. Ale większość młodzieży odklepywała historię, byle dalej, a na wyobraźnię działali Sienkiewicz, Małaczewski, Kossak-Szczucka. Inteligencja obydwu społeczeństw właściwie kontaktu ze sobą nie miała. Na Wołyniu w każdym razie polskie środowiska miejskie żyły w szczelnie zamkniętych ghettach, na co inicjatywa nielicznych jednostek wpłynąć nie mogła. A żyli przecież jedni od drugich na wyciągnięcie ręki. Spotkali się też na wyciągnięcie ręki w latach wojennych, ale wtedy w rękach były noże i karabiny.

Poczucie krzywdy i rozdrażniona ambicja narodowa. Przeciętny Ukrainiec nie czytywał pism wschodoznawczych, ani książek takich historyków, jak Bobrzyński, czy Konopczyński. Natomiast w każdym kiosku ulicznym znajdywał «Ilustrowany Kurier Codzienny» i «Słowo Lwowskie», a w nich artykuły, które już samymi nagłówkami raniły jego dumę narodową, upokarzały i budziły nienawiść. Cenzura dbała o poprawny ton prasy w stosunku do Niemiec, bo mieliśmy pakt nieagresji. Ale żaden cenzor nie położył kresu dzikiej hecy antyukraińskiej, prowadzonej systematycznie przez «Ikaca», żaden prokurator nie wystąpił przeciw codziennemu poniewieraniu godności tych, od których żądało się przecież, aby byli lojalnymi obywatelami

Rzeczpospolitej. A nienawiść, narastająca latami, sączona kropla po kropli od najwcześniejszych lat, zwykła wyładowywać się właśnie tak, jak się wyładowała podczas wojny.

Stąd dalsze kompleksy i urazy. Brak własnej państwowości, zapóźnienie w osiągnięciach kulturalnych w stosunku do innych narodów, przy jednoczesnym poczuciu własnej wartości i wielkich możliwości w innych, pomyślniejszych warunkach, musiał podniecać wyobraźnię i dawać asumpt do podrabiania antenatów, świetniejszych niż byli w przeszłości. Społeczeństwa, zbyt długo żyjące w stanie tłumionego gniewu, dobrze znają te fenomeny. Więc w broszurkach propagandowych, przeznaczonych dla zagranicy, pisało się, że Szewczenko jest pierwszym poetą Słowiańszczyzny, a czumacy stanowili potężną organizację, na miarę bałtyckiej Hanzy. Zjawisko psychologicznie dobrze zrozumiałe, jego skutki — raczej negatywne.

Wreszcie — podejrzliwość. Gdy się od paruset lat ponosi stałe klęski, gdy się jest wielokrotnie wywodzonym w pole, instynktowna nieufność słabszego osiąga stopień chorobliwego natężenia, przeradza się właśnie w skrajną podejrzliwość. Stąd przy całej wrażliwości na każde dobre słowo i przyjazny gest, Ukraińcy instynktownie otaczają się ostrokołem nieufności: — «A nuż to podstęp, a nuż znowu nas oszukają...» To dlatego, gdy ze strony polskiej zjawia się próba lojalnego dogadania się, pierwsza reakcja jest następująca: «Oho, chcą nas ugłaskać, dostać w swoje ręce, wykorzystać i „zostawić w durniach"». Znów reakcja psychologicznie uzasadniona, choć niekiedy wręcz denerwująca. Grupka Rosjan w Madrycie urządziła w rocznicę katyńską «panichidę» za «polskich woinow, ubijonnych bolszewikami w Katynie». Odprawiał mszę ksiądz gruziński, wygłosił piękne propolskie przemówienie. Na mszy byli przedstawiciele polskiej kolonii z posłem Rzeczypospolitej na czele. Przecież zbojkotowanie mszy, która nie miała żadnej politycznej wymowy, byłoby zwykłą nieprzyzwoitością. A jednak od razu podejrzenie: Polacy zwąchują się z Moskalami. A skoro jednocześnie wiadomo, że Rosjanie wyłażą ze skóry, by nie dopuścić do powstania ukraińskiej audycji w radiostacji madryckiej, dalszy wniosek: «Trudności, jakie mamy z audycją, są zasługą wspólnej akcji polsko-rosyjskiej». W rzeczywistości było akurat odwrotnie i Polacy zachowali się w tej sprawie z całkowitą lojalnością wobec Ukraińców. Ale byli na mszy i to wystarczyło.

Naród, walczący od wieków o swój niezawisły byt, co więcej, o prawo do własnej kultury, ba, nawet do nazwy, musi egzaltować się patriotycznie. Polakowi najłatwiej to zrozumieć, bo my również mamy skłonność do przyciskania pedałów, bicia w bębny i trąbienia we wszystkie możliwe surmy. Do tkliwej łezki i patetycznego frazesu. Ta ukraińska «naprużennost'» jakże brużdżąca w literaturze i publicystyce, w niemniejszym stopniu utrudnia zbliżenie i porozumienie, ponieważ wpływa hamująco na samokrytycyzm i to pomimo, że Ukraińcy są narodem o bar-

dzo żywym poczuciu humoru. Ale bywają sytuacje, w których nawet humor zawodzi.

Inną niebezpieczną cechę w działaniu politycznym — też nie obcą Polakom — stanowi łatwość przerzucania się z jednego nastroju w drugi, z jednej skrajności w drugą, zazwyczaj jeszcze większą. Ciągła huśtawka między niczym nieusprawiedliwionym optymizmem i najczarniejszym pesymizmem. «Ukraina została uznana w Organizacji Narodów Zjednoczonych za państwo niezawisłe o własnej reprezentacji zagranicznej — dobra nasza, teraz tylko zaczekać aż przewróci się Stalin». «Prasa amerykańska pisze o oddziałach «upowców», przedzierających się zbrojnie do Bawarii — cudownie, cały świat o nas wie». Prasa amerykańska wyłapuje każdą sensację, a na drugi dzień o niej zapomina. Emigrantom, marzącym o rychłym powrocie do ojczyzny, zbytnio zakręciło się w głowie, więc tym silniejszy jest katzenjammer. I już zapowiada się partyzantkę przeciw Amerykanom, gdy ci dotrą na Ukrainę.

Czas byłby najwyższy, aby Polacy zrozumieli, że Ukraińcy są odrębnym narodem o takim samym prawie do samoistności, jakie przysługuje każdemu innemu narodowi. Że szereg cech ujemnych, które nas rażą, albo dają się nam dotkliwie we znaki, powstał na skutek tragicznej historii i nienormalnego rozwoju kultury narodowej, stale krępowanej przez nieprzyjazne okoliczności. Że wreszcie zły to patriota, który sąsiadowi zza miedzy odmawia takich samych uczuć patriotycznych, choćby z tym sąsiadem miał sto razy na pieńku. A przede wszystkim trzeba skończyć z fałszywym jaśniepaństwem, które widzi w innych narodach «hetki-pętelki» tylko dlatego, że odegrali mniejszą rolę w historii, albo nie mają Kopernika i Szopena. Bo prawdziwe «państwo» oparte na spokojnej świadomości własnych walorów, nie wyżywa się w śmiesznej pysze, ani wzgardliwej niechęci. Te uczucia cechują tylko «nuworiszów».

Ukraińcom zaś wyszłoby na dobre, gdyby przeprowadzili chociaż częściową rewizję swych poglądów na dawną Rzeczpospolitą, a na międzywojenne dwudziestolecie spojrzeli także i od strony polskiej. Ja tu nikogo nie chcę rozgrzeszać, ani niczego nie usprawiedliwiać, chcę po ludzku dojść do wytłumaczenia każdego zjawiska. Polacy też przez stokilkadziesiąt lat znajdowali się w nienormalnej sytuacji, a obciążeń stąd powstałych tak łatwo się nie usuwa. Ukraińcy dobrze wiedzą, co to jest system rosyjski, zwłaszcza system rosyjski w «poprawionym» sowieckim wydaniu; z systemami niemieckimi również mieli okazję zapoznać się. Bo jednak, bo mimo wszystko — a wolno mi to chyba po wypowiedzeniu tylu gorzkich słów pod adresem własnej ojczyzny podkreślić — fakt, że ekscesy antyukraińskie działy się w ramach administracyjnego i politycznego bezhołowia, a nie sztywnego, konsekwentnego systemu, świadczy, że — Bogu dzięki — «nie dorośliśmy» ani do moskiewskiej tyranii, ani do zimnego teutońskiego okrucieństwa.

Więc popatrzmy sobie w oczy i przyznajmy nawzajem, że ani jedni nie są tylko «rezunami», jak tego chce pan Zagłoba, któremu bielmo przesłoniło rzeczywistość, ani drudzy tylko «lackimi zajmancami», jak tego chce ukraiński nie mniej ślepy Zagłobienko, czy Zagłobiuk.

HAŁYCZYNA CZY MAŁOPOLSKA WSCHODNIA?

Tamto były wszystko orzeszki, teraz dotarliśmy do prawdziwego orzecha. Hałyczyna czy Małopolska Wschodnia? Czytelnik już zapewne zauważył, że stale używam w tym artykule nazwy Ziemia Czerwieńska. W ten sposób nie urażam uczuć narodowych żadnej ze stron, a z historią jestem w zgodzie, skoro określenia: Chrobaci Czerwoni, Grody Czerwieńskie, Ruś Czerwona — mają «a l k u r n i ę» niebylejaką, bo tysiącletnią.

Nie będę wdawać się w akademickie rozważania, co to za jedni byli ci Chrobaci, ani kto zamieszkiwał te ziemie w czasie, gdy, jak zanotował Nestor, książe Włodzimierz «wybrał się na Lachy». W zaraniu naszych dziejów Grody Czerwieńskie przechodziły kilkakrotnie z rąk do rąk, faktem jest jednak, że już od drugiej połowy XI-go wieku istnieją tu niezależne księstwa ruskie. Polska władza państwa ustali się tu dopiero w wieku XIV. W średniowieczu granica etnograficzna polsko-ruska odpowiadała mniej więcej linii Wieprza w jego górnym i środkowym biegu i bardziej ku południowi — Wisłoku. Lublin i Sandomierz były wówczas miastami prawie pogranicznymi.

Od Kazimierza Wielkiego zaczyna się intensywna kolonizacja zarówno Ziemi Czerwieńskiej, jak nieco później Podola, Wołynia i Kijowszczyzny. Logicznie kierowała się ona ku obszarom żyźniejszym, stąd procent Polaków nprz. na wschodnim Wołyniu, w Żytomierszczyźnie i Zasławskim, był wyższy niż w Powiatach nadbużańskich. Ale proces ten, jako spontaniczny i niekontrolowany przez państwo, ani poddany przemyślanemu systemowi, przynosił wiele niespodzianek. Polonizowały się rody książęce, bojarskie i szlacheckie, natomiast mieszczanin, a zwłaszcza chłop trwał przy języku i religii. Z drugiej zaś strony kolonista polski z łatwością ruszczył się, jeśli nie był szlacheckiego pochodzenia. Tak trwało aż do naszych czasów, choć oblicze społeczne procesu było już zupełnie inne. Niedaleko od prawdy znalazł się ten, kto oświadczył, że granica etnograficzna polsko-ukraińska przechodzi przez łoże małżeńskie. Niejeden Polak, który skoczyłby z pazurami do oczu, gdyby mu to powiedzieć, nosił nazwisko wyraźnie ukraińskiego pochodzenia; kiedy indziej nazwisko szczerego Ukraińca wskazywało niemniej wyraźnie na mazurską proweniencję. Wreszcie zjawisko jedyne w swoim rodzaju: rodziny dwujęzyczne i dwuobrządkowe. rozchodzenie się dróg narodowych dzieci tego samego małżeństwa — Szeptyccy, Antonowicze, Siedleccy, Tokarzewscy. Ale podczas, gdy w ciągu wieków żywioł polski na Ziemi Czerwieńskiej, Chełm-

szczyźnie i Podlasiu wzmacniał się, katastrofy historyczne powodowały jego gwałtowne kurczenie się na terenach bardziej wysuniętych ku wschodowi. Pierwszy cios przyszedł wraz z wojnami kozackimi, drugi w epoce rozbiorowej. Powstanie listopadowe i styczniowe dokonały nowych wyrw. Tu i ówdzie chłopiały i prawosławiły się resztki szlachty zagrodowej, a w okresie «chłopomańskim» przyszło zjawisko reukranizacji wielu rodzin spolszczonych już od pokoleń. Mimo to jeszcze w roku rewolucji bolszewickiej mniejszość polska na wschód od Zbrucza liczyła około miliona głów, zaś jej rola społeczna i kulturalna była niewspółmiernie doniosła do jej liczebności. Nie wdając się w tej chwili w dalsze rozważania, stwierdzić wypada, że obecność tych Polaków na Ukrainie prawobrzeżnej powstała dzięki metodom, różniącym się bardzo mocno od stosowanych przez Niemców wobec Słowian, czy przez Rosjan wobec ich mniejszości narodowych.

Gdyby w roku 1920 Rosja poniosła klęskę totalną i nastąpiło rozgraniczenie niepodległej Ukrainy z Polską na podstawie Konwencji Warszawskiej, kto wie, czy z biegiem czasu nie doszłoby do częściowej przynajmniej wymiany ludności, co — zakładając, że tyluż Ukraińców wyemigrowałoby za Zbrucz, ilu Polaków przybyło z Podola i Naddnieprza — dałoby żywiołowi polskiemu w Ziemi Czerwieńskiej wyraźną przewagę i poważnie wzmocniło go na Wołyniu. Wypadki potoczyły się inaczej, powstała typowo sowiecka tragifarsa z autonomicznym terytorium dokoła Marchlewska, zaś druga wojna światowa dokonała dzieła zniszczenia również między Zbruczem i Sanem. Aby w tym okresie nie zabrakło żadnej ciemnej barwy, komuniści zniszczyli żywioł ukraiński na Chełmszczyźnie, Łemkowszczyźnie, w powiatach przysańskich. Siedzimy w tym samym worku, oni ze swą «niepodległością» trzydziestoletnią, my — z siedmioletnią.

Sprecyzujmy obydwa skrajne punkty widzenia. Ukraińcy powiadają: «Ziemia Halicka jest nasza od wieków; utraciliśmy ją na rzecz Polski, aleśmy nigdy z niej nie zrezygnowali. Była okupacja polska, potem austriacka, znowu polska, wreszcie sowiecka. Ale oblicze tej ziemi, mimo polonizacji i opanowania wielu miast przez polską ludność napływową, pozostało ukraińskie. Gotowi jesteśmy w imię zgody sąsiedzkiej przystać na obecną granicę i to jest już z naszej strony poświęcenie, gdyż w ten sposób tracimy Chełm, Hrubieszów, Jarosław i Przemyśl. Ale to maksimum, na jakie możemy się zgodzić. I jeśli chodzi o tę sprawę, wszelkie powoływanie się na rozumne kompromisy jest nadaremne».

Polacy odpowiadają: «Małopolska Wschodnia była najpierw nasza. Utraciliśmy ją za pierwszych Piastów, odzyskaliśmy za ostatniego. Odtąd nieprzerwanie należała ona do nas, nawet wówczas, gdy znaleźliśmy się pod zaborem austriackim. Lwów jest polski. Podnieśliśmy go z gruzów w wieku XIV i stał się najwierniejszym miastem Rzeczpospolitej. Nasze prawa histo-

ryczne i moralne nie podlegają wątpliwości. To, że nas na tej ziemi częściowo wymordowano, a resztę wysiedlono siłą, niczego nie przesądza. Przeciwnie, za tę krzywdę należy się nam zadośćuczynienie. I wreszcie nie możemy zrezygnować ze wspólnej granicy z Rumunią. Non possumus!»

Zanim podam mój osobisty punkt widzenia — a z góry oświadczam, że żadne z tych skrajnych stanowisk do mnie nie przemawia — trzeba z lekka przeegzaminować racje historyczne, etnograficzne i moralne, wysuwane przez pieniaczące się strony.

Co od razu uderza we wszystkich polemikach tego rodzaju, to fakt, że argumenty dobierane są zawsze według własnej wygody. Raz wysuwa się rację historyczną, kiedy indziej etnograficzną. Wyjątkowo tylko zbiegają się one ze sobą. Ale historia i polityka to nie brydż, w którym wybiera się raz kiery, a kiedy indziej piki, bo tak graczowi wypada z układu kart. Prawo bezsporne i w y ł ą c z n e do jakiejś ziemi posiada się tylko wówczas, gdy wszystkie racje działają na naszą korzyść. Jeśli n i e — powinno się myśleć o kompromisie. Oczywiście, istnieje jeszcze jedna racja. Racja silniejszego w danej chwili historycznej, racja faktów dokonanych. Ale i Ukraińcom i Polakom nie bardzo przystoi uciekać się do takich racyj.

Polaków na wschód od Sanu nie ma, a jeśli są, to jakieś mizerne strzępy. To jest fakt dokonany. Pisałem już kiedyś, że nie wiadomo, czy nie powstaną inne fakty dokonane, czy w latach definitywnych rozstrzygnięć nie spotka to samo Ukraińców. Może bowiem dojść do przesiedleń i zsyłek w skali, jakiej jeszcze ludzkość nie widziała. Już dziś Lwów jest bardziej miastem rosyjskim niż ukraińskim, bardziej L w o w o m niż L w i w e m. Stwierdzić więc trzeba, że usunięcie Polaków z tej ziemi ma taką samą wartość prawną i moralną, jak w identycznej formie przeprowadzone usunięcie Ukraińców z Chełmszczyzny i Łemkowszczyzny. I gdy skrajni nacjonaliści z obu stron barykady tęsknią do s z t y w n e j granicy, choć nie mogą się co do niej pogodzić, ja będę stał uparcie przy twierdzeniu, że osiągnięcie prawdziwej historycznej ugody będzie możliwe dopiero wówczas, gdy się fakty dokonane przekreśli, wyrządzone krzywdy naprawi, popełnione zbrodnie odrobi.

Jeżeli do terytorium narodowo mieszanego chce się stosować zasadę sztywnej granicy etnograficznej, jedynym rozstrzygnięciem słusznym może być przesiedlenie ludności. Obliczyć ile jest jednych, ile drugich, i podzielić sporny obszar proporcjonalnie. Przyzna mi każdy, znający jako tako stosunki narodowościowe na Ziemi Czerwieńskiej, w chwili wybuchu minionej wojny, że granica nie wypadałaby wówczas na Sanie. Określając granice narodowego terytorium, Ukraińcy czynią to według najdalszego zasięgu swego osiedlenia, koincydującego mniej więcej z granicą zachodnią księstwa halickiego w średniowieczu. Dążą oni do suwerenności

niepodzielnej i nie życzą sobie nosić obywatelstwa polskiego. Pięknie, ale również Polacy mają prawo nie życzyć sobie obywatelstwa ukraińskiego, które im proponuje Jewhen Wreciona, nie wiem czy w zgodzie z większą ilością swych rodaków na emigracji.

Więc jeśli prawo etnograficzne, to dla wszystkich, a jeśli sztywne granice, to wyznaczone proporcjonalnie. Oczywiście, według stanu z roku 1939, bo wysiedleńcy zechcą powrócić, a głosu umarłych i pomordowanych po obu stronach również należy wysłuchać.

Spór o Ziemię Czerwieńską nie jest jedynym sporem granicznym ani dla nas, ani dla Ukraińców. Jakie prawa historyczne mają Ukraińcy do Besarabii i Bukowiny? Mniejsze od rumuńskich. Etnograficznie są one usprawiedliwione tylko do części tych terenów, ale wówczas Rumunia może zgłaszać pretensję do skrawka Zadniestrza. Jakie prawa historyczne ma Ukraina do Kubania? Żadnych, jeśli nie wywoływać z mroku dziejów księstwa Tmutorokańskiego, tzn. dzisiejszego Temriuka i Tamania. Co prawda, do północnego Kubania nikt praw historycznych zgłaszać nie może, gdyż nieboszczycy Nogajcy głosu nie mają. Ale co z Kubaniem południowym, z dorzeczem Urupu, Białej i Łaby, z Armawirem, Majkopem i Neftiogorskiem? Co wreszcie z pogórzem Stawropolskim, nie tak dawno jeszcze domeną Kabardyńców? Czy górskie ludy Kaukazu nie będą mogły zgłosić się z żądaniem oddania im ich odwiecznych dziedzin, do których pierwszy ukraiński kolonista przybył zaledwie przed kilkudziesięciu laty? Pamiętam, pamiętam ostre starcia między Kaukazczykami i Ukraińcami na ten temat na terenie warszawskiego klubu «Prometeusz»! Do tych ziem Ukraińcy nie mają najmniejszych praw historycznych i moralnych, gdyż ich zjawienie się tam było funkcją rosyjskiego imperializmu. Mają natomiast prawa etnograficzne. Czy i tu rozsądny kompromis nie byłby wskazany?

«Ukraińskie Słowo» napisało mi ironicznie, że zamiast martwić się o Majkop i krymski Dżankoj, lepiej pomyśleć o Szczecinie i Wrocławiu. Nie pierwszy to raz ukraińscy publicyści oskarżają nas o hipokryzję, wskazując na rozbieżne jakoby stanowiska w sprawie Ziemi Czerwieńskiej i Pomorza, oraz Śląska. Otóż, istotnie stanowiska są zupełnie różne, bo też i zagadnienia te nic wspólnego ze sobą nie mają. Przed wojną żaden Polak o zdrowych zmysłach pretensji do granicy na Odrze i Nysie nie zgłaszał. Mogliśmy wskazywać na całą nienaturalność sytuacji Gdańska, upominać się o Śląsk Opolski, Warmię i Pojezierze Pruskie, ale i nic ponadto.

Wojna i okupacja niemiecka zmieniły wszystko. Niemcy udowodniły światu, a i dziś to potwierdzają na każdym kroku, że tak długo, dopóki dwa ramiona, którymi głęboko wdarły się w krwawe trzewia Słowiańszczyzny, nie zostaną odcięte na stałe, nie zarzucą swych snów o «Drang nach Osten». A są to sny nie tylko o mazowieckim piaseczku i lubelskiej boro-

winie, ale również o chersońskim czarnoziemie, krzyworoskiej stali i węglu donieckim. Byłoby niesprawiedliwością wystawiać dzisiejszym Niemcom ciężki rachunek za Henryka Lwa, Albrechta Niedźwiedzia i Mistrzów Krzyżackich, gdyby nie fakt, że nie tylko w Warszawie, Oświęcimiu i Majdanku, ale również w Kijowie, Połtawie i Marjupolu wykazali, że w całości ten rachunek żyrują i biorą za niego pełną odpowiedzialność. Jeśli ktoś nie chce wyrzec się zbójeckiej części swej historii narodowej, to mu się tę część wykrawuje żywcem z jego własnego terytorium*). Etnograficznych praw do Wrocławia i Szczecina Polska nie miała, historyczne prawa uległy przedawnieniu, ale sami Niemcy je odnowili, moralne zaś wypisane zostały dymami krematoriów na nierychliwym ale sprawiedliwym niebie. I dlatego Wrocławia ze Lwowem, jak Szczecina i Gdańska z Wilnem zestawiać nie należy.

Tu jeszcze jedna uwaga na marginesie. Niezależnie od tego, jak zostanie rozstrzygnięty spór o Ziemię Czerwieńską, w interesie narodu ukraińskiego, w interesie całej Europy Środkowo-Wschodniej leży utrzymanie granicy na Odrze, jako najlepszej gwarancji, że stary prusko-teutoński duch ulegnie osłabieniu i z czasem całkowitej likwidacji. Toteż bardzo dziwnie wyglądają ci Ukraińcy, którzy z nieukrywaną satysfakcją wróżą rychły marsz niemiecki n a c h Breslau, Stettin u n d Dantzig. Równie dziwnie, jak ci Polacy, którzy radziby po wieki wieczne widzieć rosyjskich generał-gubernatorów w Kijowie i Odessie.

Wracajmy do sprawy zasadniczej. Trzeba konkretyzować. Wiem, że posypią się na mnie gromy z jednej i drugiej strony, jak zawsze, gdy jakiś wariat uparł się siedzieć okrakiem na barykadzie. Bo cóż to, u licha, za przyjaciel Ukrainy, który nie zgadza się na granicę na Sanie, i cóż to za Polak, który nie żąda granicy na Zbruczu? Ziemia Czerwieńska historycznie, etnograficznie i kulturalnie nie jest ziemią ukraińską tylko, ani polską tylko. Jest ziemią w s p ó l n ą, o wspólnych zazębiających się o siebie osiągnięciach cywilizacyjnych i kulturalnych, i wspólnej sześćsetletniej historii. Od wieków lwowska katedra łacińska i kaplica Boimów i Święty Jur i cerkiew wołoska stoją obok siebie i przez przyszłe wieki zgodnie stać obok siebie powinny. Prochy polskie i ukraińskie przemieszały się ze sobą na cmentarzach i niech nikt nie próbuje oddzielić ich od siebie chociażby wyimaginowaną granicą. Można się nawzajem wymordowywać, jeśli taka wola. Można przeciąć tę krwawą, prawdziwie c z e r w i e ń s k ą ziemię na pół, moż-

---

*) Zgadzając się z autorem co do meritum uważamy jego uzasadnienie praw polskich do Ziem Odzyskanych i za zbyt emocjonalne a przede wszystkim za zbyt wąskie. Nie można rozpatrywać tej sprawy bez uwzględnienia Europy jako całości, bez wizji jej regeneracji i uporządkowania. Mówiliśmy już o tym w Berlinie jesienią ub. roku ("Kultura" nr 47) i powrócimy do tego problemu w najbliższej przyszłości (Red.).

na raz jeszcze położyć profesorskie podpisy pod niegodnym Europejczyka i chrześcijanina: *my albo oni*. Można bić żelazne słupy na Zbruczu lub na Sanie, można wyżenąć precz za graniczne miedze tych albo owych. Zobaczymy, czy i o ile wzbogacą się przez to ludzkie dusze i serca. Jedni i drudzy nagrzeszyli ponad miarę, jedni i drudzy cierpią dziś również ponad miarę. Ale jeśli to cierpienie ma być prawdziwą *ekspiacją*, musi mu towarzyszyć twórcza myśl historyczna i głębokie czucie moralne, które uczynią, aby to, co było kamieniem obrazy, kością niezgody i zachętą do bratobójczych czynów, stało się zarzewiem porozumienia, współpracy i wspólnego władania tą samą ojczyzną.

Więc nie starcie się dwóch skrajnych stanowisk, nie kompromis graniczny, ani przesiedlanie ludności, nie fakty dokonane, które nazajutrz mogą być obalone przez rywala lub trzeciego mediatora, i nie nowa, nieuchronnie takim rozwiązaniom towarzysząca rzeź. A wreszcie tu chodzi nie o Lwów tylko i nie o to, czy w Husiatynie i Trembowli będzie powiewać sztandar biało-czerwony czy żółto-błękitny. Konwulsje, miotające światem, spychają go do wielkiego konfliktu, z którego wyłoni się coś zupełnie *nowego*, innego niż było uprzednio. Dla dwóch emigrantów, wygrażających sobie pięściami gdzieś na paryskim czy manchesterskim bruku, kwestia czy jego rodzinne przedmieście będzie nazywało się Lewandówką, czy Lewandiwką, może być najważniejsza. Ale w tych ośrodkach, gdzie ważą się losy ludzkości, taka postawa *nie popłaca*. Tylko ślepiec może się łudzić, że w Waszyngtonie i Londynie będą zadawać sobie trud wnikania w racje narodów, których akcje na politycznej giełdzie są prawie nienotowane, albo notowane bardzo nisko, lub troszczyć się o narodowe postulaty jednego powiatu czy gminy. Ukraińcy skarżą się na popieranie Kiereńskiego przez Amerykanów. Otóż Kiereńskij ma koncepcję — z naszego punktu widzenia złą, szkodliwą, dla nas wrogą — ale ją ma i to w takiej skali, do jakiej przywykł szeroki rozmach amerykański. Ukraińcy przeciwstawiają tej koncepcji własną niepodległość, a wraz z nią i szereg sporów granicznych. Takie same obciążenia wloką się młyńskim kamieniem, uwiązanym u nogi każdej emigracji środkowo- i wschodnioeuropejskiej. Ukraina nie chce federacyjnego związku z Rosją, bo się boi — i słusznie. Ale wielkim koncepcjom trzeba przeciwstawiać również koncepcje w zbliżonej choćby skali, bo rzewnych skarg dwóch pokłóconych obywateli z Lewandówki nikt słuchać nie będzie. Jeśli spory graniczne przeszkadzają, zainteresowanym narodom w synchronizowaniu ich działalności politycznej konieczna jest uprzednia likwidacja tych sporów na drodze, prowadzącej do wielkiego programu federacyjnego nie pod kierownictwem Rosji, ale bez niej i poza nią.

Liczyć na to, że wiatry wiejące w Stanach Zjednoczonych zmienią kierunek same przez się, lub że Waszyngton pójdzie pod wpływem polskiej czy ukraińskiej propagandy na konsek-

wentny program rozbijania Rosji — raczej nie należy. Gdyby jednak doszło do porozumienia choćby paru narodów, a przede wszystkim porozumienia polsko-ukraińskiego, szanse zainteresowania Amerykanów i n n ą, nie rosyjską koncepcją federacyjną wzrosłyby niepomiernie. Sama Ukraina, jak sama Polska, Rumunia, czy Węgry — to dla waszyngtońskich bussinesmanów żaden kontrahent, zwłaszcza w zestawieniu z Rosją. Minęły czasy, kiedy z kilkoma taczankami i dwustu jazdy można było uganiać się po stepie, i również minęły czasy powersalskiej «bałkanizacji» Europy. UPA może w odpowiednim momencie odrodzić się jeszcze liczniejsza i silniejsza, niż była za poprzedniej wojny, dokonać najbardziej bohaterskich czynów, a nawet postrzelać z kozacką fantazją do Amerykanów, jeśli ci w ogóle na tych terenach się zjawią, ale koncepcji politycznej, która by w Stanach Zjednoczonych przypadła do smaku, to nie zastąpi.

Narody, tak długo bezpań stwowe, jak Ukraińcy, czują instynktowną obawę i niechęć w stosunku do pomysłów federacyjnych. To zrozumiałe. Tym, co już wyżyli się suwerennie i państwowo, łatwiej pójść na takie koncepcje, a poza tym działa tu tradycyjna podejrzliwość narodu, tylekroć oszukiwanego i rozczarowanego. Ale Ukraina jako członek federacji, obejmującej kraje Europy Środkowo-wschodniej, nie powinna żywić obaw, tak daleko idących. Jej potencjał ludzki i gospodarczy, niewystarczający wobec Rosji, byłby w takim układzie dostatecznie wysoki, aby czuła się ona pewną siebie. Niewątpliwie pewniejszą niż w najbardziej nawet demokratycznym sam na sam z Rosją.

Ale żadna federacja nie jest w stanie wykluczyć automatycznie konieczności jakiegoś rozgraniczenia, skoro nawet państwo narodowo zwarte musi mieć jakiś podział administracyjny. Ziemia Czerwieńska, jako człon terytorialnie pośredni, powinna otrzymać swój własny statut na podstawie całkowitego równouprawnienia ludności i zachowaniu identycznych form związkowych z Warszawą i Kijowem. Wówczas miałaby pełną szansę stać się pomostem między dwoma narodami i ich cywilizacją i kulturą, zamiast, jak było w czasach ostatnich, przepaścią. Niechby na rogu «bacjarskiej» ulicy zawisły dwie tabliczki — obok siebie, a nie, broń Boże, jedna pod drugą! — «Łyczakowska» i «Łyczakiwśka». A na Wałach Hetmańskich można by wystawić pomniki nprz. hetmana Mazepy i króla Leszczyńskiego. Niech i zakuci w bronz spiskują przeciw Moskwie. Albo nawet pomniki Żółkiewskiego i Chmielnickiego. Byli przecież razem pod Cecorą!

Jak taki statut miałby wyglądać w swoim ujęciu prawnym, tego nie podejmuję się rozstrzygać. Od tego są fachowcy, prawnicy, socjolodzy, ekonomiści, i do nich należało by ostatnie słowo. W każdym razie, byłby to obszar dwujęzyczny w szkolnictwie, sądach i administracji, podobnie, jak dwujęzyczne by-

ło Wielkie Księstwo Litewskie, a współcześnie Królestwo Belgijskie.

Ale samo oswojenie się z myślą o tak «rewolucyjnym» rozstrzygnięciu konfliktu kosztowałoby i nas i Ukraińców wysiłek, zaiste heroiczny. Trzeba by przeskoczyć przez wszystkie uprzedzenia, urazy i kompleksy, zrezygnować z nacjonalistycznej pychy i zapomnieć o dzielących nas reminiscencjach historycznych. Dlatego właśnie pisałem tyle o podłożu psychologicznym zjawiska, by dotrzeć do samych źródeł choroby. Istnieje jednak jeszcze jedna bolesna sprawa, uprzednio zaledwie dotknięta, a ze stanowiska etycznego najważniejsza. Sprawa, która tylekroć nas dzieliła w przeszłości i rozdzieliła jeszcze bardziej obecnie. Świeżo przelana krew...

«Z KURZEM KRWI BRATNIEJ . . .»

W toczącej się niedawno dyskusji, której podsumowanie dałem w pierwszych częściach tego artykułu, najwyraźniej określili swe stanowiska wobec tragicznych wydarzeń w latach 1939-45, ze strony polskiej Jędrzej Giertych, ze strony ukraińskiej — Jewhen Wreciona. Pierwszy całą winę obciąża Ukraińców, drugi wskazuje na chronologię faktów.

Stanowisko Giertycha jest nie do przyjęcia, gdyż pisze on takim tonem, jak gdyby rzeź nie była w z a j e m n a. W identyczny sposób wypowiadali się w różnych okolicznościach i różnym czasie Tadeusz Piszczkowski, Wojciech Wasiutyński, Władysław Studnicki. A jednak wina jest obopólna i nie zrobimy ani kroku w tej sprawie, jeśli będziemy smutnej prawdzie zaprzeczać.

Giertych podkreśla, że Polacy nie zapłacili Niemcom za Oświęcimy i Majdanki powszechną rzezią ludności cywilnej. Ten argument jest również nie do przyjęcia. Okoliczności bowiem były najzupełniej inne. Analogia byłaby pełna, gdyby Śląsk i Pomorze znalazły się podczas wojny pod okupacją sowiecką i działała tam jednocześnie partyzantka polska i niemiecka. Czy i w tym wypadku nie doszło by do wzajemnej rzezi ludności?

Ze strony ukraińskiej spotykałem się często z twierdzeniem, że walki a następnie rzezie zrodziły się z prowokacji sowieckiej. Oddział spadochroniarzy sowieckich przychodził do wsi ukraińskiej i robił «porządek», udając Polaków, albo wycinał ludność polską, udając Ukraińców. Wreciona znów oddaje pierwszeństwo i incjatywę stronie polskiej. Bo «przed Janową Doliną był Dermań», a wcześniej jeszcze «powszechny terror Polaków przeciw Ukraińcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed 1941». Chodzi więc o chronologię: kto zaczął pierwszy? Gdybyśmy chcieli ustalić chronologię bardzo ścisłą, musielibyśmy cofnąć się głęboko w historię. Natomiast chronologia minionej wojny rozpoczyna się wypadkami we wrześniu 1939 roku. Jeśli nasiona przyszłej rzezi zasadzone zostały

w ciągu dwudziestolecia, to w czasie kampanii wrześniowej zbieraliśmy pierwsze żniwo tej «zbożnej» pracy ogrodniczej. W odpowiedzi na dywersję ukraińską w Samborszczyźnie i Drohobyckim, której ofiarą padli zresztą głównie maruderzy z rozbitych oddziałów, Polacy spalili parę wsi, między innymi bodajże przedmieście Mikołajowa. Było sporo zbrojnych napadów na polskie domy ziemiańskie. Pod Sokalem wycięto w pień obóz uciekinierów. Na Wołyniu zamordowano wielu osadników wraz z rodzinami. Doszło do bezmyślnych wybryków i ze strony polskiej. Oto jeden z przykładów. Jadący motocyklem oficer spotkał po drodze uciętą i wbitą na żerdź ogrodzenia głowę w kapitańskiej rogatywce, wszedł do pierwszej z brzegu chaty i na stół, przy którym siedziała rodzina ukraińska, rzucił odbezpieczony granat. Tak to się zaczynało.

Przeszedłem kampanię wrześniową w oddziale, który do końca zachował zwartość i trzymany był żelazną ręką dowódców. Wyłącznie dlatego nie doszło w paru wsiach do krwawych represyj. Żołnierze z mego szwadronu (akurat Poznaniacy), wchodzący do chałupy i proszący o sprzedaż żywności, nie wiedzieli, czy i jakie krzywdy spotkały mieszkańców tej wsi w swoim czasie. Wiedzieli tylko, że «nie ma jaj», «nie ma masła», «nie ma mleka», choć wieś była zasobna jak rzadko i zamożność biła w oczy na każdym kroku. Jakby się zachowali w takim wypadku Niemcy lub sowieciarze? Ale był wyraźny rozkaz poprawnego traktowania ludności i żołnierze, zacinając zęby, wychodzili z chałup jak niepyszni. Dopiero moja interwencja w języku ukraińskim odniosła skutek. Zaraz znalazły się jaja, masło i mleko.

A po skończonej kampanii wrześniowej zaczęły szaleć emocje. Obecność Ukraińców wśród strażników więziennych na Pawiaku, pomocnicza służba ukraińska w zbrojnej ochronie zakładów w Stalowej Woli, inne objawy kolaboracji z Niemcami na terenie Gubernatorstwa — wszystko to, w połączeniu z wyolbrzymionymi zresztą wiadomościami o zachowaniu się Ukraińców podczas kampanii wrześniowej, wystarczyło, by rozhuśtać nienawiść, której ofiarą padło, jak zgodnie z prawdą informuje Wreciona, tylu działaczy ukraińskich na Chełmszczyźnie.

W takich warunkach wzajemna rzeź w powszechnej skali była już tylko kwestią czasu. Cytowałem przy innej okazji słowa metropolity Szeptyckiego, który, nawołując do zaprzestania bratobójczej walki, mówił: «Gdy dżungla płonie, zwierzęta się nie gryzą». To zwierzęta — ale ludzie!... Wstyd powiedzieć, ale póty było względnie spokojnie, póki we Lwowie i na Wołyniu rządziło NKWD. I wina spada nie tyle na zwykłych prostych obywateli, co na ośrodki kierownicze. Znam Polkę, której męża zabili na jej oczach chłopi gdzieś pod Kowlem. Jeszcze dziś, po tylu latach dostaje niemal histerii na sam dźwięk ukraińskiego imienia. Ale od polityków wolno wymagać, by nie kierowali się wyłącznie emocjami. Z góry przyjmuję, że

przy największych wysiłkach ze strony ośrodków politycznych i tak doszło by do krwawych wydarzeń. Ale na pewno nie w takich rozmiarach. No, cóż... w Paryżu, ani później w Londynie o zapobieżeniu zbliżającej się tragedii nie myślano, bo były ważniejsze sprawy. Ważniejsza była walka z cieniem Piłsudskiego, reforma hymnu narodowego polegająca na zamianie «Marsz, marsz, Dąbrowski» na «Marsz, marsz, Sikorski», spory o konstytucję i prerogatywy prezydenta. Dołączył się automatyzm myślenia politycznego. Po cóż wchodzić w jakieś układy z Ukraińcami, po cóż szukać dróg porozumienia, skoro i tak wszystko idzie jak po maśle. Mamy pakt z Wielką Brytanią, jesteśmy sojusznikami Francji, zawarliśmy porozumienie z towarzyszem Majskim. «Córuś, córuś; czegoż ty jeszcze chcesz»? Przewidywania i inicjatywy nielicznych sprawiedliwych odrzucano z najwyższym lekceważeniem i pogardą. We «Wspomnieniach ukrainofila», drukowanych przed kilku laty w «Wiadomościach», opowiedziałem o zupełnie operetkowej historii z ulotkami, zamówionymi u mnie przez słynną «Reginę». Chodziło o rodzaj proklamacji do ludności na terenach, okupowanych przez Sowiety, proklamacji, wzywającej Polaków i Ukraińców do zgody i współdziałania. Pośpiech był straszny, bo miano je zrzucać z samolotów. Drukowały się te ulotki i drukowały aż do dnia ewakuacji z Libourne. Czy drukowały się jeszcze w Anglii, nie wiem, gdyż dzięki czujności hiszpańskiej Guardia Civil, patrolującej na szosie między Figueras i Geroną, oszczędziłem sobie widoków wojennego Londynu.

Przeciwdziałać skutecznie można tylko zawczasu. Gdy żywioły raz wystąpią z brzegów, żadna straż pożarna ich nie opanuje. Na wiosnę 1943 roku rozmawiałem o tych sprawach z młodym socjalistą, wysłanym z kraju do Londynu, a zatrzymanym przez siły wyższe na parę tygodni w Hiszpanii. «Nie byłem w Małopolsce Wschodniej — oświadczył mi — i nie wiem, czy jest jeszcze coś do zrobienia. Ale znając dobrze nastroje w kraju, mogę pana zapewnić, że wszelkie próby łagodzenia są już raczej spóźnione. A nawet sądzę, że ktoś, kto by wystąpił z taką inicjatywą, mógłby za nią drogo zapłacić». Po wojnie pewien oficer AK., który przeszło dwa lata trwał w walce w województwie Lwowskim, potwierdził w całej rozciągłości opinię owego emisariusza. «Może jeszcze w roku 1942, a i to wątpię. Ale już w rok później taki kandydat na mediatora najprawdopodobniej dostałby kulę od pierwszego lepszego Polaka...» Oto do czego doprowadza zatruty posiew nienawiści!

Wreciona pisze, że były próby porozumienia ze strony czynników miejscowych, ale najwidoczniej «od góry burczał głos Zagłoby» i uniemożliwiał rozwinięcie się dobrej inicjatywy na szerszej płaszczyźnie politycznej. Wreciona orientuje się lepiej, bo ja czerpię informacje z drugiej ręki, on zaś był świadkiem naocznym. Czy jednak ci Ukraińcy, którzy chcieli zapobiec rzezi, wyczerpali wszystkie środki? «Przed Janową Doliną był Dermań». Wiem ci ja dobrze, że w Janowej Dolinie stały od-

działy polskie, które przedtem dobrze «pohulały» z ludnością ukraińską. Rozumiem, że chciano wziąć na nich zemstę, choć i one do zemsty miały powody. Ale kobiety i dzieci polskie, które poszły pod nóż, Dermania nie zawiniły. Ślepa nienawiść nie rozumuje. Czy jednak nie można było zapobiec właśnie t e j rzezi, skoro rozpaczliwa obrona Janowej Doliny trwała kilka długich dni. Wiedziano o toczącej się walce i w Równem i w Kostopolu. Kierownictwo OUN., które wydawało odezwy uspakajające, miało w tym wypadku okazję udowodnić, że również potrafi opanować konkretną sytuację. Szkoda, że tego dowodu nie złożyło.

Zdziczenie stało się powszechne. Nie lękano się śmierci, lękano się wpadnięcia żywcem w ręce przeciwnika, bo to oznaczało śmierć bardzo powolną i urozmaiconą. Jak w Arizonie przed stu laty w walkach między białymi kolonistami i Apaczami. Amatorom nowej walki, nienawistnikom wszelkiego kalibru i «niezłomnym» z tej i tamtej strony opowiem taką pouczającą historię. Młody chłopiec traci we Lwowskim całą rodzinę. Ukraińcy zamordowali mu rodziców, brata, dwie nieletnie siostry. Wygląd trupów świadczył o zadawaniu tortur przed śmiercią. Młodzieniec zaciąga się do oddziału leśnego Armii Krajowej, wybija się szybko jako dzielny żołnierz i odznacza się skrajnym okrucieństwem. Któregoś dnia, już zaawansowany na podoficera, wpada z patrolem do mieszanej, polsko-ukraińskiej wsi, a raczej jej resztek, gdyż większość domów spłonęła podczas uprzednich walk. Mężczyzn prawie nie ma. Starcy, kobiety i dzieci. Akowcy wpadają do chałupy, w której ukryło się kilkanaście osób. «Ukraińcy na lewo, Polacy na prawo!» Kilka serii z automatu. Ale Polacy informują poniewczasie, że wśród zamordowanych znajduje się Polka z dzieckiem, która w przerażeniu, widząc zbrojnych ludzi, czy to nie dosłyszawszy dobrze o co chodzi, czy też sądząc, że do izby weszli Upowcy, i chcąc się ratować, przeszła na stronę ukraińską. Zabójca załamał się. Nazajutrz napisał pożegnalny list do swego dowódcy i odebrał sobie życie. Oto skutki ślepej zemsty, oto skutki dawania «odstraszających przykładów»!

Jakież jest wyjście z krwawego kręgu tej nienawiści, która potrafi rodzić podobne tragedie? Spierać się bez końca o to, kto pierwszy zaczął, kto bardziej zawinił, kto przelał więcej krwi? Czy może właśnie pokusić się o inne p i e r w s z e ń s t w o, o pierwszeństwo wyciągniętej dłoni?

Dziesięć lat temu, siedząc w więzieniu, nie wiedząc, kiedy z niego wyjdę, i nie wiedząc prawie nic o tym, co dzieje się w kraju, ale przeczuwając nieomylnie dalszy rozwój wydarzeń, pisałem te strofy:

Więc nie powtarzaj słów nienawistnych w malignie,
zawołaj raczej:
— Ten z nas zwycięży, który się pierwszy wydźwignie
w Anielską Łaskę Przebaczeń!

Może przez ową nienawiść poddaniśmy anathemom
przez straszliwego Sędzię,
a ręka, która nas gniecie, i barbarzyńców przemoc
to tylko kary narzędzie.

I nie usłyszą nas Święci, gdy nie dochodzi do nich
w bluźnierstwie poczęty pacierz,
aż ci wypadnie pozew z ściśniętej dłoni
i szepniesz: Bracie!

A jeśli takie słowa nie mają żadnego znaczenia wobec «doniosłych» racyj politycznych, jeśli mają nadal rządzić żelazne prawa — my albo oni — zaś faktami dokonanymi kierować serie z automatów, oddawane do bezbronnych kobiet i dzieci, Dermanie i Janowe Doliny, to przynajmniej nie bądźmy hipokrytami, przynajmniej nie uzurpujmy sobie nazwy chrześcijan! To widać, Święty Jur i Katedra lwowska, kolegiata w Ołyce i Ławra Poczajowska stoją nadaremnie od tylu wieków na Ziemi Czerwieńsko-Wołyńskiej. I widać, mają rację barbarzyńcy ze Wschodu, gdy nasze kościoły i cerkwie zamieniają na kina i kluby komsomolskie!

NA PIĘĆ PRZED DWUNASTĄ

Czas nie stoi na miejscu. Gdy się zestawi doniosłe przemiany, jakie zaszły w świecie od zakończenia wojny, z dokonaniami naszych emigracyj, wniosek nasuwa się tylko jeden: znowu pozwalamy dystansować się wydarzeniom. Sprawa porozumienia polsko-ukraińskiego nie posunęła się ani o jedną piędź naprzód, choć tyle już «natchnionego» atramentu wsiąkło w cierpliwy papier. Gesty pojednania — i tyle! Ach, piękne gesty! Nie brakowało ich przecież i w Polsce, gdy przed trumną petlurowskiego generała, zmarłego w Warszawie, szła kompania honorowa, gdy grupa polskich oficerów zgłaszała się na audiencję do metropolity Szeptyckiego, by go przepraszać za niepoczytalne wyczyny «rewindykatorów». Ale gesty takie, nawet jeśli ratują honor jednostek, czy pewnych zespołów, burzy dziejowej nie odwrócą, kierunku nie nadadzą, wichrów w żagle, by niosły ku upragnionym wybrzeżom Itaki, nie nabiorą.

Wystarczy wskazać na fakt, że pismo, noszące wymowny i ze wszechmiar obowiązujący tytuł «Lwów i Wilno» (czynię ten zarzut mimo całego szacunku i uznania, jakie zawsze żywiłem dla Stanisława Mackiewicza), przez całe lata swego istnienia nie poruszyło żadnej z sąsiedzkich bolączek, nie przeprowadziło rewizji żadnego z anachronicznych poglądów w dziedzinie polityki wschodniej, nie wyszło naprzeciw jednemu choćby zagadnieniu z kręgu polsko-ukraińskich i polsko-białoruskich stosunków. I to samo trzeba powiedzieć o ludziach, skupionych pod znakiem kresowego pochodzenia i obrony ich mniejszej ojczyzny, których sentymenty patriotyczne nie podlegają zakwestionowa-

niu, ale którym zabrakło twórczej myśli ożywiającej każde działanie. Przedsionek piekła jest wybrukowany patriotycznymi sentymentami, ale do nieba można się dostać jedynie na skrzydłach jasnej myśli i świadomego czynu.

Po jednej i drugiej stronie jest mnóstwo ludzi, organicznie niezdolnych do otrząśnięcia się z urazów i zapiekłych wspomnień. Ci aż do śmierci będą trwali na starych stanowiskach, zapatrzeni w upiory przeszłości. Będą grać rolę «bohaterów» i «ojców ojczyzny», składać huczne deklaracje, potrząsać woreczkiem żółciowym z braku lepszego sztandaru, zachować się jak pijany parobek na weselu, co to i rywala nożem porżnie i do kryminału zawędruje, świstać w puste orzechy i puszczać łódeczki z papieru na jeszcze krwią dymiące kałuże. Napoleony z szablami z pozłacanego łuczywa, burmistrze miast, dawno pobitych przez zarazę, zakatarzeni buchalterzy prawdziwych i urojonych krzywd, szamani, tańczący dokoła parafialnych totemów, obleśni starcy, nadaremnie wdzięczący się do dziewiczej Pallady, manekiny, wypchane trocinami frazesów i zaklęć!

Od siedmiu lat nie słabnie prasowa kampania nienawiści. Co gorzej, okresami przybiera na natężeniu. Nie jest to zarzut, odnoszący się do wszystkich, ale na pewno do bardzo wielu. Są pisma, są publicyści, którzy sprawiają takie wrażenie, jakby im specjalnie zależało na tym, by ognisko tej nienawiści nigdy nie zagasło. Niechże grzeją swe wychłódłe serca przy jego płomieniu. Ale nigdy nie uwierzę, aby poza nimi nie znalazły się w szeregach naszych emigracyj ludzie skłonni do patrzenia w przyszłość, mający dość odwagi cywilnej, by nie dać się sterroryzować własnemu środowisku, i świadomi niebezpieczeństw, jakie znów nam wyjdą naprzeciw, jeśli będziemy trwali przy starym uporze i wrogości.

Siedem lat emigracji zmarnowaliśmy właściwie bez reszty. «Ustąp się z drogi, bo to moje!» — oto jedyne słowa, jakie słyszy się po obydwu stronach barykady. Ledwie zmyli z siebie bojowy kurz i krew, ledwie wyrwali się z dipisowskich baraków, ledwie uchwycili w ręce kromkę emigranckiego chleba, a już im się zachciewa nowej walki, za którą nieuchronnie wlecze się cień nowej klęski, a w najlepszym razie kilkudniowego zwycięstwa.

A czas leci. Nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć, kiedy nowy huragan zerwie się nad światem. Może mamy jeszcze przed sobą długie lata. Ale na wzajemne rozmowy, na znalezienie przyszłego modus vivendi, na wypracowanie form sąsiedzkiego współżycia, na prowizoryczne choćby porozumienie się zostało już nam bardzo niewiele czasu. To już naprawdę zbliża się północ, naprawdę mamy pięć minut na zakreślenie święconą kredą magicznego koła, zanim znów zlecą się czarownice i zaczną podnosić ciężkie powieki hoholewskiemu Wijowi, by nas uderzył ślepiami śmiertelnego przerażenia.

Nie jestem optymistą. Zdaję sobie dobrze sprawę ze wszy-

stkich trudności, piętrzących się na proponowanej drodze. A jednak trzeba na nią wejść, abyśmy nie zachowali się ponownie jak skorpiony, zamknięte w szklanym słoju, które, miast szukać sposobu na odzyskanie wolności, grożą sobie zatrutymi kolcami. Mówił mi kiedyś młody ukraiński publicysta, siedząc w tawernie przy zacnym hiszpańskim winie: «Tak, my tu rozmawiamy przyjaźnie, czujemy się dobrze ze sobą, zgadzamy się w wielu sprawach, ale myślę, że za kilka lat spotkamy się na moście w Przemyślu i będziemy strzelać do siebie». Może to i prawda. A przecież, i takie możliwości biorąc pod uwagę, każdy z nas, noszący poczucie odpowiedzialności wobec Boga i swego narodu, winien uczynić wszystko, by przynajmniej w drobnej części przyczynić się do rozładowania wzajemnej nienawiści. Jeśli fatalizm historyczny ciąży nad nami do tego stopnia, że do ugody nie dojdzie, że pozostaniemy wrogami, jeśli mamy w przyszłości spotkać się nie na odległość przyjaźnie wyciągniętej dłoni, ale na odległość miecza, to niech-że to będzie naprawdę miecz, naprawdę rycerska szpada, a nie zbójecki nóż i siekiera!

Dzieli nas morze krwi i wieki zaciekłej walki. Ale czy nic nas nie łączy? Czyż nie ma w przyszłości i takich wydarzeń, takich zjawisk, o które mógłby się zahaczyć wątły bluszcz przyszłej przyjaźni i z czasem, w przychylniejszych warunkach rozróść się w potężne drzewo? A nawet i w latach ostatnich. Oto cmentarz na Monte-Cassino. Śpią tam snem wiecznym pod ramionami tego samego krzyża obok Polaków również i Ukraińcy. Czy nikt z pielgrzymów do monte-kassyńskiego pobojowiska tego nie zauważył? Więc jeśli żywych, jeśli żywych nie stać na wyrwanie się z objęć przedwiecznych widm, niech chociaż ten żołnierski cmentarz zastąpi drogę powracającym upiorom przeszłości!



Cóż... prorokowanie na puszczy nigdy nie było zajęciem łatwym, ani przyjemnym. Gdy się jednak wybrało swój sztandar, trzeba przy nim trwać, nawet gdyby wojsko miało się składać wyłącznie z chorążego. Gdy nie ma szans na zwycięstwo, zawsze pozostaje duma, płynąca z przeświadczenia, że się swej idei broniło nawet w sytuacji beznadziejnej. «Moja walka jest mojem zwycięstwem, moja klęska mojej prawdzie niech świadczy». Donkichoteria? Być może... Ale wiatraki, o które wyszczerbił swą kopię rycerz z La Manczy, dawno rozsypały się w proch, a pomnik błędnego wariata po dziś dzień stoi na madryckiej Plaza de España. Gdy przepiszę na czysto te ostatnie słowa, pójdę posiedzieć przy nim na ławeczce i popatrzeć na jego głupio natchnioną twarz. Może mi poradzi, jak ukraińskich «rezunów» i lackich «pacyfikatorów» namówić, by wstąpili do rycerskiego zakonu.

POST SCRIPTUM RYMEM

Jak ryba, w piach rzucona, kiedy w dyszących skrzelach
czarna krew się przesącza, tak ja, nassawszy się trójziela
zatrutego, przed mrocznym skarżę się obliczem
nieubłaganym sądów i twardych kondemnat.
Natarczywy jest głos mój. Mowa nadaremna
i krtań zaschnięta, którą w pustkę krzyczę.

Tylko echo,
dalekie echo w mej ojczyźnie głuchej.
Któryś wiódł mnie w tę gluszę,
raz jeszcze wysłuchaj!

I.

Oto się głos wzruszony na półsłowie zaciął
i ciepłe dłonie słońca muskają po twarzy.
Przed wieczorem, w ogrodzie, w gromadzie przyjaciół
dobrze o sprawach minionych pogwarzyć,
dobrze odpędzić natrętną tęsknotę
wspomnieniem chwili, której dawno nie ma,
a wdzięczne rymy, prześwietlane złotem,
układają się same w najczulsze poema.

Lecz nie poto-m wziął pióro, by śniedzią elegij
zarosły słowa rwące się do bitwy.
Któryś mnie wywiódł przed pierwsze szeregi
i nauczyłeś żołnierskiej modlitwy,
do ciebie krzyczę, mroczny wywoływacz
umarłych duchów, zapomnianych wieków:
— W rwącej zawiei, Chrzcicielu, przybywaj,
daj nam znak Boga i zbudź go w człowieku!

Ochraniałeś nas w wojennych okazjach,
zbliżałeś chwile szczęścia ku gorzkim zgryzotom.
Przed Twoją twarzą upadała Azja,
wstecz odrzucana starorzymską cnotą.
Usłysz i dziś nas, kiedy moc sprzedajna
bluźni Ci co dzień, w błyskawicach stań się,
porwij wichurę i oczyść i daj nam
raz jeszcze walczyć w Twoim ordynansie.

W imię potrzeby rycerskiej i męstwa
odpuść nikczemnym bratobójczym czynom,
wielkim tchem odkupienia, płomieniem zwycięstwa
wstań ponad Polszczą i nad Ukrainą,
objaw się w chmurach łyskającą twarzą,
uchwyć dłonią za włosy wylękłe i dyktuj.

Niech nas nawiedzą i ogniem porażą
złote litery Twojego werdyktu!

Z ręką na szabli, z modlitwą na wargach
czekają jasne duchy na ostatnie larum,
ufne, że wicher, co dziejami targa,
nie nadaremnie wzywa ku sztandarom
i manifesty, z których wiek ich długi starł już
bukwy, złocone mądrością najstarszą,
objawia światu i w wojenny diariusz
wpisuje datę pierwszego wymarszu.

G ł o s y   w o ł a j ą :

Ziemio leśna i wodna, zagubiona śród pól,
płynna od mleka i miodu,
wysrebrzona od wiosennych świtań,
jedne na szlaku czumackim
były nam biały chleb i sól
i jedna od Wschodu do Zachodu
ojczysta Rzeczpospolita.

Przelatywały niżowe wiatry przez Perejasław,
krążyły orły nad Beresteczkiem i Hadziaczem.
Zapaliła się wielka zorza wolności
i krwawo zgasła,
nie tak nocką ciemną zachmurzona,
jak lamentem ludzkim i płaczem.

Na nic nie zda się stepowa ukraińska uroda,
jeden dzień się przepalił,
do drugiego już śmierć się uśmiecha...
Oj, popiła się szlachta i kozactwo
po słobodach i grodach,
popili się, na ziemię popadali,
zaplątani w kainowych grzechach.

Naleciała horda mongolska,
jak szarańcza obsiadła,
nadciągnął chan tatarski, świątynie złupił,
poszedł jęk i rozpacz po narodzie,
zrównały się w niewoli Ukraina i Polska
i jak głupi
teraz radzą po szkodzie.
Ziemio leśna i wodna, zagubiona śród pól,
złota od słońca zachodów,
wysrebrzona od wiosennych świtań,
czas podzielić raz jeszcze biały chleb i miód i sól,
nim cię znowu przemierzą i zdepczą
zbliżających się jeźdźców kopyta.

Były znaki na starych kurhanach,
tętent niósł się po Rosi,
od samego, od białego rana
zajęczały w niebie stada żórawi,
już nad stepem z północy czarna mgła się podnosi
i Zbawiciel na krzyżu
krwią najświętszą z ran pięciorga krwawi.

Którzy w piśmie uczeni, niech dadzą Słowo,
niechaj piszą nowe hramoty —
lud je przyjmie, uzna i wysłucha,
i z kozacką chorągwią malinową
znowu zbrata się sztandar złoty
w imię
O j c a i S y n a i D u c h a.

II.

Przebrzmiały słowa, grzmiące na pustyni,
i mroczny step odkrzyknął się głuchym tętentem.
Jedni śmieli się głośno po izbach, a inni
krzywili usta niechętnie wydęte.
Trzykroć zawołał gniewny głos i trzykroć
pustka odpowiedziała i znów było cicho,
jak gdyby już do głosu Bożych trąb przywykło
urągające i pyszne Jeryho.

Tak wiatr przerzuca karty cesarskim edyktom,
a nie chce oddać chwały swemu Bogu.
Zmilknie złamane pióro i żelazny liktor
stopę nieprzebłaganą zatrzyma na progu.
Gwizd spali usta biegnącym gawroszom,
tłum uniesie bożyszcza, z pozłacanej gliny
ulepione niezdarnie, i konie się spłoszą,
tratując w tłoku wczorajsze wawrzyny.

Jeszcze chcieliśmy śpiewać krzyczącej gawiedzi,
biec przez ulice z innymi na równi,
lecz słowa nam zgłuszyło larmo pustej miedzi
głoszące chwałę jednodniowych mównic;
jeszcze nas nawiedziły duchów gniewne posły,
rozpytując się mową ciemną i zawiłą...
Wybiegliśmy przed domy, ręce się uniosły
do werbla, ale obok nikogo nie było.

I oto się od wieków powtarza to samo:
wciąż wróżymy, natchnieni i śmieszni prorocy,
szepczemy słowa zeszłowiecznych hramot,

manifestów spóźnionych, a kiedy dłoń nocy
kładzie się na daremnych i mrocznych zaklęciach,
boleśnie bardzo wołać wytężonym płucom,
że była zdobycz i sława do wzięcia,
i pominięto je i już nie wrócą.

III.

Kończy się gorzka pieśń, nim ramię ją przedłuży,
i czeka synów księga, co była testamentem.
Jeszcze ostatnie słowa, płomieniem złotym zdjęte,
jak ptactwo na spotkanie nadchodzącej burzy
wzlatują i daleki odzywa się chór.

Mrok podstępuje bliżej, szumiący jak bór,
i chłód wieczorny idzie, lecz wargi nie stygną.
Wczoraj jeszcze gorączką, dzisiaj już maligną
porwane mroczne nuty jednostajnych wyznań.

O, nieprzekupna dumo tego fanatyzmu,
co płomień miast powietrza wciąga w chore płuca
i w krzyk natrętny powszedniego obłąkania
zamienia ludzkie życie.
Jak ptak, co porzuca
rodzinną ciszę gniazda i wiatrom nie wzbrania
podsadzać się pod skrzydła Smutkiem ociężałe,
tak pieśń...
Który-żeś poznał niepodjętą chwałę,
uniwersał mogilny, zbutwiały depozyt
i ślepo patrzysz w oczy otworzone grozy,
zaklinaczu przyszłości, spadkobierco prochów!

Przyschnie ręka znużona do drzewa posochu,
przepędzi własne miasto i wyśmieje uczeń.
Pył źrenice zasypie, deszcz ciało opłucze,
boleśnie szarpną włosem przydrożne gałęzie...

Będziesz szedł, nocnych marzeń wiekuisty więzień,
i głosił swoją prawdę.
A jest w tym najwyższa
duma, gdy głos odrzuca obojętna cisza
i śmiech szyderczy wpada w pieśni interwale
i więcej mrocznym tłumom nad twą mękę znaczy.

Jeno Anioł unosi ku niebieskiej chwale
pismo bez czytelników i śpiew bez słuchaczy.

Józef ŁOBODOWSKI.

Kościół i wojna

Biskup Ancel, koadiutor Prymasa Galii, słynnego arcybiskupa Lyonu, kardynała Gerlier, ogłosił artykuł przeciw wojnie prewencyjnej, który wywołał niemałą sensację, chociaż dobrze świadczył o prostoduszności umysłowej dostojnego autora.

Zasadę wojny prewencyjnej ujmuje on następująco:

"Co byśmy powiedzieli o człowieku, który by rzekł do swego przeciwnika: — "Jestem przekonany, że chcesz mnie zabić. Więc ja zabiję ciebie"! "Nikt nie ma prawa słuchać rządu, który chciałby wciągnąć swój kraj w wojnę prewencyjną". "Kto chce rzeczywiście, aby Amerykanie wszczęli wojnę prewencyjną przeciw Rosji komunistycznej, znajduje się w stanie grzechu. Grzeszy przeciw piątemu przykazaniu: Nie Zabijaj".

Ponieważ w swej uproszczonej argumentacji i w przykładach, Msgr Ancel dał dowody wybitnej jednostronności, prasa prokomunistyczna i komunistyczna wykorzystała jego tezy tylko przeciw USA i paktowi atlantyckiemu. Zatem biskup ogłosił drugi artykuł w "l'Essor", tygodniku diecezji lyońskiej (16. XII. 51). Rozszerza tu swoje stanowisko, oświadczając, iż miał na myśli, że "toute guerre offensive est un péché et crime": każda wojna ofensywna jest grzechem i zbrodnią. Pragnąc dać dowód swej szczerości i bezstronności oraz tego, że jego postawa nie jest dyktowana polityką, precyzuje swój pogląd na to, że agresorem byłyby nie tylko Stany Zjednoczone, ale także Związek Sowiecki, gdyby jedno albo drugie państwo wywołało wojnę oswobodzicielską. Oto garść cytatów z tego artykułu:

"Należy podtrzymywać w sensie absolutnym, bez żadnego wyjątku, zasadę (...), że każda wojna ofensywna jest grzechem".

"Dlatego też należy potępić w sposób absolutny wszelką wojnę prewencyjną".

"W taki sam sposób należy potępić inwazję wyzwoleńczą (l'invasion libératrice)".

"Inwazja wyzwoleńcza jest wojną, podjętą celem uwolnienia jakiegoś narodu z niesprawiedliwości, jaka go uciska.

"Nie jest to więc wojna obronna, ale ofensywna. Nie jest ona bowiem przyjściem z pomocą narodowi, który padł ofiarą niesłusznej agresji. Jest to po prostu wojna ofensywna, która szuka usprawiedliwienia ze względu na swój cel.

"Jest nim uwolnienie jakiegoś narodu, poddanego (uciskowi) niesprawiedliwości".

Następnie Msgr Ancel precyzuje swój pogląd na "dwa oblicza" inwazji wyzwoleńczej (oswobodzicielskiej):

"Konkretnie są dwa warianty inwazji wyzwoleńczej:
1) "Są ludzie, którzy myślą o krajach Europy środkowej, z drugiej strony żelaznej kurtyny:

"Nie mamy prawa, mówią, pozostawić własnemu losowi tych krajów, poddanych jarzmu sowieckiemu. Nie mamy prawa pozwalać przywódcom sowieckim na prześladowanie Kościoła i stopniowe wyniszczanie religii.

"Nie jesteśmy jednak dość silni, aby działać sami: spodziewamy się więc, że Stany Zjednoczone uznają swój obowiązek i przyjdą uwolnić te narody. Nie będzie to agresja, lecz oswobodzenie. To komuniści są agresorami, którzy doprowadzili te narody do stanu niewolnictwa".
2) "Są ludzie, którzy myślą o proletariacie, poddanym społecznym niesprawiedliwościom kapitalizmu, już to we Francji, już to gdzie indziej, w metropolii albo w koloniach.
"Nie mamy prawa, mówią, poddawać się tym niesprawiedliwościom. Nie mamy prawa godzić się, aby nasi towarzysze robotnicy bez przerwy byli wykorzystywani dla zysków kapitalizmu.

"Jeśli nie potrafimy sami przeprowadzić rewolucji, spodziewamy się, że Rosja stanie się pewnego dnia dostatecznie silna, aby nas uwolnić, a my pomaszerujemy z nią. Nie będzie to więc agresja, ale uwolnienie. Agresorami są kapitaliści, którzy nas utrzymują w stanie niewolnictwa".

A takie właśnie zdania, pisze X. bp Ancel, słyszał niejednokrotnie w różnych środowiskach.

"Należy więc zająć wyraźne stanowisko:
"Prawdziwa wola pokoju nie dopuszcza ani pretekstu ani rozumowania celem usprawiedliwienia agresji.
"Wyklucza ona wszelką wojnę ofensywną.
"Wniosek stąd, że inwazja wyzwoleńcza jest zbrodnią wojenną tak samo jak wojna prewencyjna.
"Gdyby Stany Zjednoczone rozpętały wojnę, aby uwolnić z jarzma sowieckiego narody Europy środkowej, byłyby zbrodniarzem wojennym.
"Gdyby Rosja rozpętała wojnę, aby uwolnić z jarzma kapitalistycznego proletariat wszystko jedno jakiego kraju, byłaby zbrodniarzem wojennym.
"Należy z tych twierdzeń wyciągnąć takie same wnioski jak w artykule poprzednim:
"Traktat przymierza, który by pociągał za sobą wojnę połączoną z inwazją wyzwoleńczą — nie istnieje i nie ma żadnej ważności.
"Nie ma się prawa słuchać rządu, który chciałby pociągnąć swój naród do wojny, połączonej z inwazją wyzwoleńczą.
"Cóż więc należy myśleć o człowieku, który pragnąłby się zaangażować jako ochotnik do armii inwazyjno-wyzwoleńczej, aby wyswobodzić kraje Europy środkowej od jarzma sowieckiego?
"Byłby zbrodniarzem wojennym.
"Co należy myśleć o człowieku, który przyłączyłby się do Rosjan, przybywających uwolnić proletariat francuski spod jarzma kapitalistycznego?

"Byłby zbrodniarzem wojennym".

W dalszym ciągu X. Ancel stwierdza, że nie ma zamiaru

osądzać ani postępowania Rosjan w krajach Europy środkowej, ani postępowania kapitalistów na Zachodzie i w koloniach:

"Albowiem dziś nie o to chodzi. Chodzi o to, aby potępić absolutnie wszelką inwazję wyzwoleńczą".

Na poparcie swego wystąpienia autor cytuje fragment wypowiedzi "Osservatore Romano" i urywek wigilijnego orędzia Piusa XII, wygłoszonego w 1944 r. (o czym za chwilę), i twierdzi, że żądając bezwzględnego potępienia każdej wojny ofensywnej, wypowiada nie własne zdanie, ale pogląd dziennika watykańskiego.

Wezwawszy na pomoc wszystką rewerencję, wymaganą od katolika dla tak wysokiego urzędu w Kościele, jakim jest biskupstwo, należy jednak stwierdzić, że doprawdy gołosłowna frazeologia monsignora Ancel nie przynosi mu zaszczytu — ani jako teologowi, ani logikowi, ani filozofowi, ani jako znawcy Pisma świętego, ani, wreszcie poczuciu całkiem ludzkiej sprawiedliwości. Jest to prowokacja zdrowego rozsądku, a rodzaj argumentów i sposoby definiowania podają w wątpliwość nawet jego znajomość tak łatwo dostępnych źródeł, jak wypowiedzi obecnego Papieża, dotyczące wojny i pokoju.

Przede wszystkim zaś — a nie wiadomo na mocy jakiego autorytetu — X. bp Ancel odrzuca prawo naturalne i całą tradycyjną naukę katolicką w sprawie wojny, jaką znamy z pism św. Tomasza (S. Th. II-II æ q. 40 i q. 108), Suareza (De caritate), św. Roberta Bellarmina (De laicis), Moliny (De iustitia et pace) i innych. Według nauki katolickiej państwu, to jest jego legalnej władzy, przysługuje pełnia naturalnego prawa do wojny zarówno **obronnej** jak **ofensywnej** (tj. celem wywarcia usprawiedliwionego przymusu) i nawet **odwetowej.** Nauka ta rozróżnia pierwszorzędne i drugorzędne powody słusznej wojny. Do pierwszej kategorii należą trzy główne:

1) Jeśli są zagrożone agresją istotne dobra i prawa państwa bezpośrednio lub pośrednio i jeśli agresji w inny sposób nie da się uniknąć (tj. w sposób nie godzący w honor, całość i dobro państwa). 2) Jeśli nastąpiło rzeczywiste pogwałcenie słusznego i ważnego dobra państwa, nie dające się w inny sposób naprawić. 3) Jeśli zachodzi potrzeba ukarania potencji zagrażającej albo już naruszającej istotne dobra państwa.

Drugiej kategorii powody zachodzą np.:

1) Na prośbę innego państwa, znajdującego się w faktycznym niebezpieczeństwie, lub na prośbę tych, którzy prawa państwa reprezentują — np. rząd na wygnaniu. 2) **Dla wyzwolenia znajdujących się w ucisku, którzy nie dali powodu do zajęcia swego kraju, a których cierpienia są w proporcji do powagi tak surowego środka jak wojna i których w inny sposób wyzwolić nie można.**

Dalej nauka katolicka mówi, że państwo **samo** jest sędzią, czy te powody zachodzą. Nie wolno sobie tego prawa uzurpować żadnej grupie ani jednostce. Przestępcą jest, kto w takich okolicznościach podmawia do buntu i nieposłuszeństwa, wyjąwszy **nie podlegający żadnej wątpliwości** wypadek jawnie i oczywiście niemoralnej wojny agresyjnej. Albowiem należy oddawać nie tylko Bogu, co jest Boskiego, ale cesarzowi, co jest cesarskiego. — Oto jak wygląda w skrócie tradycyjna nauka Kościoła o prawie państwa do wojny. Jest ona całkowicie sprzeczna z tezami X. bp. Ancel.

Jako katolicy godzimy się z koniecznością potępienia "agresji" i "agresora", ale nie możemy się zgodzić, że agresją i zbrodnią — wbrew nauce teologów katolickich, w tym dwu Doktorów Kościoła — jest słuszna walka o podstawowe prawa własne i prawa drugich. Potworny musiałby być świat i zaiste zbrodniczy, gdyby teza miała zatriumfować — dla uświęcenia cudzych materialistycznych egoizmów.

Niech jednak teolog, prawnik i wojskowy tłumaczą Biskupowi, że grzeszy zbytnim upraszczaniem zagadnienia "zbrodni wojennej", "zbrodniarza wojennego", "agresji", "wojny ofensywnej", itp. Nam chodzi tu o rzecz bardzo skromnego formatu: o próbę wykazania, że nawet prosty katolik, modlący się szczerze ze swoim Kościołem: "dissipe gentes quae bella volunt", nie pozwoliłby sobie na tak lekkomyślne upraszczanie zagadnienia, jednego z najzawilszych moralnie, a które dla katolickiego hierarchy jest tylko powodem do kilku eksklamacyj, jakby nie chodziło o największą tragedię dzisiejszych czasów, o ból i udrękę milionów.



Co ma katolik myśleć o wystąpieniu X. biskupa Ancel i podobnych wystąpieniach? — To samo, co o mennonitach, kwakrach czy naszych XVII-wiecznych ,Arianach' noszących drewniane szable na znak protestu przeciwko wszelkim wojnom: Nie przesądzając wartości poszczególnych **ludzi**, uważa tego rodzaju **eksklamacje** za niechrześcijański sentymentalizm, za wyparcie się realistycznego powietrza Ewangelii na rzecz przepierania własnej religii spirytualistycznej, "lepszej" niż chrześcijaństwo. Uczciwszy jak katolikowi należy raz jeszcze sakramentalne pomazanie monsignora Ancel, które go jednak nie chroni — jako człowieka — od głoszenia pospolitych nonsensów[1]), można, sądzę, stwierdzić, że wystąpienie takie demonstruje nie tylko wszelkie cechy sekciarskiej jednostronności, ale również nieznajomość zdrowej nauki Ko-

---

1) "Even bishops can be fools", jak powiedział wielki świętobliwy teolog Vincent McNabb, O.P. Wiedzą o tym dobrze katolicy wszystkich krajów.

ścioła o pokoju. Koadiutor kardynała Gerlier przechodzi do porządku zarówno nad tradycyjną nauką kościelną w sprawie wojny i pokoju, jako też nad pouczeniami Piusa XII, choć się na Papieża powołuje. Cytuje na poparcie swej tezy fragment jednego z orędzi obecnego Ojca św., ale i w tym fragmencie o czym innym mówi Papież i o czym innym jego glossator: Pius XII występuje przeciw wojnie agresyjnej, napastniczej, gdy francuski prélat przeciw każdej wojnie ofensywnej. Wojna napastnicza zaś i wojna ofensywna, oswobodzicielska na przykład, w żaden sposób nie są jednym i tym samym.

Jeśli by lyoński biskup zadał sobie trud przeczytania encyklik Piusa XII, jego 14 orędzi wigilijnych, niezliczonych allokucyj i przemówień, nie znajdzie nigdzie poparcia dla swej jednostronności. Albowiem Pius XII, który od początku swego pontyfikatu nie ustaje w nawoływaniu do pokoju "przez który nic się nie traci, gdy przez wojnę wszystko stracić można", nigdy nie mówił o pokoju "za wszelką cenę" — za cenę krzywdy, wyniszczenia, hańby, gwałtu nad sumieniami, za cenę nieludzkiej obojętności, która dla męki milionów posiada tylko płaskie slogany pacyfistyczne i ośmiela się nadużywać autorytetu Kościoła dla zasłony swej umysłowej lub moralnej nieodpowiedzialności. Gdy pod koniec 1947 roku "Osservatore Romano" napomykał o "pokoju za wszelką cenę", Ojciec św. przemawiając parę tygodni później, bo w Nowy Rok 1948, do korpusu dyplomatycznego, akredytowanego przy Stolicy św., bynajmniej nie był tego zdania. Powiedział, że za pokój warto zapłacić wiele "i jeszcze nie płaci się zbyt dużo", z czym zgodzi się każdy uczciwy człowiek. — Wiele, ale nie: wszystko.

Kiedy już mowa o "Osservatore Romano", na który powołuje się X. bp Ancel:

"Osservatore Romano" **nie** jest urzędowym organem Kościoła, nie jest nawet dobrze redagowanym dziennikiem katolickim. Są w nim wypowiedzi najsłuszniejsze w świecie, ale Duch św. nie oświeca jego redaktorów inaczej niż redaktorów innych pism. Jak innym, tak samo im udziela nader obficie uniwersalnego daru potwierdzania swego człowieczeństwa przez ten wysoce ludzki przywilej, jakim jest prawo popełniania omyłek w najlepszych intencjach.

Msgr Ancel cytuje wypowiedź dziennika watykańskiego[2]), że "Stolica św. nigdy nie pragnęła wojny i nigdy nie będzie jej pragnęła, nawet dla wyeliminowania niebezpieczeństwa komunistycznego", że "nawet w wypadku zwycięstwa sił antykomunistycznych Stolica św. nie spodziewa się stąd ochrony religii ani triumfu chrześcijaństwa, lecz, przeciwnie, wstrząsu dla wiary religijnej, zaprzeczenia Ewangelii, wzmocnienia ducha i sił antykatolickich".

Katolik podpisze się bez zastrzeżeń pod tą wypowiedzią. Nie żywi bowiem złudzeń, ile jest warta ewangelia, z którą by przy-

2) Z 24 czerwca 1951 r.

byli do naszej wierzącej części Europy, na miejsce materialistów sowieckich — materialiści znad obu brzegów Atlantyku. Ale narody Europy środkowo wschodniej oczekują nie nowej ewangelii, lecz wolności i nie liczą na apostolskie kwalifikacje dowódców wojskowych. To jedno.

A drugie: Stolica Apostolska nie może pragnąć wojny, wojna bowiem nie należy do jej środków działania. Nie żywimy sympatii do opatów, biskupów i papieży, którzy stawali na czele armij i prowadzili wojska do boju. Natomiast wojna, taka jest niestety rzeczywistość, może być moralnie godziwym środkiem dla państwa czy grupy państw, dla przywrócenia zburzonej sprawiedliwości, gdy wszystkie inne środki zawiodły. I to nie tylko wojna "obronna". I nawet — a twierdzi to obecny Papież — taka wojna może być "wojną popularną". I nie pomogą tu nic wszyscy pacyfiści świata, ponieważ nie jest to przesłanką teorii, lecz faktem rzeczywistości — gdy rozumiemy czym jest pokój w znaczeniu chrześcijańskim, a nie w interpretacji X. biskupa Ancel: — że wojna może a nieraz musi być narzędziem pokoju, jak bicz dwukrotnie użyty przez Chrystusa, był narzędziem przywrócenia porządku w domu Ojca.

Dobrze jest zaglądać do pisma watykańskiego, ale jeszcze lepiej do Pisma Świętego, zwłaszcza gdy się jest hierarchą katolickim.

W Ewangeliach zaś nie ma sloganów pacyfistycznych. A powiedzenie: "błogosławieni pokój czyniący" jest straszliwym powiedzeniem, które z pacyfizmu czyni jedną z najbardziej odrażających postaci antychrześcijaństwa.

Albowiem "beati pacifici" w zrozumieniu Ewangelii, błogosławieni pokój czyniący to są ci, którzy mają w nienawiści ojca swego, matkę swoją i braci swoich, którzy oddzielają "syna od ojca, i córkę od matki jej, i synową od świekry jej", którzy sprawiają, że "będą nieprzyjaciółmi człowieka domownicy jego", którzy wierzą słowom Chrystusa mówiącego: "Nie mniemajcie, że przyszedłem zsyłać pokój na ziemię: nie przyniosłem pokoju, ale miecz"[3]). I którzy pamiętają o Jego słowach: "Usłyszycie (...) o wojnach i wieściach wojennych. Baczcie, abyście się nie trwożyli, gdyż stać się to musi"[4]).

Dla chrześcijanina "bojowaniem jest żywot człowieka", a to bojowanie obejmuje także walkę orężną.

Nie zapomnę wrażenia paru słów wybitnego polskiego logisty, ucznia prof. Kotarbińskiego, konwertyty, usłyszanych w czasie największego natężenia walk bolszewicko-hitlerowskich. Zagadnięty któregoś dnia przeze mnie, nad czym tak intensywnie się zamyślił, odpowiedział:

— Myślę o tych tysiącach dusz, które w tej chwili idą prosto do nieba — z obu stron frontu. I proszę, aby modliły się za mnie...

3) Mat. 10, 34-36.
4) Mat. 24, 6.

A więc o duszach tych, którzy według nieodpowiedzialnego wyroku monsignora Ancel to tylko "criminels de guerre", zbrodniarze wojenni. "Z obu stron frontu"... A więc bezbożnicy po jednej i drugiej stronie, prześladowcy, ludzie obłąkani fałszywą wiarą, ale wierzący w nią z całej duszy, do zapłaty życiem za jej biedne prawdy. Cóż to za ilustracja do tego miejsca Sumy, gdzie św. Tomasz twierdzi, iż gdyby ktoś doszedł do przeświadczenia, że należy Chrystusa zwalczać, a nie postępowałby tak, **grzeszy** brakiem walki o swoje przekonania.

Pacyfizm ma różne oblicza. Jest sentymentalnym sekciarstwem kwakrów, mennonitów czy naszych "dwubożan". Jest formą strachu, który stroi się w frazeologię szlachetnego humanitaryzmu, będąc dla zdrowego człowieka bardziej niesympatyczny psychicznie, jako postawa, niż jawna brutalność. Jest obawą przed utratą stanu posiadania i trwającej wygody, a więc cynizmem w przybraniu etycznym. Jest obojętnością na jawną krzywdę i cierpienia, które wyniszczają naród czy grupę narodów, a więc filozofią zdrady naturalnej i nadprzyrodzonej jedności rodzaju ludzkiego. Jest słabością umysłową lub moralną, albo jednym i drugim. Najczęściej jednak pacyfizm jest mieszaniną wszystkich elementów: sentymentalnego sekciarstwa, strachu, umysłowej i moralnej nieodpowiedzialności. Nie potrafię sobie wyobrazić, aby katolik mógł być pacyfistą, bo nawet poświęcając się jak nasz Ojciec Kolbe, podejmuje chwałę samotnej walki z przemocą, a nie głosi rezygnacji przed nią.

Są okoliczności, że katolikowi nie wolno rezygnować nie tylko z walki, ale z odwetu. "Dobrzy znoszą dobrych, jeśli **w stosownej** mierze cierpią **własne** krzywdy; nie tolerują natomiast krzywd Boga i bliźniego", uczy św. Tomasz[5]), cytując św. Jana Chryzostoma: "Chwalebna to rzecz, jeśli kto jest cierpliwy dla własnych krzywd, ale pokrywać krzywdy Boskie — to wielka bezbożność".

Jakkolwiek wojna jest straszna i jakkolwiek błogosławiony, jest pokój, ani wojna nie jest dla katolika złem absolutnym, ani pokój nie jest dobrem bezwzględnym. I wojna i pokój podlegają rozumnej decyzji człowieka [6]). Chrystus, który zna naturę ludzką "i wszystko co jest w człowieku", mówiąc o wojnie i o pokoju, nie kwalifikuje ani wojny ani pokoju. Stwierdza tylko ich alternatywność w dziejach. Chrystus był jednak bardziej wyrozumiały od biskupa Ancel, bo nawet okupantów swej ziemskiej ojczyzny nie nazwał zbrodniarzami wojennymi. A jako patriota swego kraju, kochał go serdecznie, z miłością wskazując na kwiaty i zboża rodzinnej ziemi, wspominając jej wielkie postaci. A choć za Jego życia i aż do końca świata miało upaść wiele miast, być otoczonych wałem, ściśniętych zew-

---

5) S. Th. II-II ae, 108. Z niesłychanym pożytkiem świeccy i duchowni katolicy mogliby przeczytać tę kwestię św. Tomasza o odwecie.

6) Por. Łuk. 14, 31-32.

rząd, i choć z wielu stolic nie miało zostać kamienia na kamieniu, Jezus płakał tylko nad jedną z nich: swoją ojczystą Jeruzalem.

Ale nawet mówiąc o jej strasznym losie, nie skwalifikował Wespazjana i Tytusa słownictwem biskupa Ancel. Można nawet powiedzieć, że Bóg objawił przedziwną słabość do rzymskich agresorów: Oto po wszystkie czasy powtarza Kościół wzruszające słowa jednego z tych "criminels de guerre": "Domine, non sum dignus ut intres sub tectum meum...". Inny zbrodniarz wojenny stojąc pod krzyżem wydał najbardziej przejmujące świadectwo w dziejach, nie przewyższone przez nikogo, wznoszące się nawet ponad to, które wypowiedział Piotr na polu pod Cezareą Filipa: bo oto w oplwanym, skatowanym Przestępcy, zmarłym śmiercią tak haniebną, że jeszcze wieki całe będą się jej wstydzić wyznawcy, obywatele Romy — dojrzał Syna Bożego. Dla jeszcze innego zawieszony został Zakon i zaczęła się era Kościoła uniwersalnego, dla wszystkich ras i wszystkich kultur, a nie dla "wybranych".

Chrystus nigdzie nie potępił wojny jako wojny, ani nie wyrokował o tych, którzy wojnę prowadzą, choć nie powstrzymywał się od wyroku co do innych czynności ludzi — w rozmowie z Piłatem o nim i synedrium, w słowach o Judaszu, o postępowaniu Żydów, itd.

Jak Chrystus i Jego Ewangelia, tak i Kościół jest bowiem nieskończenie bardziej nieskończony, niż wszystkie formułki o nim, niż wszystkie idee, ideały i ideologie, które się nim legitymują. A kanonizując misjonarza, który poświęca życie **własne**, jak O. Damien, wynosi na ołtarze również wodza krucjaty, który poświęcał życie **cudze**, jak św. Ludwik IX, czy nawet cesarza jak św. Henryk II, który prowadził wojny nie tylko ofensywne, ale agresywne, napastnicze i to z całym prawdziwie germańskim "Einsatzem".

Nauki Kościoła, to nauki groźne, a każda z osobna zdolna jest zburzyć pozostałe, gdyby nie była tamowana nauką sobie przeciwną. Chrześcijaństwo jest zespołem przeciwieństw, complexio oppositorum, które tylko w nim żyją pogodzone, gdy poza nim chodząc luzem wstrząsają posadami świata w swym samotniczym szaleństwie: uniwersalność bez osobowości, autorytet bez wolności w komunizmie, wolność bez autorytetu w liberalizmie, zdanie się na wolę Bożą bez własnej aktywności w kwietyzmie, predestynacjonizm bez wolnej woli w kalwinizmie. Istnieje w nim litość i miłosierdzie, ale litość i miłosierdzie nie wyrodnieją w sentymentalizm, stykają się bowiem z nauką o surowości i karze. Łagodność i cnota przebaczenia nie stają się pobłażaniem dla zła, ponieważ chrześcijaństwo zna obowiązek gniewu. "Irasci est laudabile" — uczy św. Tomasz: "Gniew jest godzien pochwały", gdy jest usprawiedliwiony. "Nam si ira non fuerit, nec doctrina proficit, nec iudicia stant,

nec crimina compescuntur"[7]): "Gdybyśmy nie stosowali gniewu, nie byłoby ani postępu w nauce, ani sądy by się nie ostały, ani zbrodnie nie byłyby powściągane".

I wojna jest szczególnym przypadkiem gniewu, i może być sprawiedliwym ujęciem się za krzywdy Boskie i ludzkie. Nawet samo niebo poznało jej konieczność w wojnie duchów dobrych ze złymi. Jezus widział szatana spadającego jako błyskawica, a wszyscy, razem z X. Ancel prosimy jak najbardziej ofensywnie i z agresją św. Michała, "wodza niebieskich zastępów, aby mocą Bożą strącił do piekieł szatana i inne duchy złe, które po **tym** świecie na zgubę dusz ludzkich krążą".

Z całej duszy modlimy się z Kościołem: "A peste, fame, **bello** — libera nos, Domine": Od powietrza, głodu i **wojny** — wybaw nas, Panie. Ale spodobało się Opatrzności, aby właśnie Kościół skorzystał ze zwycięstwa przy moście Milwijskim, zwycięstwa w wojnie domowej, uważanej zawsze za szczególnie nieszczęsną i zbrodniczą — dla legalnego triumfu chrześcijaństwa w świecie! Może dla zawstydzenia interesownych pacyfistów, którzy stwarzają sobie Boga własnego, na swój sentymentalny obraz i na swoje uproszczone podobieństwo.

Czyż jest, czyż może być większy paradoks? — Ewangelia pokoju Księcia Pokoju — triumfuje w świecie, korzystając z wyniku wojny domowej dwu cezarów! A zarazem — jakże to wymowne ostrzeżenie dla chrześcijan, aby nie zaglądali zbytnio do kuchni Pana Bożej i nie narzucali drugim jako Bożych dróg — własnych ścieżyn, a własnych opinij — jako Bożych sądów.

Lew i jagnię, dziecię i bazyliszek — oto, jak widział żydowski prorok chrześcijaństwo. Zespół przeciwieństw. "Jam jest cichy i serca pokornego", ale i bicz w ręku i pochwała gwałtowników, którzy porywają królestwo niebieskie. "Błogosławieni" ale także "idźcie precz, przeklęci". "Chodźcie do Mnie wszyscy", ale również: "Nie znam was". "Jeśli cię uderzą w lewy policzek, nadstaw prawy", ale też: "Dlaczego mnie bijesz? Stosowanie wiatru do wełny jagnięcia, ale także inwektywy i przekleństwa.

Nie, chrześcijaństwo nie jest sentymentalne. Jest w nim miejsce na wszystko, łącznie z rzeczami, które X. biskup Ancel uważa za zbrodnie. "Pasterz chrześcijański — powiada Chesterton — nie wiódł stada owiec, ale tabun byków i tygrysów, groźnych ideałów i pożerczych doktryn, z których każda miała dość siły, aby stać się fałszywą religią i wyniszczyć świat".

Siłę fałszywej religii może przybrać również bluźniący chrześcijaństwu, rozumowi, historii i faktom dnia dzisiejszego paxizm, reprezentowany przez X. biskupa Ancel i jemu podobnych. Mówię: paxizm, a nie pacyfizm, bo w tym 'fizmie' jest przynajmniej ukryte słowo 'facere': działać coś dla pokoju,

7) St Th. II-II ae, 158, 1. Św. Tomasz cytuje tu św. Jana Złotoustego, za którym się opowiada, snując własne wymowne dowody za obowiązkiem gniewu.

gdy monsignor Ancel jest niemal prorokiem nieruchomej i niemoralnej religii niesprzeciwiania się złu bez względu na to, jak szatańskie oblicze może przyjmować.

Napisałem poprzednio, że francuski hierarcha odrzuca chrześcijańskie pojęcie pokoju. Są przynajmniej dwa pojęcia pokoju. Jeden — to po prostu "brak wojny", a więc stan, którego dziś nie ma nawet w Europie, a który X. Ancel podnosi do godności religii, chcąc jej bronić anathemami. Jest to negatywne pojęcie pokoju, zamykanie oczu i chrześcijańskiego sumienia na okrutną rzeczywistość; stan, którego Papież bynajmniej pokojem nie nazywa. Jako katolicy taki "pokój" odrzucamy. Dla nas, i dla wszystkich narodów z tej części Europy gdzie zachowała się jeszcze wiara chrześcijańska, propaganda za takim "pokojem" jest niemoralna, jest grzechem przeciwko Duchowi Św., bo rozmyślnym zaślepianiem rozumu i woli; jest materializmem, podnoszonym do roli religii, herezją najbardziej płaską z możliwych, bo bez męczenników i mistyki, bez nieba i piekła, cała uczepiona ziemi i błota. Jest czymś doprawdy tragicznym, że na taką herezję nawraca nas katolicki biskup, jakby potwierdzając sąd swego wielkiego rodaka, zmarłego arcybiskupa Paryża, kardynała Suhard, iż dzisiejszy świat zachodni jest tak dalece światem bez Boga, że nawet "ci, którzy chcą Mu być jeszcze najbliższymi przyjaciółmi, nie potrzebują Jego obecności"! Stworzyli sobie bowiem Boga własnego, "niebezpieczną i bluźnierczą karykaturę", Boga, którym się posługują, a nie Któremu służą, Boga, Który już przestał być przede wszystkim z tymi (według własnych słów), którzy cierpią i są prześladowani, a służy jedynie tym, którzy jeszcze są na powierzchni.

Jest jednak pokój zarówno w sensie stanu jak i budowy świata. Ład porządku równocześnie duchowego i fizycznego, nadprzyrodzonego i materialnego. Dar nieba, ogłoszony po raz pierwszy przez chóry anielskie nad polami Betlejem i obiecany tym, których Bóg umiłował: "Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój tym, na których spoczęło upodobanie Boże". Pokój, który jest spotkaniem nieba i ziemi, Boga i człowieka. Jest Łaską, a równocześnie trudem budowania ludzkiego. Jest kwiatem wartości rzędu duchowego, ale rośnie prosto z wysiłku człowieka wkorzenionego w Boga: jego gruntem jest według odwiecznej nauki Kościoła sprawiedliwość, a więc chrześcijański ład społeczny.

Jeśli w międzyczasie X. Ancel przeczytał ostatnie wigilijne orędzie Ojca św., zdołał się przekonać, że wołając, modląc się, zaklinając o pokój, mówiąc i pisząc o pokoju — ten właśnie pokój ma Papież na myśli, a nie, aby wojna nie dosięgła granic Francji.

Papieżowi i Kościołowi chodzi o ten pokój, który św. Augustyn, patrzący na barbarzyńców idących fala za falą na przegnile imperium zachodnie (jak na dzisiejszy przegniły Zachód),

nazwał "tranquilitas ordinis": ład, wynikający z uspokojenia; z pogodzenia przeciwnych interesów.

Mówiąc o tym pokoju do korpusu dyplomatycznego w dzień Nowego Roku 1951, Papież powiedział, że Rok Jubileuszowy był głośnym stwierdzeniem

"woli narodów jednomyślnie pragnącej pokoju, pokoju sprawiedliwego, wolnie zawartego, pokoju wolnego od wszelkich krzywdzących warunków, od wszelkiego nieznośnego ciężaru. **Tego** pokoju wszyscy oczekują, wszyscy pragną, o taki pokój wszyscy błagają. Wszyscy wypowiedzieli z jednaką energią i jasnością swój wstręt do wojny, swoje przekonanie, że wojna bardziej niż kiedykolwiek nie jest narzędziem właściwym do rozwiązania starć, do przywrócenia sprawiedliwości. Mogą to tylko zrobić układy wolnie i lojalnie przyjęte. Gdyby zaś mogła być mowa o wojnach popularnych — to znaczy o wojnach odpowiadających pragnieniom i woli ludności — mogłoby to być jedynie w wypadku krzywdy tak jawnej i tak niszczącej istotne dobra narodu, że wywołałaby ona odruch oburzenia w sumieniu całego narodu. Taką jest wola pokoju, wyrażona przez wszystkie narody w sposób niezaprzeczalny"...

Co by na to odpowiedział Msgr Ancel ze swoim domaganiem się potępienia i uznania za zbrodnię także "wojny popularnej", wojny przeciw krzywdzie jawnej i wyniszczającej istotne dobro wielu narodów?

Jeśli natomiast X. biskup sufragan lyoński jest zdania, że pogląd Papieża na pokój prawdziwy, dla którego utrwalenia albo przywrócenia może w rachubę wchodzić niestety i wojna — ma znaczenie dla wiernych i dla ich hierarchów; że Papież wyraża w dostatecznym stopniu prawowierność chrześcijańską, daleką od symplicystycznych uproszczeń — może uzupełni swoje stanowisko przekonaniem, że są rzeczy cenniejsze niż "pokój", że są zbrodnie nikczemniejsze niż wojna, że są uczucia świętsze niż strach wielu katolików, księży i biskupów francuskich przed wojną.

I że ponad indywidualne wyskoki sentymentalizmu i interesowności, ponad katolicyzm, "lepszy" od katolicyzmu Kościoła i troskę o świat troskliwszą od troski Opatrzności — istnieje rzecz daleko piękniejsza, choć groźniejsza, bardziej twórcza i natchniona, chociaż znacznie bardziej rewolucyjna i skomplikowana, łagodna jak Dziecko Betlejemskie, ale straszliwa jak Sąd: — prosta, zwyczajna prawowierność chrześcijańska.

Jan TOKARSKI.

Mieszaniec

Lata i lata zabiegałem o miłość Aleksandry — daremnie, zręcznie się wszystkim moim zabiegom miłosnym wymykała — wyszydzała wszystkie błagania, by została moją żoną — dlaczego? Bo czystej krwi jest Greczynką, a dla takiej małżeństwo z bratem — choćby przyrodnim tylko — to ohyda nad ohydami. "A Seleukidzi, a Ptolemajosowie? — wołałem: — czyż nie żenili się z rodzonymi nawet, nie tylko z przyrodnimi siostrami?" Daremne wołania! I daremne też okrzyki "Głupia jesteś"! — jakimi miażdżyć usiłowałem jej wywód, że wszak Ptolemajosowie, Seleukidzi i podobni to Makedończycy, nie Grecy. Bo głupota to w samej rzeczy takiego używać argumentu: na wschód od Hellespontu, a szczególnie od Orontesu już za pierwszych Seleukidów nie sposób było o jednych mówić: "To Makedończycy!", a "To Grecy!" o innych! A cóż dopiero w dwieście z górą lat po ostatnim Seleukidzie! Że jej ojciec to Grek z Aleksandrii koło Egiptu? Ale pod Ptolemajosami to samo było, co pod Seleukidami: ten a ten mówi i czyta i pisze po grecku, ćwiczy się nagi w gimnazjonie, szydzi z czci boskiej, kotom i krokodylom oddawanej — mówią więc o nim "To Grek". Ale mógł to równie dobrze być Makedończyk. Wszystko na nic — uparła się. "Mieszańcy nie wiedzą, co to wstręt czystej krwi do wszystkiego, co krwi tej jest obce".

— Krwi obce? Zwyczajom — chciałaś rzec!

— Więc to zwyczaj nakazał ci postrzelenie w pędzie Ardaszyra, który w ogóle nie miał pojęcia, iż w pędzie można z łuku do kogoś trafić?!

— Tyś mi nakazała.

— Odwołałam się do twej krwi. Bo jeśli to zwyczaj — daruj mój drogi: bardzo brzydki to zwyczaj zabijanie lub ranienie przeciwnika, gdy nie może on ciebie dosięgnąć.

— A włócznie miotane przez Achajów Homera?

Fragment powieści: Na tle stosunków, panujących na wschodnich krańcach imperium rzymskiego, autor przedstawia problem kształtowania się myśli chrześcijańskiej i dzieje Marcji, najukochańszej konkubiny, a potem morderczyni Komodusa (180-192), protektorki chrześcijan. Fragment niniejszy jest urywkiem pamiętnika Hozroesa, pół Greka, pół Parta krwi królewskiej, który pisał go, przebywając jako zakładnik w Aleksandrii.

— Trojanie mieli takie same.

— Jeśli tak, powinnaś była dopuścić, by Ardaszyr mnie zabił.

— I zakochać się obłędnie w zabitym? We wspomnieniu o tobie? O nie mój drogi — gdym krzyknęła ci: "Łuk Arsakido!" dwoista naraz olśniła mnie wiedza — i to radosna wiedza: z łuku zrobisz użytek i zrobisz niechybnie, po drugie: bez zastrzeżeń, bez żadnych już zastrzeżeń, będę tobą mogła już tylko pogardzać. Nie myliłam się".

Dałem za wygraną. Choć sądziłem, że się myliła. Że wcale mną nie pogardzała, przeciwnie, trwożyła się już, że to mogły nie być z mej strony żarty, gdym mawiał niekiedy: "Temu się sprzedam, kto wyprosi lub wykupi dla mnie Markię od Komodosa". Jakoże to był już czas wojny domowej: całego Nad-Królestwa wprawdzie nie była jeszcze objęła, ale Seleukia nad Tygrysem została już przyciśnięta do muru: nie mogła dłużej wymykać się konieczności dokonania wyboru między mym ojcem a młodszym z dziadów stryjecznych. Że zaś Grecy Seleukijscy jeszcze niejaką wówczas stanowili siłę — lub zręcznie umieli udawać, że stanowią — tak czy owak, obaj naraz królowie królów przypomnieli sobie, że istnieje Arsakida, półkrwi Grek. A co może ważniejsze jeszcze, jak żaden inny Arsakida, — rozmiłowany w tworach myśli greckiej i sztuki. Więc też niespodzianie opadli mnie posłańcy, posypały się na mnie listy: współzawodnicy — obaj naraz — ofiarowali mi godność Rozjemcy Nad-Królewskiego w sporach międzynarodowościowych; jeden odwoływał się do tak bliskich, tak bardzo bliskich związków krwi; drugi do mej troski o nienaruszalność swobody całkowitej w sprawach religijnych: "Ojca twego, zdrajcę nad zdrajcami, nie króla nad królami — pisał Balagases Trzeci — wspierają Magowie Elimaidy i Magowie Magów Persydy. Jeśli przemogą — biada nawet Żydom i czcicielom Nanai, a cóż dopiero chrześcijanom Dwurzecza i buddystom Draugiany! I Grekom biada! Zapamiętaj sobie to, Greku!"

Śmiałem się. Nie mogłem się nie śmiać. Bo wszak na cztery jeszcze lata przed wybuchem wojny domowej miałem zostać nie Sędzią rozjemczym samej Seleukii tylko, ale namiestnikiem całej Babilonii. Nie zostałem, bo z lat wygnania w Draugianie przywiozłem z sobą na zachód głębokie przeświadczenie, że nie tylko nigdy nie będzie żadnego przymierza z Chinami przeciw Kuszanom, ale by Draugianę ratować, by Persydę osłonić — na to jedna jest rada: z Kaisarem kuszańskim za wszelką cenę szukać zbliżenia! Nawet za cenę pogodzenia się z myślą, że dwaj mogą istnieć pod planetami Królowie Królów, i że zachodni z nich formalnie wyrzeknie się praw zwierzchnich nad Pięciorzeczem Indyjskim, które to prawa w rzeczywistości utracone zostały jeszcze przed stu z górą laty. A nawet nad Sakisteną, bo inaczej Draugiana też się stanie Sakisteną. Jakoże przez rok z górą zesłania w zamku granicznym na kresach Draugiany zrozumiałem, że ów zamek to już

nie przeciw Kuszanom strażnica, tylko znów — jak dwa wieki przedtem — przeciw Siakom. Lennicy Arsakidy i lennicy Basudebasa wyciągnęli ku sobie ręce ponad wielkim jeziorem i ponad wieżami zamku, wspierając się wzajemnie w zagonach: i ku Persydzie i ku Indiom. Hasło padło od wschodu: "Ni myśmy Kuszanami, ni wyście Partami — wszyscyśmy Siakami!" O haśle tym przed mym powrotem nic nie wiedziano ani w Ktezyfonie, ani w Suzie elimajskiej — tu i tam bełkotano o zakusach Kuszanów na Draugianę, ba, na Persydę. O Feniksie natomiast, co wstawał z popiołu: Siakach, — nic. Albo tyle, co nic: bo, owszem, śląc mnie na wygnanie, ojciec takie wśród innych dał zlecenie: "Kuszanów, gdy będą przed Chińczykami uciekali jeziorem na zachód, do zamku nie wpuszczaj. Ale Siaków możesz — biedacy! Nigdy im już kły ni pazury nie odrosną!"

Odrosły. A o Chińczykach nie tylko w Sakistenie — w Kapisie nie słychać. Choć sam Uasiszka — Basudebas już z zapałem byłby ich tam witał, jak przed dwoma i pół wiekami Hermajos Helioklida. Gdym wieści te przywiózł nad Tygrys — moi bracia przyrodni w krzyk: "Każdy Grek to zdrajca w służbie bądź rzymskiego Kaisara, bądź kuszańskiego". Może nawet w dobrej wierze krzyczeli — wciąż im się majaczyło przymierze z Chińczykami przeciw Uasiszce; powstanie żydowskie i syryjskie przeciw Rzymowi. W dobrej jednak wierze czy złej, porwali mi tuż sprzed nosa namiestnictwo Babilonii. Gdy zaś matka jęła zabiegać, bym na pocieszenie dostał samą Seleukię nad Tygrysem chociażby, czyli właśnie rozjemstwo w sprawach międzynarodowościowych — za sam pomysł zagrożono jej, że nie dostanie pieniędzy na odbudowę Uranionu Seleukosa Matematyka. Przeraziła się. Poniechała zabiegów — wręcz się mnie wyparła.

I oto rozjemstwo samo do mnie przybiegło — samo, wezwaniami, zaklęciami wręcz dwu naraz braci Słońca i Księżyca — dopraszało się gorąco, bym raczył je wziąć w posiadanie. Jakżeż więc miałbym się nie śmiać? I jakżebym nie miał sobie pomyśleć: niech wojna domowa potrwa rok jeszcze, a Seleukia tymczasem dokończy odbudowy murów — jakąkolwiek wymienię cenę, nie wyda się za wysoka?! Wówczas to przyszło mi na myśl: oto sposobność by ciebie dostać, Markio!

Oczywiście, żadna to była sposobność. Blisko rok jednak mogłem żyć złudzeniami, i one to wykrzesały ze mnie i chęć i zdolność działania, jakich ja sam, ani nikt we mnie się nie domyślał, nawet nie podejrzewał. Co zaś szczególnie było niezwykłe, to zasadnicza zmiana w stosunkach między Aleksandrą a mną; na czas jakiś — właśnie na rok niespełna — zdołałem całkowicie wolę jej podporządkować swojej. Ona która twierdziła, że mną gardzi, bez sprzeciwu najmniejszego, bez szemrania, nawet bez zwykłych kpin z moich pomysłów — wykonywała o cokolwiek ją najpierw prosiłem, potem jej zle-

całem, wreszcie czegokolwiek żądałem. Nie musiałem, zresztą ze szczegółowymi zwracać się do niej prośbami, zleceniami, żądaniami; wystarczyło na przykład wyrazić tylko domysł, że jeśli odbudowa murów Seleukii nie zostanie przyśpieszona, stronnicy mego ojca, wypierani z Ktezyfonu, przemocą utorują sobie drogę najpierw na przesmyki i tamy, dzielące Tygrys od jeziora, co przepoławia Seleukię, a z jeziora już łatwo w samo serce miasta — wystarczyło, powtarzam, domysł tylko taki wyrazić a w miesiąc później do Charaksu, gdziem w cieniu wciąż jeszcze zachowującego neutralność dworu tamtejszego był przycupnął, — docierała wiadomość, że w Seleukijskiej Radzie Trzystu toczy się od niedawna zażarta walka o dalsze podatki na przyśpieszenie odbudowy murów. Albo, że czciciele Atargatydy, wyparłszy Żydów, zwolenników mego ojca, na północny brzeg jeziora, na własną rękę, nie czekając na wynik sporów Rady Trzystu, obwarowują dostęp do jeziora od strony Tygrysu. Zrazu brałem te nowiny za zbieżność tylko rozumowania własnego z domysłami i pomysłami przywódców tej czy innej grupy bądź narodowościowej, bądź religijnej, bądź zawodowej wśród Seleukijczyków; ze zbieżności tej ciesząc się, oczywiście, tak samo, jak byłbym się cieszył rok, dwa czy trzy przedtem na wiadomość, że ktoś — choćby nawet ojciec Racheli Eratony lub jego bezpośredni Pan lenny — próbuje obudzić bądź mego ojca, bądź Balagasesa Trzeciego ze słodkich snów o możliwości przymierza z Chinami, względnie usiłuje bądź temu, bądź tamtemu wytłumaczyć naglącą konieczność porozumienia się z Uasiszką przeciw Siakom. Niebawem jednak zacząłem uprzytamniać sobie, że to, co się dzieje w Seleukii, nie jest zbieżnością z moim rozumowaniem, tylko jego następstwem.

Postanowiłem sprawdzić, jak dalece mam słuszność: oświadczyłem Aleksandrze, że Seleukijczycy mogliby spróbować układów z królem Charakeny, jako z kimś sobie równym; gdyby nawet z układów tych nic nie miało wyniknąć, zaszczyt wpadnięcia na pomysł, że w wojnie domowej znaczyć by coś mogła trzecia jeszcze siła — będzie się bezspornie należał Seleukii. Na zatroskane zaś dopytywania się Aleksandry, czy wiadomość o samej próbie podjęcia takich układów nie skłoni mego ojca do kroku rozpaczliwego wprawdzie, ale logicznego, mianowicie do uderzenia na Seleukię — na dopytywania się te, o Markio, jedną miałem odpowiedź: uśmiech. Balagases Trzeci bowiem znów już miał w ręku nie tylko obie Medie, ale połowę ojcowskiego królestwa: całą Elimaidę na zachód od Suzy. Że tam się właśnie umocnił, dowodziło tylko, że nie zramolał bynajmniej tak, jak to o nim stronnicy ojca głosili: odcięty od najżarliwszych swych zwolenników, wepchnięty w mniej jeszcze jemu przyjazne, niż jego przeciwnikowi Dwurzecze — ojciec, jeśli o cokolwiek do kogokolwiek wznosił jakiekolwiek modły, to o to w pierwszej mierze, by popędliwość Żydów lub

ciasnota myślowa Magów nie wywołały przez nadmiar gorliwości dla jego sprawy jakichś rozruchów w miastach Dwurzecza. W tym bowiem razie — mówiłem — a raczej wołałem, podniecony napięciem, z jakim Aleksandra słuchała każdego mego słowa: — w tym razie ojciec musiałby bądź pozostawić Żydów i czcicieli Mazdasa własnym ich siłom, co oczywiście, jak najgorsze byłoby wywołało wrażenie i w Persydzie i w Adiabenie, najpotężniejszych podporach buntu — bądź też gorliwców wesprzeć, co by nieuchronnie pociągnęło za sobą nie tylko przewlekłe a zacięte walki uliczne w kilkunastu albo i kilkudziesięciu miastach, ale i rozproszenie tej siły wojskowej, którą przed kilkoma miesiącami z takim trudem ojciec mój ściągnął był, skąd się tylko dało, na szlak, broniący dostępu do Ktezyfonu od zjazdów i z Medii i z Elimaidy. W walnej bowiem bitwie, szczególnie na równinie już, o Tygrys wspartej, ojciec musiał nieuchronnie swego stryja zwyciężyć — wszak miał u swego boku trzy czwarte całego rycerstwa ciężkozbrojnego, na wystawienie jakiego w owym czasie stać było zachód i południe Nad-Królestwa. Nieuchronność przecie tego zwycięstwa warunkowało trwanie spokoju na tyłach: miasta i szczepy Dwurzecza powinny były w doskonałej bierności oczekiwać wyniku walnej bitwy, czujność wysiloną nakazując jedynie zarządowi mennicy seleukijskiej. Zanim bowiem zajdzie jeszcze słońce na zasianym trupami ludzi, koni i wielbłądów pobojowisku — dobrze opłaceni wywiadowcy z ramienia mennicy będą musieli zasygnalizować odpowiednią liczbą stosów płonących najpierw kolejno sobie ,wreszcie strażnikom na wieżach mennicy, należy czy nie należy przystąpić do gorliwej pracy nad zmianą wyglądu profilów na czwór-drachmach, drachmach i miedziakach, sławiących bardzo, albo bardzo już lichą greką Króla Królów, Arsakesa, Greków właśnie Przyjaciela — a tak czy owak Balagasesa. Po czym Rada Starców w najuroczystszych strojach i świeżych wieńcach wypłynie pod żaglami purpurowymi na Tygrys, by ze zwróconymi ku Ktezyfonowi, opromienionymi radością, szczęściem wręcz, twarzami wypatrywać ukazania się Zwycięzcy, Zdobywcy Miast, Zbawiciela, znowuż Przyjaciela Greków — Balagasesa; oczywiście radość, szczęście wręcz szybko by się przemieniły w boleść, żałobę, gdyby miało się okazać, że — na skutek pomyłki przy sygnalizowaniu ogniami — twarz która mrok i chłód w duszach Starców Seleukii oświecić miała jaśniej niż słońce i cieplej niż słońce ogrzać — nie okaże się tą twarzą, której wybitnie nieudolna podobizna zdobi złoto i srebro, wypychające worki z darami szczerej radości. Która to pomyłka, zresztą, nie zrobi bynajmniej ze Starców tematu dla tragedii; najwyżej rysownicy mennicy nową będą mieli robotę — ładownicy i tragarze również. Ci, zresztą — nie tylko nową, ale udziesięciokrotnioną. Worki bowiem z darami radości tym razem będą i cięższe i liczniejsze. Niejeden załamie się pod ni-

mi grzbiet. Trudno — ofiara to i greckiej też krwi na ołtarzu dobrej sprawy. Słusznej sprawy. Jedynie słusznej. Niezaprzeczenie słusznej sprawy, która jaśniej, niż słońce i niż słońce cieplej...

— Podły jesteś! — przerwała mi, łkając już niemal Aleksandra. Nazajutrz znikła z Charaksu. W trzy tygodnie zaś później król Charakeny wysłuchał — z wielką uwagą, choć i z wyraźnym zakłopotaniem — czternastu przemówień na temat, że w wojnie domowej znaczyć też może, ba, nawet musi trzecia również siła. Co tę siłę wykrzesze? Związek wolnych królestw i wolnych miast.

A więc — ponad wszelką wątpliwość — sprawdziłem. To nie była zbieżność poglądów, tylko moje działanie. Szczerze się zdumiewałem. Więc tak łatwo jest działać? Nie mogłem w to uwierzyć. A może nie chciałem? Tak czy owak, postanowiłem siebie przekonać, że się do działania — wbrew wszelkim pozorom — nie nadaję. W tym to celu razem z wracającymi do Seleukii wysłannikami Rady Trzystu posłałem Aleksandrze Ardaszyra z najbardziej chyba zdumiewającym listem, jaki kiedykolwiek płynął przeciw prądowi Tygrysu. Z trudem bowiem wygrzebałem z tajników pamięci kilkadziesiąt słów siackich, jakich byliśmy się nauczyli na zesłaniu; z tych kilkudziesięciu wybrałem siedem i brzmienie ich przeniosłem na pergamin łacińskimi literami. Ardaszyrowi poleciłem udawać Rzymianina. Byłem pewien, że ni list ni sam Ardaszyr do Seleukii nigdy nie dotrą. Znów się myliłem: na tydzień przed walną bitwą, która wedle powszechnego mniemania rozstrzygnąć miała losy wojny domowej, złączone w rzadkiej zgodzie Rady seleukijskie zawiadomiły ojca o zakończeniu odbudowy murów, jednocześnie prosząc go najuprzejmiej, by raczył wycofać z Seleukii zarówno dostojną osobę, jak i cały urząd swego namiestnika na Babilonię. Wpadł w gniew, miotał obelgi i groźby — poprosił jednak o dzień do namysłu. Przez całą następną noc poufni agenci jego, a i agenci też Rad w podnieceniu krążyli między Seleukią a Ktezyfonem — kilku z nich nawet w ciemnościach wpadło bądź do Tygrysu, bądź do jeziora — utonął przecież tylko jeden: ten, który uzgadniał miejsce i czas rozmowy między moim ojcem a Aleksandrą. Czy rozmowa ta w ogóle się odbyła, po dziś dzień nie wiem — tak przecież czy owak, następnego dnia rano zjawili się w Radzie Trzystu ojciec Aleksandry i ojciec Racheli Eratony, zapytując w imieniu Balagasesa Czwartego, czy obstawaliby Seleukijczycy przy swym wczorajszym żądaniu, gdyby Brat Słońca i Księżyca mnie mianował namiestnikiem Babilonii. Z kolei Rady zażądały dnia do namysłu — potem drugiego dnia i trzeciego. Tymczasem Balagases Trzeci znacznie bliższy już był Tygrysu, niż zjazdu z Elimaidy. Ja zaś ani podejrzewając, co mi Aleksandra szykuje, niecierpliwie wypatrywałem bądź powrotu Ardaszyra z połowy drogi, bądź wiadomości, że Rady nie tylko nie zażądały od

mego ojca wycofania namiestnika, ale że nikt z członków tej Rady czy tamtej nie odważył się z takim wnioskiem wystąpić, bojąc się chociażby ośmieszenia.

Ale Ardaszyr wrócił a z nim Aleksandra. Ledwie otworzyli usta, wiedziałem: jeśli tylko zechcesz, Markio, bez żadnych już przeszkód będziesz mogła mi rzec zwyczajem swej rasy: "Gdzie ty Gaios tam ja Gaja". Oto bowiem, wbrew powszechnemu oczekiwaniu, ojciec mój nie dał pola swemu stryjowi; więcej jeszcze: nawet nie próbując bronić Ktezyfonu, ruszył z całym swym wojskiem w górę Tygrysu — najpewniej aż ku Adiabenie. Właśnie z całym — i to było bodajże najdziwniejsze: raczej należało się spodziewać, że większość zwolenników odpadnie od jego sprawy, jako beznadziejnej. Tymczasem nie odpadł prawie nikt — przeciwnie, opuścił Babilonię może jeszcze mocniejszy, niż był gdy szykował się do walnej bitwy — jako że pociągnęło za nim prawie całe, zdolne dosiąść konia lub wielbłąda, ziemiaństwo żydowskie satrapii. "Wrócimy — mówili na odchodnem — biada Grekom czy Chaldejczykom, jeśli tkną tych naszych, których zostawiamy". "Nie wrócicie" — szydzili tamci, ale bez wielkiego najwidoczniej przekonania, jako że nieco później, gdy Hyrkani i Tapurowie Balagasesa Trzeciego próbowali nalotów karnych na oazy czcicieli Jehowy, zastawali je prawie zawsze opustoszałe; to wszystko bowiem co z Żydów nie poszło było na północ z mym ojcem, chroniło się zawczasu po miastach, które — samej Seleukii nie wyłączając — tym razem nie odmawiały przeważnie zbiegom schronu wewnątrz murów — najwyżej zastrzegały sobie prawo do odpłaty, bądź w pieniądzach, bądź w pracy na rzecz potrzeb miasta. Najczęściej zaś żądały wmurowywania tablic dziękczynnych. O czym, oczywiście, doskonale wiedziano, zarówno w Ktesyfonie jak i we wszystkich obozach podmiejskich, którymi Balagases Trzeci gęsto obsiał odzyskaną Babilonię. Ale mimo, że wiedziano, prawie nigdzie nie miały miejsca wrogie wystąpienia, czy choćby tylko zaczepki obozów w stosunku do miast. Najwyżej przechwytywano zbiegów z oaz, nim do murów miejskich dopadli, ale też takim łowom miasta nie przeszkadzały — na przykład nie przeszkodzili Artemijczycy Tapurom w zamordowaniu tuż pod samą bramą nowego teścia Racheli Eratony. Tego jednak mordu i Artemita, i pobliski obóz mocno miały pożałować: sami Towarzysze Króla Królów zjechali z Ktesyfonu, by Tapurów zdziesiątkować, na miasto zaś nałożyć wysokie odszkodowanie pieniężne. Jedno i drugie motywowano powinowactwem zamordowanego ze mną, a więc też ze Słońcem i Księżycem; nie pomogły tłumaczenia, że przy łowach i rzeziach tego rodzaju nie sposób wiedzieć, kim jest ten czy tamten z przechwytywanych, a tym mniej znać jego związki powinowactwa. Ja osobiście byłem zdania, że to nie tyle o mocno, zresztą, wątpliwe powinowactwo ze mną tu chodziło, ile o zbieżność następujących dwu okolicz-

ności: po pierwsze zarówno drugi mąż Racheli, jak oczywiście i jej ojciec należeli do najbliższego otoczenia mego ojca; po drugie, Towarzysze Króla Królów to wszak Partowie krwi tak prawie dostojnej, jak Arsakijska: sami prawie Karenowie, Geupatrani, Miranowie, oraz bliscy krewni tychże. Rycerz zaś rdzennie partyjski, o Markio, szczególnie możnowładca brzydzi się rozlewem krwi innych możnych, gdy nie grozi mu z ich strony doraźne a nieuchronne niebezpieczeństwo osobiste — w każdym innym wypadku woli żywego jeńca, a potem okup, niż krew. Za teścia zaś Racheli nie tylko jego rodzina, ale mój ojciec z własnej skrzyni każdy żądany byłby dał okup. I właśnie, równowartość domniemanej wysokości takiego okupu miała Artemita Karenom i Geupatranom wypłacić — czemu się jednak częściowo wymknęła: rzuciła bowiem do stóp Balagasesa Trzeciego liczne poselstwo, błagające o wzięcie ich ojczyzny pod bezpośrednią opiekę Króla Królów. Było to wielkiej miary osiągnięcie: oto jedno z miast, ongiś czysto greckich, a wciąż jeszcze prawem macedońskim rządzących się — i to miasto, jedno z trzech, czterech najmożniejszych — podejmowało ryzyko niedwuznacznego opowiedzenia się po stronie jednego ze współzawodników w wojnie domowej. Mógłby to być przykład, za którym by inne poszły miasta — mniej znaczące. Dziad stryjeczny w lot dostrzegł doniosłość przypadkowo powstałej sytuacji — udobruchał swych Towarzyszy — Artemita mogła odetchnąć swobodniej. Musiała, oczywiście, na własny koszt utrzymać przedstawiciela nad-królewskiego i jego urząd, niemal dwór. Utrzymanie zostało wyznaczone wręcz królewskie. Pod jednym, jedynym przecież warunkiem: przedstawicielem Króla Królów mam być ja.

Było to znacznie mniej niż namiestnictwo Babilonii — ale nawet Aleksandra była zdania, że jako bądź co bądź syn rodzony przywódcy buntu, przynajmniej, jak na razie i w Babilonii, nieudanego — nie mógłbym się spodziewać z rąk Balagasesa Trzeciego namiestnictwa w satrapii tuż przecież pod bokiem stolicy zimowej Króla Królów, a więc jednej z trzech czy nawet dwu tylko — najdostojniejszych w całym Nad-Królestwie. Gdyby nawet sam mój dziad stryjeczny nie miał tego rodzaju zastrzeżeń — wysunęliby je i zacięcie przy nich obstawali Karenowie, Miranowie, w ogóle Towarzysze, którzy, oczywiście, mnie nieodwołalnie utrąciwszy z kolei sobie wzajem, wydzierać mieli to samo właśnie namiestnictwo. Ale wciąż jeszcze miałem możność wyboru: Rozjemstwo w Seleukii lub Przedstawicielstwo w Artemicie. Na rzecz każdej z tych możliwości Aleksandra miała odpowiedni cytat: za Seleukią więc opowiadał się w moim imieniu cień Achillesa, przekonywujący Odyseosa, że łepiej być świniopasem wśród żyjących, niż królem zmarłych; Artemitę natomiast byłby wybrał niewątpliwie pierwszy z Kaisarów rzymskich Gaios Julios skoro był

przecież oświadczył, że woli być pierwszym w Galii niż drugim w Rzymie.

Ten drugi cytat mnie zdumiał, oszołomił wręcz. Zrozumiałem go nawet bez trudu — wszak jednym z warunków, na jakich moja matka zgadzała się poślubić późniejszego ojca Aleksandry, było wzięcie przezeń na się zobowiązania, że po pierwsze, przeleje na mnie całą, ale to całą, władzę swą Greka aleksandryjskiego — po drugie, nauczy mnie czytać po łacinie, dopilnowując jednakże bym nigdy nie czytał niczego poza DE RERUM NATURA Karosa. Tych dzieci natomiast, jakieby z nim ona miała, w ogóle po łacinie nie miał uczyć. Oczywiście, nie sposób było uchronić, aby Aleksandra, podrastając, czegoś — uchem przynajmniej — nie była pochwyciła z lekcyj jej ojca ze mną; im jednak była starsza, tym wyraźniej przebijała z niej wrogość do wszystkiego co rzymskie; miewając nawet sposobność czytania po łacinie, nigdy — i to świadomie — z niej nie korzystała. Nie dziw więc, że tak mnie zaskoczył, oszołomił wręcz w jej ustach cytat z Juliosa Kaisara. "Ojciec twój jednak to wszechstronny zupełnie wiarołomca" — rzekłem z uśmiechem.

Nie uraziła się — tym razem przynajmniej, jakoże kiedy indziej godzinami umiała odpierać każdą moją uszczypliwość na ten temat żarliwości pełnymi wywodami, że Rzymian, każdy, ale to każdy Grek, ma prawo, wręcz obowiązek zdradzić na rzecz Partów nawet. Poza tym zaś, ojciec jej nigdy nikomu wiary nie łamał — nikomu, nawet agentom handlowym władcy Chin. Nie dziw więc, że nie mogłem sobie tym razem odmówić przyjemności wytknięcia jej, że skoro ona Juliosa Kaisara zdolna jest cytować, oczywisty to dowód, iż ojciec jej nie dochował jednego z najważniejszych zobowiązań wziętych na się przy podpisywaniu umowy ślubnej.

— Ależ ja to nie od niego wiem.

Jeszcze mocniej się dziwiłem — Aleksandra nigdy nie kłamała, najdosłowniej: nigdy.

— Od kogóż więc?

Skinięciem głowy wskazała na Ardaszyra.

Choćbym nawet nie chciał, wypadało się zaśmiać. Stałem bowiem w obliczu dwu możliwości: zachować się jednak musiałem tak, jak gdybym drugiej z nich w ogóle nie brał pod uwagę. Mógł więc to być ze strony Aleksandry żart — a czym żart różni się od kłamstwa? Tym oczywiście, że mówiący jest głęboko przekonany, że ani przez chwilę, przez ułamek chwili nawet ci, co go słuchają, nie wezmą jego słów za prawdę i na dowód że nie biorą, natychmiast śmieją się. Na mijanie się z prawdą, tak pojęte, Aleksandra sobie wcale często pozwalała, ale jeśli śmiech słuchacza przychodził odrobinę choćby później, niż tego oczekiwała — wyrządzało się jej tym opóźnieniem ogromną krzywdę, zaczynała bowiem posądzać siebie o ukrytą skłonność do świadomego wprowadzania innych w

błąd, lub też o bezwiedne, tym niemniej występne, szkodzenie im w drodze wywoływania nieporozumień, za które najwidoczniej ponosiła odpowiedzialność jej niezdolność — aż dotąd przez nią samą niespostrzeżona, nie przeczuwana nawet — do ścisłego wyrażania się tak, jak była zamierzyła. Gdybym więc się nie był po jej skinięciu głową w stronę Ardaszyra zaśmiał natychmiast, ale to właśnie natychmiast, jeśli był to żart — przyprawiłbym ją o chwilę, krótką choćby nawet tylko chwilę cierpienia — uważałem zaś, że choćby miała to być chwila, najkrótsza z możliwych krótkich, obowiązkiem moim było chwili takiej jej oszczędzić — szczególnie wówczas, gdy dopiero była wróciła z pełnej trudów a i niebezpieczeństw też wyprawy, której cały sens sprowadzał się przecież do oblekania moich słów w ciało spraw, co się naprawdę stawały i działy, rzucanych przeze mnie bez wysiłku żadnego, beztrosko wręcz słów. Właśnie: moich słów. Czyż wolno mi więc było wyrządzić jej najmniejszą choćby krzywdę?!

Ale ten sam wzgląd nakazywał mi tak samo zaraz, natychmiast się zaśmiać, gdyby to jednak nie był żart — gdyby w czasie wyprawy, z której dopiero była wróciła, zajść miało coś, co przełamało, zdławiło, zniweczyło jej dawną odrazę do kłamstwa. A cokolwiek by to było — znowuż wiązało się jak najściślej z sensem istotnym tej wyprawy: z zabiegami jej o to, by słowo — moje słowo, właśnie moje — ciałem się było stało. Jeśli więc chce i może kłamać, czy też nie chce a musi — tak czy owak, moje to dzieło, choćby dzieło tylko właśnie, nie wina; za swe zaś dzieło ja tylko sam winienem ponosić odpowiedzialność: pełną odpowiedzialność, której odrobiną chociażby nie mam prawa Aleksandry obciążać. A gdybym się nie był zaśmiał natychmiast i to dokładnie tak, jakem zwykł z jej żartów się śmiać — byłoby to już obciążanie jej, przerzut odpowiedzialności na nią, odmowa pokrycia kosztów jej wyprawy. Wyprawy podjętej dla mnie przecież. Właśnie by mnie zrobić ze słowa ciałem! Prawdziwym ciałem, prawdziwie żyjącym — dopiero teraz! Bo wszak życie to działanie! Więc się śmiałem. Niedługo przecież. Na nowe skinięcie Aleksandry Ardaszyr słowo w słowo powtórzył po łacinie, że lepiej być pierwszym w Galii niż drugim w Rzymie! Co więcej: jego łacina bliższa była brzmieniu dźwięków w ustach tego czy owego z nielicznych znanych mi Rzymian, niż wymowa Aleksandry, a bodajże nawet niż jej ojca. Przez chwilę zdawało mi się, że śnię — wnet zaś potem przyszło mi na myśl, że matka jednak bądź zwiodła mnie, bądź bezwiednie skrzywdziła, wpajając mi zawsze, od niemowlęctwa prawie, iż czy cuda, czy czary to tylko wymysł zręczny słabych do takiej lub owakiej obrony przed silnymi. Prawie nie zdając sobie sprawy, co mówię drżącym — ponad wszelką wątpliwość — drżącym prawie już w bełkot przechodzącym głosem niby nakazałem Ardaszyrowi, a w istocie go-

rąco, pokornie wręcz go poprosiłem: "Powiedz jeszcze coś po łacinie".

Powiedział. Nawet długo wcale mówił. O tym, że cła partyjskie, to zdzierstwo, za które kolejnemu Królowi Królów odcina się po śmierci powieki. Że gdyby to Juliosa Kaisara, nie Likiniosa Krasosa, miał przeciw sobie Surenas, policzki malujący, nie byłaby zaistniała CLADES CARRHENSIS i Helioklidzi po dziś dzień byliby rządzili na pograniczu Baktrii i Pięciorzecza Indyjskiego, a może by nawet w cieniu liter S.P.Q.R. i nad Ganges szlakiem Eutydemidów byli zaszli. I że to nieprawda, jakoby Urania — owa z czasów pierwszego Augusta — była rodem z Anagnii — Italijka bowiem raczej własną byłaby się przebiła ręką, niżby poślubiła rodzonego syna. A i to także nieprawda, że Lukios VERUS i Kasjos zdradziecko byli wpadli FERRO IGNIQUE na Greków w Seleukii nad Tygrysem — przeciwnie: Seleukijczycy otworzyli bramy, zaprosili Rzymian do miasta, po czym pierwszą COHORTEM jaka w mury była weszła, podstępnie co do nogi wymordowali.

Gestów obronnych przeciw czarom znałem wiele. Nie dziw — tyle świata wszak byłem przewędrował. Nie jedno też musiałem słyszeć zaklęcie słowne — przeciw łacinie jednak Ardaszyra jedno, jedyne tylko zdołałem wygrzebać z pamięci. Wymówiłem je pospiesznie z towarzyszeniem, oczywiście, tego z kilkunastu znanych sobie gestów, które temu i to tylko temu zaklęciu odpowiadało. Ardaszyr słuchał mnie, patrzył na mnie z pobłażliwym uśmiechem; Aleksandra tak, jak raz — pamiętam — pod Barygazą wpatrywała się w węża-olbrzyma, dławiącego panterę. Gdym jednak całe wypowiedział zaklęcie, na wpół ze zniecierpliwieniem, na wpół ze wzgardą już — choć wciąż jeszcze bardzo blada — wyrzuciła z siebie: "Cóż to za nonsens: Syn Boży Zbawiciel? Bóg to duch, a duchy dzieci nie rodzą". Po czym dodała: "Ktoś ciebie zwiódł. Spróbuj inaczej. Powiedz: Błysk Boży, Słowo Boże, Wiedza Boska, nie Syn".

Oszołomiony, powiedziałem. Już choćby dlatego, iż poprzednie zaklęcie wcale nie zatamowało potoku łaciny, tryskającego z ust dziecięcia Persydy. Ale nie zatamowało i drugie. Wówczas oprzytomniałem. I w lot ogarnął mnie wstyd. Otom nie tylko sam spadł na chwilę do rzędu tych, w których nieznużenie wali błyskawicami słów i grzmotami śmiechu jedyny Grek, dla poznania którego usiłowałem — bezskutecznie niestety — w najwcześniejszej młodości przekraść się w cień liter S.P.Q.R. i rózeg LICTORUM. Nie, ponadto zdradziłem się, jako nieuważny, lub bezmyślny tego Lukianosa z Samosaty czytelnik, a więc jako wielbiciel, którego by się wyparł, miał prawo się wyprzeć: przecież wyraźnie, ale to najzupełniej wyraźnie w jednym z najwspanialszych ustępów bezlitosnej chłosty słownej, jaką wymierzył największy szyderca moich czasów, a może i wszystkich czasów, największemu lat mej młodości szalbierzowi — wyraźnie stoi, powtarzam, że zanim Aleksander, ów szalbierz

nad szalbierzami, zabrał się do wyczyniania sztuk, teatrzyku godnych, jakie zwał bądź cudami, bądź czarami — zawołał potężnym głosem, bojąc się rzecz jasna zdemaskowania: "Oddalcie się, o bezbożni: epikurejczycy i chrześcijanie!" A ja, istotnie przez kogoś zwiedziony lub też czegoś nie zrozumiawszy należycie, taką tu wyrządzam chrześcijanom, towarzyszom Lukianosa w służbie Wielkiego Śmiechu krzywdę! I boga ich, który przecież niczym mi nigdy nie zawinił, znieważam lub chociażby smucę, wzywając jego imienia do pomocy przeciw wrogowi, który nie istnieje! Dziecko, kury bojące się, nie tak znieważa rycerza ciężkozbrojnego, wzywając go przeciw kurze tej ku pomocy. Bo zawsze kura to więcej niż nic. A czary to nic — niczemu zaś, co czymś być próbuje, jedno się tylko należy: śmiech. Daruj, o, daruj mi Lukianosie! I ty daruj, ukrzyżowany, który jesteś bogiem, choćbyś nim pierwej nie był: jesteś od chwili, gdy ktoś pierwszy na śmierć poszedł za swe przekonanie, żeś bogiem.

Tyle czasu od owej ostatniej mej nocy w Charaksie upłynęło, Markio, że znowuż obowiązkiem mym jest zastrzec się, iż to, com tu przed chwilą napisał, może nie być dokładnym oddaniem myśli co mną targały, gdym słyszał łacinę Ardaszyra, wcale przez zaklęcia niestłumioną. Ale więksi — i to o ileż więksi ode mnie! — robią to samo. Powiesz, że nie to samo? Że oni słowa tylko, rzekomo wypowiedziane, powtarzają po latach lub po wiekach — nie myśli, szybsze niż błyskawica, a przeto tysiąckroć trudniejsze do zapamiętania? Może masz słuszność — spróbuję pilnować siebie, by to się już nie powtórzyło. Choć nie byle jakie będzie to wyrzeczenie. Już jest. Chciałem, tak bardzo chciałem przyoblec w słowo, ku tobie kierowane, inne jeszcze swe myśli, które owa ostatnia noc, w Charaksie spędzona, przekazuje nocy dzisiejszej, za posłańca skrzydlatego — posłańca szybszego niż Hermes, Irys, Mitras — mając Pamięć, matkę wszystkich Muz. Ale ty może nie wiesz, że wedle Ardaszyra Mitras — to tylko wysłannik Mazdasa — nic więcej. Żaden bóg! Najwyżej dostojniejszy, niż inni, daimon świetlisty. Bo sam tylko Mazdas...

Dosyć! Jeszcze chwila, a już się okaże, żem nie władny siebie dopilnować, tak jakem dopiero co był ci obiecał. Bo to właśnie owej nocy charakseńskiej dar — rozpęd myśli do krążenia na odmianę wokół Mazdasa. Jakżem nigdy w życiu nie był tak bliski podporządkowania się Magom i Aweście, jak w tamtą właśnie noc.

Odparłszy bowiem obłęd chwilowy, iż mogły to być czary, opryskliwie, ostro wręcz zażądałem od Ardaszyra wyjaśnień.

— Kazałeś mi, bym list wiózł, Rzymiana udając. Rozkaz wykonałem.

Nikogo by taka odpowiedź nie zadowoliła. Jąłem nalegać — coraz ostrzej. Przypomniałem mu miecz, jaki miał na gardle, wijąc się w prochu z bólu w nodze, strzałą przeszytej. Nie tyl-

ko z bólu wił się — powiedziałem z naciskiem: — ze strachu potwornego też. On, szermierz niezłomny, nieustraszony Światłości Wiekuistej. Czyż zapomniał przysiąg, przed jakimi jęło się zwolna cofać ostrze, to samo, które godzinę przedtem szyderczo mi doradzał złamać o kolano, skoro jesteś, Markio, tylko najpiękniejszą i najmędrszą kobietą pod planetami, ale najwidoczniej nie najcnotliwszą, bo tego przymiotnika w ogóle moje wyzwanie w sobie nie mieściło. "Już za to samo tysiąc razy powinieneś był umrzeć".

— I powinieneś był go zabić — przerwała mi niespodzianie Aleksandra — najwidoczniej jednak cześć Rzymianki, nigdy na oczy nieoglądanej, mniejszą cię troską napawa, niż własna wygoda i bezpieczeństwo.

Ardaszyr dalej milczał. Na Aleksandrę nawet nie spojrzał. Ona zaś dalej ciągnęła: "Kazałeś mu udawać Rzymianina, aleś nie raczył go pouczyć, jak to ma robić. Nie zatroszczyłeś się o to. Aniś zapewne nie był nawet ciekaw jak to zrobi. Niechże więc ciekawość twoja i zatroskanie dalej takie zostaną, jakie wówczas były. A co się miecza twego tyczy i Persa przysiąg — tyle razy już ciebie prosiłam: w mojej obecności o tym nigdy nie mów. Szczególnie zaś teraz, gdy obowiązkiem moim jest szanować ciebie. Nie utrudniaj mi, o Miły, pełnienia tego, doprawdy, ze wszechmiar niełatwego obowiązku".

Po której to przemowie, chociem raz jeszcze skierował do Ardaszyra słowa: "I jakeś mógł to zrobić" — wykrzyknięcie to było podziwu pokornego pełne, nie zaś ostre czy natarczywe czy w ogóle jakiekolwiek bądź pytanie.

Na co on promieniejąc:

— Kto wiernie stoi po stronie Światłości Wiekuistej, ten wszystko przemoże. Byleby FRAVASZI, jego własny skrzydlaty opiekun niewidzialny, podszepnął mu: "Spojrzał na to coś zamierzył, okiem promiennym Ahua-Mazdas i osądził, iż cnotliwe to zamierzenie. A tak osądziwszy, błogosławił".

Owej nocy, jakem rzekł, omalżem się zgłosił na szermierza Mazdasa. Do świtu prawie przed bramą, za którą płonął święty ogień wiekuisty, krzyżem na swym mieczu leżałem. Ale gdy blednąć poczęły gwiazdy, Mnemozyna w darze mi przyniosła trzynastą strofę księgi ósmej pisma świętego czcicieli Mazdasa, której to strofy kazał mi niegdyś na pamięć się nauczyć starszy z mych dziadów stryjecznych; strofa ta wyjaśnia czemu mianowicie wskązane są małżeństwa między osobami, które najbliższe możliwie łączą z sobą związki krwi. "Synku drogi" — mówił On, każąc mi po raz czternasty powtarzać z pamięci ów ustęp "nieraz cię olśni odblask krwawych ogni, wieki i wieki niegaszonych. Ileż razy mnie olśniewał! Więcej: we mnie samym już płonął. Wierzaj doświadczeniu stu blisko lat: nic go nie gasi tak szybko i tak bez reszty, jak ta strofa". Miał słuszność. Gdy oblicze Mazdasa znów wznosiło się nad Cha-

raksem, otrzepywałem starannie proch, co się uczepił był mego odzienia, gdym leżał krzyżem na mieczu.

Może jednak tego poranka On, który bardziej niż ktokolwiek, bardziej nawet niż Babrios, dał mi ciebie, Markio — odebrał co był dał. Jako czciciel Mazdasa bowiem, o ileż byłbym potężniejszy, niż jako sen słodki garstki Greków: sen, co mógł równie dobrze wodom Tygrysu i Eufratu rozkazać "Płyńcie na północ", jak rozkazał był dwom, a bodajże i trzem wiekom: "Zniknijcie".



Ani Tygrys nie popłynął ku północy, ani Eufrat — przez pół roku jednak naprawdę zdawać się mogło, że nie tylko w snach słodkich dwa, a bodajże i trzy wieki znikły tak, jak gdyby nigdy nie były istniały. Wielu mówiło: moja to zasługa. Albo też: moja wina — zależnie od tego, kto mówił, względnie kiedy mówił. Dziś bowiem najbardziej bezlitośnie szydzą ze mnie lub złorzeczą mi najzaciekłej ci właśnie, którzy u schyłku wojny domowej domagali się wybicia czwórdrachm z moją podobizną i napisem "Zbawiciel" na odwrocie. Zresztą, może się mylę, może ich krzywdzę — może by ani ze mnie szydzili, ani nie miotali na samo imię moje obelg czy wręcz przekleństw, gdybym się wówczas nie był wybiciu owych monet sprzeciwił. A raczej poddaniu pod głosowanie wniosku, by zostały wybite; jakoż dzisiaj inaczej, niż wówczas jestem najgłębiej przekonany, że wniosek taki nie tylko wśród Starców Seleukii, ale i w Radzie Trzystu nie byłby potrzebnej większości zdobył. Ważne jednak nie jest to, co dzisiaj myślę, tylko zdanie jakie miałem wówczas; żadna bowiem sprawa nie jest, nie może być sprawą wyłącznie słuszną — ale każda jest słuszna, o ile ci, co o nią walczą, w dobrej walczą wierze. Czy wobec tego za słuszną muszę uznać sprawę Ardaszyra i Magów? Może i muszę, ale nie chcę. A raczej nie mogę. Czyżbym więc się znów zapędził w błędne koło? Pozornie — tak. Ale tylko pozornie. Popełniłem błąd, owszem, słowny jednak tylko, nie myślowy. Tu znowuż winna moja greka — żałosna greka mieszańca; gdyby była bogatsza, gdybym umiał dla każdego sprzeciwu swej myśli na bełkot ciemnoty lub obłudy znaleźć dokładny odpowiednik słowny, wcale bym się nie musiał raz po raz zapędzać w błędne koło. Otom był napisał: słuszność sprawy warunkuje dobra wiara tych, co o nią walczą — poza tym nie ma spraw słusznych. Otóż gdybym na to, co mam na myśli, miał ściślejsze określenie słowne, niż "dobra wiara", mógłbym upierać się przy owym rozumowaniu bez przykrej konieczności uznania za słuszną sprawy Magów i Artakserksesa. Czy też sprawy tak zwanych Bramanów z otoczenia Uasiszki Kaisara. Lub sprawy Feliksa, który w szczerej najzupełniej trosce o dobro Rzeczypospolitej Rzymskiej byłby wysłał na śmierć córkę rodzoną, gdyby i ta też — jak tyle jej przyjaciółek — bluźniła majestatowi

boskiemu — temu to majestatowi, co ojczyznę jej i jego miła Rzym, przez tak liczne otaczał wszak wieki blaskiem potęgi i chwały. Serce by się mu na ćwierci rozdzierało kiedy by słał ji na śmierć — a posłałby. Więc nie — stanowczo nie; na to co ja mam teraz na myśli, innych potrzeba słów, niż: dobr wiara.

Bo przecież oto i ja sam — wówczas, gdym się nie dał by Zbawicielem ogłosić — w dobrej zupełnie działałem wierze. Któ to bowiem jest Zbawiciel? Ten, który zapewnia miastom grec kim wolność, kto wolności tej i zechce i zdoła bronić prze ciw zamachom tyranów z góry przeciw samowoli krnąbrne nie-Greków u dołu. Nade wszystko zaś przeciw zjednoczeni obu niebezpieczeństw; przeciw tyranowi, który sam nie jes Grekiem i na nie-Grekach moc swą wspiera. Otóż czy ja ta pojętą wolność byłbym zapewnił? czy mógłbym jej bronić, — a gdybym mógł, czy bym chciał?

Aleksandra twierdzi, żem mógł, alem nie chciał. Moi rodzi ce — po raz pierwszy od tylu, tylu lat zgodni w czymś z so bą — wręcz odwrotnie: żem chciał, alem nie mógł. Z tą prze cież w zgodzie owej niezgodnością, że wedle matki, wolnośc Greków Dwurzecza i krajów przyległych nie umiałbym — właśnie nie umiałbym — nie tylko obronić, ale zapewnić czy li, ściślej mówiąc, najpierw odzyskać; ojciec natomiast — rzec zdumiewająca — zaraz nieomal po ostatecznym swym zwy cięstwie napisał do mnie: "Jedyna sposobność, byś czuł kie dykolwiek koronę na skroniach, ominęła cię — i to nieodwra calnie już głuptasie". A i później często to samo powtarzał. tym, że jednak — inaczej, niż w owym liście, jakim zawiada miał mnie o przeniesieniu się jego stryja na stały pobyt w po bliże rodzeństwa niebiańskiego — zwykł był zaraz dorzucać "Oczywiście, po dwu lub trzech najwyżej latach koronę t byłbym ci zdjął i to razem z głową". Czyli mniemał, że obroni wolności miast greckich nie zdołałbym, ale zapewnić ją, odzy skać — wcale nawet łatwo. Była bowiem taka chwila — zwie rzał mi się — że ciemność już samą tylko wokół siebie widzi — jedno, jedyne zaś w tej ciemności światełko jedną jedyn też wskazywało drogę: przez Eufrat w objęcia Rzymian. Ale i n tę nawet drogę wejście nie byłoby bynajmniej całkowicie rozpr szyło ciemności: zwycięski Balagases Trzeci byłby żądał wydan bratanka-buntownika, żądanie to uzasadniając troską o trwa łość pokoju nad Eufratem. Oto bowiem miał — niestety, mi naprawdę — niezbite w ręku dowody, że właśnie ten jego brat nek, jeszcze zanim sztandar buntu w Suzie był wywiesił, r własną rękę podżegał Żydów, a i nie tylko Żydów we wschodni PROVINCIIS Rzymu do powstania. Oczywiście, gdyby powst nie takie było się powiodło lub choćby tylko naraziło Rzymia na poważne kłopoty — Balagases Trzeci nie karałby ani n wet ganił bratanka w trosce swej o trwałość pokoju; ale sk ro nie wybuchło, daremnie byłoby przekonywać Rzymian,

król wcale pokaźnie odległej od pogranicza eufrackiego Elimaidy tak całkiem na własną rękę samych Żydów choćby tylko, Rzymowi podwładnych, podżegać nie byłby w stanie; — że do tego niezbędne było współdziałanie lenników zachodnich Króla Królów; ci zaś — sami przeważnie nie Arsakidzi — w niczym nie byliby Arsakidzie, równemu sobie godnością, pomogli, gdyby nie mieli powodów sądzić, że jego zamierzenia mile są widziane w pałacu zimowym Ktesyfonu. Oczywiście, Rzymianie zbiega, nawet takim zarzutem obciążonego, nie byliby wydali — nie jest w ich zwyczaju, aż przyciśnie zbyt silnie już konieczność, robić skwapliwie cokolwiek bądź, co by miłe było Królowi Królów, a już szczególnie kosztem własnej przyjemności, takiej na przykład, jak sprzątnięcie zbiega w sposób niby dyskretny, przecież taki, by zanim wyda ostatnie tchnienie, w pełni był świadom, że nie jest ofiarą, tylko sprawiedliwie karanym zbrodniarzem i świętokradcą, co się był porwał na MAIESTATEM IMMENSAM PACIS ROMANAE. I cóżby takiemu w ostatnich jego mgnieniach — na przykład w wodzie, pod zwaliskami mostu, co się przedziwnie lata, wieki może nawet nie załamywał, a nagle tego a tego dnia, o tej a o tej godzinie runął — co by takiemu, wołał mój ojciec, pomogło wówczas, w czym by mu ulżyła świadomość, że ojciec Aleksandry dłużej niż dobę najpierw rzucał się, a potem już podrygiwał tylko na palu, na który go było nadziało zaćmienie — chwilowe najwidoczniej — umysłu, najprzebieglejszego z przebiegłych; zapomniał był bowiem, że najokrutniej mszczą się na odstępcach od każdej sprawy ci, którzy sprawie danej przewodząc, wszelką sami stracili wiarę w jej zwycięstwo.

Ojciec zaś mój w zimie, co poprzedzała ostatnią wiosnę dziewiczą Aleksandry, tak dalece wiarę w możliwość zwycięstwa stracił, że już przemyśliwał o układach ze swym stryjem, co by nie jemu samemu wprawdzie, ale jego stronnikom zapewniło bezpieczeństwo życia, zdrowia, wolności i poprzedniego stanu posiadania. A i o ojcu Aleksandry też nie byłby, oczywiście, przy takich układach zapomniał; ten jednak na własną chciał rękę to samo — sobie zapewnić, więc też wziął, musiał wziąć w siebie drąg zaostrzony. "Tyle lat wśród nas, Partów, przebywał — wzdychał, żalił się nieomal mój ojciec — "a wcale usposobienia naszego nie poznał. Najwidoczniej niepodobieństwo to dla Greka".

— A nie jest niepodobieństwem dla Parta poznać Greków usposobienie? — spytałem opryskliwie wręcz, niemal wyzywająco, bo oto choć nie wzdychałem, głęboko byłem wstrząśnięty kresem przygód spryciarza-obieżyświata, który z jednakową bezkarnością, a celnością trafiać umiał na przestrzeni ćwierćwiecza prawie w najczulsze a najwstydliwsze miejsca olbrzymich cielsk, zowiących się Rzymem, Chinami, Kuszanami — przy czym gdy trafić zamierzył, nigdy nie drgnęła mu ręka, pocisk do rzutu gotująca. Nigdy choćby nawet nie wiem jakim

przepychem szat, utkanych z najozdobniejszego słownictwa okrył był ten czy tamten olbrzym owe najczulsze a najwstydliwsze miejsca swego cielska. Więcej: nawet zbroje, ukute z stopów najodporniejszych, na które złożyły się były i wierzenia i nadzieje i wyrzeczenia wieków, — niechybnie zwykł był przebijać uśmiechając się raczej pobłażliwie, niż szyderczo, gdy rykiem lub sykiem bólu cielsko trafione zdradzało się, że ot pod ową zbroją owe miejsca, wstydliwie okrywane posiada i że one to gdy trafione, bolą najnieznośniej.

Niestety, jednak tajemnic tej swej sztuki trafiania w najczulsze miejsca nie umiał należycie zabezpieczyć. Albo może mu na tym nie zależało. Tak czy owak, ojciec mój część przynajmniej tych tajemnic mu wydarł, względnie w latach, gdy szli ręka w rękę, dostał był w darze. I daru tego — bądź te łupu — nie zmarnował: zakopał go tylko do czasu, gdy wolną już zupełnie ręką będzie mógł wymierzyć pocisk w najwstydliwsze, a wciąż jeszcze nieobumarłe, więc też niezmiennie najczulsze miejsce nie cielska wprawdzie, tylko kadłubka, co zbroją uroszczeń swych do wolności na nowo okryty, samemu sobie przynajmniej wydał się na chwilę olbrzymem. "Pókim ręki nie miał wolnej, do syta mogłeś, syneczku, bawić się w zbawianie tego kadłubka. O ile, oczywiście zabawa ta warta była dla ciebie własnej głowy".

Może i była warta. Co, zresztą, znowuż nie jest ważne, bom wówczas ceny tej zabawy nie znał, nawet nie podejrzewał. Czyli nie lęk to o głowę powstrzymał mnie przed wzięciem na się trudów chwalebnych Zbawiciela i ciężaru słodkiego nagrody za te trudy, nieśmiertelności. A może nawet ubóstwienia. Czy był to więc lęk przed śmiesznością szybkiej klęski? A gdybym nawet był ją przeczuwał? Jako Grekowi pół krwi tylko, nie są mi obce, ani też nie budzą we mnie odrazy czy choćby tylko zdumienia dzieje zbawców, co choć na mękę poszli, więc przegrali, nie stracili swych praw do nagrody słodkiej: nieśmiertelności. Czyż bowiem nie żyje dziś ów Zbawiciel Żydów, którego umęczono za rządów trzeciego czy czwartego Achemenidy? Kto z Seleukidów, Ptolemajosów, Attalidów, Antygonidów wspanialszy, trwalszy ma pomnik, niż on? Nie rozumiem starożytnego języka Żydów, ale gdy w greckim — i to lichym, jak twierdzi Rachela Erato — przekładzie słucham strof, męce tamtego Zbawiciela poświęconych, czuję — więcej: wiem, że choć odmienny zupełnie od Homera, równy Homerowi pisał te strofy poeta, więc wielkość tego, kogo poeta ów uznał za godny swego słowa temat, nie może mniej ważyć wielkości Achillesa czy Laertydy. Czy za taki pomnik nie warto oddać głowy? nie warto czuć na tej głowie przez dwie godziny przedśmiertne — nacisku trzewika zwycięzcy? Matka mówi: "Bałeś się nie Partów, nie ojca — bałeś się tych, którzy mieli cię unieśmiertelnić — bałeś się śmiechu szyderczego w greckich ustach, śmierci z greckich rąk". Możliwe. Ale przecież oto i ten Żyd, taką pory

wającą unieśmiertelniony poezją, nie przez Persów został umęczony ni w ogóle przez obcych, ale właśnie: przez swoich. I to jest ważne, bom te wiersze cudowne znał na długo, zanim zostałem sędzią rozjemczym w Seleukii. Cóż więc mnie jednak też u kresu prawie drogi ku nieśmiertelności powstrzymało? Zwierzęcy lęk przed unicestwieniem? Świadomość: cóż po nieśmiertelności, którą nie będę mógł się rozkoszować? Nie wiem. Przynajmniej na razie nie wiem. Znów bardzo jestem znużony — tak dalece, iż nie pamiętam, w jakiej mianowicie chwili, nawet w jakim miejscu owej ostatniej zimy wojny domowej straciłem z oczu, z pamięci wręcz cel, co mnie pchnął był na drogę wiodącą ku nieśmiertelności, takiej, jakiej dostępowali Seleukidzi czy Ptolemajosowie. Względnie — ów Żyd za Achemenidów umęczony. Celem zaś tym było — tyle, mimo znużenia, pamiętam: usłyszeć z twych ust Markio, wasze rzymskie czy anagnijskie: "Gdzie ty Gaios tam ja Gaia". I otom cel ów po drodze zgubił. Zapomniałem, że w ogóle mi przyświecał.

Czy naprawdę zapomniałem? Naprawdę. Ale czemum napisał: zapomniałem? Czemu nie: byłem zapomniał? Ojciec Aleksandry, Babrios, Antypater, jedno mi przynajmniej szczerze — z zachwytem wręcz — przyznawali: mistrzowskie opanowanie odmian greckiego czasownika. A i Numerianos kiedyś tu mamrotał, że nic, ale to nic w ćwiczeniach mych zarzucić nie może przejściom moim z NAVIGABAM, do NAVIGAVI i NAVIGAVERAM. I On też, sam On, mój dziad stryjeczny, mawiał, że najniebezpieczniejszym z wszystkich złudzeń, co utrudniają wejście na szlak ku Oświeceniu i Wyzwoleniu wiodący — jest dla mnie złudzenie rzeczywistości czasu. Tym zaś niebezpieczniejsze, iż czas właściwie dla mnie to, co łuk; czuję go, wcale o nim nie myśląc. Gdy po niego sięgam, służy mi niezawodnie. Czy też może odwrotnie: nie one mnie, ja i łukowi i czasowi służę. Jak niewolnik z pra-pra-dziadów do danej rodziny przynależny. Niewidzialne już tylko dźwiga łańcuchy, tym niemniej dźwiga. Z których to łańcuchów On właśnie chce mnie wyzwolić bo też On tylko może. Nie swoją własną, oczywiście, ale Buddy Gautamy mocą.

Dobrze, żem mu się jednak nie dał wyzwolić. Bo gdyby więzy, z Czasem mnie łączące były opadły — nigdy bym nie wiedział, co teraz wiem. Jam nie wówczas był zapomniał, że wojna domowa to dla mnie środek tylko i tylko do zdobycia ciebie.. Anim cię nie był zgubił na drodze, wiodącej ku wzięciu na się trudów zbawiania Greków. Zgubiłem cię teraz dopiero — teraz dopiero zapomniałem, że celem mym wówczas było: włożyć ci naszym — daruj! — barbarzyńskim zwyczajem, pierścień żelazny na palec. Zapomniałem zaś, bo teraz ciebie poślubić nie mogę. A że nie mogę — nie mogłem też sobie przypomnieć czemum wówczas cofnął się przed zbawianiem Greków. W tej zaś oto chwili już pamiętam, już wiem. Wolałem zbawiać ciebie. Odkąd wolałem? Czy od wyjazdu z Aleksandrą

i Artakserksesem z Charaksu? Czy też już zaraz od świtu po nocy, gdy Babrios zakołatał był w bramę zamku na kresach Draugiany? Czy może jeszcze wcześniej, bo wcale jeszcze o tobie, o twym istnieniu nie wiedząc — nie znając nawet twego imienia? Jakoże — pamiętasz — gdy dziad stryjeczny wezwał mnie, bym ratował przed nowym wcieleniem Agatokleję — zawołałem: "Zą późno! Już się wcieliła!".

Teodor PARNICKI.

T. S. ELIOT

ZIEMIA JAŁOWA

„Nam Sibillam quidem Cumis ego ipse oculis meis vidi in ampulla pendere, et cum illi pueri dicerent: Σίβυλλα τί θέλεις; *respondebat illa:* ἀποθανειν θέλω.*”*

(„Widziałem na własne oczy Sybillę Kumejską wiszącą w ampuli. A gdy ją chłopcy zapytali: czego pragniesz Sybillo, odpowiedziała: chcę umrzeć”).

Autoryzowany przekład Czesława Miłosza
ponownie opracowany przez tłumacza

UWAGI TŁUMACZA

Oddając do druku swój przekład "Ziemi Jałowej" T.S. Eliota, robię to nie bez przyjemności jakiej dostarcza napisanie komentarza. T.S. Eliot jest, jak wiadomo, laureatem Nobla i najbardziej bodaj głośnym poetą Zachodu w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat. Równocześnie zyskał sobie dodatkowy i niespodziewany rozgłos tego dnia, kiedy na kongresie we Wrocławiu w 1948 r. Fadiejew powiedział że "gdyby hieny miały wieczne pióra i maszyny do pisania" pisałyby jak Eliot. Odtąd w "demokracjach ludowych" T.S. Eliotem straszy się młode pokolenie poetów, jest on symbolem wszelkich okropności dekadencji i kosmopolityzmu.

"Ziemia jałowa" ukazała się drukiem po raz pierwszy w r. 1922 i została okrzyczana przez licznych jako najpotworniejsze dziwactwo ("to ma być poezja?") i utwór absolutnie niezrozumiały, przez nielicznych jako arcydzieło. Sława tego poematu stopniowo rosła i wywarł on wpływ decydujący na rozwój poezji anglosaskiej ostatnich czasów. Został on przełożony na szereg języków, nawet na perski i japoński. W biliografii dzieł T.S. Eliota opracowanej w Yale, figurują jako pozycje polskie: kilka poematów w przekładzie Józefa Czechowicza i "Ziemia jałowa" w moim przekładzie; dokonałem go w r. 1944 w Warszawie, został opublikowany w 1947 r. w Polsce. Fakt przełożenia Eliota stał się przyczyną oskarżeń o "eliotyzację" poezji (jest to równie ważki zarzut jak np. oskarżenie muzyka o obnoszenie się ze Strawińskim). W rzeczywistości mój stosunek do T.S. Eliota był i jest o wiele mniej entuzjastyczny niż sądzili moi przeciwnicy, ale trudno mi było kajać się, bo to by wyglądało na przestrach. Teraz mogę o tym mówić otwarcie.

Przełożenie jakiegoś utworu nie oznacza bynajmniej identyfikacji tłumacza z jego twórcą, to jest, postawmy to tak, niezbędna identyfikacja artystyczna w chwili przekładu nie oznacza że tłumacz udziela autorowi pełnej aprobaty. W Warszawie obecnie mogą ukazywać się już tylko przekłady aprobujące, stąd o różnych zjawiskach współczesnej literatury zachodniej rozprawia się "ze słyszenia". O T.S. Eliocie rozprawiali "ze słyszenia" krytycy rosyjscy, z takim wynikiem, że kiedy przyszła moda na rzucanie na niego gromów, mówili o "Ziemi jałowej" jako o utworze który ilustruje zgniliznę Anglii i przygotowania do wojny — nie wiedzieli tylko że był napisany po pierwszej, a nie po drugiej wojnie światowej. Możność przedyskutowania jakiegoś tekstu po zapoznaniu się z nim jest podstawą wszelkiego postępu i zakaz drukowania pewnych autorów czy wykonywania dzieł pewnych kompozytorów postęp ten niszczy.

T.S. Eliot jest niezwykłym poetą. Zasługi jego polegają na nadaniu linii wiersza nowej siły, na wprowadzeniu wyrażeń potocznych i przetopieniu ich w rytm. W przeciwieństwie do poezji "imażystów" potrafił on pisać *n a g o* tj. bez wyszukanych metafor. Całe swoje dzieło poetyckie podparł licznymi rozprawami z historii poezji angielskiej. Jego wpływ formalny na poezję współczesną był rzeczywiście ogromny. Nie tylko jednak do tego się ten wpływ ograniczał. T.S. Eliot wprowadził rzecz, która niemal zanikła wskutek rozpowszechnienia się teorii poezji jako dziedziny czysto emocjonalnej: wprowadził *m y ś l e n i e* wierszem. W "Ziemi jałowej" i w innych jego poematach każda linia coś *z n a c z y* tj. stanowi część myślowej konstrukcji, może być (i stała się) przedmiotem analizy komentatorów. Równocześnie T.S. Eliot jest jednym z nielicznych współczesnych poetów zdolnych do wyrażenia pewnych stanów religijnych — widać to już w "Ziemi jałowej", a wyraźniej występuje to w "Środzie popielcowej", w "Pustych ludziach" (ten wiersz nawiązuje do "Jądra Ciemności" Conrada), w sztuce "Morderstwo w katedrze" i w "Czterech kwartetach".

Jest jednak i odwrotna strona medalu, nie ma powodu żeby przymykać nabożnie oczy na dźwięk tego nazwiska. Nie tylko dzieło T.S. Eliota ma za przedmiot zmierzch pewnej cywilizacji; jest ono i w swojej formie objawem niepokojącym — to znaczy że swoje osiągnięcia

formalne Eliot kupuje za cenę bezustannego odwoływania się do tradycji literackiej, za cenę aluzji na które wrażliwy może być tylko niezwykle wykształcony i wyrafinowany czytelnik; jego twórczość jest książkowa (bookish), pod wieloma względami przypomina poezję hellenistycznej Alexandrii, złożoną z cytat z dawnych poetów. Dante czy Goethe czy Mickiewicz takich aluzji literackich nie potrzebowali. Zresztą biografia T.S. Eliota wiele wyjaśnia: syn zamożnej rodziny amerykańskiej, wychowanek Harvard, należy do tego pokolenia, które emigrowało z "barbarzyńskiego kraju" do Europy szukając przychylniejszego umysłowego klimatu. Stąd poważne obciążenia: oderwanie od jakiejkolwiek grupy ludzkiej, brak poczucia wspólnoty, poezja dla nielicznej elity, a złośliwiec dopatrzyłby się w nim pewnej dozy snobizmu. Szczególnym punktem w jego literackiej karierze stała się sztuka wierszem "Coctail Party" grana niedawno z wielkim powodzeniem w Londynie i w New Yorku. Zawieszony na swojej prywatnej planecie, całą pierwszą fazę swojej twórczości poświęcił zjadliwej analizie swego środowiska — ta pierwsza faza — do której należy również "Ziemia jałowa" — jest krytyką nieludzkiej i bezsensownej cywilizacji, której Eliot początkowo przeciwstawiał jakąś idealną cywilizację opartą na zasadach religijnych, później, konkretniej, chrześcijaństwo, stawiając p o s t u l a t nowej cywilizacji chrześcijańskiej (nie wskazując dróg dojścia). Otóż "Coctail Party" — o ile była pierwszą sztuką Eliota które trafiła do middle-class — o tyle rozczarowała całe młodsze pokolenie jego intelektualnych wielbicieli; gdyż jest ona rezygnacją z ataku, przeciwnie, jest już zadomowieniem się w środowisku, które jest traktowane jako normalne i niemal przyrodzone. W tej fazie więc nastąpił rozbrat T.S. Eliota z tą jego dawną publicznością, która miała dla niego szczery szacunek i gotowa mu była dawniej wiele wybaczyć — zdarzyło mu się to, co znane jest dobrze z socjologii sztuki: kiedy artysta zostaje "oswojony" zyskuje uznanie "dobrze myślących" ale traci "źle myślących", którzy są fermentem nowych zjawisk kulturalnych.

Ataki na T.S. Eliota pojawiające się od czasu do czasu w literackich pismach warszawskich nie byłyby całkowicie pozbawione słuszności, gdyby nie były humorystyczne tj. oparte na wiedzy "ze słyszenia". Atakuje się go ponieważ jest pesymistyczny i nierealistyczny. Jednak wczesna faza jego dzieła jest bardziej realistyczna niż cokolwiek co może powstać w krajach sowieckiego bloku — zakładając że mówimy o prawdziwym realizmie, a nie o przedstawianiu rzeczywistości spreparowanej. Eliot daje (niewesoły) obraz swoich czasów. Poza tym m y ś l i wierszem, co jest niebywałym luksusem, niedostępnym już żadnemu z poetów Europy Wschodniej. Pozostaje pytanie, co jest lepsze: czy upiększony obraz rzeczywistości (w celach pedagogicznych), czy obraz przykry, ale bliższy prawdy.

Zgodnie z zasadami diamatu przytacza się w Warszawie twórczość takich ludzi jak Eliot jako przykład "zgnilizny Zachodu". Naturalnie można z powodzeniem uprawiać tego rodzaju krytykę, ale tylko pod warunkiem, że przemilczy się dyskretnie zgniliznę Wschodniego Imperium. Nihilizm który powoduje krzepnięcie krwi w sowieckim organizmie sięga znacznie głębiej niż nihilizm zachodni. Sztuka służy tam do udawania że go wcale nie ma, ale ciągle się zdarza, że, jak mawiano w Warszawie, "zdradziem się" — i to właśnie w sztuce: bo w sztuce nie wystarczają entuzjastyczne słowa czy postacie uśmiechniętych robotników — zdrowie albo chorobę poznaje się po stosunku do materii. Np. malarstwo "socjalistycznego realizmu" nie jest niczym innym niż negowaniem materii jako niewyczerpanego źródła wzruszeń. Pozorne zdrowie ukazuje u podstawy zupełną niewiarę w s a m o i s t n ą wartość tego co nas otacza na ziemi. Kto patrzy na rzeźbę wczesno-grecką i widzi jaką radość czerpał rzeźbiarz z rytmicznego ułożenia włosów na głowie posągu, albo kędziorów brody — i porówna to z dziełami "realizmu socjalistycznego" — łatwo odkryje diaboliczną zaiste negację materii u wyznawców "materialistycznej" teorii. Jak powiada socjolog izraelski Juliusz Margolin, materializm francuski końca XVIII wieku czy materializm Marksa służył zawsze celowi d e t r o-

nizacji pewnych klas społecznych i był do tego szczególnie przy- datny. Gorzej kiedy oprze się na nim "pozytywną" teorię sztuki.

Świat XX wieku nie jest szczególnie rozkosznym miejscem pobytu dla człowieka. Na plus sztuki Zachodu trzeba zapisać że nie star się ona ukryć tego faktu. Trzeba zresztą wziąć pod uwagę okres w którym powstała "Ziemia jałowa". Było to po pierwszej wojnie świa towej, która pochłonęła miliony ofiar, po bezsensownej hekatombie Filozofem tego okresu był Spengler z jego teorią "cyklów organicz nych" cywilizacji. Był to też okres kiedy szukano nadziei w "mądroś ci Wschodu" — przede wszystkim w buddyzmie — co znalazło rów nież wyraz w poemacie Eliota.

Wypada powiedzieć kilka słów o samym poemacie. Linia dziedzictw literackiego, tak jak ją pojmował autor — to "Piekło" Dantego "Kwiaty zła" Baudelaire'a. Dante przedstawiał piekło do którego dusz grzeszników idą po śmierci. Baudelaire przeniósł piekło na powierz chnię ziemi, piekłem stało się wielkie miasto — Paryż połowy XI wieku — a cierpienia — fizyczne i przede wszystkim duchowe — jeg mieszkańców mękami potępieńców. Eliot postanowił rzecz poprowadz dalej. Może tłumaczenie jego tytułu "Wasteland" przez "Ziemia ja łowa" nie jest zupełnie dokładne — Wasteland to raczej nieużytki — ale takiego tytułu użył Borowy (jedyny bodaj krytyk polski który ana lizował twórczość Eliota) i nie widać lepszego odpowiednika po polsku Tą ziemią jałową jest cywilizacja w której człowiek odcięty jest o źródeł życia. U Baudelaire'a brzmiała skarga, namiętny krzyk prote stu, atmosfera jego wierszy była atmosferą "crime passionnel". Eliota ulicą londyńską idą tłumy biednych cieni, są to te kręgi "Pie kła" Dantego gdzie największym cierpieniem jest *nierzeczyw stość*. O powodach tej sytuacji można pisać oczywiście tomy, wy chodząc od analizy ekonomicznej i socjologicznej a kończąc na psy chologii "alienacji". Najmniej prawa do krytyki mają staliniści: s oni dziećmi tej "ziemi jałowej", ich rzekomo dokładne rozumien przyczyn podminowane jest zwątpieniem i strachem. Są czcicielam noża: nóż jest bardzo pożytecznym narzędziem kiedy przy jego po mocy można wyciąć wrzód, ale co jeżeli ten sam nóż sięga dalej przebija serce? I oto już nie można wymknąć się pytaniom, które najbrutalniejszy bodaj sposób postawił Dostojewski.

Lektura "Ziemi jałowej" jest trudna — co nie jest winą tłumacz bo na równe trudności natyka się czytelnik angielski. Konstrukcja po ematu jest oparta na szeregu motywów powracających jak w muzycz nym utworze — toteż ktoś nazwał ten poemat "symfonią idej". Ja kież są te motywy? Idźmy kolejno.

Na początku części I ("Grzebanie umarłych") jest mowa o okru cieństwie wiosny która wyrywa świat ze snu. Pojawia się idiotka snobka międzynarodowa (keine Russin, stamm aus Litauen, ech deutsch) co przez wstręt do niej, jako typu ludzkiego, prowadzi d biblijnych rozważań nad pustynią współczesności. Odzywa się zwrotk z "Tristana i Izoldy" Wagnera (miłość jako jedyny życiodajny elemen jeszcze dostępny). Ale forma tej miłości (amore profano) daje tylk ten wynik, że po przygodzie z "hiacyntową dziewczyną" młody człowie mówi "nie byłem żywy ani umarły". Pojawia się nowa postać do plugawa: madame Sosostris, słynna jasnowidząca, która wróży z ka Tarota. Twierdzi ona że "pańska karta, utopiony Żeglarz Fenicki" tym żeglarzem będziemy mieli później do czynienia) i że "zagra tobie śmierć w wodzie" (woda-żywioł którego brak ziemi jałowej je żywiołem ryzyka i niebezpieczeństwa, a także odrodzenia). "Gdzie by oczy, perła lśni" — to zdanie z piosenki Ariela w "Burzy" Szekspi (tłumacz zaczerpnął je z przekładu Tretiaka). Rozdział kończy s obrazem "nierzeczywistego miasta" Londynu (tak jak Paryż u Ba delaire'a) — są tu London Bridge, King William Street, kościół Sai Mary Woolnoth. "Nie myślałem że śmierć zabrała tak wielu" — zdanie nawiązuje bezpośrednio do "Piekła" Dantego, sens jest ten, ludzie którzy idą ulicą londyńską są cieniami już za życia. "Kiełk jący trup" jest wieloznacznym obrazem: chodzi tu, jak się zdaje, prz

de wszystkim o winy zepchnięte do podświadomości, które wskrzesza okrutna wiosna. Ostatnia linia rozdziału: "Ty! Czytelniku obłudny! Mon semblable, mon frère..." — jest wzięta z Baudelaire'a i zwrócona do czytelnika który oburzy się na tego trupa zasadzonego w ogrodzie —jakby sam podobnych operacji nigdy nie dokonywał.

Cześć II ("Gra w szachy") jest wybitnie satyryczna. Rozpoczyna ją opis wspaniałego pokoju bogatej damy. Nad kominkiem jest malowidło przedstawiające mit grecki o Philomeli która, zagrożona zgwałceniem przez barbarzyńskiego króla, przemieniła się w słowika (opowiada o tym Owidiusz); ten słowik "wołał wciąż i wciąż go mija świat, a brudne uszy słyszą tylko zgrzyt" — aluzja do losu poety. W owym pokoju odbywa się rozmowa damy z mężczyzną — dwojga neurotycznych obrzydliwych istot. Nagle zmienia się scena, jesteśmy w londyńskim pub'ie i asystujemy rozmowie dwuch kumoszek z ludku. Jedna z nich opowiada o swojej przyjaciółce Lili, która od męża, kiedy był w wojsku, dostała pieniądze na sprawienie sobie sztucznej szczęki. Zęby wypadały Lili z powodu używania pigułek na spędzanie płodu. Tak więc w tej części są dwa środowiska społeczne równie dotknięte rozkładem moralnym.

Część III ("Kazanie ogniste") otwiera się obrazem jesieni nad Tamizą. Ktoś opowiada jak "łowił ryby w ponurym kanale, w zimowy wieczór, za kotłem gazowni", dumając o tym "jak się rozbił królewicz, mój brat, i o tym jak poprzednio zginął król, mój ojciec". Jest to aluzja do "Burzy" Szekspira a pośrednio nawiązuje to do legendy o królu-rybaku; komentarze T.S. Eliota wskazują jaki wpływ wywarła na niego symbolika legend Graala i mitów pierwotnych. Trzeba wziąć pod uwagę że Eliot nadaje często swoim słowom po kilka znaczeń, używając metody skojarzeń. Król-rybak w legendach miał swój pałac zwykle tuż nad brzegiem wody; był okaleczony i pozbawiony płodności (u Frazera można znaleźć dokładny opis wierzeń ludów pierwotnych według których jałowość króla powoduje jałowość ziemi).

Z ponurym obrazem jesieni i zimy nad Tamizą, szczurów, śmierci, osamotnienia, kontrastuje piosenka o pani Porter; życie toczy się, życie wulgarne pani Porter i Sweeney'a i śpiewa słowik — głos Philomeli ("uciśnionej srodze") która ze wstrętu do tego życia przemieniła się w ptaka uchodząc w ten sposób z objęć króla Tereusza. Znów powraca "nierzeczywiste miasto", pojawia się postać jakby wyjęta z talii Tarota — pan Eugenides, kupiec ze Smyrny (homoseksualista oczywiście, jeden z tych jak ich nazwał św. Paweł "psów" stanowiących nieodłączną cechę również dzisiejszych wielkich miast).

Następuje jeden z kluczowych fragmentów poematu. Jest to opowieść Tejrezjasza — zważmy że w poemacie występują kolejno najrozmaitsze postacie o znaczeniu symbolicznym. Tejrezjasz symbolizuje smutek wiedzy o sprawach ludzkich. Był on, jak powiada legenda, przez siedem lat kobietą i zdolny jest znać przeżycia obu płci. Opowiada o romansie stenotypistki i agenta ubezpieczeniowego (daremność "amore profano", tak jak w części I daremna jest przygoda z "hiacyntową dziewczyną").

Dygresja muzyczna prowadzi do piosenki o Tamizie z refrenem z Wagnera — Wagner stale reprezentuje tęsknotę do szerokiego oddechu, do miłości jako żywiołu. Aluzja do królowej Elżbiety i Leicestera, którzy jadą na spacer Tamizą oznacza również powrót do epoki "żywiołowej". I znów — w śpiewie trzech cór Tamizy (jakby śpiew cór Renu) — wraca motyw beznadziejności i potępienia ("Highbury zrodziło mnie. Richmond i Kew zgubiły mnie" — śpiewa jedna z proletariackich dziewczyn — jest to trawestacja dantejskiego "Siena mi fe, disfecemi Maremma").

Kończy tę część przypomnienie słów św. Augustyna o wyrwaniu go "z kotła bezbożnych miłości" Kartaginy.

Część IV ("Śmierć w wodzie"): tutaj realizuje się przepowiednia — tonie Żeglarz Fenicki. Być może że ten los (śmierć od żywiołu) jest godzien zazdrości, jeżeli porównać to z częścią V ("Co powiedział

grom") która sumuje poemat o ziemi jałowej i daje obraz posuchy umierania z pragnienia: walące się, nierzeczywiste wieże Jerozolimy Aten, Alexandrii, Wiednia, Londynu, "i śpiewy z pustych cystern studni wyczerpanych", jak również upadek chrześcijaństwa ("jest tu pusta kaplica, wiatrom tylko dom", "suche kości krzywdy nie zrobi nikomu"). I grom wypowiada trzy przykazania Buddy które został zapomniane: datta (dawaj), dayadhwam (współczuj) i damyata (kon troluj).

Zakończenie poematu świadczy, że Eliot nie uważał go za poema rozpaczy. Król-rybak zapytuje: "Kiedyż na ziemiach moich zaprowa dzę ład?" I chociaż "London bridge is falling down" następuje cytat już nie z "Inferno", ale z "Purgatorio" Dantego: o oczyszczającym ogniu. Wreszcie wyznanie autora: "Te fragmenty wsparłem o moj ruiny" i bezpośredni zwrot do czytelnika przez cytatę ze "Spanish tra gedy" Kyd'a: bohater tej tragedii, Hieronim, jest uważany za proto typ Hamleta. Tak jak w szaleństwie Hamleta "była metoda", tak sa mo była metoda w szaleństwie Hieronima. Sens cytaty o "Hieronimi znów szalonym" jest następujący: autor jest przekonany że poema jego będzie uważany przez czytelników za zbiór bredni, a on sam z wariata. Godzi się z takim wyrokiem — przypominając że i Hie ronim i Hamlet też byli uważani za obłąkanych, chociaż działali określonym zamiarem. Pewną pomocą w odgadnięciu tego zamiaru może być to co Eliot mówi gdzie indziej (w "Thoughts after Lam beth"): "Świat stara się wypracować sobie mentalność niechrześcijań ską. Ta próba się nie uda. Powinniśmy jednak złożyć dowód wielkie cierpliwości oczekując na tę przegraną i okupić swój czas: aby Wiar zachowała się żywa poprzez ciemne wieki które idą; aby odnowić odbudować cywilizację, aby ocalić świat od samobójstwa".

Czym jest więc poemat Eliota? Można go określić jako próbę obu dzenia oddźwięku w czytelniku po przez trafianie w "węzły uczucio we" które stale powtarzają się w ciągu wieków — czego dowoder jest powracanie podobnych motywów w mitach, legendach i twórczo ści poetów (Piekło, Tejrezjasz rozumiejący dwie strony życia, obrzęd roślinne, król-rybak, żywioł wody, etc.). Równocześnie "Ziemia jało wa" jest wielością postaci i obrazów (te fragmenty wsparłem moje ruiny), zgiełkiem świata pozbawionego harmonii, a więc ni pozwalającego poecie ani na dzieło harmonijne ani na dzieło jasn (musi być albo szaleństwo albo pozór szaleństwa).

Przekład tego poematu nastręczał zbyt duże trudności, aby możn je było wszystkie rozwiązać. Przede wszystkim: jak postąpić z liczny mi cytatami z poetów angielskich, francuskich, niemieckich wplecio nymi w tekst? Zostawić je wszystkie w oryginale? Ale to znaczyłob dać dziwaczną mieszaninę szeregu języków. Starałem się więc je spol szczyć tam gdzie to było możliwe. Poza tym nie wiadomo jak dać rad niektórym wyrażeniom idiomatycznym które w polskim nie mają ogóle idiomatycznego odpowiednika: a musi być zachowany szczególn rytm eliotowski (co prawda wiele zaiste brudnych uszu łowiło z nieg tylko zgrzyt); linia oryginału powinna odpowiadać linii przekład (dziewiętnastowieczni tłumacze często rozwadniali np. Szekspira, da jąc zamiast jednej zwartej linii angielskiej dwie polskie). Pozwalałer sobie czasem na drobne zmiany słów, choć przekład raczej grzeszy do słownością niż dowolnością. Wreszcie: jak tłumaczyć nazwy angielskie czy London Bridge czy Most Londyński? Dogs Island czy Psia Wyspa itd. Może więc nie warto parać się tekstem równie pełnym lokalnyc aluzji, obcych nazw, cytat i makaronizmów? Raczej warto: każdy ję zyk wzbogaca się przez przekłady i jeżeli w jakimś przekładzie znajd się choć trzy linie które mocno siedzą w polszczyźnie, taka praca jes godna wysiłku. Zresztą nie jest wykluczone że poprzez tekst polsk zapozna się z tym utworem czytelnik, który nie przebrnąłby przez an gielszczyznę "trudnego" poety.

Moje osobiste wątpliwości jeżeli chodzi o twórczość Eliota są liczn i zastanawianie się nad nimi musiałoby przekroczyć ramy komenta rza. W każdym razie znajomość "Jałowej ziemi" jest niezbędna dl każdego, kto albo chce tendencje zawarte w tym poemacie przezwy

ciężyć, albo rozwinąć je w inny sposób. Eliot, tak jak Strawiński, sprawia że po przejściu przez to doświadczenie traci się smak do wszelkiego rodzaju czajkowszczyzny w muzyce i w poezji.

I. Grzebanie umarłych

Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień. Wywodzi
Z martwych rozłogów bzy liliowe, miesza
Pamięć i pożądanie, podnieca
Gnuśne korzenie sypiąc ciepły deszcz.
Zima nas otulała i kryła
Ziemię śniegiem łaskawym, karmiła
Maleńkie życie strawą suchych kłączy.

Zaskoczyło nas lato, idąc nad Starnbergersee
Rzęsistym deszczem; chwila pod kolumnadą
I wyszliśmy na blask słoneczny, do Hofgarten,
Piliśmy kawę i rozmawiali godzinę.
Bin gar keine Russin, stamm aus Litauen, echt deutsch.
Kiedy byliśmy dziećmi, w domu arcyksięcia,
Mego kuzyna, brał mnie na saneczki,
A ja się bałam. Mówił do mnie: Maniu,
Trzymaj się, Maniu. Lecieliśmy w dół.
O, w górach człowiek czuje się swobodny.
Czytam, przeważnie w nocy, a zimę spędzam w Nicei.

Jakie korzenie pną się, jakie gałęzie rosną
Z tych kamiennych rumowisk? O synu człowieka,
Rzec nie potrafisz ni zgadnąć, bo ty znasz jedynie
Stos pokruszonych obrazów, tam gdzie słońce pali,
I martwe drzewo nie daje schronienia, ulgi świerszcz,
Ni suchy kamień dźwięku wody. Jedynie
Cień jest tam, pod tą czerwoną skałą,
(Wejdźże w ten cień pod czerwoną skałą),
A pokażę ci coś, co różni się tak samo
Od twego cienia, który rankiem podąża za tobą
I od cienia, który wieczorem wstaje na twoje spotkanie;
Pokażę ci strach w garstce popiołu.

Frisch weht der Wind
Der Heimat zu
Mein Irisch Kind
Wo weilest du?

„Dałeś mi hiacynty rok temu pierwszy raz;
Nazywano mnie hiacyntową dziewczyną".
— Ale gdy wracaliśmy, późno, z Hiacyntowego Ogrodu,
I miałaś pełne ręce, mokre włosy, ja nie mogłem już
Mówić i ćmiło mi się w oczach i nie byłem
Żywy ani umarły. Nie wiedziałem nic,
Zapatrzony w serce światła, w ciszę.
Oed' und leer das Meer.

Madame Sosostris, słynna jasnowidząca,
Była bardzo przeziębiona, niemniej jednak
Jest znana jako najmądrzejsza z kobiet w Europie,
Z tą sprytną talią kart. Tutaj, powiada,
Jest pańska karta, utopiony Żeglarz Fenicki,
(Gdzie były oczy perła lśni. *Patrz!*)
Tutaj jest Belladonna, Dama Skał,
Dama okoliczności.
Tu jest człowiek z trzema pałkami, a tu Koło,
A tutaj jednooki handlarz, a ta karta
Która jest pusta, oznacza coś, co niesie na plecach,
Czego mi widzieć nie wolno. Nie znajduję
Wisielca. Zagraża tobie śmierć w wodzie.
I widzę tłumy ludzi chodzące w kółko wzdłuż ścian.
Dziękuję. Gdyby pan widział kochaną Equitone
Proszę powiedzieć że horoskop ja sama przyniosę:
Musi się być w tych czasach tak ostrożnym.

Nierzeczywiste Miasto,
Pod mgłą brunatną zimowego świtu
Tłum płynął po Londyńskim Moście, tak wielu,
Nie myślałem że śmierć zabrała tak wielu.
Westchnienia, krótkie i nieczęste rwały się im z ust,
Każdy oczy obracał w dół, do mokrych płyt,
Szli pod górę, płynęli po King William Street,
Aż tam gdzie Święta Maria Woolnoth wybija godziny,
A dziewięć jej ma zawsze głuchy dźwięk.
Tam zobaczyłem kogoś, kogo znałem
I zatrzymałem go, wołając: „Stetson!
Byłeś w flocie razem ze mną w Mylae!
Ten trup, którego zasadziłeś zeszłego roku w ogrodzie
Czy zaczął już kiełkować? W tym roku czy będzie kwitł?
Czy też mróz nagły ściął jego kwaterę?
Och, trzymaj psa z daleka, to przyjaciel ludzi,
Bo pazurami na wierzch go wyrzuci!
Ty! Czytelniku obłudny! Mon semblable, — mon frère!"

II. Gra w szachy

Krzesło w którym siedziała, jak błyszczący tron
Żarzyło się na gładkim marmurze, gdzie lustro
Wsparte na słupach ciętych w winne grona,
Spomiędzy których złoty wyglądał Kupido
(Drugi zakrywał oczy swoim skrzydłem),
Podwajało płomienie świec w siedmioramiennych
Kandelabrach i światło na stole odbite
Skąd igrał na spotkanie połysk jej klejnotów
Rozsypanych obficie w puzderkach z atłasu.
We flakonach ze szkła i kości słoniowej
Niezatkniętych, jej dziwnych syntetycznych perfum,
Maści, proszków i płynów czaiła się woń
I mąciła, durzyła, zatapiała czucie.
Pchnięte prądem powietrza od okna, zapachy
Wzbijały się, zgrubiając długie ostrza świec,
I snuły się ku górze aż pod laquearia
Faliście poruszając wzór kaset pułapu.
Drzewo sczerniałe w morzu, nabijane miedzią,
Zielono i rudawo płonęło, w oprawie
Barwnych kamieni. A w tym smutnym świetle
Delfin, uczenie wyrzeźbiony, płynął.
Ponad starym kominkiem było przedstawione
Jak gdyby okno, a w nim leśna scena:
Przemiana Philomeli, uciśnionej srodze
Od króla barbarzyńcy; dotychczas tam słowik
Napełniał puszczę nietykalnym głosem
I wołał wciąż i wciąż go mija świat
A brudne uszy słyszą tylko zgrzyt.
I inne uschłe pnie, konary czasu
Opowiedziane były na ścianach i twarze
Wychylały się, chyląc, uciszając pokój.
Gdzieś na schodach człapały czyjeś ciężkie kroki.
Pod światłem ogni, pod szczotką, jej włosy
Ognistymi punktami sypiąc się na boki
Rozpalały się w słowa, znów były spokojne.

„Źle z moimi nerwami tej nocy. Och źle. Zostań ze mną.
Mów do mnie. Czemu ty nigdy nie mówisz. No mów.
O czym ty myślisz? O czym myślisz? O czym?
Ja nigdy nie wiem o czym myślisz. Mów".

Myślę że jesteśmy na szczurzej ulicy
Gdzie umarli pogubili swoje kości.

„Co to za hałas"?
Wiatr pode drzwiami
„Co to za hałas? O, znów. Skąd taki wiatr"?
Nic, nic, znów nic.

„Czy nie wiesz nic? Czy nie widzisz nic?
Czy nic nie pamiętasz?”

Pamiętam:
Gdzie były oczy perła lśni.
„Czy jesteś żywy czy nie? Czy nie masz nic w głowie?”

O O O O ten szekspirowski rytm
To tak wytwornie brzmi i tak wspaniale
„Co ja mam robić teraz? Co mam robić? Cóż,
Mogę wybiec jak stoję, chodzić po ulicy
Z włosami w nieładzie, o tak. A jutro, co robić jutro?
I w ogóle cóż mamy robić, ja i ty”?
O dziesiątej ciepła woda,
O czwartej samochód zamknięty kiedy pada.
Możemy zagrać partię szachów i
Przyciskać oczy bez powiek, czekając na stuk do drzwi.

Kiedy mąż Lili zwolnił się z wojska, ja mówię —
Co mam się z nią krępować, ja mówię do niej tak:
ZAMYKAMY, ZAMYKAMY, CZAS
Teraz Albert powraca, ospraw się trochę, jej mówię,
Będzie chciał wiedzieć co zrobiłaś z tą forsą, którą ci dał
Żebyś sobie sprawiła zęby. Sama widziałam że dał.
„Wypadają ci wszystkie, Lili, spraw sobie fajne nowe”,
Powiedział, jak Boga kocham, „nie mogę patrzeć na ciebie”.
I ja nie mogę, jej mówię, pomyśl o biednym Albercie,
Był w wojsku cztery lata, na pewno chce się zabawić,
Jak z tobą nie będzie mógł, znajdzie już inną, jej mówię,
A ona mówi: ach tak. Pewnie że tak, ja mówię.
No to wiem komu dziękować, mówi i patrzy mi w oczy.
ZAMYKAMY, ZAMYKAMY, CZAS
Podoba się tobie czy nie, to nic i tak nie pomoże,
Kiedy się męża ma, trzeba go umieć pilnować.
Jak Albert ciebie porzuci, niech nie będzie że nie mówiłam,
Ty wstydu nie masz, jej mówię, wyglądać tak staro
(A ma nie więcej jak trzydzieści jeden).
Nic na to nie poradzę, ona mówi i robi minę,
To te pigułki co brałam żeby to spędzić, mnie mówi,
(Robiła to już pięć razy, raz omalże nie umarła)
Aptekarz mówił, że głupstwo, ale zawsze czułam się podle.
Jesteś zupełna wariatka, ja mówię,
Jeżeli ciebie nie rzuci, to wtedy pytanie, jej mówię,
Po co ty wyszłaś za mąż, jeżeli nie chcesz mieć dzieci?
ZAMYKAMY, ZAMYKAMY, CZAS
Tej niedzieli Albert powrócił, szynkę ugotowała,
Mnie zaprosili na obiad, żeby dać też pokosztować.
ZAMYKAMY, ZAMYKAMY, CZAS

ZAMYKAMY, ZAMYKAMY, CZAS
Dobranoc Bill. Dobranoc Lou. Dobranoc May. Dobranoc.
Do. Do. Dobranoc. Dobranoc.
Dobrej nocy, panie, dobrej nocy, lube panie, dobrej nocy, [dobrej nocy.

III. Kazanie ogniste

Rozdarty jest namiot rzeki: ostatnie palce liści
Lgną i toną w wilgotnym brzegu. Wiatr
Przebiega ziemię brunatną bez głosu. Odjechał orszak nimf.
Słodka Tamizo, płyń cicho, aż skończę mój śpiew.
Rzeka już nie unosi pustych butelek, papierów,
Jedwabnych chustek do nosa, niedopałków ani pudełek,
Ani innego świadectwa letnich nocy. Odjechał orszak nimf.
I ich przyjaciele próżniacy, synowie dyrektorów
Odjechali, nie zostawiając adresu.
Nod wodami Lemanu siadywałem płacząc...
Słodka Tamizo, płyń cicho, aż skończę mój śpiew,
Słodka Tamizo, płyń cicho, *bo niedługi, niegłośny mój śpiew.*
Ale tuż za plecami słyszę gdzie wiatr dmucha
Grzechot kości i chichot od ucha do ucha.
Szczur pełznął miękko między źdźbłami trawy
Włokąc po brzegu swój oślizgły brzuch,
Kiedy łowiłem ryby w ponurym kanale
W zimowy wieczór, za kotłem gazowni,
Dumając jak się rozbił królewicz mój brat
I o tym jak poprzednio zginął król mój ojciec.
Na niskim, mokrym gruncie białe nagie ciała
I kości rozrzucone w niskiej suchej szopie
I tylko szczur grzechocąc w nich przerywa ciszę.
Ale tuż za plecami rok za rokiem słyszę
Dźwięk trąbek i motorów i słyszę jak niosą
Sweeney'a do pani Porter wczesną wiosną.
Nad panią Porter i nad córką jej
Błyszczący księżyc wschodzi,
A one myją nogi hej, ha, hej,
W sodowej wodzie.
Et O ces voix d'enfants, chantant dans la coupole!

Twit, twit, twit
Tiu, tiu, tiu,
Uciśnionej srodze
Tereu

Nierzeczywiste Miasto
Pod mgłą brunatną zimowych południ
Pan Eugenides, handlowiec ze Smyrny,
Nieogolony, z kieszeniami pełnymi rodzynek,
CIF na Londyn, oto dokumenty,
Zapraszał mnie w zepsutej francuszczyźnie
Na śniadanie do Cannon Street Hotelu
I na week-end w Metropolu.

O fioletowej godzinie, gdy oczy i plecy
Podnoszą się z nad biurek, a ludzka maszyna
Czeka jak taxi drżące niecierpliwie,
Ja, Tejrezjasz, dwa życia znający, choć ślepy,
Widzieć mogę, ja, starzec o piersiach kobiecych,
Jak do domów unosi wieczorna godzina
Żeglarza z dali niespokojnych mórz
I maszynistkę o herbatniej porze.
Ona sprząta śniadanie i rozpala już
Piecyk, konserwy z puszki wygrzebuje nożem.
Z okna zwieszone niebezpiecznie, schną
Jej kombinacje w cieple ostatnich promieni,
A na tapczanie zmieszały się pstro
Pantofle, pończochy, pasy, biusthaltery.
Ja, Tejrezjasz, starzec o wymionach zmiętych,
Pojąłem scenę i resztę odgadłem —
Czekałem aż się zjawi gość niezbędny.
Oto i on, młodzieniec krościasty, przybywa,
Drobny urzędnik. Zuchwale spoziera,
On najniższy, na którym los firmy spoczywa,
Jak cylinder jedwabny na łbie milionera.
Jak przewidywał, pora jest dogodna,
Skończyła swój posiłek, zmęczona, znudzona,
I choć pieszczotom niechętnie się podda,
Obojętne, nie bronią pieszczot jej ramiona.
Gwałtowny, nagły, atakuje śmiało,
Błądząca ręka nie spotka obrony,
Czy ma wzajemność obchodzi go mało
I cieszy się, że nie jest odtrącony.
(I ja, Tejrezjasz, znam to wszystko, znam,
Co się rozgrywa tu, na tym tapczanie,
Ja, którym siedział u tebańskich bram,
Któremu zmarli słali powitanie).
Jeszcze ostatni pocałunek w czoło
I szuka klamki, a schody są ciemne.

Ona spogląda przez chwilę w zwierciadło
Nie wiedząc dobrze, był czy go nie było

I słyszy w sobie jedną myśl bezładną:
„Dobrze że już, wreszcie się skończyło".
Piękna kobieta, gdy się zapomina
I potem sama bada myśli skryte,
Leniwą ręką włos ciężki upina
I na gramofon kładzie nową płytę.

„Muzyka biegła ku mnie z ponad wód"
Biegła po Strandzie, po Victoria Street.
O Miasto, Miasto, czasem tutaj słyszę,
Stojąc przed barem na Lower Thames Street,
Jak miłym głosem bzyka mandolina
I gwar i brzęk tam wewnątrz się zaczyna
W południe, gdy zbierają się handlarze ryb: u ścian
Magnusa Męczennika, skąd złotem wystrzeli
Niewymowna wspaniałość jońskiej bieli.

Rzeka spocona
Naftą i smołą
Ciężkie galary
Obraca prąd
Czerwone żagle
Przerzuty rei
Dalej i dalej odchodzą stąd.
Za galarami
Fala spieniona
Bierwiona skaczą
Galary mkną
Ku Greenwich płyną
Za Wyspę Psią
Weialala leia
Wallala leialala.

Elżbieta i Leicester
Śmigają wiosła
Rufa jak muszla
Czerwono-złota
Gwałtowna wełna
Brzegi uniosła
Wiatr południowy
Popędzał prąd
Dzwonów dzwonienie
Białe wieżyce
Weialala leia
Wallala leialala.

„Tramwaje i drzewa kurzem obsypane.
Highbury zrodziło mnie. Richmond i Kew
Zgubiły mnie. W Richmond podniosłam kolana
Leżąc na wznak na wąskim dnie łódki".

„Moje stopy są w Moorgate, a serce moje
Pod stopami. Gdy stało się, pocóż tu rozmowa?
Płakał i obiecywał „lepsze życie, nowe"
I o cóż tu mieć żal? Nie rzekłam ani słowa".

„W Margate na plaży
Nic niczym uwieńczę
Z niczym połączę
Nic.

Połamane paznokcie, brudne ręce
Nikt u mnie w domu
O niczym nie marzy,
Nie czeka nie pragnie
Nic.

la la

Do Kartaginy przybyłem wtedy

Płonąc płonąc płonąc
O Panie Tyś wyrwał mnie
O Panie Tyś wyrwał

Płonąc.

IV. Śmierć w wodzie

Phlebas Fenicjanin, dwa tygodnie temu
Zapomniał krzyki mew i morza kołysanie
I zysk i stratę.
Skubały mu kości
Prądy szepcące, gdy schodził w otchłanie.
Życie swoje powtórzył, gdy wzniósł się i spadł.
Wir wchłonął pamięć lat jego młodości.
Ktokolwiek jesteś, Żyd czy też poganin,
Ty, który kręcąc koło, słuchasz jak wiatr grzmi,
Zważ: i Phlebas piękny był niegdyś, wysoki jak ty.

V. Co powiedział grom

Po krwawym blasku pochodni na spoconych twarzach
Po mroźnej ciszy w ogrodach
Po agonii wśród kamiennych okolic
Po wrzasku i płakaniu
Więzieniu i pałacu i odblasku
Wiosennej błyskawicy na dalekich górach
Ten kto był żywy teraz jest umarły
Którzyśmy żywi byli teraz umieramy
Cierpliwości tylko odrobinę

Nie ma tu wody, a jedynie skała
Skała i nie ma wody i droga piaszczysta
Droga wijąca się w dali wśród gór
A góry są górami ze skały bez wody
Gdyby tu była woda stanąć by i pić
Wśród skał stanąć i myśleć nie potrafi nikt
Suchy jest pot nogi grzęzną w piasku
O gdyby tu była woda pośród skał
Martwa jest paszcza gór i nigdy nie pluje
Stanąć leżeć ni usiąść nikt tu nie próbuje
I nawet ciszy nie ma pośród gór
Tylko suchy jałowy grzmot bez deszczu
I nawet samotności nie ma pośród gór
Czerwone mroczne twarze kpią i warczą
Zza drzwi spękanych, glinianych lepianek
Gdyby tu była woda
A nie skała
Gdyby tu była skała
Ale i woda
I woda
Potok
Sadzawka wśród skał
Gdyby tu był chociażby dźwięk płynącej wody
Nie głos cykady
I śpiew suchych traw
Ale dźwięk wody bijącej o skałę
Gdzie drozd-pustelnik pośród sosen śpiewa
Kap kap kap kap kap
Ale nie ma tu wody.

Kto jest ten trzeci, który zawsze wędruje przy tobie?
Kiedy liczę, jesteśmy tylko ja i ty,
Ale kiedy popatrzę, tam, na białą drogę
Jest jeszcze zawsze ktoś, kto idzie przy tobie,
Owinięty w brązowy płaszcz, w kapturze.

Nie wiem czy to mężczyzna jest czy też kobieta
— Kim jest ten, który idzie tam, gdzie ja i ty?

Co to za dźwięk wysoko w powietrzu-
Głuchy pomruk matczynych lamentów
Kto są te hordy w ostrych kapturach gnające
Po bezbrzeżnych równinach, po spękanej ziemi
Aż hen tam za płaski horyzont
Co to za miasto ponad pasmem gór
Wstrząsy zmiany wybuchy w powietrzu fioletowym
Walące się wieże
Jerozolima Ateny Alexandria
Nierzeczywiste.

Kobieta naciągnęła czarne długie włosy,
Muzykę palce jej z tych strun wywodziły,
Nietoperze o twarzach niemowląt w powietrzu się niosły
Fioletowym, gwidały i skrzydłami biły
I pełzały w dół głową z poczerniałej ściany
I odwrócone w dół w powietrzu trwały wieże
Dzwoniąc wspomnieniem dzwonów znaczących godziny
I śpiewy z pustych cystern, studni wyczerpanych.

W tej zgniłej jamie pomiędzy górami
W bladym świetle księżyca, trawa śpiewa,
Na rozwalonych grobach, przy kaplicy.
Jest tu pusta kaplica, wiatrom tylko dom.
Nie ma w niej okien, wiatr w jej drzwi zawiewa,
Suche kości krzywdy nie zrobią nikomu.
Tylko kogut stał na szczycie dachu,
Ko-ko-riko, ko-ko-riko,
W błysku błyskawicy. Wtedy wilgotny powiew
Niosący deszcz.

Woda w Gangesie opadła i liście kalekie
Czekały deszczu, kiedy czarne chmury
Zbierały się daleko, ponad Himavant.
Dżungla przypadła, skuliła się w ciszy.
Wtedy przemówił grom:
DA.
Datta: *cóżeśmy dali?*
Przyjacielu, krew bijąca w serce,
Straszna odwaga chwili wyrzeczenia,
Jej nie przekreśli cały wiek rozwagi,
Przez to i tylko przez to myśmy żyli,
Czego nie znaleźć w naszych nekrologach,

Ni w śladach, które zasnuł dobroczynny pająk,
Ani pod pieczęciami, które przełamuje,
Chudy notariusz w wystygłych pokojach.
DA.
Dayadhwam: *słyszałem jak klucz,*
Obracał się raz we drzwiach, tylko raz jedyny,
O kluczu, każdy w swoim więzieniu, myślimy,
Myśląc o kluczu każdy potwierdza więzienie,
Tylko gdy noc zapada, w eterycznej wieści,
Ożywa na niedługo złamany Koriolan.
DA.
Damyata: *łódź słuchała*
Radośnie, dłoni sprawnej do żagla i wiosła,
Morze było spokojne, serce by słuchało,
Radośnie bijąc, gdybyś chciał, posłuszne
Kontrolującym dłoniom.

Siedziałem na brzegu,
Łowiąc ryby, z jałową równiną poza mną
Kiedyż na ziemiach moich zaprowadzę ład?
Most Londyński wali się wali się wali.
Poi s'ascose nel foco che gli affina
Quando fiam uti chelidon — *o jaskółko jaskółko*
Le price d'Aquitaine à la tour abolie
Te fragmenty wsparłem o moje ruiny
Dobrze, niech będzie tak. Hieronim znów szalony.
Datta. Dayadhwam. Damyata.
Szanti szanti szanti

Przełożył **Czesław MIŁOSZ.**

Przypisy autora "Ziemi Jałowej"

Nie tylko tytuł, ale i plan i znaczna część trafiających się w poe macie symbolów powstały pod wpływem książki Jessie L. Westo o legendzie Graala: **From Ritual to Romance** (Cambridge). Tak wie le jej zawdzięczam, że książka Miss Weston wyjaśni lepiej trudnośc poematu, niż to mogą uczynić moje przypisy; polecam ją (niezależni od tego, że jest to książka sama w sobie bardzo interesująca) wszy stkim, którzy sądzą, że wyjaśnienie poematu warte jest trudu. In nemu też dziełu z zakresu antropologii zawdzięczam nie mało — dziełu, które wywarło głęboki wpływ na moje pokolenie; mam n myśli **The Golden Bough**; używałem specjalnie dwuch tomów **Ado nis, Attis, Osiris.** Każdy, kto zna te dzieła, rozpozna natychmias w poemacie pewne odwołania się do obrzędów roślinnych.

I. Grzebanie umarłych

Wiersz 20. Porównaj Ezechiel II, i.

23. Porównaj Ecclesiastes XII, v.
31. Patrz Tristan und Isolde, I, wiersze 5-8.
42. Tamże, III, wiersz 24.
46. Nie wiem dokładnie z czego składa się talia kart Tarota, któr posłużyłem się tutaj dowolnie dla własnych celów. Wisielec, kart z tradycyjnej talii — odpowiada memu celowi podwójnie: ponieważ kojarzy się w moim umyśle z Powieszonym Bogiem Frazera i ponie waż kojarzę ją z postacią w kapturze w wędrówce uczniów do Em maus w części V. "Żeglarz Fenicki" i "Handlarz" pojawiają się póź niej; również "tłumy ludzi", a "Śmierć w Wodzie" urzeczywistni się w części IV. "Człowieka z Trzema Pałkami" (autentyczna kart Tarota) kojarzę, zupełnie dowolnie, z samym "Królem Rybakiem".

60. Por. Baudelaire:
"Fourmillante cité, cité pleine de rêve
Ou le spectre en plein jour raccroche le passant".
63. Por. Inferno, III, 55-57:
"si lunga tratta
di gente, ch'io non avrei mai creduto
che morte tanta n'avesse disfatta".

64. Por. Inferno IV, 25-27:
"Quivi, secondo, che per ascoltare,
non avea pianto, ma'che di sospiri,
che l'aura eterna facevan tremare".

68. Zjawisko, które często obserwowałem.
75. Por. pieśń żałobną w **Białej Diablicy** Webstera.
77. Patrz Baudelaire, wstęp do **Kwiatów Zła.**

II. Gra w szachy

Wiersz 78. Por. Antoniusz i Kleopatra, II, ii, w. 190.

93. Laquearia. Patrz Eneida, I, 726: lychni laquearibus aureis in censi, et noctem flammis funalia vincunt.

100. Leśna scena. Patrz Milton, Raj Utracony, IV, 140.
101. Patrz Owidiusz, Metamorphoses, VI, Philomela.
102. Por. Część III, w. 202.
113. Por. Część III, w. 194.
120. Por. Webster: "Is the wind in that door still?"
127. Por. Część I, 37, 49.
138. Por. grę w szachy w **Women beware women,** Middletona.

III. Kazanie Ogniste

Wiersz 176. Patrz Spenser, **Prothalamion.**
191. Por. **Burza, I. ii.**
196. Por. Marvel, **To his coy mistress.**
197. Por. Day, **Parliament of bees:**
"When of the sudden, listening, you shall hear
A noise of horns and hunting, which shall bring
Actaeon to Diana in the spring,
Where all shall see her naked skin..."

199. Nie znam pochodzenia ballady, z której te wiersze zostały zaczerpnięte. Dotarła ona do mnie z Sydney w Australii.
203. Patrz Verlaine, **Parsifal.**
212. Rodzynki były zakupione z zastrzeżeniem "carriage and insurance free to London; list frachtowy itd. miały być wręczone nabywcy przy płaceniu rachunku.

219. Tejrezjasz, chociaż jedynie widz i wcale nie "bohater", jest jednak najważniejszą osobistością w poemacie, jednoczącą wszystko pozostałe. Tak jak jednooki handlarz, sprzedawca rodzynek, przechodzi w Żeglarza Fenickiego, a ten ostatni nie jest całkowicie różny od Ferdynanda, księcia Neapolu, tak i wszystkie kobiety są jedną kobietą, a dwie płcie spotykają się w Tejrezjaszu. To, co Tejrezjasz **widzi,** jest w istocie substancją poematu. Cały ustęp z Owidiusza jest wysoce ciekawy z punktu widzenia antropologii:

"...Cum Junone iocos et maior vestra profecto est
Quam, quae contingit maribus", dixisse, "voluptas".
Illa negat; placuit quae sit sententia docti
Quaerere Tiresiae: venus huic erat utraque nota.
Nam duo magnorum viridi coeuntia silva
Corpora serpentum baculi violaverat ictu
Deque viro factus, mirabile, femina septem
Egerat autumnos; octavo rursus eosdem
Vidit et "est vestrae si tanta potentia plagae",
Dixit "ut auctoris sortem in contraria mutet,
Nunc quoque vos feriam!" percussis anguibus isdem
Forma prior rediit genetivaque venit imago.
Arbiter hic igitur sumptus de lite iocosa
Dicta Iovis firmat; gravius Saturnia iusto
Nec pro materia fertur doluisse suique
Iudicis aeterna damnavit lumina nocte,
At pater omnipotens (neque enim licet inrita cuiquam
Facta dei fecisse deo) pro lumine adempto
Scire futura dedit poenamque levavit honore.

222. Nie może to uchodzić za tak dokładne jak wiersze Safony, ale miałem na myśli przybrzeżnego rybaka, który wraca z zapadnięciem nocy.
255. Patrz Goldsmith, **Proboszcz z Wakefield.**
259. Patrz **Burza,** jak wyżej.
268. Wnętrze Św. Magnusa Męczennika jest moim zdaniem jednym z najbardziej wyszukanych wnętrz Wrena. Patrz: **The Proposed demolition of nineteen city churches** (King and son, Ltd.).
268. Śpiew (trzech) cór Tamizy tu się rozpoczyna. Od 295 do 312 wiersza mówią one kolejno. Patrz **Götterdämmerung,** III, i: córy Renu.
283. Patrz Froude, **Elisabeth,** tom I, rozdz. IV, list De Quadra do Filipa Hiszpańskiego:

"Po południu byliśmy na barce, przyglądając się zabawom na rzece. (Królowa) była sama z Lordem Robertem i ze mną na rufie, gdy zaczęli mówić niedorzeczności i zaszli tak daleko, że Lord Robert wreszcie powiedział, iż, ponieważ jestem na miejscu, nie ma powodu, by nie mogli być poślubieni, jeżeli królowej się podoba".
296. Por. **Purgatorio,** V, 133:
"Ricorditi di me, che son la Pia;
Siena mi fe', disfecemi Maremma".

313. Patrz **Wyznania** św. Augustyna: "do Kartaginy przybyłem wtedy, gdzie kocioł bezbożnych miłości huczał mi wciąż koło uszu".
314. Pełny tekst Ognistego Kazania Buddy (które pod względem ważności jest równe Kazaniu na Górze), skąd wzięte zostały te słowa, można znaleźć w książce Henry Clarke Warren — **Buddhism in translation.** Warren był jednym z wielkich pionierów studiów buddyjskich na Zachodzie.
315. Znów z **Wyznań** św. Augustyna. Zestawienie tych dwuch przedstawicieli wschodniego i zachodniego ascetyzmu, jako punkt kulminacyjny tej części poematu, nie jest przypadkiem.

V. Co powiedział Grom

W pierwszych ustępach trzy tematy są użyte: podróż do Emmaus, zbliżanie się do Niebezpiecznej Kaplicy (patrz książka panny Weston) i obecny rozkład Europy wschodniej.
Wiersz 364. Jest to **Turdus aonalaschkae pallasii,** drozd-pustelnik, którego słyszałem w hrabstwie Quebec. Chapman powiada (Handbook of Birds of Eastern North America), że "zamieszkuje rzadko nawiedzane przez ludzi lasy i ustronne gęstwiny... Jego śpiew nie wyróżnia się bogactwem ani siłą tonów, ale nie ma sobie równego w czystości, słodyczy i ślicznej modulacji". Słusznie sławi się jego "kapiący śpiew".
366. Poniższe wiersze powstały pod wpływem sprawozdania jednej z polarnych ekspedycyj (zapomniałem której, zdaje się Shackleton'a): wspomniano tam, że grupa podróżników, będąc u kresu sił, miała ciągle złudzenie, iż jest o **jednego członka wyprawy** więcej.
372-383. Por. Herman Hesse, **Blick ins Chaos:** "Schon ist halb Europa, schon ist zumindest der halbe Osten Europas auf dem Wege zum Chaos, fahrt betrunken im heiligen Wahn am Abgrund entlang und singt dazu, singt betrunken und hymnisch wie Dmitri Karamasoff sang. Ueber diesie Lieder lacht des Burger beleidigt, der Heilige und Seher hort sie mit Tranen".
407. "Datta, dayadhwam, damyata" (Dawaj, współczuj, kontroluj). Bajkę o znaczeniu gromu znajdujemy w **Brihadaranyaka — Upanishad,** 5, I. Przekład u Deussena **Sechzig Upanishads des Veda,** str. 489.
413. Por. Webster, **Biała diablica,** V, vi:

"... they'll remarry
Ere the worm pierce your winding-sheet, ere the spider
Make a thin curtain for your epitaphs".

417. Por. **Inferno, XXXIII,** 46,

"ed io sentii chiavar l'uscio di sotto
all orribile torre".

Również F. H. Bradley, **Appearance and reality,** str. 346.
"Moje zewnętrzne wrażenia są niemniej osobiste, niż moje myśli czy uczucia. W każdym wypadku moje doznania wpadają w mój własny krąg, krąg zamknięty od zewnętrznej strony; i, mając jednakowe elementy, każda sfera jest nieprzezroczysta dla innych, które ją otaczają... Krótko mówiąc, rozpatrywany jako egzystencja, która pojawia się w duszy, cały świat jest odrębny i właściwy tylko dla tej duszy."
429. Patrz Weston, **From Ritual to Romance,** rozdział o Królu Rybaku.
433. Patrz **Purgatorio, XXVI,** 148:

"Ara vos prec per aquella valor
que vos guida al som de l'escalina,
sovegna vos a temps de ma dolor.
Poi s'ascose nel foco che gli affina".

434. Por. **Pervigilium Veneris.** Por. Philomela w cz. II i cz. III.
435. Patrz Gerald de Nerval, sonet **El Desdichado.**
437. Patrz **Spanish Tragedy** Kyd'a.
439. Szanti. Powtórzone jak tutaj, jest to formalne zakończenie Upaniszady "Pokój nad wszelkie pojęcie" — byłoby odpowiednikiem tego słowa.

Z poematu o nas samych



Alejom Ujazdowskim...

To nie był alarm
tylko cichy, bardzo daleki dzwon.
I znowu cisza...
I nie ma schronu.
Już dawno runął schron!
Tamten po śmierci jeszcze biegł.
Przez ciszę przebiegł i dobiegł,
a żywi obok już nie wierzą
sami sobie...

Nie wierzą ziemi, wodzie, drzewom,
nie dowierzają gwiazdom.
Co dzień z głośników ciemna śmierć,
jak serce tłumi Miasto.

Tę śmierć nasłali tamci dwaj,
a pięciu innych — innych pięć.
Wy tacy sami — z orzełkami
co dzień wiedziecie nas na śmierć...

Ale żołnierzu, każdy strzał
jest celny, gdy przemówi.
Wsłuchaj się w strzał
i zabijając
samemu sobie uwierz!

Bo wierzą nam kamienie miast,
Słońce i gwiazdy wierzą
z nami szukając odpowiedzi,
w spojrzeniach rzek i zwierząt...



Nie... to nic,
tamci ludzie nigdzie nie uciekają.
To nie strzały! — To trzaskają opony.
Oni-śpieszą-się-do-tramwaju-

W obcych miastach zielone tramwaje,
niebieskie i żółte jadą...

Minął czas tramwajowych barykad,
niewidzialna dziś barykada.

Czas był mglisty,
zaciemnione granice
i pora późna.
Sensy słów nam zmieniono,
i barwy,
a świat to uznał!

Nie ufamy semaforom na torach,
trawie raczej porannej i mokrej.
Już nie z wyspą —
— z planetami ma łączność
nasz okręg...

Walka trwa.
To nic, że nie słyszysz...
Taka sama w niej radość i lęk.
I jest groźna dla nich ta cisza,
a nie groźny dla nas ich zgiełk.

Rośliny i zwierzęta, ptaki i rzeki z nami.
Cóż króliku na zielonym trawniku?
Jesteśmy agentami tych samych:
niewidzialnych,
milczących zwierzchników...

I tylko czasem nam się śni
tłum groźny, głodny — inni my:
zjawy, po schronach,
czerń namiętna.
Ich krzyk rozwala kamienice
od piwnic
po najwyższe piętra!

Ale te sny każdego ranka,
trujemy zastrzykami cjanku,
i najgłośniejszy cicho kona
na zaczajonych naszych dłoniach...

Alicja IWAŃSKA.

Gałąź kwitnąca

Stary Japończyk ma oczy skośne jak dwie łódki,
ich spojrzenie żegluje po niebie,
na którym w krąg, cichutko
płyną żagle białych gołębi.

Stary Japończyk ma sklep, który widzę ze swego okna
i codziennie mnie pozdrawia serdecznie —
a prócz sklepu ma wnuczkę, którą kocha,
małą wnuczkę o prześlicznym uśmiechu.

Raz spytałam tego Japończyka,
patrząc w oczy, skośne, jak dwie łódki —
czy nie tęskni za kwitnącą wiśnią?
A on rzekł mi na to ze smutkiem:
„Moja wiśnia rośnie w moim sercu,
tak przewiozłem wiśnię przez ocean —
i kwitnąca — rozrosła się w sercu,
że już na nic miejsca we mnie nie ma".

Pomyślałem: mądry jest Japończyk,
co ma oczy skośne, jak dwie łódki,
gdy tak w sercu piękną wiśnię nosi
i zasłania się kwiatem przed smutkiem.

Tak ja — w sercu swoim zasadzę
gałąź białej, kwitnącej czeremchy,
i nie będę już o niej marzyć,
i nie będę już więcej tęsknić.

Poranek

Mgła — panienka poranna, wracająca z balu
otuliła drzew smutek powłóczystym szalem,
i urocza, srebrzysta, puszysta, kapryśna
przypomina daleki poranek nad Wisłą.

Panieneczko, zabierz swój woal,
bowiem świata nie widzę za tobą —
tak mnie kusisz, urzekasz i wołasz,
przesłaniając mi autobus,
niby zwiewny obłok,

że zostanę na mroczej ulicy,
aby tobą się czule zachwycać.

Czy to włosów twoich promienie,
czy to oczy twoje tak błyszczą,
że się nagle rozjaśnia ziemia,
otulona twym płaszczem mglistym? —

Ach, nie! — Widzę radosnym sercem
czemu tak się wyzłocił poranek:
zaraz Ciebie, Panienko, zabierze
słońce — pierwszy, najsłodszy kochanek.

Strzał partyzancki

Jakiś był szum po lesie: od wiosny i od kuli —
radość zbrojna chodziła w zielonym drelichu —
śmiał się od ucha rękaw podartej koszuli,
aż rytm serca ciężkiego jak pocisk — przycichał.

Jakoś się oczy na sosnach wieszały
wspomnieniami dziewcząt z wsi pobliskiej —
W lesie dzisiaj zamieszkała radość —
by zielone zwycięstwo zakrzyknąć!

I co zrobić, co zrobić z radością,
gdy — szalona — rozszarpuje płuca —
gdy gotowa błogosławić wojnę
i, jak granat — serce wrogom rzucać

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy cieszyć się światem nabrzmiałym,
kiedy wolność na szpady wyzywać —
niechaj wolno nam będzie na chwałę
własnym sercem wystrzelić — na wiwat! — —

Warszawa, 1944.

Józefa **RADZYMIŃSKA.**

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY")

EUROPY NIE DA SIĘ PRZESUNĄĆ

Konflikt: nacjonalizm przeciw imperium — jest bardzo stary. Ostatnią fazą tego konfliktu była likwidacja monarchii austriacko-węgierskiej i imperium staro-tureckiego — co stanowiło również akt zamknięcia 19 wieku. W początkach bieżącego stulecia ideał samostanowienia narodów został zrealizowany na wielkiej przestrzeni kontynentu europejskiego. "Wiosna Ludów" trwała jednak zaledwie dwa dziesiątki lat. Po drugiej wojnie światowej Metternich zmartwychwstał. Światem miały znów rządzić wielkie mocarstwa, a hasłem epoki nie była już ani wolność ani samostanowienie narodów lecz metternichowski ideał równowagi, pokoju i stabilizacji.

Patrząc wstecz, trudno oprzeć się wrażeniu, że nacjonalizm zmarnował swoją szansę historyczną. W okresie 20-lecia "Wiosny Ludów" nacjonalizm w zbyt wielu państwach europejskich przeciwstawił się wolności — choć nacjonalizm i wolność wyrosły z wspólnego pnia rewolucji. Nacjonalizm, który zdradził wolność — przeszedł do historii pod mianem faszyzmu. Faszyzm był upostaciowaniem tej samej wrogiej siły przeciw której nacjonalizm walczył od końca 18 wieku poprzez cały wiek dziewiętnasty.

Lecz przyczyn upadku "nacjonalistycznej" Europy trzeba szukać gdzie indziej. Nacjonalizmy doprowadziły ideę suwerenności do politycznego absurdu. Faszyzmy doprowadziły do absurdu ideę narodową. W okresie wielkiego wzrostu dwóch potęg poza europejskich, które są państwami wielo-narodowościowymi — Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych — "nacjonalistyczna" Europa wymyśliła mit rasistowski.

Z chwilą, gdy postęp cywilizacji technicznej stworzył moż-

liwości zorganizowania uniwersalnego systemu politycznego — było całkowicie pewne, że próby takie zostaną podjęte. Zarówno Ameryka jak i Związek Sowiecki posiadają ambicję stworzenia jednolitego systemu politycznego dla całej kuli ziemskiej.

I tak oto odwieczny konflikt: nacjonalizm contra imperium — znalazł się w całkowicie nowej fazie. Nacjonaliści ustosunkowują się wrogo tak do jednego jak i drugiego pan-imperium. Jedno jest pewne — nacjonalizm nie może się stać "trzecią siłą". Europa miałaby możliwość stać się pewnego typu trzecią siłą", ale tylko wówczas, gdyby się sfederalizowała w całości. Jeżeli do federacji nie dojdzie — grabarzami Europy będą nacjonaliści.

Za nacjonalistami i neutralistami wszelkich odmian — stoi historia, tradycja, duma narodowa — wszystko, z wyjątkiem logiki. I dlatego na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to właśnie oni stoją twardo na gruncie starej Europy. Cóż bardziej realnego jak suwerenna armia francuska — cóż bardziej fantastycznego jak "armia europejska" — termin, który składa się z samych znaków zapytania.

Tragizm tego zagadnienia sięga bardzo głęboko. Przeciwnicy federacji w pewnym sensie bronią historycznej Europy. Wszyscy niemal oddychaliśmy jeszcze wielkim europejskim stuleciem jakim był wiek XIX. Francja, Anglia, Niemcy, Belgia — każdy z tych narodów ma swój odrębny wiek XIX, odrębną tradycję, odrębną narodową historię, której uczą w szkołach od pokoleń.

Podręczniki szkolne historii narodów europejskich, stawały się od końca ubiegłego stulecia z każdym dziesiątkiem lat coraz bardziej stronnicze i nacjonalistyczne. W chwili pojawienia się na kontynencie dyktatur i państw totalistycznych — europejska Historia Powszechna przestała istnieć. Jej miejsce zajęły szowinistyczne podręczniki historycznej propagandy. I to jest ów mur, który dziś nas rozdziela.

Neutraliści głosząc, że sfederalizowana Europa nie będzie w ogóle Europą, mają również w pewnym stopniu rację. Błąd ich rozumowania polega natomiast na tym, że operują fikcją. Europa zachodnia jest dziś nie systemem, lecz rumowiskiem systemu a swe istnienie zawdzięcza temu, że jest "Belgią" leżącą po drugiej stronie amerykańskiego, atlantyckiego "kanału". Zachodni europejczycy nie mają wyboru pomiędzy Europą a Federacją europejską. Mają jedynie do wyboru albo żyć na strategicznym przedpolu, które gdy będzie zbyt kłopotliwe do zorganizowania Amerykanie opuszczą — albo mogą wybrać federację, która byłaby próbą zbudowania czegoś zupełnie nowego. Próba ta — jeżeli by się powiodła, mogłaby się stać związkiem nowej, potężnej, całkowicie odmiennej Europy, ale przecież Europy!

Każdy europejczyk ma we krwi poczucie ciągłości cywiliza-

cyjnej, poczucie trwania zachodniej cywilizacji, która rozpoczęła się Chrześcijaństwem w oparciu o klasyczną kulturę Grecji i Rzymu. Ciągłość tego cyklu cywilizacyjnego jest bezpośrednio związana z istnieniem żywej Europy, Europy rządzonej przez europejczyków. Europa — prowincja jednego z dwóch pan-imperiów, byłaby tylko pojęciem geograficznym.

◆

Rozważając zespół zagadnień związanych z federacją europejską konieczną rzeczą jest przeprowadzić pewien podział. Proponuję podzielić te zagadnienia na cztery grupy:

1) Ruch europejski (Rada Europejska), 2) Inicjatywy francuskie, 3) Stosunek Anglii do federacji zachodnio-europejskiej oraz zagadnienie federacji atlantyckiej, 4) Europa środkowo-wschodnia.

Rozróżnienie pod 1. i 2. wydaje mi się konieczne, ponieważ inicjatywy francuskie noszą wyraźne piętno, a zasadniczym ich celem jest rozwiązanie problemu Niemiec z punktu widzenia polityki francuskiej. Oczywiście, że jeżeli dojdzie do sfederalizowania Europy zachodniej w najbliższych latach, to będzie to rezultatem inicjatyw francuskich. Dlatego sądzę, że bez szkody dla całości można pominąć w tym artykule dyskusje w Strasburgu, a położyć główny nacisk na plany francuskie.

Według projektów francuskich porozumienie francusko-niemieckie stanowić winno oś krystalizacyjną przyszłej federacji zachodnio-europejskiej. Jeżeli Niemcy służyć będą w szeregach Armii Europejskiej a Zagłębie Ruhry w połączeniu z ciężkim przemysłem francuskim będzie w zarządzie ponad-państwowej instytucji (w przyszłości federalnej) — wówczas Niemcy z odwiecznego wroga i groźnego konkurenta staną się wspólnikiem i przyjacielem.

Rozumowanie wydaje się całkowicie logiczne, choć plany te kryją w sobie różne niebezpieczeństwa. Niemcy zachodnie liczą ponad 50 milionów mieszkańców, dysponują zatem w stosunku do Francji przewagą około 10 milionów mieszkańców. Gdy do tej cyfry dodamy 17 milionów ze wschodnich Niemiec, które się nie ulotnią ani nie wyemigrują nad Wołgę — wówczas przewaga partnera niemieckiego wyrazi się cyfrą blisko 30 milionów mieszkańców. Układ sił przedstawiałby się zupełnie inaczej, gdyby w planach francuskich uczestniczyła Anglia. Z udziałem Anglii federacja zachodnio-europejska doszłaby do skutku z całą pewnością — bez Anglii federacyjna inicjatywa francuska może ulec wypaczeniu.

Nie waham się twierdzić, że odmowa ta zaciąży kiedyś fatalnie na pozycji Anglii. Lecz to jest temat odrębny. Anglicy są przeciwnikami władzy ponadpaństwowej i odrzucają tą koncepcję zarówno w odniesieniu do kontynentu jak i Atlantyku. Przed kilku tygodniami, przemawiając w Strasburgu Sir David Maxwell Fyfe, oświadczył wyraźnie, że Anglia mówiąc o

wspólnocie atlantyckiej w żadnym wypadku nie ma na myśli federacji.

Francuzi nie porzucą łatwo polityki zmierzającej do zjednoczenia Europy, i dzięki ich uporowi mnożą się próby wynalezienia rozwiązania kompromisowego i przejściowego, które miałoby zastąpić ową ponad-państwową instytucję i umożliwić w ten sposób Anglii przystąpienie do... czego? Nie do federacji, bo istotą wszelkiej federacji jest właśnie ponad-państwowa władza. Jeżeli się ją odrzuca — odrzuca się automatycznie ideę federacji.

Konferencja ministrów 6 państw, która 31 grudnia ub. r. skończyła swe obrady w Paryżu — postanowiła przedłużyć czasokres federacyjnych "zaręczyn". Zgodzono się, że o charakterze politycznej organizacji Europy Zachodniej zadecyduje Rada Europejska, która składać się będzie z delegowanych członków parlamentów 6 państw. Owa Rada Europejska (nie należy jej mieszać z Radą Europejską w Strasburgu) wypracuje i przedłoży swój projekt sześciu zainteresowanym rządom, które otrzymawszy ów tekst zwołają ponownie zachodnio-europejską konferencję ministrów celem definitywnego uzgodnienia planu. Poza tym powołano nową serię komitetów. Do 17 komitetów WUDO i do 50 komitetów "planowania regionalnego", do dziesiątków komitetów z których składa się NATO — dojdzie jeszcze kilkanaście nowych komitetów "budżetowych" Armii Europejskiej. Innymi słowy, wszystko to stanowi w pewnej mierze odwrotność federalizmu, gdyż jednym z najsilniejszych argumentów przemawiających za federacją jest perspektywa zastąpienia tego potopu bezwładnych komitetów — ponad-państwową instytucją wyposażoną w realną władzę.

Idea suwerenności tkwiąca głęboko w minionych stuleciach świetności europejskiej broni się twardo jakby w przeczuciu, że jesteśmy ostatnim pokoleniem, które jej służy.

Stosunek Anglii do federacji dyktowany jest nie polityką, lecz historią. Nie wymogami XX wieku, lecz dziejami XVIII i XIX wieku. Churchill w swych mowach w Fulton i w Zurychu — był wizjonerem. Lecz z chwilą gdy wrócił na 10, Downing Street, na tę samą Downing Street, gdzie przed nim rządzili Walpole, Pitt, Książę Wellington, Peel, Palmerston, Disraeli, Gladstone — ugiął się przed Historią.

Jeżeli pominiemy notorycznych neutralistów zgrupowanych wokół "The New Statesman & Nation" to argumenty przeciw-federacyjne wysuwane przez prasę brytyjską można streścić w jednym zdaniu. Anglia nie może przystąpić do Federacji zach.-europejskiej z uwagi na więzy jakie łączą ją z brytyjską wspólnotą narodów; nie może również zaakceptować federacji atlantyckiej bo byłoby to równoznaczne z podporządkowaniem się silniejszemu partnerowi, tj. Ameryce. "The Observer", który konsekwentnie propaguje idee federacji wszystkie owe kontr-argumenty poddał druzgocącej krytyce w serii świetnych

artykułów wstępnych. Logika jest w całości po stronie federalistów. Lecz cóż stąd? Logika w polityce odgrywa jeszcze mniejszą rolę niż w życiu jednostki.

Osobiście jestem przekonany, że jeszcze w tym stuleciu dojdzie do zjednoczenia świata anglosaskiego. Amerykanie już nigdy nie wyjdą z Anglii. Brytyjski "Commonwealth" przemienia się wolno w kondominium anglo-amerykańskie. Wielkie plany gospodarcze, jak np. Plan Colombo (powzięty w stolicy Cejlonu na imperialnej konferencji z udziałem jeszcze Bevina) — może być realizowany jedynie przy pomocy amerykańskiej. Obrona Kanady, Australii i Nowej Zelandii — jest dziś — jak słusznie podkreślił "Observer" — odpowiedzialnością i zadaniem St. Zjednoczonych. Węzły łączące oba kraje zacieśniają się z miesiąca na miesiąc i sieć tych nici biegnących poprzez Atlantyk staje się coraz gęstsza. Wydaje mi się, że ów proces minął już punkt skąd jeszcze możliwy był odwrót.

Nie sądzę, by przyszła "unia" anglo-amerykańska oparła się kiedyś o jakiś "dziejowy" akt czy statut. Unia narastać będzie zwyczajem, precedensami, praktyką — zgodnie z empiryczną tradycją Anglosasów.

Lecz obecne pokolenie Brytyjczyków przynależy jeszcze do innej epoki. Churchill w swym dążeniu przywrócenia Anglii światowej mocarstwowej pozycji ma za sobą większość narodu brytyjskiego. Ma za sobą historię, tradycję i wrodzony wszystkim starym narodom — konserwatyzm. Tylko płytcy obserwatorzy utrzymują, że Anglikom zależy jedynie na bezpieczeństwie (o ile możności okupionym cudzym kosztem) i na dostatnim życiu na ich własnych wyspach. W istocie trudno by było dziś znaleźć drugi naród, który składa równie imponujące ofiary na ołtarzu mitu wielkości. Jest rzeczą godną podziwu z jakim hartem i uporem ten 50-cio milionowy naród w oparciu o swe rodzime wyspy dźwiga schedę imperialnej świetności. Misja niezależności przywództwa jest wciąż żywym i dynamicznym impulsem w narodzie brytyjskim.

◆

Jesteśmy świadkami narastania dwóch pan-imperiów, a stosując brutalne uproszczenie można by powiedzieć, że treścią współczesnej polityki jest proces podziału reszty świata pomiędzy owe dwa pan-imperia. Pomiędzy tymi dwoma kolosami znajduje się kadłubowa zachodnia Europa. To jest ostatni bastion suwerennych nacjonalizmów. Suwerenność tych państw staje się coraz bardziej iluzoryczna. Epoka nacjonalizmów dobiega kresu.

Byłoby korzystniej poświęcić dobrowolnie suwerenność i przelać ją na władzę polityczną federacji, niż kiedyś rezygnować z suwerenności pod naporem okoliczności. Inicjatywa musiałaby wyjść od Anglii. Churchill musiałby wrócić do swych planów z Zurychu, a może nawet do propozycji unii francusko-brytyjskiej z kryzysowych dni ubiegłej wojny. Federacja

zachodnio-europejska, której trzonem byłaby unia brytyjsko-francuska (a nie związek francusko-niemiecki) — byłaby pozytywnym rozwiązaniem zagadnienia niemieckiego. Bez udziału Anglii — nad czysto kontynentalną kadłubową federacją europejską unosić się będzie zawsze niemiecki znak zapytania.

Lecz na to Anglia musiałaby przestawić swą politykę o 180 stopni. I to się nie stanie. Takie rzeczy się nie dzieją. Istnieje pewien determinizm historyczny, który wykreśla orbitę politycznych możliwości każdego narodu. Publicystyka może być logiczna i zgodna z rachunkiem — rządzić jednak musi się zgodnie z instynktem i wolą większości. Większość Brytyjczyków mając do wyboru kontynent czy ocean — wybierze ocean, mając do wyboru federację czy "Commonwealth" — wybierze ten ostatni.

Innymi słowy, Europa musi się sfederalizować sama. Kardynalnym zagadnieniem kontynentu są — Niemcy. Kadłubowa zachodnio-europejska federacja nie rozwiązuje w pełni tego problemu. Niemcy bowiem w tym zespole są najliczniejsi i najbardziej dynamiczni.

Rozważywszy wszystkie "pro" i "contra" widzimy jasno, że federacja kadłubowej Europy nie prowadzi do celu. Konieczne jest rozszerzenie zasięgu federacji jeżeli ma ona sprostać swoim zadaniom. Jedną z propozycji tego typu były plany związania Anglii z kontynentem. Ten projekt nie ma szans realizacji. Anglia będzie ściśle współpracować z Europą zachodnią nie stanie się jednak nigdy członkiem kontynentalnej federacji.

Istnieje tylko jedno proste i naturalne rozwiązanie tej sprawy. Rozszerzenie zasięgu federacji na środkowo-wschodnią Europę. Federacja środkowo-wschodnio-europejska zrzeszona w jedną organizacyjną całość z federacją zachodnio-europejską stanowiłaby zarówno rozwiązanie problemu niemieckiego jak i rosyjskiego w Europie. Trzeba bowiem dziś już myśleć o przyszłej nie-sowieckiej Rosji, która choć cofnie się na granice z 1939 r. (lub dalej) — nie zapomni, że lata Rosjanie patrzyli na Europę z okien Berlina. Tegoż Berlina, który od r. 1870 był stolicą wojen i katastrof europejskich.

U podstaw projektów rozszerzenia kadłubowej federacji na wyspy brytyjskie — tkwi przeświadczenie, że przepołowiona Europa jest niezdolna do samoistnego bytu. W projektach tych można się również dopatrzyć próby przesunięcia Europy ku zachodowi w celu wyrównania Anglią utraty środkowo-wschodnich obszarów europejskich. Chodzi bowiem zawsze o Niemcy.

Próby te — zawiodły. Europy nie da się przesunąć. Zachodni europejczycy powinni wyciągnąć z tego konsekwencje i w pełni sobie uświadomić, że odzyskanie Europy środkowo-wschodniej jest nieodzownym warunkiem zorganizowania prawdziwej federacji europejskiej.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

List z Niemiec

(Od berlińskiego korespondenta KULTURY)

CZY "NIEODWOŁALNIE" Z ZACHODEM?

"W ciągu dotychczasowej swej historii Niemcy wahały się między Wschodem i Zachodem, raz tu raz tam. Ale od dziś stoją po stronie Zachodu i mają znów twardy grunt pod nogami" — powiedział kanclerz Adenauer po powrocie z paryskiej narady z trzema ministrami spraw zagranicznych. Potem była wizyta londyńska i potwierdzenie tej decyzji Niemiec: jest ona "ostateczna i nieodwołalna".

Spróbujmy na chwilę zapomnieć o innych wystąpieniach kanclerza z tego samego okresu i zastanowić się nad formułą, zawartą w jego oświadczeniu. Jeżeli decyzja, o której mówił p. Adenauer okaże się nie tylko programem obecnego rządu Republiki Związkowej, ale i postanowieniem narodu niemieckiego — to będzie ona naprawdę historyczną decyzją, dla Niemiec i dla Europy.

Bo jej urzeczywistnienie musiałoby oznaczać całkowity zwrot w dążeniach Niemiec. Trwałego związania się z Zachodem nie można sobie wyobrazić bez przyswojenia sobie zachodnich metod współpracy międzynarodowej i zachodniego sposobu myślenia. W stosunku do Wschodu — zwrot taki musiałby się wyrazić w wyrzeczeniu się różnego rodzaju "misji", które w sumie przyniosły Niemcom więcej klęsk niż korzyści.

Zapewne, decyzja owa nie była jedynie wynikiem rozważań nad historią. Jest ona przede wszystkim następstwem sytuacji w jakiej Niemcy znalazły się po wojnie, częściowo produktem wojny zimnej i wreszcie paryskich i londyńskich rozmów kanclerza. Zarówno w Paryżu jak i w Londynie postawiono warunki. Powiedziano — jak to niedwuznacznie wynika z komentarzy — że Zachód pragnie zjednoczenia i powrotu Niemiec do społeczeństwa międzynarodowego; nie godzi się jednak ani na odbudowę niekontrolowanego niemieckiego przemysłu wojennego, ani na utworzenie samodzielnej armii niemieckiej, ani nawet na sytuację, w której rozbrojone i zneutralizowane Niemcy stałyby się, według określenia p. Silexa w "Das ganze Deuschland" — "języczkiem u wagi".

Ale jeszcze ważniejsze jest pytanie: czy mamy w tym wypadku do czynienia z jedną z faz zmiennej sytuacji dyplomatycznej, czy też — przeciwnie — stajemy wobec zupełnie nowego i mającego cechę trwałości określenia roli Niemiec w Europie. A że samo określenie nie wystarczy, więc: czy zarówno Zachód jak i Niemcy są gotowe do zajęcia miejsc w nowym układzie rzeczy.

Dzieje projektów europejskich mogłyby niejednemu nasunąć

pesymistyczne odpowiedzi. Chociaż zarysy przyszłej Europy wyłaniają się z mgławic, jednak kształt ich nie jest jeszcze wyraźny. Mimo to następują wydarzenia, które dla oświadczeń p. Adenauera mogą stworzyć podstawy pewniejsze od niekończących się dyskusji zjednoczeniowych. Jednym z nich jest niedawne ratyfikowanie Planu Schumana przez francuskie Zgromadzenie Narodowe. W ślad za tym pójdzie zapewne ratyfikowanie przez pozostałe stolice.

Być może więc, że związanie Niemiec z Zachodem stanie się nie tylko propagandowym hasłem, ale i faktem ekonomicznym. Urzeczywistnienie Planu Schumana oznaczałoby, że powstał w Europie zachodniej potężny ośrodek działania, dokoła którego musiałyby z konieczności krążyć wszelkie projekty politycznej konstrukcji europejskiej. W nowej zaś wspólnocie interesów Niemcy zyskają nowe również możliwości, które mogą znakomicie opłacić pewne ograniczenie swobody ruchów — co dotyczy zresztą wszystkich uczestników paktu.

Dla Niemiec nie bez korzyści, rozwiązanie takie jest pożądane, tak mi się wydaje, z polskiego stanowiska. Istotne jest ujęcie w szersze ramy niemieckich ośrodków siły, z jednoczesnym przesunięciem na zachód punktów ciężkości i kierunków zainteresowań. Pozostawiony sam sobie, przemysł niemiecki był wyrzutnią szaleńczych i katastrofalnych poczynań. W szerszych ramach Planu Schumana może stać się jednym z czynników stabilizacji. W każdym razie jest to dla nas i dla Europy sytuacją mniej niebezpieczną od tej, jaka powstała po pierwszej wojnie światowej: przemysł niemiecki w swych decyzjach niezależny, ale wspomagany finansowo przez Zachód, ba, występujący nawet w roli pełnomocnika Zachodu na Europę środkową i wschodnią; Niemcy żywione z zewnątrz angielsko-amerykańskimi kredytami, a od wewnątrz — marzeniami o "misji na wschodzie" tj. o nowych podbojach.

Co więcej, nowy układ rzeczy znalazłby się na linii naturalnego rozwoju stosunków ludnościowych wewnątrz samych Niemiec. Prof. Burgdörfer obliczył ostatnio, że ludność Niemiec (łącznie ze strefą sowiecką), osiągnie punkt szczytowy w ciągu najbliższych 10-20 lat przy 70 milionach i po krótkim okresie stabilizacji, zacznie się stopniowo zmniejszać. Obecny przyrost ludności wynosi jeszcze w Niemczech 5,9 na tysiąc. W tym samym czasie przyrost naturalny największego sąsiada Niemiec — Polski wynosi 17,9 na tysiąc, podczas gdy ludność Francji ma tendencję do powolnego zmniejszania się. Stąd wniosek, że w ramach nowej wspólnoty gospodarczej, Niemcy będą jeszcze przez czas pewien uzupełniać (łącznie z Włochami, ale krócej i w dziedzinach wymagających bardziej wykwalifikowanej pracy), potrzeby współpracującego z nimi przemysłu francuskiego.

◆

Śledząc dyskusje na temat przyszłej organizacji Europy, pa-

miętamy, że chodzi wciąż i tylko o Europę zachodnią. Najcieplejsze nawet słowa, odnoszące się do jej wschodniej części mają charakter symboliczny i nie może być inaczej do póki jest ona w niewoli. Tymczasem gospodarcze i polityczne scalanie Europy zachodniej odbywać się będzie na zasadzie regionalnej, a im dłużej potrwa ten stan rzeczy, tym wyraźniej będzie występował regionalny charakter tego dzieła. Podobny proces — choć w zupełnie innych warunkach — odbywa się po drugiej stronie żelaznej zasłony. Przeprowadzana pod terrorem "rewolucja przemysłowa w Europie środkowo-wschodniej" (p. "Kultura" Nr. 11/49), jest szybsza i bardziej radykalna od przekształceń w gospodarce zachodnio-europejskiej. Scalanie i pośpieszne uprzemysławianie gospodarki krajów do niedawna przeważnie rolniczych, odbywa się dziś pod kątem widzenia potrzeb sowieckiej machiny wojennej. Ale to nie zmienia istoty rzeczy. Istotą rzeczy jest powstawanie nowego, dużego rejonu gospodarczego. Ten fakt w przyszłości może stać się podstawą dla nowych rozwiązań politycznych, a nawet częściowo je narzuci.

Niektórzy sądzą, że da się na Zachodzie stworzyć gotowe ramy, do których reszta Europy wskoczy w odpowiedniej chwili. Ten pogląd jest chyba daleki od realizmu. Bardziej jest prawdopodobne, że gdy podniesie się zasłona, Europa odnajdzie się sama w nowej już postaci:

1) do pewnego stopnia scalony gospodarczo (przynajmniej w zakresie podstawowych artykułów) obszar Europy zachodniej;

2) dość silnie i dość wszechstronnie uprzemysłowiony obszar środkowo-wchodniej Europy — scalony w znacznym już stopniu;

3) Wielka Brytania z zapleczem zamorskim. Z dotychczasowej, wstrzemięźliwej wobec projektów europejskich taktyki brytyjskiej wynika, że Londyn przygotowuje się do roli arbitra między regionami europejskimi, być może jako stowarzyszony — pełnomocnik Stanów Zjednoczonych.

4) Kraje, które dziś wchodzą w skład Związku Sowieckiego, ale w których istnieją silne dążenia niepodległościowe, tj. Ukraina i Białoruś. Włączone dziś do gospodarki sowieckiej — z chwilą uzyskania niepodległości — będą może poszukiwały zbliżenia z regionem gospodarczym środkowo-wschodniej Europy.

5) Rosja lub federacja rosyjska.

W każdym razie jest widoczne, że obecny rozwój prowadzi do zjednoczenia europejskiego poprzez układy regionalne, powstające już dziś siłą rzeczy. W tym nowym układzie stosunków Niemcy znalazłyby się w zachodnim regionie, ma-

jąc za swego wschodniego sąsiada dość mocny gospodarczo region środkowo-wschodniej Europy. Zapewne, wkrótce dojdzie do ułożenia sąsiedzkich stosunków, ale w warunkach jakże odmiennych od dawniejszych.

◆

Kierunki rozwoju zarysowują się coraz wyraźniej, ale jego zasięg i tempo zależą od przyszłych wydarzeń, których nikt dokładnie przewidzieć nie potrafi.

Pierwszym warunkiem jest, oczywiście, uwolnienie krajów Europy środkowo-wschodniej spod przemocy moskiewskiej. Jego spełnienie zależy, powiedzmy bardzo ogólnie, od stosunku sił, jaki się wytworzy w nadchodzących latach między mocarstwami zachodnimi z jednej, a Moskwą z drugiej strony.

Spełnienie drugiego warunku zależy od tego czy uwolnione kraje tego obszaru potrafią związać się mocnymi i trwałymi więzami współpracy politycznej, w oparciu o dziś już powstające wspólne ramy gospodarcze. Dziś można powiedzieć z całą pewnością tylko tyle, że myśl ta stopniowo dojrzewa.

Wreszcie warunek trzeci — to harmonijne ułożenie się stosunków wśród krajów zachodniego obszaru, co przede wszystkim zależy od postawy jaką zajmie naród niemiecki. Ściślej od tego czy obietnice p. Adenauera będą uważane w Niemczech za obowiązujące na przyszłość, czy w Niemczech wezmą ostatecznie górę elementy umiarkowane czy też krańcowo-nacjonalistyczne.

◆

Mieliśmy niedawno sposobność usłyszeć ocenę z ust dwu Amerykanów, zajmujących w Niemczech wysokie urzędy okupacyjne. Wysoki Komisarz Stanów Zjednoczonych p. McCloy jest optymistycznie nastrojony i sądzi, że naród niemiecki stanowczo odrzuca wszelkie krańcowe podszepty. Jego dawniejszy zastępca, p. Buttenwieser jest wręcz odmiennego zdania.

W samym obozie rządowym nie wszystko jest zupełnie jasne. Niedawna wypowiedź jednego z ministrów, p. Soebohma na temat czci dla "wszelkich symbolów, pod którymi Niemcy ginęli dla Ojczyzny", wywołała zarówno wątpliwości interpretacyjne jak i protesty. Sam kanclerz, w ostatnich czasach, kilkakrotnie wywieszał sztandar rewizjonizmu, co się odbiło szerokim echem wśród sąsiadów Niemiec. Choć trzeba przyznać, że wystąpienia te były stopniowo coraz mniej kategoryczne, aż wreszcie jeden z bliższych współpracowników p. Adenauera zauważył, że owe zamierzenia nie są aktualne.

Przywódca socjalistycznej opozycji dr Schumacher (a mówią, że opozycja w siły wzrasta) z oburzeniem cytuje londyńskiego "Times'a", który po paryskiej konferencji określił nową sytuację Niemiec jako "protektorat". Dr Schumacher nie tylko domaga się pełnej suwerenności dla Niemiec, nie tylko zarzucał kanclerzowi, że nie uzyskał w Paryżu wzmianki o ziemiach zaodrzańskich i Saarze — ale i ostrzegał Francuzów,

że umowy zawarte z rządem Adenauera nie będą w przyszłości wiązały narodu niemieckiego.

W swych dążeniach centralistycznych, w swym rewizjonizmie, w uczuciowej egzaltacji z jaką dr Schumacher woła o równouprawnienie Niemiec w dziedzinie politycznej, wojskowej i gospodarczej — wyraża on dziś najdobitniej te tradycyjne dążenia niemieckie, które były budowane na środkowym położeniu Niemiec w Europie. Na ich dnie kryje się, być może, przeświadczenie, że kiedyś nie tylko Rosja, ale i Stany Zjednoczone oddalą się od europejskich spraw i że wówczas Niemcy będą miały poważną rolę do odegrania. To wystarczy, aby zaniepokoić zarówno sąsiadów Niemiec, jak i Brytyjczyków za kanałem La Manche, Przy tym demokratyczne credo socjalistów niemieckich sprawia, że głoszone przez nich poglądy nie wywołują tak natychmiastowych i żywych protestów, jak np. próby odbudowania programów otwarcie nacjonalistycznych.

Tu zresztą warto zauważyć, że sama antysowieckość jeszcze nie oznacza definitywnego opowiedzenia się za Zachodem. Jest ona tylko zajęciem stanowiska w "zimnej wojnie" i niczego na przyszłość nie przesądza. Z punktu widzenia aktualnej sytuacji "wojennej", podróże dr Wirtha do wschodnich Niemiec i dr Niemoellera do Moskwy spotkały się z krytyką zarówno zwolenników rządu jak i opozycji. Niemniej jednak jednym z haseł dnia jest dzisiaj przyjaźń narodów niemieckiego i rosyjskiego (narodu w odróżnieniu od panującego dziś w Rosji sowieckiego ustroju). Jakkolwiek to samo hasło jest wysuwane jednocześnie przez Amerykanów i przez Niemców zachodnich, wydaje się jednak że nie jest ono przez jednych i przez drugich jednakowo rozumiane. Amerykanie pragną okazać sympatię tym Rosjanom, którzy pragną wyzwolenia z ucisku. Ci, spośród Niemców, którzy dążą do odbudowania dawnej pozycji swego kraju, myślą o odzyskaniu swobody manewru politycznego w przyszłości. I sądzą, że zobowiązania takie jak plan Schumana czy armia europejska tę swobodę niszczą lub krępują.

Sama ta zresztą dyskusja jest miarą zmian, jakie w ostatnich latach zaszły zarówno w położeniu Niemiec jak i w umysłach. Może nie wszyscy są z tego powodu szczęśliwi, jak może świadczyć sylwestrowe westchnienie publicysty jednego z zachodnioniemieckich dzienników: "Jeszcze tak niedawno było nadzieją wielu, najlepszych może serc, że Niemcy jako czynnik mocarstwowy są wymarłym wulkanem i że nie wejdą nigdy z powrotem na drogę mocarstwowej polityki... Zdaje się, że nie jest dane naszemu narodowi odetchnąć w prawdziwym pokoju i znów rozwijać w sobie te przymioty, którym, jeszcze przed stu laty, zawdzięczał on szacunek świata".

W tej sytuacji trudno jeszcze powiedzieć w jakim stopniu postanowienia co do zasadniczego zwrotu w historycznych dążeniach niemieckich są "ostateczne i nieodwołalne".

Jerzy PRĄDZYŃSKI.

LIST Z BERLINA

O północy, w noc sylwestrową, otworzyły się okna i drzw
balkonów, wytrysły w górę kolorowe rakiety, rozległ się hu
świątecznych petard i ludzie przepijali do siebie z domu d
domu poprzez ulice: "Prosit Neujahr!" Zachodni Berlin powita
Nowy Rok z hałasem i wesoło, buńczucznie i wyzywająco.
przecież już o jedną stację kolejki podziemnej dalej, o kilk
domów, o krok, zaczyna się inny i groźny świat. Przybys
wszystko jedno kim jest i skąd przybywa, patrzy z uwagą
nie bez uznania na upór, z jakim lud berliński urządza sob
życie w owej dziwnej mieszaninie ruin i luksusu.

Prawda, że wiele trzeba zapisać na konto aliantów, którz
pewnego dnia, akurat w tym punkcie Europy, w samym środ
ku Berlina, powiedzieli sobie, że czas już przetasować kart
Antyblokadowa epopea powietrzna zrobiła swoje. I to, że ame
rykańscy żołnierze, wypucowani, czyści, chodzą sobie po ul
cach, żując gumę, "jak gdyby nigdy nic".

Wśród ruin Charlottenburga-Kurfürstendamm, rzęsiście wie
czorami oświetlony, upstrzony bogatymi wystawami, kawiar
nia za kawiarnią, knajpa za knajpą, wygląda jak kosztown
broszka, przypięta do podartej sukni. Ludzie tu żyją rozmai
cie, jedni dobrze, drudzy biednie, ale wszyscy jakoś żyją i s
dumni, że w najgorszych chwilach nie opuścili swego miasta –
tak jak to uczyniło wielu, którzy urządzili się w zachodnic
Niemczech. Tu i ówdzie, na zebraniach, w artykułach mówi
Berlińczycy nie bez złośliwości o Bonn, gdzie "żyje się wygod
nie i kolekcjonuje urzędowe akta". Berlin ma dziś własn
"esprit de corps", który bardzo go odróżnia od wielu innyc
miast niemieckich. Swoją drogą, dla przybysza z Londynu, dziw
nie wyglądają ci dostatni panowie, ze smakiem zajadający ostry
gi, gdy się wspomni, że jest w zachodnim Berlinie 300.000 bezro
botnych, żyjących z publicznego wsparcia. Lecz mimo wszystk
"esprit de corps" jest i to nadaje miastu oblicze.

Bo w Berlinie wciąż toczy się walka. Głucha, przytłumion
codzienna. W tę i w tamtą stronę codziennie jeżdżą ludzi
roznosząc wieści. Codziennie napływają uciekinierzy ze wschod
niej strefy. Codziennie przenikają z zachodu na wschód wi
domości o tym jak żyją ludzie wolni. Codziennie przychodzi p
kilku przysłowiowych już dezerterów z "policji ludowej"; ga
zety notują lakonicznie: "Czterej Schupo w Berlinie zachod
nim". Na Potsdamer Platz, jednym z punktów, gdzie stykaj
się dwa światy, ruch jest normalny w obie strony. Ale wysta
czy przystanąć na chwilę i spojrzeć. Jeszcze tutaj, na krańc
zachodniej części miasta, życie płynie wartko, jakoś swobod
niej i weselej. Sklepy i stragany pełne towarów, piętrzą s
szynki i kiełbasy. Już tam, o kilkanaście kroków dalej, pustk
i — transparenty, głoszące hasła "pokoju". Jest to pokój gr
zy. A i ludzi "stamtąd" można poznać nieledwie na pierwsz
rzut oka. Jacyś smutniejsi, gorzej ubrani, szarzy.

Przy tym wszystkim zachodni Berlińczycy wybierają się, od czasu do czasu — o ironio! — na zakupy. Zachodnia marka warta jest cztery razy tyle co wschodnia, mogą więc tanio kupić niektóre towary dla wschodnich Berlinczyków wprost niedostępne. To robi trochę złości po obu stronach. Mieszkańcy wschodniego Berlina patrzą zazdrośnie na "kapitalistów" z zachodu i skarżą się, że ci podbijają ceny. W zachodnim Berlinie krytykuje się wycieczkowiczów za brak solidarności. Władze zaś sowieckie i niemieckie komunistyczne patrzą na to wszystko przez palce, śmiejąc się w kułak, a nawet popierają ten dumping, który przynosi im pewne korzyści.

W gruncie rzeczy czuje się Berlin zachodni, dziś pół-miasto "kresowe", osamotniony, jakby zapomniany i odsunięty nieco od ważnych spraw, które się rozstrzygają daleko na zachodzie Niemiec. Czuje się urażony w swej stołecznej dumie. I — może nie bez racji — ma poczucie swej "inności". Tam, na zachodzie, powstaje coś nowego, z czym Berlin nie bardzo jest związany. Wprawdzie, w końcu ubiegłego roku został Berlin w dużym stopniu włączony do Republiki Związkowej pod względem finansowym. Ale poczucie osamotnienia trwa. Czyżby to było oznaką jakich głębokich zmian, zasadniczych zmian w samej strukturze niemieckiego życia? Zmian, które niepokoją niektórych ludzi, żyjących na "wygodnym" zachodzie... Niedawno pisał Friedrich Sieburg w hamburskim tygodniku "Die Zeit": ...Berlin ... nie daje wprawdzie przekroju naszego kraju, ale daje przekrój naszego losu... Czyż sztuczna budowla państwowa, w której ramach żyjemy, stanie się kiedyś czymś naturalnym?... bezwstydna lekkomyślność z jaką przed niewielu laty pogrzebaliśmy Prusy... Bez Berlina nigdy nie będziemy na nowo narodem".

I rzeczywiście, te pytania narzucają się same nieustannie. Czy Berlin, nawet jeżeli z powrotem będzie stolicą całych Niemiec, odzyska dawne stanowisko i znaczenie w Europie? Czy okres jego świetności nie był ściśle i nierozerwalnie związany nie tylko z pozycją Niemiec w Europie, ale przede wszystkim ze znaczeniem Prus w samych Niemczech, z okresem ich ekspansji i podbojów na wschodzie? Czy można będzie rządzić obszernym krajem ze stolicy położonej na kresach państwa niemieckiego, o kilkadziesiąt kilometrów zaledwie od granicy? Czy wynikiem ściślejszego wiązania się z zachodem nie będzie nieuchronne przesuwanie się ośrodków życia niemieckiego w tamtą stronę, co w dużej mierze już jest faktem?

Tymczasem, w sektorze brytyjskim, przed pomnikiem dla poległych żołnierzy sowieckich, stoją jeszcze czerwonogwardziści z karabinami przez plecy. Niezbyt swojo muszą się tutaj czuć ci krępi żołnierze rosyjscy. Może dla dodania sobie animuszu, z pewną nonszalancją trzymają ręce w kieszeniach od spodni i, od czasu do czasu, przestępują z nogi na nogę.

Jerzy PRĄDZYŃSKI.

Próba wytłumaczenia nonsensu

To co się dzieje w Korei jest nonsensem. Ale w polityce międzynarodowej nonsens też musi mieć swe przyczyny i znaleźć jakieś wytłumaczenie. Tego rodzaju nonsens jak obecny stan sprawy koreańskiej jest oczywiście faktem o doniosłości światowej. To że jego przyczyny są na pierwszy rzut oka nieuchwytne nie zmienia istoty rzeczy i nie zwalnia nas od obowiązku szukania rozwiązania tej zagadki.

Prawie półtora roku temu Rosja Sowiecka za pośrednictwem północno-koreańskich komunistów zaatakowała Południową Koreę opuszczoną i bezbronną. Ameryka uprzednio wycofała swe wojska okupacyjne, pozostawiając na miejscu nieliczną misję wojskową, której zadaniem było ćwiczyć lokalne siły zbrojne. Nie chodziło bynajmniej o stworzenie nowoczesnej armii: na to nie było ani kredytów, ani nowoczesnego sprzętu.

Przetłumaczony na język polityczny fakt ten oznaczał désintéressement Stanów Zjednoczonych terenem koreańskim. Nic dziwnego, że Stalin spodziewał się łatwego i taniego triumfu: jeszcze jeden kraj wciągnięty poza Żelazną Kurtynę, wzrost prestiżu sowieckiego i upadek prestiżu amerykańskiego.

Stało się jednak inaczej. Ameryka zamiast zareagować papierową notą, odpowiedziała strzałami. Wybuchła poważna, choć lokalna, wojna. Przerzucone na teren koreański, o 5.000 mil oddalony od brzegów Kalifornii, dywizje amerykańskie oparły się napadowi komunistycznemu. Po nieuniknionych początkowych porażkach siły amerykańskie pod flagą Narodów Zjednoczonych i przy symbolicznej pomocy innych narodów, ocaliły Koreę.

Okazało się, ku wielkiemu zdziwieniu Moskwy, że Ameryka zdecydowana jest nie tylko protestować, ale i strzelać w obronie wolnego świata, nawet na tak niewygodnym terenie jak półwysep koreański, gdzie Ameryka nie ma żadnych interesów gospodarczych ani nawet strategicznych.

Nastąpiła interwencja chińska, ale i ta nie pomogła. W międzyczasie bowiem siły Narodów Zjednoczonych do tego stopnia wzrosły, że masy piechoty chińskiej, pomimo, że nie żałowały krwi, kładły się pokotem raz po raz na przedpolu frontu amerykańskiego. Załamywała się ofensywa po ofensywie, setki tysięcy Chińczyków ginęło w tych bezpłodnych natarciach, aż stało się oczywiste, że ta szczególna wojna, prowadzona ze strony komunistycznej bez dostatecznego udziału broni powietrznej i w zupełnej nieobecności sił morskich, nie może doprowadzić do żadnych decydujących wyników.

Zapędzona wojskowo w ślepy zaułek wojna koreańska wywołała jednak w polityce wewnętrznej Stanów Zjednoczonych gwałtowną burzę: prezydent Truman odwołał generała Mac

Władysław Pobóg-Malinowski.

«Najnowsza Historia Polityczna Polski: 1904 - 1945»

Potrzeba książki, która powiedziałaby rzetelną prawdę o ostatnim okresie dziejów Polski, nie wymaga szerszego uzasadnienia. Każdego uważniejszego obserwatora życia polskiego na uchodźstwie uderza stały wzrost zainteresowania w tym kierunku. U jednych jest to wyrazem zaostrzającej się nostalgii, drudzy szukają odpowiedzi na pytania, jakie narzuca poniesiona klęska, u innych jest to reakcja na trwające od lat, a z różnych stron prowadzone próby sfałszowania i wypaczania obrazu naszej przeszłości. Odzywa się też troska rodziców o dzieci. Rosną przecież wśród nas, powiększają się z roku na rok szeregi młodzieży, która Polski i spraw jej — nie zna.

Nasza emigracyjna literatura potrzeb tych nie zaspakaja. Książki o ostatnim okresie naszych dziejów dotąd nie ma. Istnieją tylko — nieraz cenne i na szerszą nawet zakrojone miarę próby wyświetlenia fragmentów; niejedną cenną pozycję tworzy rosnąca stale nasza literatura pamiętnikarska, więcej jeszcze wartościowych przyczynków kryje się po czasopismach. Wszystko to jednak rozsypane jest na przestrzeni wielu lat, ginie w wydawnictwach niedostępnych dziś, w drukach zapomnianych i przepadłych.

W dodatku — na drodze ku prawdzie historycznej piętrzą się zwały sprzecznych wersji, skłóconych świadectw, pokrzyżowanych legend. My sami — w okresie powrześniowego oszołomienia — usypaliśmy góry wniosków zbyt pochopnych i zarzutów zbyt kategorycznych. W naszym życiu wewnętrznym — w rywalizacji międzypartyjnej — nie brakowało demagogii, posługującej się dla pognębienia swoich wrogów osobistych czy politycznych przeciwników tendencyjnym naświetleniem i złośliwym przeinaczeniem. Z drugiej strony stworzono "wstydliwe zakątki" — chowano błędy i grzechy naprawdę popełnione. A dziś? — Od siedmiu już lat trwa nieustający szturm Moskwy na naszą przeszłość. — Posłuszny Kremlowi warszawski reżim usiłuje przenicować dzieje Polski, wypaczyć je i zakłamać tak, by odpowiadały dzisiejszym bieżącym potrzebom i dalszym — jutrzejszym — celom Kremla.

W poczuciu obowiązku — jako historyk z wykształcenia i zawodu — wziąłem na siebie zadanie nielekkie i niełatwe. Napisałem właśnie około 450 stron liczącą "NAJNOWSZĄ HISTORIĘ POLITYCZNĄ POLSKI", obejmującą okres od roku 1904 do r. 1945. Pracę swą oparłem na materiałach, gromadzonych w ciągu sześciu ostatnich lat. Wyzyskałem najważniejszą obcą i polską literaturę historyczną, polityczną i pamiętnikarską; sięgnąłem — w zakresie dziś dostępnym — do polskich na obczyźnie archiwów państwowych i do zbiorów polskich instytucji naukowych w świecie wolnym; uzyskałem relacje osobiste od wielu ludzi, którzy stali u steru naszych państwowych i narodowych spraw w Polsce przed wojną i na obczyźnie w latach zawieruchy dziejowej. W książce, na takich źródłach opartej, starałem się dać obraz przeszłości rzetelny i — w granicach ludzkich możliwości — wolny od subiektywnych zabarwień.

wym jest rzeczą niemożliwą. Tym niemniej uważają oni, że plan MacArthura nie powinien być przyjęty. Wojna powietrzna bez ograniczenia, użycie lotnictwa w płaszczyźnie strategicznej, prawdopodobnie doprowadzi do bombardowania obiektów wojskowych na terenie Rosji Sowieckiej, która jest istotnym "Hinterlandem" strategicznym Chin komunistycznych. Z tego może wyniknąć wojna z Rosją, której Stany Zjednoczone nie chcą.

Jakiż więc będzie koniec? Czy wojna w Korei ma się przeciągnąć w nieskończoność? Rząd amerykański nie uważa, aby tak musiało być. Zdaniem sfer rządowych szczerze wypowiedzianym na Komisji Inwestygacyjnej, Chiny koniec końcem muszą się zmęczyć. Siły Narodów Zjednoczonych w Korei są tak znaczne, że żadna ofensywa piechoty chińskiej nie może osiągnąć swoich ostatecznych celów. W tej wojnie biją się po stronie komunistycznej przede wszystkim Chińczycy. Wprawdzie dużo jest Chińczyków na świecie, ale wyćwiczonych jednostek wojskowych tak dużo znowu nie ma. Ciągłe ofensywy, które nie osiągają żadnych rezultatów decydujących, muszą doprowadzić do wytępienia najlepszych wojsk chińskich bez żadnej widomej korzyści, przynajmniej dla Chin.

Jak długo Chiny komunistyczne dadzą się eksploatować przez Rosję? Rząd amerykański uważa, że to nie może trwać wiecznie i że musi nastąpić moment, kiedy nawet cierpliwy Chińczyk będzie miał tego dosyć. Wówczas nastąpi moment dla rokowań. Sprawę weźmie w swe ręce dyplomacja. "Wojnę zakończy nie proch, a ci co go wymyślili", jak mawiał Bilibin, dowcipny bohater Tołstoja w "Wojnie i Pokoju".

◆

Gdy kilka miesięcy temu delegat sowiecki do Narodów Zjednoczonych dał do poznania półoficjalnym szeptem, że zawieszenie broni na Korei nie jest niemożliwe, zdawało się, że teza rządu amerykańskiego otrzymała sankcję rzeczywistości. Ktoś się po stronie komunistycznej zmęczył, ktoś pragnie zatrzymać ten bezpłodny i bezsensowny przelew krwi. Rosja czy Chiny? Oto zasadnicze pytanie na które trzeba znaleźć odpowiedź. Nie łatwe to zadanie. Intencje państw komunistycznych pokryte są zawsze nieprzenikniona mgłą. Ministrowie sowieccy nie mają zwyczaju tłumaczyć swej polityki na forum Komisji Inwestygacyjnych, na których zasiadają przedstawiciele opozycji. Pozostają więc tylko hipotezy. Celem tych rozważań jest właśnie sformułowanie takiej hipotezy, która by dała racjanalne rozwiązanie zagadki koreańskiej.

Dzieją się bowiem rzeczy istotnie dziwne. Tyle miesięcy temu z inicjatywy sowieckiej rozpoczęły się rokowania o zawieszenie broni, dotychczas zupełnie bezskuteczne .Delegaci radzą, a wojska się biją. Wprawdzie nie tak ostro jak poprzednio, ale w każdym razie wojna trwa i żołnierze giną. Ktoś więc w tych dziwnych rokowaniach o zawieszenie broni nie chce, aby doszły

one do skutku. Kto? Rosja czy Ameryka? Oto drugie pytanie na które należy znaleźć odpowiedź. Tym razem znalezienie odpowiedzi nie jest trudne. Wystarczy analiza sytuacji politycznej i proste rozumowanie.

Kto wywołał wojnę koreańską? Oczywiście nie Ameryka. Zaatakowała Korea Północna. P. Wyszyński może sto razy powtarzać, że napastnikiem są Stany Zjednoczone. Nikt poza komunistami nie może w to uwierzyć, choćby dlatego, że wojsk amerykańskich na Korei nie było z wyjątkiem nielicznej Misji Wojskowej.

Trudno jest w ogóle udowadniać rzeczy oczywiste, ale jeżeli już koniecznie trzeba znaleźć nowe dowody agresji komunistycznej, najlepiej poszukać ich w dziedzinie polityki wewnętrznej Stany Zjednoczonych.

Odwołując generała MacArthura prezydent Truman wziął wielką odpowiedzialność przed narodem amerykańskim, a mianowicie, zobowiązał się mniej więcej do zakończenia wojny bez użycia *wszystkich* środków ofensywnych. Zawieszenie broni leży więc w interesie oczywistym obecnej administracji. Mniej niż rok dzieli nas od wyborów amerykańskich. Jeżeli prezydent Truman stanie przed suwerennym narodem amerykańskim w listopadzie 1952 roku nie zakończywszy wojny koreańskiej choćby zawieszeniem broni, jeżeli nie formalnym pokojem, sytuacja jego będzie niezmiernie ciężka. Jakto — powiedzą jego przeciwnicy — generał MacArthur miał gotowy plan działania, Prezydent nie tylko planu nie przyjął, ale generała usunął, obiecując zakończyć wojnę bez uciekania się do ostatecznych środków. Tymczasem wojna trwa, żołnierze amerykańscy giną. MacArthur miał więc rację a nie prezydent Truman. W takich warunkach szanse wyborcze obecnej administracji byłyby bardzo nikłe. Otóż można o wszystko oskarżać polityków tylko nie o chęć przegrania wyborów. Każdy rozsądny człowiek musi więc przyznać, że zawarcie zawieszenia broni leży w interesie polityki wewnętrznej obecnej administracji i jest poniekąd warunkiem przedwstępnym jej zwycięstwa w listopadzie 1952. Potężny to argument w ustroju demokratycznym.

Nonsensem więc — lub objawem złej wiary — byłoby twierdzić, że Ameryka sabotuje rokowania o zawieszenie broni. Oczywiście, że nawet najdalej posunięta ugodowość musi się zatrzymać na pewnym punkcie i dlatego strona amerykańska stoi twardo przy pewnych punktach a mianowicie, gdy chodzi o linię demarkacyjną i o kontrolę nad utrzymaniem pewnego status quo na froncie. Że Amerykanie nie mogli się zgodzić na cofnięcie swej linii do 38-go równoleżnika jest rzeczą widoczną bynajmniej nie dlatego, żeby Ameryka przywiązywała jakąś wagę do tej czy innej linii demarkacyjnej i w zasadzie 38-my równoleżnik jest tak samo do przyjęcia jak linia o kilkadziesiąt kilometrów bardziej na północ. Ale nie należy zapominać, że

zawieszenie broni zatrzymuje zazwyczaj wojska na linii osiągniętej w chwili podpisania układu zawieszającego walki. Nie można wymagać od Amerykanów, aby cofnęli swoją linię do 38 równoleżnika, bez żadnego powodu rzeczowego. Teren, o którym mowa, zdobyty został krwawym wysiłkiem żołnierskim. Ewakuacja tego terenu nie w chwili zawarcia pokoju, lecz zwyczajnego zawieszenia broni, musi wpłynąć demoralizująco na armię. Żołnierze walczący w Korei to nie są najemnicy, to nie są żołnierze zawodowi, gotowi do bitwy wszędzie i o wszystko. Są to obywatele zmobilizowani, którzy chcą wiedzieć o co się biją i dlaczego. Wyobraźmy sobie, że teren na północ od 38-go równoleżnika został na skutek umowy o armistycjum opuszczony, a w kilka miesięcy później wojna znowu rozgorzeje. Żołnierze amerykańscy otrzymają rozkaz pójścia naprzód. Jakie będzie morale armii, która będzie musiała zdobywać ponownie teren już raz zdobyty i nie wiadomo dlaczego ewakuowany? Żadna demokratyczna armia nie wytrzyma takiej "polityki" wojskowej. Jej zaufanie do dowództwa zniknie i tym samym obniży się w sposób zastraszający jej siła bojowa. Czyż jest do pomyślenia, żeby jakikolwiek rząd zgodził się na tego rodzaju ryzyko?

To samo można powiedzieć o warunkach kontroli. Zawieszenie broni nie powinno być pretekstem do wzmocnienie jednej z walczących armii. Chodzi tu o warunki minimalne, których dotrzymanie umożliwi zawarcie uczciwego zawieszenia broni, przygotowującego podpisanie traktatu pokojowego, a nie wznowienie działań wojennych.

Abstrahując od tych koniecznych postulatów, można stwierdzić z zupełną pewnością, że strona amerykańska uczciwie dąży do zatrzymania wojny koreańskiej.

Któż więc sabotuje te rokowania o zawieszenie broni? Jeżeli nie Stany Zjednoczone to chyba Rosja Sowiecka. Dlaczego? Wchodzimy tutaj w dziedzinę hipotez i domysłów. Skoro jednak nie ma innego sposobu dokopania się do głębokich złóż dyplomacji sowieckiej musimy uciec się czasami do tej zawodnej, ale w danym wypadku jedynej, metody badawczej.

Z inicjatywy rosyjskiej rozpoczęły się rokowania o zawieszenie broni w Korei. Dlaczego? Czyżby Rosja chciała zakończyć tę bezsensowną walkę? Wydaje się to bardzo wątpliwe. Wypadki w Korei potoczyły się co prawda inaczej niż Rosja sobie wyobrażała. Zamiast protestować dyplomatycznie Ameryka zareagowała wojskowo. Zwycięstwo, które wydawało się tak bliskie, odsunęło się w niewiadomą dal. Co więcej, agresja w Korei zaważyła ostatecznie na szali polityki Stanów Zjednoczonych. Zbrojenia amerykańskie potoczyły się szalonym pędem i nie ma mowy o tym, aby wysiłek zbrojeniowy został zatrzymany w połowie drogi. Wszystko to jest prawda, ale to nie tłumaczy dlaczego Rosja właśnie teraz chciałaby zatrzymać tę niefor-

tunnie zaczętą operację. Jedynym racjonalnym wytłumaczeniem może być tylko *presja Chin.*



O ile bowiem dla Rosji operacja koreańska przedstawia się deficytowo, o tyle dla Chin staje się ona tragicznie beznadziejna. Pomoc sowiecka starczy na uniknięcie porażki, ale nie na odniesienie zwycięstwa. A co gorsze, stosunki chińsko-amerykańskie uległy fatalnemu pogorszeniu.

Jeszcze tak nie dawno Ameryka była bardzo dobrze dla Chin usposobiona. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych, przyjęcie do Narodów Zjednoczonych i nawet rozmowy na temat Formozy wydawały się całkiem prawdopodobne. Wszystkie te ważne dla Chin atuty zostały całkowicie przegrane i wielu lat będzie potrzeba, by tę ciężką sytuację uzdrowić. Chińczycy muszą sobie postawić pytanie: w imię czego ponoszą takie ofiary. Gdyby chociaż mogli mieć nadzieję, że wzamian za to usadowią się w Korei. Ale w obecnym stanie rzeczy, przy niedostatecznej pomocy powietrznej i zupełnym braku udziału łodzi podwodnych, pobicie armii Narodów Zjednoczonych jest przecież niemożliwe. Można więc sobie wyobrazić następujący dialog chińsko-sowiecki:

CHINY: "Wojna obecna jest bezsensowna. Żadna ofensywa naszej piechoty i waszych czołgów nie doprowadzi do zwycięstwa. Skoro tę wojnę mamy dalej toczyć z pewną nadzieją zwycięstwa, musicie wy, Rosjanie, zaangażować się dalej i głębiej. Musicie nam dać potężne lotnictwo, a przede wszystkim łodzie podwodne, które by zdezorganizowały linie komunikacyjne wojsk amerykańskich".

ROSJA: "Takiej pomocy dać wam nie możemy, gdyż grozi to wojną powszechną, do której my nie jesteśmy gotowi. Nie po to rozpoczęliśmy wojnę w Korei, aby bomby atomowe zaczęły spadać na Moskwę".

CHINY: "W takim razie musimy tę wojnę zakończyć".

Wobec takiego postawienia sprawy przez Chiny, Rosja Sowiecka nie mogła postąpić inaczej, jak zgodzić się na rozpoczęcie rokowań o zawieszenie broni i ze względów prestiżowych wziąć na siebie inicjatywę. Ale ta zgoda była tylko teoretyczna, gdyż w rzeczywistości Rosja nie chce, aby prawdziwy pokój zapanował w Korei. Skoro nie można inaczej niech się rokowania rozpoczną, a już zadaniem Rosji i jej agentów chińskich będzie rokowania te od wewnątrz sabotować. Co też się dzieje.

Powstaje jednak ostatnie i najważniejsze pytanie: dlaczego Rosja nie chce, aby pokój został zawarty w Korei? Nikt przecież w Moskwie nie robi sobie złudzeń co do perspektyw na najbliższą przyszłość. Sztab sowiecki wie doskonale, że kampania koreańska została przegrana i że rozpoczęcie nowej kam-

panii z użyciem wszystkich środków technicznych, morskich i lotniczych, grozi wybuchem wojny światowej, której Rosja w chwili obecnej nie chce za żadną cenę.

Na to jest tylko jedna odpowiedź: Rosja sabotuje rokowania chińsko-amerykańskie, ponieważ tête à tête ze sojusznikiem chińskim bynajmniej jej się nie uśmiecha. Żyjemy w epoce paradoksów: Chiny biją się ze swym tradycyjnym przyjacielem amerykańskim, w sojuszu ze swym odwiecznym wrogiem, starym grabieżcą ziem azjatyckich — Rosją. Oczywiście, odpowie się na to: solidarność ideologiczna, braterstwo komunistyczne. To prawda, ale prawdą jest również, że solidarność ideologiczna nie trwa wiecznie. Prędzej czy później następuje zderzenie ideologii z realnym interesem państwowym. Przy tym zderzeniu pęka zawsze ideologia: Franciszek I-szy, król arcychrześcijański był sojusznikiem Sułtana i wrogiem Cesarza, Wilhelm Orański, król Anglii i głowa obozu protestanckiego cieszył się poparciem Świętego Cesarstwa Rzymskiego i nawet Stolicy Apostolskiej w swej walce z arcychrześcijańskim królem Francji Ludwikiem XIV. Nie przesadzajmy więc wagi solidarności ideologicznej. Rosja sowiecka zresztą wie co o tym myśleć i jak wiemy nie grzeszy zbytkiem zaufania do swoich satelitów. Wiedział coś o tym Rajk pod szubienicą, na której miał zawisnąć, dowiedzą się o tym Gomułka, Spychalski i nawet Rudolf Slansky, kiedy "bratnia" ręka nakładać im będzie stryczek na szyje.

Trudno więc przypuszczać, żeby Stalin miał więcej zaufania do Mao-Tse-Tunga niż do swoich innych podkomendnych. Chiny są pewnym dla Rosji satelitą tylko dopóki trwa wojna z Ameryką, już choćby dlatego, że tylko z Rosji otrzymywać mogą broń. Gdyby wojna naprawdę się skończyła wzajemne stosunki rosyjsko-chińskie musiałyby ulec głębokim zmianom. Chiny, choćby i komunistyczne, nie mogą być traktowane jak Bułgaria lub Czechy. Za duży obiekt! A poza tym ileż między Rosją a Chinami jest utajonych, potencjalnych konfliktów politycznych? Sama Mandżuria wystarczy, by rozsadzić ten nienaturalny związek. Ale dopóki trwa wojna musi trwać i sojusz rosyjsko-chiński. Dopiero prawdziwy pokój uzmysłowi Chinom wszystko co je dzieli z Rosją i co je łączy z Ameryką.

Rosja Sowiecka nie jest przyjemnym sojusznikiem. Nie jest w jej zwyczaju niesienie bezinteresownej pomocy swoim przyjaciołom. Ameryka wydała od czasu wojny 71 miliardów dolarów na pomoc dla swoich pewnych, i nawet niepewnych, przyjaciół. A na swoich satelitach ile Rosja zarobiła? Trudno to obliczyć, ale każdy rząd satelicki wie, że za "przyjaźń" sowiecką trzeba drogo płacić.

Po zakończeniu wojny Chiny znajdą się w ciężkiej sytuacji. Żaden kraj nie potrzebuje tak ogromnych środków do puszczenia w ruch swego aparatu gospodarczego. Same środki komu-

nikacyjne musiałyby pochłonąć niebotyczne sumy. Czyż jest możliwe, aby Chiny nie zdały sobie sprawy, że tylko zbliżenie z Ameryką może im przynieść pomoc w urządzeniu kraju?

Oto główny powód dla którego Rosja Sowiecka nie może dopuścić do prawdziwego pokoju na Korei. Nonsensem jest to co prasa światowa pisała miesiącami, że głównym celem Rosji w Korei jest unieruchomienie na tym oddalonym cyplu azjatycmik znacznej części sił zbrojnych Ameryki. Sztab rosyjski wie doskonale, że wojna koreańska wzmocniła armię amerykańską pod każdym względem, chociażby z powodu systemu rotacyjnego przysparzającego armii krajowej coraz większej liczby wyćwiczonych żołnierzy, podoficerów i oficerów.

Przyczyna oporu sowieckiego na Korei leży więc gdzieś indziej. Im więcej się myśli na ten temat, tym bardziej się przychodzi do przekonania, że tylko wzgląd na niepewność Chin, będących w stanie pokoju z Ameryką, pcha Rosję Sowiecką do sabotowania rokowań koreańskich.

W jednym jedynym wypadku Rosja zgodziłaby się na zakończenie awantury koreańskiej, a mianowicie za cenę powstrzymania zbrojeń Stanów Zjednoczonych. W obecnej sytuacji międzynarodowej, ta cena jest nieosiągalna. Należy więc liczyć się z faktem dalszego przeciągania się rokowań, dalszego sabotowania przez Moskwę pokoju na Dalekim Wschodzie. Rosji musi więc zależeć na tym, aby Chiny były w stanie wojny z Ameryką. Gdyby tę wojnę dało się przenieść gdzie indziej np. do Indochin, Rosja Sowiecka nie miałaby nic przeciwko temu. Wszystko jedno gdzie, byleby wojna trwała, a jednak nie wyszła poza pewne granice, stwarzając niebezpieczeństwo wojny powszechnej.

Trudna to i skomplikowana polityka, pełna sprzeczności, najeżona niebezpieczeństwami. Ale trzeba Rosji Sowieckiej przyznać, że na płaszczyźnie dyplomatycznej gotowa jest do walki ze wszystkim, nawet z logiką.

Rosja popiera nacjonalizm niemiecki, dążność Niemiec do zjednoczenia się, a jednocześnie broni, przynajmniej tymczasowo, nowej granicy polsko -niemieckiej. Czy taka polityka nie jest gwałtem zadawanym logice? A jednak ta polityka jest prowadzona od lat, przy pomocy i niemieckich i polskich satelickich rąk. Dlatego należy przypuszczać, że i w Korei Rosja sowiecka nie ulęknie się sprzeczności i będzie dalej dążyła do utrzymania stanu wojny w Azji.

Zdając sobie zupełnie sprawę z okropnej herezji, którą popełniamy, a nawet poniekąd i świętokradztwa, chcielibyśmy zakończyć ten skromny, prawie zupełnie na domysłach i hipotezach oparty artykuł, stwierdzeniem, że najlepszą definicją polityki Stalina w Korei jest hasło rzucone w Brześciu przez Trockiego "Ni mira, ni wojny" — ani wojny ani pokoju.

Anatol MÜHLSTEIN.

Książki polskie drukowane w Lipsku

Drukowanie książek polskich w Lipsku rozpoczęto na podstawie umowy między Żukowem a wydawnictwem "Współpraca" z Warszawy. Wydrukowane wówczas książki: "25 pieśni radzieckich" i "Kronika elektryczności", przeleżały prawie rok w Lipsku, gdyż nie było zezwolenia na wywóz. Dopiero na początku 1949 r. "Książka i Wiedza" wywiozła je do Kraju.

Wydawnictwo "Książka i Wiedza" zaczęło drukowanie książek polskich w Lipsku w drugiej połowie 1948 r. Pierwszą książką był "Krótki kurs historii WKP(b)" w nakładzie 1.100.000 egzemplarzy, z czego 900.000 oprawiono w półpłótno, a 200.000 w skórę angielską.

W 1949 r. wydrukowano szereg książek takich autorów jak Stalin, Lenin, Marks i Engels (ok. 80 tytułów), m.in. tzw. "Małą Biblioteczkę Klasyków Marksizmu-Leninizmu" w nakładzie 250.000 egzemplarzy. Propagandę "Biblioteczki" przeprowadzono w Polsce na wielką skalę, a po ukazaniu się książek rozwieziono je do wszystkich zakątków Polski. Z beletrystyki wydrukowano zaledwie jakieś 10 dzieł — były to przeważnie tłumaczenia współczesnych pisarzy sowieckich.

Wszystkie te książki wydrukowano wyłącznie na rachunek odszkodowań.

W 1950 r. drukowano przeważnie beletrystykę, ale — poza kilkoma powieściami Orzeszkowej i Prusa — były to tylko tłumaczenia pisarzy sowieckich lub innych pisarzy komunistycznych (np. Fallada, Aragon, Nexö). W tymże roku wydano naprawdę pięknie pod względem graficznym opracowanego "Pana Tadeusza" z ilustracjami Gronowskiego (oczywiście, nie ma wzmianki o tym, że książka została wydrukowana w Lipsku). W przeciwieństwie do literatury komunistycznej, nakład "Pana Tadeusza" rozszedł się w Kraju w ciągu kilku dni, pomimo wygórowanej ceny.

W sierpniu 1950 r. dzienniki Republiki wschodnio-niemieckiej były pełne wiadomości na temat zakończenia odszkodowań. Tytuły artykułów były nader obiecujące: "ZSSR rezygnuje z odszkodowań", "Przyjaźń nie tylko na papierze", "Przyjaciele zza Odry i Nysy rezygnują z odszkodowań na korzyść odbudowy NRD", itp. Z dniem 31 sierpnia 1950 r. oficjalnie zakończono plan reparacyjny: do tego dnia wydrukowano książek dla Polski na sumę 12 milionów DM wschodnich. W ostatnim kwartale 1950 r. wydrukowano jeszcze książek na sumę 1.800.000 DM wsch., na rachunek odszkodowań.

W listopadzie 1950 r. placówka "Książki i Wiedzy" w Lipsku była bardzo zajęta drukowaniem literatury propagandowej na "Kongres pokoju" w Warszawie. ("Plan 3-letni", "6-letni plan odbudowy Warszawy" — maleńka broszurka, "Polska w obozie pokoju" i "Polska

dzisiejsza"). Kongres ten, jak wiadomo, miał, wedle początkowych projektów, odbyć się w Anglii. Toteż jest dość interesujące, że już na kilka tygodni przed oficjalną odmową ze strony Anglików placówka lipska została poinformowana tajnym pismem, że kongres odbędzie się w Warszawie i że literatura propagandowa będzie drukowana w Lipsku.

Pod koniec 1950 r. zdawało się, że drukowanie polskich książek w Lipsku będzie ostatecznie zakończone. Z dniem 31 sierpnia tj. z dniem oficjalnego zakończenia planu reparacyjnego, ZSSR zaprzestał w 90% drukowania książek, na skutek czego drukarnie lipskie nie miały zajęcia. Wobec takiego stanu rzeczy, zamówienia polskie były naprawdę pożądane, a rząd NRD nie szczędził starań, aby nakłonić Warszawę do zawarcia umowy. Z ramienia rządu NRD rokowania w tej sprawie prowadziła "DAHA" (Deutscher Aussenhandel). Na skutek licznych telefonów i depesz w tej sprawie przyjechał z Warszawy do Berlina wsch. naczelny dyrektor "Książki i Wiedzy" Mieczysław Guterman, celem przeprowadzenia rozmów. Wtedy to przyznano Warszawie dodatkowo 3.700.000 z tytułu odszkodowań. Ponadto zawarto umowę na kwotę 12.000.000 DM wsch. i 6.000.000 jako sumę rezerwową, o jaką Polacy, w razie potrzeby, mieli prawo podwyższyć swe zamówienia. Wykonanie zamówień — do końca 1951 r. Dodatkowo, Niemcy zobowiązali się wykonywać również tzw. błyskawiczne zamówienia.

Oficjalnym kontrahentem ze strony niemieckiej jest "DAHA", zaś organem wykonawczym tego urzędu w Lipsku jest tzw. "AZ" (Auftragszentrale für die Graphische Industrie").

Tak wygląda handlowa strona działalności "Książki i Wiedzy" w Lipsku. Jakie były warunki pracy? Aby na to pytanie odpowiedzieć, należy się cofnąć do roku 1948. Początkowo Rosjanie przydzielili polskiej redakcji zaledwie jeden pokój w swym olbrzymim gmachu SWA (Sowiecka Wojenna Administracja). Polacy oddawali sowieckiej administracji zamówienia, matryce (wykonywane w Warszawie), projekty okładek i obwolut, przedstawiali swe życzenia i czekali cierpliwie aż Rosjanie przyślą pierwsze korekty do czytania oraz próby okładek czy obwolut do zatwierdzenia. Redakcję techniczną polskich książek przeprowadzali sami Rosjanie z Niemcami, z którymi Polacy nie mieli prawa porozumiewać się bezpośrednio. Wizyty polskich redaktorów w drukarniach czy bezpośrednie rozmowy z firmami niemieckimi były przyczyną szeregu starć między SWAG (późniejsze wydawnictwo SKK-Sowiecka Kontrolna Komisja); dopiero później uzyskali Polacy prawo wstępu do drukarń i bezpośredniej kontroli wykonywania zamówień.

W tym okresie (od 1945 r. aż pod koniec 1949 r.) wszystkie drukarnie, zarówno upaństwowione jak i nieliczne prywatne w Niemczech wsch. podlegały wydawnictwu SWA, które było jedyną władzą, rozstrzygającą o tym co, gdzie i w jakim porządku miało być drukowane. Zmieniło się to nieco pod koniec 1949 r., gdy utworzono AZ — placówkę, która początkowo odgrywała rolę pośrednika między drukarniami a wydawnictwem SWA, a w ręce której przeszedł całkowity nadzór nad drukarniami w strefie wschodniej Niemiec (w sierpniu 1950 r., tj po likwidacji SWA). Wówczas to wydawnictwo miało nazwę SKK — od chwili gdy sowieckie władze administracyjne w Karlshorst otrzymały nazwę "Sowieckaja Kontrolnaja Komisja w Germanii". Przejęcie wszystkich spraw poligraficznych przez czynniki niemieckie było z korzyścią dla wydawnictw polskich, ze względu na fachowość i zawodową sumienność niemieckich drukarzy.

Brak papieru był przyczyną, że wszystkie książki z literatury pięknej drukowano na tzw. papierze średnim-maszynowym, 70 gr., tylko w 60% bezdrzewnym. Jedynie dzieła Stalina i Lenina drukowano na papierze 80-gramowym, bezdrzewnym. Na papierze offsetowym wzgl. kredowym ukazały się tylko wydania specjalne jak "Pan Tadeusz", "6-letni Plan Odbudowy Warszawy", "Muzeum Lenina w Poroninie" i część literatury kongresowej.

Wysyłanie książek do Kraju natrafiało na liczne trudności aż do chwili, gdy wszystkie sprawy związane z przemysłem poligraficznym przejął z rąk sowieckich — zarząd niemiecki. Były tego liczne powody,

zarówno nieład na kolejach, jak i nadmierna biurokracja sowiecka — liczne kwestionariusze musiały być pisane zarówno po niemiecku jak i po rosyjsku.

Ofensywa prawosławia

Na skutek powojennych zmian granicznych i ludnościowych, polski Kościół prawosławny stracił swą dawniejszą pozycję. Według oficjalnych danych, liczba wiernych Kościoła prawosławnego w Polsce miała wynosić w 1947 r. około 80.000. Metropolitę Dionizego uwięziono pod zarzutem współpracy z Niemcami. Rządy nad Kościołem prawosławnym w Polsce powierzono tzw. Tymczasowemu Kolegium Rządzącemu z przewodniczącym arcybiskupem Tymoteuszem Szretterem na czele (wykonywał on obowiązki duszpasterskie już przed wojną). O życiu polskiego autokefalicznego Kościoła prawosławnego w latach powojennych nie było i nie ma zbyt wiele wiadomości. Wydaje się, że reżim warszawski nie chciał drażnić społeczeństwa popularyzowaniem prawosławia. Ze skąpych wiadomości, ogłaszanych w organie moskiewskiego patriarchatu ("Żurnał Moskowskoj Patriarchii") wynika jednak, że czynniki prawosławne przejawiają w Polsce szeroką działalność.

W styczniu 1950 r. bawiła przejazdem z Moskwy do Palestyny "rosyjska misja duchowna" z biskupem Włodzimierzem na czele. Z okazji kilkudniowego pobytu misji, urządzono w Warszawie uroczystości i przyjęcia. Wzmiankując o tym, organ patriarchatu moskiewskiego wymienił kilkanaście nazwisk osób reprezentujących "autokefaliczny polski Kościół prawosławny". Do Tymczasowego Kolegium Rządzącego należą N. Serebrinnikow i W. Łopuchowicz. Dyrektorem kancelarii metropolitalnej jest niejaki N. Czirko, zastępcą przewodniczącego warszawskiego Soboru metropolitalnego jest W. Wieżański. Jako przedstawicieli polskiego duchowieństwa prawosławnego stolicy wymieniono A. Semeniuka i B. Szwarckopfa. Organ patriarchatu moskiewskiego pisał w czwartym numerze z r. 1950, że pobyt rosyjskiej misji duchownej w Warszawie był "radosnym i pamiętnym wydarzeniem, które zbliżyło jeszcze bardziej do siebie rosyjski i polski Kościół prawosławny".

Tymczasem działalność Kościoła prawosławnego w Polsce została znacznie rozszerzona. Obok diecezji białostocko-bielskiej z arcybiskupem Tymoteuszem na czele, utworzono biskupstwo prawosławne w Łodzi z biskupem Jerzym oraz biskupstwo we Wrocławiu z biskupem Michałem. W roku 1951 utworzono nową prawosławną diecezję gdańsko-szczecińską. Utworzenie czwartej diecezji miało, według moskiewskiej wersji, dać zgromadzeniu biskupów polskiego Kościoła prawosławnego zgodnie z prawem kanonicznym kompetencje, potrzebne do wyboru metropolity. 19-go kwietnia 1951 r. zgromadzenie biskupów polskiego autokefalicznego Kościoła prawosławnego wydało oświadczenie, stwierdzając w nim, że "po wszechstronnym rozważeniu sprawy powołania metropolity, zgromadzenie biskupów doszło do wniosku, że jego członkowie, zdając sobie sprawę ze szczególnej ważności chwili i ze swej odpowiedzialności wobec Boga, Kościoła i Ojczyzny, nie są w stanie wykonywać trudnych obowiązków, stojących przed przyszłym metropolitą i sternikiem Kościoła prawosławnego w Polsce i że nie znajdują pośród siebie ani pośród duchowieństwa i wiernych polskiego autokefalicznego Kościoła prawosławnego, kandydata godnego tak odpowiedzialnego stanowiska. Historia Kościoła dowodzi, że w podobnych wypadkach Kościoły zwracały się w potrzebie z prośbą o pomoc do bratnich kościołów. Nasz Kościół, pochodzący od Kościoła rosyjskiego, powinien się obecnie zwrócić do Kościoła -macierzy, wierząc, że św. autokefaliczny Ko-

ściół rosyjski nie odrzuci prośby naszego Kościoła i udzieli mu pomocy".

W tym celu w połowie maja 1951 r. udała się do Moskwy specjalna delegacja z arcybiskupem Tymoteuszem, w której skład weszli: biskup wrocławski Michał i biskup sufragan Włodzimierz Wieżański. Przekazali oni patriarsze moskiewskiemu i wszechrosyjskiemu Aleksemu prośbę polskiego Kościoła prawosławnego, aby wyznaczył na metropolitę osobistość, obeznaną z życiem religijno-kościelnym w Polsce, do którego "prawosławny naród polski przywykł w ciągu stuleci". 15 czerwca 1951 r. patriarcha moskiewski Aleksy wyznaczył na metropolitę autokefalicznego polskiego Kościoła prawosławnego arcybiskupa lwowskiego i tarnopolskiego Makarego. Arcybiskup Makary umacniał dotychczas prawosławie we Lwowie, dokąd został posłany po śmierci pierwszego biskupa prawosławnego, dr Hawryiła Kostelnyka, który zginął od kuli partyzantów ukraińskich, jako odstępca od ukraińskiego Kościoła grecko-katolickiego.

Po Rokossowskim — Moskwa obdarzyła Polskę arcybiskupem Makarym.

Szkolnictwo ogólnokształcące

Na wzór sowiecki, władze szkolne starają się, stopniowo i systematycznie, zacierać różnicę między szkołą podstawową i gimnazjum. Powstały więc "jedenastolatki" z połączenia szkoły średniej i powszechnej. Gimnazjum, w dawnym tego słowa znaczeniu, obejmuje obecnie klasy od 8-ej do 11-ej i w ciągu tych czterech lat musi być wypełniony program.

Istnieje na ogół dążenie do likwidowania szkół ogólnokształcących na rzecz szkół zawodowych. Tych jest dziś w Polsce bardzo dużo, różnego rodzaju (jest np. szkoła cyrkowa). W teorii — do szkół ogólnokształcących ma mieć wstęp młodzież wyjątkowo uzdolniona — w praktyce przyjmuje się głównie czynnych członków ZMP oraz dzieci aktywistów partyjnych i przodowników pracy. Na skutek tego wytworzyło się w społeczeństwie przeświadczenie, że możność kształcenia się w szkole ogólnokształcącej stanowi wyróżnienie i duża część młodzieży pragnie się do niej dostać.

Obowiązuje egzamin wstępny z następujących przedmiotów: język polski, matematyka, Polska współczesna i historia. W zasadzie egzamin decyduje o przyjęciu kandydata. Niemniej jednak często się zdarza, że kandydat zgłasza się z listem polecającym z Kuratorium lub z Ministerstwa Oświaty, narzucającym jego przyjęcie bez względu na wynik egzaminu.

Do roku szkolnego 1949/50 istniały dwa typy liceum: matematyczne i humanistyczne. W roku szkolnym 1950/51 podział ten zniesiono i egzamin dojrzałości jest dla wszystkich jednakowy. W tym roku obejmował on następujące przedmioty: I egzamin (pisemny): język polski i matematyka; II egzamin (ustny): język polski, matematyka, fizyka, Polska współczesna, historia. Nie obejmował natomiast języków obcych. Przedmiot ten usunięto, po długich debatach w łonie władz szkolnictwa, ze względu na ogólnie niski poziom jego nauczania w całej Polsce, co tłumaczy się brakiem nauczycieli. W programach zaś wprowadza się systematycznie język rosyjski już od najmłodszych klas, usuwając jednocześnie łacinę i współczesne języki zachodnio-europejskie. Co do egzaminów maturalnych, podano do wiadomości, że obecny stan rzeczy nie jest ostateczny i że należy przewidywać dalsze zmiany.

W programach szkolnych wprowadzono następujące przedmioty, które w całości mają urabiać młodzież pod względem politycznym, w duchu komunistycznym: Polska współczesna, Nauka o państwie i społe-

czeństwie i Służba Polsce (SP). SP obejmuje teorię i praktykę. Na teorię składają się: komentarz prasy bieżącej, terenoznawstwo, referaty i zakresu obowiązków obywatelskich; na praktykę — tzw. prace społeczne i zaznajamianie się z bronią (zarówno w męskich jak i w żeńskich szkołach). Niezależnie od "prac społecznych", wykonywanych w ramach szkolnego programu SP, młodzież obowiązana jest, raz lub dwa razy każdego miesiąca, poświęcić cały dzień na odgruzowywanie miasta (w Warszawie), porządkowanie parków i ogrodów miejskich lub kopanie kartofli dla PGR'ów.

Program nauczania języka polskiego jest częściowo skrócony, w innych częściach rozszerzony. Usunięto z programu takie dzieła jak "Trylogię" Sienkiewicza, "Trylogię" Żeromskiego, "Quo Vadis?", "Uciekła mi przepióreczka", "Faraon", "Irydion". Wprowadzono natomiast utwory pisarzy rosyjskich (Gorkij, Dostojewskij, Puszkin, Szołochow, Polewoj, Paustowskij i in.). Obowiązuje, oczywiście, interpretowanie pisarzy polskich w duchu komunistycznym.

Władze szkolne rekrutują się w pełni z ludzi całkowicie oddanych reżimowi. Wielu dawnych wizytatorów nie powróciło do swej pracy, innych usunięto, Na ich miejsce przychodzą nowi, na ogół niewyszkoleni w pracy wizytatorskiej, lecz dobrze obznajomieni z wymaganiami politycznymi panującego systemu.

Dyrektorami gimnazjów są wyłącznie czynni członkowie PZPR, poprzedni w najlepszym razie pozostali na stanowiskach nauczycielskich. Nauczycielstwo jest dziś zawodem źle płatnym, wymagającym nadmiernego nakładu pracy ("ideologiczne" dokształcanie się, zebrania co najmniej 4 razy tygodniowo). Toteż w zawodzie tym widzi się albo zupełnie starych ludzi albo zupełnie młodych, często studentów drugiego a nawet pierwszego roku Uniwersytetu. Są również wśród nich wychowankowie "Uniwersytetów ludowych". Nauczyciele w średnim wieku masowo przechodzą do innych zawodów, co dotychczas było łatwe. Ogólnie, stosunek nauczycielstwa do obecnych rządów jest wręcz wrogi, co objawia się choćby w wykraczaniu w wykładach poza narzucony program. W jednym z konkretnych wypadków, nauczycielka została oskarżona o "sabotowanie planu 6-letniego" przez poświęcanie zbyt dużej ilości godzin wykładom o Wyspiańskim na niekorzyść pisarzy "radzieckich".

Odczuwa się dotkliwie brak podręczników. Dla niższych klas (8-ej i 9-ej) wprowadzono już nowe pomoce naukowe, klasy starsze dosłownie nie mają z czego czerpać materiału do lekcji, poza wykładem profesora (przedwojenne podręczniki np. do historii i literatury są wycofane, ich używanie wzbronione).

Nauka religii nie jest obowiązkowa, niemniej większość młodzieży przychodzi na lekcje często w sposób wręcz demonstracyjny.

Na terenie każdej szkoły istnieje ZMP, do którego należy około 90% młodzieży. Przynależność do ZMP jest niejako koniecznością, gdyż od 1949 r. tylko ZMP-owcy mają prawo wstępowania do wyższych uczelni. Ale nie wystarcza należeć do ZMP. Należy być aktywnym, być "wzorem" dla innych zarówno w nauce jak i w "pracy społecznej". Oczywiście, tak wyglądają rzeczy jedynie w teorii. W rzeczywistości, ZMP-owcy wcale nie uczą się lepiej niż inni, a często nawet gorzej, co jest zrozumiałe choćby dla tego, że są bardzo zajęci "pracą społeczną".

Młodzież jest z jednej strony "kupowana" bezpłatnymi obozami sportowymi, biletami na imprezy artystyczne, prawami których dawniej nie miała (prawo oceniania przydatności nauczyciela), z drugiej strony jest przeciążona "społecznymi" obowiązkami, a jednocześnie demoralizowana istniejącym w szkołach dzisiejszych systemem szpiegowskim. Mimo to młodzież nienawidzi wszystkiego co w jakikolwiek sposób wiąże się z Sowietami i stawia bierny, ale stały i zdecydowany opór rusyfikacji. Zewnętrznymi objawami tego oporu jest choćby demonstracyjne przychodzenie na lekcje religii, ironiczne uwagi w czasie obowiązkowego słuchania przemówień propagandowych i stosunek młodzieży do nauczycieli, których posądza ona o zbytnią gorliwość wobec komunistycznego reżimu. Nauczyciele ci mają "ciężkie życie" ze

swymi uczniami. Ostatnie spostrzeżenia są o tyle charakterystyczne, że pochodzą ze szkoły, położonej w robotniczej dzielnicy Warszawy.

◆

Przybywający z Polski na Zachód studenci i młodzi ludzie, którzy niedawno pokończyli wyższe studia, zgodnie narzekają na coraz wyraźniejsze obniżanie się poziomu nauczania w uczelniach. To samo mówią zarówno humaniści jak i wychowankowie szkół technicznych. Z jednej strony obniżono znacznie wymagania przy egzaminach wstępnych, z drugiej odsuwa się coraz bardziej profesorów od wpływu na młodzież studiującą, a nawet utrudnia im się wszelki kontakt z młodzieżą. Działalność profesorów jest ograniczana do wykładania, natomiast prace i colloquia odbywają się pod kierunkiem asystentów, którzy są w coraz większym stopniu dobierani przy zastosowaniu przede wszystkim politycznych kryteriów oceny. Wedle określenia jednego z naszych rozmówców, są wśród asystentów również rzetelni pracownicy naukowi, ale stanowią oni tylko część i ci są coraz bardziej wypierani przez "polityków".

Dwaj młodzi inżynierowie, Ślązacy, wychowankowie gliwickiej "Politechniki Śląskiej" zadziwiają sumą wiadomości i skalą ogólnego wykształcenia — ale są to wychowankowie starych profesorów z okresu "Nepu", pierwszych lat powojennych, okresu, który należy już do przeszłości. Twierdzą oni, że słyszy się wiele krytycznych głosów, nawet w sferach urzędowych, w odniesieniu do obecnych programów szkół technicznych. Są one uważane za niewystarczające, tak że czasem mówi się o powrocie do dawnych programów. Specjalizacja programów jest daleko posunięta. Jednak odsuwanie profesorów od wpływu na młodzież pociąga za sobą ujemne skutki i zniechęca samych profesorów do pracy. Nieco lepiej niż w szkolnictwie mają się rzeczy w Instytutach naukowych, gdzie warunki pracy są stosunkowo lepsze; m.in. Kraków jest siedliskiem tej naukowej "reakcji".

Jeden z naszych rozmówców, student Politechniki Warszawskiej, postanowił wydostać się na Zachód bo, jak mówi, "miał już dość". Najbardziej mu dokuczała nieustanna "opieka" i konieczność zachowania stałej ostrożności w obcowaniu z kolegami, w rozmowach. Owa "opieka" ma swój wyraz organizacyjny w instytucji tzw. starostów, stojących na czele studentów każdego roku studiów i podległych im kierowników grup. Kontrolują oni m.in. obecność na wykładach jak również "prawowierność" studentów.

Studenckie "Bratnie Pomoce" dawno już rozwiązano. Ich miejsce zajął najpierw akademicki odpowiednik ZMP-"ZAMP", który z kolei został rozwiązany. Obecnie panuje ogólna organizacja ZMP.

"Opiekunowie" tj. starostowie i kierownicy grup są przeważnie rekrutowani spośród młodzieży, która przychodzi na wyższe uczelnie z tzw. kursów przygotowawczych, na które można wstąpić już po ukończeniu 7 klas szkoły powszechnej. Nasi rozmówcy nie są zbyt kategoryczni w ocenie tego elementu. Według ich zdania, są wśród tych ludzi i jednostki wartościowe; wielu bierze się na serio do pracy nad sobą. Duża jednak część ogranicza się do wykorzystywania swej uprzywilejowanej pozycji politycznej.

Stypendia, których przyznanie zależy często od politycznych kryteriów oceny, wynoszą miesięcznie 210-250 zł. To z wielką biedą wystarczy na życie i mieszkanie, zwłaszcza gdy student uzyska prawo kwaterowania w domach państwowych (płaci wówczas za mieszkanie 30 zł. miesięcznie). O kupieniu ubrania ze stypendium nie ma mowy. Zresztą często trudno jest w ogóle dostać ubranie. Jeden z naszych rozmówców całymi miesiącami poszukiwał w Warszawie pary flanelowych spodni, szczęśliwy, że tymczasem mógł nosić spodnie z paczki amerykańskiej.

BERLIŃCZYK.

Śmierć tragarza Johna

Zofii Bogdanowiczowej.

LIST PIERWSZY

Pyta Pani, co się ze mną dzieje, to znaczy, co piszę. — Ha-ha-ha — roześmiał się skamandryczny demon w mojej nagiej duszy. Jak to od razu widać, że Szanowna Pani z prowincji, jeśli dla Pani "dziać się" to znaczy, pisać. U nas, w stolicy, wyraz ten inne ma znaczenie.

"Pisać... — ty jesteś jak zdrowie! Raj utracony. Dawno już nie piszę. Dla Pani to teraz robię, że zbieram do kupy obolałe kości swego żywego szkieletu i odmuchuję z kurzu maszynę, która pozdrawia mnie, głupia, radośnie, wymachując klawiszami. Ale ja jestem zły. Czarnobiałe klawisze od razu nabierają smutku i powagi klepsydry pogrzebowej. O, psiakrew! — Palce bolą przy zetknięciu z tymi klepsydrami: soda wgryza się przede wszystkim pod paznokcie, gdzie ukrywa się — talent twórczy.

Skąd soda? Jaka soda? — Zaraz, zaraz. Wszystko opowiem.

Pewnej wiosennej niedzieli Reginie zachciało się wąchać kwiatki w Kew Gardens. Powiada: "Ubieraj się, idziemy". "Idź sama" — mówię — "ja tam storczykom zapachu nie dodam, a po drugie buty mi się podarły" i pokazuję, na dowód, że fakt.

Ścisnęła usta, jak skąpiec sakiewkę, i powiada: "Musisz raz nareszcie wziąć się do roboty uczciwej. Pisaniem na buty nie zarobisz. Wszyscy zgodnie orzekli, że Van Goghiem już nie jesteś i nie będziesz. Nawet pani Dora, która jest kumą przyjaciółki naszej znajomej, też cię nie trzyma za Van Gogha. Uroczyście protestuje. Jedno, co by cię upodobniało do Van Gogha, to te buty...

I tu stała się rzecz wstrząsająca... Nie mogę o tym pisać

spokojnie. Kot, nasz czarno-biały kot, podszedł i zaczął się tulić do moich nóg.

— Przynajmniej to stworzenie jest po mojej stronie — mówię.

— Tak, bo czytać nie umie — powiada ta moja ślubna jędzka.

Nagle czuję, że mi się ciepło robi w stopy — to kot wyraził swój, zgodny z Reginą, pogląd na moje buty i opinię o moich zdolnościach zarobienia na też buty... A przecież nigdy tego nie robi. To bardzo porządny kot. Zawsze miauczy przed czymś takim, żeby go wypuścić na ulicę. Patrzyliśmy na siebie — kot i ja — przez ułamek sekundy. Widocznie wyczytał w moich oczach wyrok śmierci, bo jakby go zdmuchnął wybuch atomowy. Nie zdążyłem nawet zauważyć skoku przez okno, kiedy już siedział na czubku drzewa przed domem i spoglądał na mnie z taką samą pogardą, z jaką patrzy na psy sąsiadki, kiedy go czasem, ogonami wachlując, pod tym drzewem oblegają.

Ostatecznie ten kot zadecydował. Następnego dnia z samego rana poleciałem do pośredniaka i zażądałem roboty. Pytają, co bym chciał robić. Mówię, że nic — to znaczy pisać. W jakim języku? W ojczystym, oczywiście, w jakim-że innym pisać można... Powiadają, że "sorry". No więc im ustąpiłem i mówię: "any job". To się ucieszyli i powiadają, że mają w sam raz dla mnie robotę — "on Earls Court Limited". — Świetnie — pomyślałem sobie — idę na "dwór księcia ograniczonego". — To, że ograniczony specjalnie mnie nie zmartwiło, bo prawdę mówiąc, nigdy o książętach zbyt dobrze nie myślałem.

Ale to się okazało nie to. To był mój stary sprzed lat — jeszcze, zanim Van Goghiem się zostałem — "job" tragarza Johna. A "Earl's Court Ltd" to po prostu ten olbrzymi, jak góra z daleka wyglądający, budynek na Warwick Road, w którym odbywają się od czasu do czasu wystawy i pokazy.

"Catering Staff Manager" wypytuje mnie z przyjaznym uśmiechem o dotychczasową praktykę, o wiek, o zawód zasadniczy, o stosunek do służby wojskowej pod komendą angielską i o inne stosunki... Potem... z uśmiechem podaje mi do podpisu zobowiązanie, że nie będę... kradł:

"No food or any article belonging to the Company is to be taken off the premises. All parcels to be opened for inspection at the Staff Door on leaving the premises, and any member of the Staff found taking any food or any property of the Company will be liable to prosecution".

Podpisałem. Co miałem zrobić? Stawiać się może, protestować? W łagrze też nie protestowałem, kiedy mi "strełok" wygłaszał taką samą formułę, że w innym języku? O język się bić nie będę, chyba o polski — z panią Hestią.

Kiedym pierwszy raz szedł na tragarza Johna, to — przyznam się Pani szczerze — choć nie byłem jeszcze Van Goghiem, więcej miałem "przewrócone w głowie" niż teraz. Piastowałem mianowicie tajemną myśl, że cała emigracja przyjdzie mi na

klęczkach ofiarowywać "szlachetniejsze, godne pisarza" zajęcie jakiegoś gryzipiórka w którymś z ministerstw.

Ciarki zimne i gorące po mnie chodzą, kiedy teraz pomyślę, że tak jeszcze niedawno byłem tak jeszcze głupi. Teraz schodzę sobie do podziemi "dworu księcia" krokiem lekkim swobodnym, jak facet dojrzały i wyleczony z wszelkich złudzeń. Mówię o tym bez najmniejszej ironii. Wiem, że lepsi ode mnie, a przede wszystkim starsi i słabsi, harują nie lżej. A problem, czy tak być powinno i czy można i należało tego uniknąć, rozwiąże kiedyś historia. "Nasze dieło maleńkoje".

Kuchnie tutejsze ciągną się pod ziemią, tworząc powikłany labirynt, kipiących parą, miedzią brzęczących, rozkrzyczanych (większość kucharzy — Francuzi i Włosi) izb oraz długich, chłodnych, betonowych korytarzy. Nad nami są sale wystaw. Sedno, że tak powiem, całego gmachu stanowi potężna jama stadionu sportowego z amfiteatralną widownią na trzydzieści parę tysięcy miejsc.

To całe nadziemie karmi się potem i wiecznym, błyskawicznym pośpiechem naszego podziemia.

Dostałem numer 1191 i przydział do obsługi szorowania metalu w "kuchni Gastona".

Kuchnia Gastona jest właściwie cukiernią. W miedzianych kotłach i potężnych jak kotły rondlach warzy się tu słodkie mikstury czekolad, kremów, dżemów, ciast, lukrów... W wielkim piecu typu naszego "szabaśnika" piecze się później z tego surowca setki tych sztuczek francuskich, które Gaston ze swoim sztabem z błyskawiczną szybkością fabrykuje.

A ja nic tylko szoruję — kotły po dżemach, kotły po kremach, kotły po mleku, brytwanny po ciastach i ciastkach, formy i foremki pod pudingach, warząchwie, ubijaki... Tych ubijaków jest chyba ze dwadzieścia typów — sprężynowe w kształcie serc, lane i dęte w kształcie sierpów, młotów, łopat...

Do Gastona mam przydział zasadniczy, ale w okresie wielkiego natężenia ruchu "foreman", Joe, rzuca mnie, jak sierżant w akcji bitewnej, na najbardziej zagrożone odcinki walki. W takim ogniu, kiedy nie ma czasu na zabawę, trzeba nieraz chwytać w pojedynkę potężny kocioł, który w czasie normalnym taszczy dwóch i jeszcze pojękuje.

Ale nie ciężar jest straszny. Początkowo najgroźniejszym twoim wrogiem jest cockney. Przyleci taki Joe, okiem mętnym łypnie (oczy ma Joe tak mętne, jakby bielmo się na nich zaciągnęło — od chłopaka tu służy i może ta wieczna półciemność podziemna tak mu te oczy wyprawiła na bezkolor), coś zabełkoce i zaraz odbiega na drugi zagrożony odcinek. A z tego, co on powiedział, zrozumiałeś tylko końcowe "do you?" albo "will you?" I bądź mądry.

Czasem, jeśli jest przy tym Anna Borysówna (jeszcze od tamtej wojny emigrantka), to mi to przetłumaczy na angielski, albo na rosyjski. Ale jeśli nikt nie słyszał — stoję jak na wese-

lu. A potem robię coś na chybił trafił, dopóki Joe albo drugi raz nie przyjdzie i ze złym błyskiem matowych oczu za rękę mnie zaprowadzi na zagrożony aktualnie odcinek; albo zapomni, co kazał zrobić; albo sam zrobi.

Pracowitość i szybkość Joego jest wprost wstrząsająca. Chciałbym, żeby go zobaczyli ci, co mówią, że Anglicy nie umieją pracować. Bo Joe jest jednym z niewielu prawdziwych Anglików — z East Endu — w tej podziemnej wieży Babel.

Wiem, że Joe uważa mnie za dobrego robotnika, ale mnie nie lubi.

Joe, jako nasz "foreman", wydziela nam posiłki. Raz rzucił mi — jak psiarz psu — na brudny blat pajdę chleba i plasterek bekonu. Nie wziąłem. Stoję sobie spokojnie i piję "of tea". Błyśnie niespokojnie okiem raz i drugi. Po śniadaniu warczy do mnie:

— Sprzątnij to ze stołu.

— Sprzątnij sam, "bloody Joe", jakeś sam rzucił. I zapamiętaj sobie, że nie z psem masz tu do czynienia. W zęby dostaniesz, jeśli się ośmielisz drugi raz w ten sposób podać mi śniadanie.

Poszarzał na twarzy, ale zmilczał. Od tego czasu nie ma tak ciężkiego kotła i tak mozolnego zmywania, żeby właśnie mnie nie wyznaczył. Przeciw temu nie protestuję, ma prawo. Joe opętany jest pragnieniem władzy i znaczenia. Anna Borysówna opowiadała mi, że jako chłopak był tu przez cudzoziemskich kucharzy poszturchiwany i niemal poniewierany. Jasne: musi się odegrać. Rozumiem go i traktuję z chrześcijańską pobłażliwością.

Podobny do Joego pragnieniem władzy, ale absolutnie odmienny posturą zewnętrzną, jest drugi Anglik, dozorujący drzwi (ma prawo rewidować nas przy wychodzeniu) i automatu zegarowego, znaczącego na kartach godziny początku i końca naszej pracy. Ilem razy pytał go, gdzie co jest, — w pierwszych dniach traciłem głowę w tym labiryncie — spoglądał z góry (jest olbrzymi, patrzy zezem, Joe jest maleńki i chudziak) i odmrukiwał:

— Nie zawracaj głowy, widzisz, żem zajęty...

Ostatnio, kiedy tak odpowiedział, rozplotłem mu łapska, które trzymał z tyłu, splecione ruchem klasycznie szwajcarskim i powiedziałem, unosząc prawą rękę ku górze:

— Nie szkodzi, ja ci, jak widzisz, pomogę pokazać, a ty mi tylko powiedz, w którym kierunku się idzie do Empress Hall'u.

Też teraz patrzy na mnie zbójem.

Ale to jeszcze nic. Nie Joe i nie Szwajcar, ale Gaston boli mnie najmocniej. Od niego właściwie powinienem zacząć. Ale jak to z każdym bólem staram się widocznie go nie potęgować drażnieniem miejsca bolącego.

Gaston jest jak soda: załazi za pazury. Można by go się poz-

być tylko razem z tymi pazurami. I są chwile, że nienawidzę swoich rąk, bo gdybym ich nie miał, nie byłoby i Gastona.

Gaston pracuje jak furia, jak polski ułan w szarży na czołgi. Dlatego tak go tutaj cenią, czczą niemal. Przez cały czas tej szaleńczej roboty, od pierwszego do ostatniego ciastka dziennej normy — a norma nie bylejaka, jeśli wziąć pod uwagę, że po parę tysięcy narodu dziennie przewinie się przez nadziemia — Gaston klnie, parska, fuka, tupie, ściska piąstki, małe, dziecięce, a czekolada, czy biały albo różowy krem, czy purpurowy albo złoty dżem przeciska mu się przez palce, jak przez durszlak. Nigdy w pierwszej chwili nie wiadomo, o co mu chodzi. Bo i skąd można wiedzieć, skoro, same przez się niezrozumiałe, słowa angielskie wykrzykuje z akcentem francuskim? Skąd można wiedzieć na przykład, że "stà" znaczy "przecedź kastard"? Albo, że kilka szumiących sylab, zakończonych artykułowanym dźwiękiem "Là" znaczy: postaw na ogień kocioł z czekoladą"?

Gaston nikogo z nas, pracujących w jego kuchni, nie nazywa po imieniu. I skąd możesz wiedzieć, że jeśli krzyknie "E", to właśnie John, a nie Anna Borysówna ma podbiec do niego ze świeżo natłuszczoną brytwanną? Wlepi się w niego osiem par oczu i osiem głów pochyli się do startu. A on się wścieka. To się zdarza sto razy na dzień, ale Gaston swego systemu nie zmieni.

Nie wiem, jakie tam są Pani doświadczenia z Anglikami, ale moim zdaniem, jako szefowie i współpracownicy są idealni — Joe i szwajcar przy "clock'u" to wyjątki, najpewniej dlatego, że od lat pracują w otoczeniu i pod kierunkiem Francuzów, — takich właśnie Gastonów.

Styl bycia i pracy Anglika uformowany jest przez zbawienną zasadę "try and error" — przez błędy droga do doskonałości, ucz się sam od własnych rąk i nóg, one ci powiedzą najlepiej. Jest to w gruncie rzeczy zasada tresury taka sama, jaką się stosuje do zwierząt. Natomiast my, ludzie kontynentu, jesteśmy uformowani przez wiarę w nadprzyrodzoną potęgę **słowa**. Stąd nasza samobójcza zrzędność i skłonność do ślepych fanatyzmów, rozpalanych zaklęciami systemów **słownych**, pusto-słownych, które w gruncie rzeczy są dalszym rozwiniętym ciągiem dawnych prymitywnych systemów czarów i zaklęć.

Gaston wierzy, że krzykiem zrobi z nas tęgich współpracowników. Może zresztą i nie wierzy, a na pewno nigdy o tym nie myśli. Rzecz w tym, że jest pod władzą nawyku — nałogu krzyku i wrzasku. Nie odzwyczai się już od tego, jak nie odwyknie od kawy, którą bez przerwy siorpie z umazanej kremami i czekoladami filiżanki. W ogóle nie wyobraża sobie innego systemu pracy... Tak jak ja na przykład nie wyobrażam sobie ciepłej, przyjacielskiej, a zwłaszcza wojskowej, pogawędki bez przekleństwa co drugie słowo.

Gaston boli mnie dlatego bardziej niż Joe, że po pierwsze więcej mam z nim do czynienia, a po drugie... Joe to jest coś... jakby tu Pani powiedzieć? Coś jakby maszyna, albo... W każdym razie nie człowiek. A Gaston jest przecie prawie inteligent. Przy obiedzie — jak ma spokojniejszy dzień — rozmawiamy z nim sobie (czasam jadam obiady z Gastonem, a czasem w czeladnej przy ogólnym stole) — o filozofii greckiej, o malarstwie francuskim, o filmie włoskim.

Więc Gaston mnie boli i wścieka, bo chociaż plącze Archimedesa z Sokratesem, to przecież wesoło by się z nim pracowało, gdyby nie ten kontynentalno-zupacki nawyk do hałaśliwego rwetesu w robocie. Przy tym tu nie tylko o rwetes chodzi: Gaston jak się rozeźre, potrafi ubliżać od najgorszych. "Idiot", "Stupid", "Cretin" — to jego wcale jeszcze nie najjaskrawszy w takich paroksyzmach repertuar. Anna Borysówna nieraz płacze. Mnie zła krew zalewa. Układam sobie w myśli repliki miażdżące, bezlitośnie złośliwe w rodzaju: "Zamknij mordę, nie chciałeś umierać za Gdańsk, jak jak się biłem za Paryż, a tuś mocny?" Albo: "Francuzi to sama zgnilizna — w pysku mocni, a w polu najtchórzliwsi żołnierze"... albo tym podobne brednie, jakie tylko ślepa wściekłość wymyślić jest w stanie. Ale kończy się tylko na myślach. Na szczęście, bo przecież, gdybym się wdał w kłótnię z Gastonem, to bym się śmiertelnie ośmieszył. Każdy na całym "dworze księcia" wie, że Gaston przeklina i ubliża tak jak inny pali papierosy, albo po prostu oddycha. Francuzi by powiedzieli, że Polacy nie mają poczucia humoru... Ale z drugiej strony znowu słuchać hadko, jak cię taki gnojek nazywa "kretynem"... Ot dylemat.Joego można zwymyślać, można mu nawet mordę zbić, bo Joe ubliża i poniża cię z całą świadomą złośliwością źle tresowanej małpy i wszyscy to rozumieją, ale Gaston... Gaston jest po prostu chory na przerost kontynentalizmu.

Magazynier Tom nie bardzo lubi Gastona, bo Gaston bez najmniejszego skrępowania podśmiewa się ze zwyczajów angielskich. Ale nawet Tom mówi, że Gaston jest w gruncie rzeczy "not to bad", a jego przezwiska nie mogą przecież nikogo poniżać. Ale ani ja, ani Anna Borysówna nie możemy się do tego przyzwyczaić. A przecież Anna Borysówna pracuje tu już od lat i Gaston też bez mała od końca wojny. Widocznie Anna Borysówna i ja jesteśmy chorzy na drugą chorobę kontynentalną — przerost poczucia godności osobistej. A może po prostu nawyk klasowy? — Oboje pamiętamy jeszcze ten inny sposób, w jaki nas kiedyś traktowano. W terminologii bolszewickiej Anna Borysówna i ja jesteśmy "bywszyje ludi". Może właśnie na tym polega "bywszość"? Na poszanowaniu godności ludzkiej, na delikatności zewnętrznych form obcowania?

Co do mnie, to może bym i prędzej przywyknął, gdyby ten proces przywykania szedł równomiernie w dół po linii pochyłej i nie był przerywany.

Przed kilku dniami, na przykład, dostałem zaproszenie na przyjęcie do Very Britain (czytuje ją Pani chyba?). Wszyscy dookoła udawali wzajemny szacunek dla siebie i zainteresowanie sobą. Kuncewiczowa, przez którą dostałem to zaproszenie, przedstawiała mnie dobrotliwie jako "bardzo zdolnego" faceta, piszącego z "very grasp" and so on. Oczywiście, nikt w to nie wierzył, nikt do tego — oprócz mnie, rzecz jasna — nie przywiązywał wagi, ale wszyscy się zachęcająco uśmiechali. Jest to właściwie taka sama nieszkodliwa konwencja, jak przekleństwa Gastona, ale przecież podnosząca jakoś na duchu. Co prawda pomyślałem, że zamiast biedzić się nad wynajdowaniem przymiotników dla moich zdolności, Kuncewiczowa mogłaby wystarać mi się o robotę bez Gastona. Ale dobre i te przymiotniki...

I potem przychodzi się wprost z takiej "party" do Gastona i Joego. W łagrze było o tyle lepiej, że śmierdzącego procesu "prywykania" nie przerywał mi zapach lawendy.

Wydaje mi się, że teraz zrozumiałem całą istotę deklasacji: trudność polega nie na noszeniu ciężarów, ale na fizycznej nieomal niemożliwości zrośnięcia się z innym klimatem duchowym. Czasem zmiana klimatu wywiera zbawienny wpływ odświeżający, ale pod warunkiem — że mam tę świadomość, że zawsze, kiedy zechcę, wrócę do klimatu macierzystego.

Tyle jak na dziś. Strasznie dużo. Rąk wprost nie czuję, a palce szczypią pod paznokciami, jak bym solą zasypał świeżą ranę.

LIST DRUGI

No więc z Gastonem skończyłem. Ale nie tak jak to sobie wyobrażałem.

Nie pracuję już w podziemnych kuchniach "dworu księcia Ograniczonego". Zrywam się natomiast codziennie o wpół do szóstej rano i pędzę do pociąg wyskoczy do Iver pod Londynem, gdzie mam nowy "job" — w betoniarni.

Do zmiany klimatu namówiła mnie Beckowa, której kuzyn pracuje w tej fabryce od kilku już miesięcy i dużo zarabia, a "klimat" sobie chwali. Oba klimaty — i fizyczny i duchowy.

Fabryka stoi sobie w polu, w zieleni. Z jednej nawet strony szczątki ogrodu. Stare drzewa czereśniowe przypominają mi sadek stryjowski w Okęciu pod Warszawą. Polowałem tam z flowerem na wróble. Długa na sto metrów hala. Górą dwa dźwigi chodzą po szynach, dołem — jakby kilka torów kolejowych na stacji węzłowej. Pachnie oliwą i metalem. Beton nie ma indywidualnego zapachu. Przez okna patrzy w nas słońce i zielona zewnętrzność. Na ogółem stu robotników, Polaków (z pobliskiego obozu) — około osiemdziesięciu. Polskie tylko słuchać dookoła przekleństwa, przemieszane z szumem sunących górą dźwigów, stukiem młotów, zgrzytem skrobaczek, czy-

szczących formy z resztek betonu i tym nieokreślonym — szarym — zgiełkiem, który jest stałym tłem głosowym każdej fabryki, jak zieleń jest tłem barw przyrody.

Ale najpierw, jak skończyłem z Gastonem.

Jak już pisałem, Gaston wrastał mi w kompleks, przechodził w obsesję. Do tego stopnia, że nawet z Reginą tylko o nim rozmawiałem.

— Rzuć do diabła tę robotę — powiedziała raz znudzona już Regina, kiedy jej, podsuwając przed oczy zaciśnięte piguły pięści, odgrażałem się, że teraz to już na pewno Gastona zamorduję.

Olśnił mnie ten pomysł! Rzeczywiście, cóż prostszego niż rzucić Gastona razem z robotą. Tym bardziej, że Beckowa właśnie wczoraj opowiadała cuda o tej pracy w betoniarni. Wśród rodaków! Móc sobie ulżyć nareszcie w ojczystym języku... W ojczystym języku... Co za świetne perspektywy rozwojowe dla pisarza!

Wymówiłem — na tydzień naprzód. Mam przed sobą jeszcze tydzień przymusowego obcowania z Gastonem. Tydzień więzienia.

Powstał problem: jak zorganizować to rozejście się Gastonem? Nabić mordę. Pominąć go przy pożegnaniu? Ignorować go przez ten tydzień, jakby nie istniał? Nie, to byłoby głupie.

Miałem w szkole kolegę, potężny parobasek, olbrzym jak na nasze kilkunastoletnie możliwości. Osiłek. Syn bogatego chłopa — Rechnio. Nazywało go się normalnie "chamusiem", albo "Rekinem". Znosił wszystko z zaciśniętymi zębami. Wykapany Andrzej Radek. Ode mnie korzystał najwięcej, był tępy w naukach humanistycznych i ściągał wszystkie moje wypracowania. Chętnie dawałem mu ściągaczki, ale wyżywałem na nim swój nieletni sadyzm i prześladowałem go, może nie więcej niż inni, ale i nie mniej. Uspakajałem zresztą sumienie tymi ochłapami ściągaczek. W czwartej klasie było już wiadomo, że Rechnio nie "idzie wyżej". Po rozdaniu cenzur, podszedł do mnie i zaczął ni stąd ni zowąd metodycznie prać mnie łapskami, jak cepy, łeb nie łeb, gdzie popadło. Mścił się za cały czas upokorzeń. Dlaczego właśnie na mnie? Przecież ode mnie jedynego miał właściwie pomoc jako dodatek do porcji obelg? Może właśnie dlatego. Ja mu zadałem upokorzenia najgłębsze przez to, że, nienawidząc mnie, musiał korzystać z mojej pomocy. Ale to odrębne zagadnienie...

Pamięć o Rechniu, widmo jego skurczonej nienawiścią, zaciętej twarzy odstrasza mnie zawsze w życiu od zemsty magazynowanej, odkładanej latami, na książeczkę. I dlatego Gastona postanowiłem nie bić, nie mścić się — nie chciałem być Rechniem.

— Rzucasz robotę? Dlaczego? — pyta Gaston.

— Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz? Patrzę mu ostro w oczy.

— Ach, oczywiście, że wiem. Pięć gwinei to nie zarobek dla faceta takiego jak ty... Ale wiesz co? — ogląda się na boki i ścisza głos. — Masz już nową robotę?

— Prawie. W betoniarni pod Londynem.

— Nie mów nikomu, że w betoniarni. Powiedz im, że idziesz do fabryki ciastek. A potem wrócisz tutaj do mnie za jakieś dwa miesiące... Powiem, że jesteś już poduczony cukiernik i dostaniesz od razu siedem, osiem funtów, a za parę miesięcy dojdziesz do dziesięciu. Ja ci się o to postaram. Ja cię lubię — jesteś szybki w robocie, jak Francuz. I znasz Sokratesa.

On mnie lubi... On mnie lubi. Dlaczego mnie więc prześladował tak samo, a nawet, jak mi się wydawało, więcej, niż innych?!

Ba, ja też Rechnia lubiłem, dopóki mi mordy nie skuł. I też go prześladowałem.

Naturo ludzka, jakżeś kręta!

Wiem, że z ponętnej propozycji Gastona nie skorzystam. Nie mógłbym znieść zależności od niego, myśli, że mi robi łaskę. Poza tym wiem, że on się nie zmieni — prześladowałby mnie, po okazanym dobrodziejstwie, więcej może niż dotychczas. Ja znam te typy półsadystycznych krzykałów i zarozumialców. Mają może — jak to się mówi — "dobre serca", ale ich współżycie ze światem zewnętrznym układa się po zbyt już zautomatyzowanych relsach. Linie ich odruchów są już nie do odwrócenia. Ile to razy ja sam przysięgałem matce, że nie będę wpadał w gniew? I co? I w dalszym ciągu przysięgam to samo Reginie. Nie, to się nie zmienia. To się nabywa we wczesnym dzieciństwie, a potem — przepadło.

Powie Pani, że jestem pesymistą, bo nie wierzę w ludzką wolę odrodzenia. W wolę ludzką wierzę, wiem, że Demostenesów jest więcej nawet, niż się przeciętnie wydaje, ale wola ludzka idzie po wyżłobionych już koleinach ludzkich charakterów i służy tylko do realizowania ludzkich pragnień, ale nie do przekształcania ludzi. Jak człowiek sam siebie nie jest w stanie podnieść własnymi rękami za własne uszy, tak wola nie jest w stanie zmienić samej siebie. Owszem, podskoczyć można. Chwila złudzenia, że jestem ptakiem. Ale na ziemię wrócić muszę. Owszem, człowiek się zmienia w chwili, gdy przyrzeka, że od jutra inaczej znacznie żyć. Ale to chwila. Grawitacja charakteru jest niepokonalna.

A ja osobiście; jakimż bym szczęściem oddychał w domu swoim rodzinnym, gdyby Reginie się nie przywidziało, że z całej rodziny, ona, i tylko ona, nadaje się na tak zwaną "głowę" tejże? Nie mówię już o tym szczycie szczytów szczęśliwości, na którym bym siedział jako ten król, gdybym sobie nie wmówił, że jestem pisarzem. Żyło by się w błogostanie. A tak morduj się, człowieku, umieraj i zmartwychwstawaj za naród każdego wieczoru i wysłuchuj za to potem wydziwiań

i protestów, że nie masz prawa cierpieć za naród, boś się dawniej komunizował przed portretem Stalina.
Ostatecznie wszystko się sprowadza do postulatu pokory.

Na tej nowej betoniarskiej posadzie ciężko nie jest. Tyle, że czasem trzeba dźwignąć jakieś 50 do stu kilo we dwóch. Ale tak to "idzie wytrzymać", jak mówią tutejsi nasi chłopcy. Przeważnie koledzy wojskowi z Korpusu.
Robota polega na montowaniu form, w które potem nocna zmiana wlewa beton. Taka forma ma czasem kształt słupa albo ścianki długości od pięciu do 20 jardów, grubości stopy lub kilku stóp. Duszą formy jest zawsze wiązka drutu stalowego. Kiedy beton wypełni formę, śrut, naciągnięty uprzednio jakby struny olbrzymiej basetli, staje się wewnętrznym szkieletem słupa czy ściany.
Przy naciąganiu drutu trafiają się kłopoty: zbyt napięta wiązka, albo jeden pojedyńczy drut, potrafi pęknąć i bywa, że zahaczy czyjąś głowę, pochyloną nad formą. Czasem się kończy tylko na bólu, czasem na opatrunku, a czasem na szpitalu. Na początku zaraz mojej betoniarskiej kariery karetka wywiozła jednego Irlandczyka.
Wśród chłopaków nastrój panuje pogodny. Spotykam pierwsze chyba polskie środowisko, w którym nie słyszę wyrzekań na Andersa i przekleństw na Anglików, że nas sprzedali. Zagadka mi się wyjaśniła w piątek — dzień wypłat. Nie było wypłaty niższej, niż dziesięć funtów, a nie rzadko się trafiały i piętnastofuntowe koperty.
Zarobki tu są świetne. Nieograniczona możliwość nadgodzin, a ponadto do każdej wypłaty dochodzi tak zwany "bonus" premia za wyprodukowanie ilości ponad stałą normę. Premia wynosi przeciętnie około dwóch funtów na tydzień. Nasi pracują jak szaleni. Fabryka obliczona jest na produkcję około dwu tysięcy stóp sześciennych, a wyrabia się przeciętnie dwa razy tyle.
— Pan szanowny przyjeżdża aż z Londynu? — użala się nade mną gruby, świetnie zakonserwowany starszy facet w zielonej koszuli.
— Ano...
— A czemu?
— W Londynie trudno o takie dobre zarobki.
— To może się pan przeniesie tu do nas?
— Bo ja wiem...
— Ja pana urządzę. Ja mam karawan... Wie pan taki wóz. Kupiłem kiedyś dla siebie, ale fabryka dała mnie darmo mieszkanie w obozie, to karawan mogę sprzedać. Nie drogo: dwadzieścia funtów.
Umawiamy się, że po pracy obejrzę "karawan" na miejscu. Obiecuję sobie w duchu, że przy okazji powącham obóz: a nuż się nada na temat.
Niestety, nic nie wyszło ani z "karawanu", ani z tematu.

"Karawan" jest za mały jak na trzyosobową rodzinę, a co do tematu... Kręcę się po obozie, oglądam.

— A pan szanowny co uważa? — pyta mnie tęgi facet z przekrwioną twarzą.

Plączę się w zeznaniach i wreszcie, ze strachu, żeby mnie nie posądził o przeglądanie kątów w celach podejrzanych, powiadam, że ja właśnie pisuję czasem do gazet i chciałbym jakieś dane liczbowe co do...

Facet z przekrwioną twarzą zaprowadził mnie do stołówki, gdzie urzędował administrator. Administrator wysłuchał, podejrzliwie od stóp do głowy obejrzał, skrzywił się (ubrany nie byłem, faktycznie, wizytowo) i powiedział szczerze:

— Ja słyszałem, że do fabryki się dostał taki jeden... To pan, znaczy się? Nie wygląda pan na takiego, co do gazet pisze. Ja tam panu nic nie mam do powiedzenia. Jak pan chce, gadaj pan z prezesem zarządu.

Prezes zarządu strzygł właśnie gościa. Nożyczki klaskały i mdliła woda kolońska. Wysłuchał i mówi:

— Ja jestem zajęty, idź pan do stołówki, tam jest administrator, on panu wyszczególni wszystko co i jak.

Nie wróciłem do stołówki. Nie zrozumiałem i do dziś nie mogę zrozumieć niechęci tych ludzi do nieśmiertelności. Z pobieżnych moich obserwacji wynikało, że urządzili się w tym obozie świetnie — po gospodarsku, przezornie, czyściutko, tanio. Pokoik w baraku kosztuje pięć szylingów tygodniowo. Całotygodniowy wikt w stołówce — funta. Obóz — położony w wielkim parku. Modrzewie, klony, strumyk. Raj. Oczywiście, jako Polacy muszą się tam kłócić — o jakieś tam sumy klubowe, o jakieś tam personalia, ale jakżeby bez tego żyć można? Jak Pani widzi w tym obozie żyje się trochę inaczej niż u was w Penrhos. Odczytów żadnych tam, co prawda, nie ma. "Życia", "Wiadomości" ani "Kultury" też się nie prenumeruje, biblioteki się nie urządza, ale za to zarabia się przeciętnie dwanaście funtów na tydzień i co tydzień jeździ się do Londynu na tańce i na rewie kabaretowe.

Chciałem tą oazą szczęśliwości polskiej zainteresować polską sekcją B.B.C., ale mi się nie udało tak samo, jak z zarządem obozu.

Czy ten styl życia obozu Ivor i to przyjęcie napełnia mnie goryczą? Nie. Uważam, że każdemu wolno kochać i nie kochać. Podstawową zasadą wolności jest prawo wyboru takiej formy bytu, jaka najbardziej odpowiada. Że ci tam bogacze postanowili żyć sobie z dala od Londynu i jego kultury i jego swarów — to ich sprawa. Widocznie nasza kultura nie ma siły przyciągającej.

Właściciel czyściutkiego i świetnie zaopatrzonego sklepiku angielskiego z entuzjazmem mówi o sąsiadach Polakach. "Very honest people". Od razu widać, że nasz klient, nasz pan. Nasz polski pan. Natomiast, spotkana na wiejskiej drodze,

babina ma pewne zastrzeżenia. "Very clean people" — powiada — but"... Ten "bat" polega na tym, że "nie jest zdrowo dla okolicy, jeśli mieszka tylu zdrowych nieżonatych ludzi". A, to stara śpiewka, która płynie za naszym bratem od bieguna północnego. Babina mówi o tym z westchnieniem. I ja jej współczuję. Spóźniona, niestety, szansa życiowa. Gorzki bywa żal za grzechy popełnione, ale smutniejszy żal za — niepopełnione.

Teraz dopiero, po tej rozmowie uświadamiam sobie, czym mi nasza fabryka przypomina sielskie czasy wojny! Tematami rozmów. Każdego ranka chłopaki dzielą się między sobą wrażeniami na temat przespanej — czy raczej nie przespanej — nocy, dyskutując wady i zalety łoża z taką samą swobodą, z jaką my się dzielimy wrażeniami o przeczytanych — a częściej nieprzeczytanych — wierszach i książkach.

A swoją drogą jeszcze jedna wojenka by się przydała. Tylko, aby nie za późno, bo to już czterdziestka za pasem.

LIST TRZECI

Miała Pani rację, że nie wytrzymam długo w tej fabryce. Nie wytrzymałem. Za daleko. A poza tym Regina się dowiedziała, że tam się takie rozmowy toczą i, dla mego zdrowia moralnego, kazała mi rzucić tę robotę.

Pracuję teraz o pięć minut drogi od domu — chce mnie widocznie mieć na oku. Ale zła krew mnie zalewa i pot od czubka głowy do stóp. Nie żeby tak ciężko było, ale że gorąco. Pracuję w dziale mleka gotowanego. Chodzi się tu w kłębach pary, jak w gorącej mgle. "Chodzi"! Także powiedzenie... Biega, skacze, szaleje. Goni taśma. Taśma, taśma, taśma. A na niej tysiące butelek. Najpierw idą puste i brudne do pieca — wanny, gdzie ciepła woda z mydlinami myje je mechanicznie pod ciśnieniem. Po drugiej stronie tej wielkiej umywalni czyste już butelki wędrują na taśmie do dwu wielkich samowarów, które je napełniają ciepłym mlekiem. Potem maszynka błyskawicznie je korkuje. Zakorkowane rozchodzą się kilku odgałęzieniami taśmy do pieców. Te piece, to niskie — do pasa sięgające — żelazne skrzynie. Na dwieście czterdzieści butelek każda. Butelki trzeba, chwytając z biegnącej obok taśmy po cztery naraz, ustawić w piecu równiutko z przeciętną szybkością butelka na sekundę. Piec jest gorący i butelki są już gorące. Potem piec się zamyka żelazną płytą od góry i puszcza gorącą parę. Za pół godziny inne ręce podniosą płytę do góry — kłęby parzącej pary rzucają się do gardła i oczu — i zaczną z tą samą błyskawiczną szybkością wybierać butelki do drucianych koszów, które rzuca się napełnione, na taśmę, idącą w kierunku rampy. Tu czekają samochody, które mleko rozwiozą po ludziach.

Pracuje się, oczywiście, w skórzanych rękawicach. Żeby

dojść do wprawy w chwytaniu butelek, trzeba co najmniej trzy tygodnie niebywałego treningu. Szybkość i zręczność po prostu cyrkowa. Wszyscy robią wszystko. Przechodzi się w ciągu dnia wszystkie stacje męki taśmowej. Mało że jest gorąco, ale butelki, wyjmowane z pieców, często wybuchają. Gorące — temperatura bliska wrzeniu — mleko albo strzela w powietrze albo w ciebie, nie patrząc oko, ząb, ręka, noga. To też przypomina wojnę. Jeśli samo mleko pluśnie w twarz, nie jest jeszcze tak źle, bo tylko sparzy, ale jeśli odłamki szkła z butelki trafią złośliwie, to może być gorzej. Ale to się rzadko zdarza. Mnie mleko oblewa po parę razy dziennie, a szkło raz mnie tylko dotychczas uderzyło w czoło. Nic strasznego. Ten pierwszy raz jest najgorszy. Te pierwsze dziesięć lat też.

Jest tu sporo naszych. Pan Karłowski ma rekord — pracuje przeszło trzy lata. Pocił się tu blisko rok, zanim wyjechał do Kanady, rodzony brat generała Andersa. To po prostu zaszczyt dla mnie, chudopachołka, skakać teraz koło tych samych pieców...

Płaca zasadnicza jest bardzo niska — niewiele ponad pięć funtów za sześciodniowy tydzień pracy. To zmusza do pracy w nadgodzinach, które są dobrze płatne. W rezultacie prawie cała moja zmiana — i ja też — pracuje około dwunastu godzin dziennie. Jeśli przy tym tyra się i w niedzielę, to można zarobić przeciętnie około dziesięciu funtów. Więcej byłoby już trudno, chociaż możliwości pracy w nadgodzinach są teoretycznie nieograniczone.

Palce to mnie bolą jak zreumatyzowane. Cały ciężar wysiłku leży tu właściwie na palcach. Rano przez długi czas dłoni nie mogę ani rozprostować ani zgiąć w pięść. Ale po pierwszych butelkach to już można. Czego to nie można, jeśli trzeba...

Wydaje mi się, że bym zginął w ciągu tych pierwszych kilku dni treningu, gdyby przez cały czas, dopóki nie nabrałem jakiej takiej wprawy, nie pomagali mi koledzy Polacy, robiąc swoją i nieomal całą moją robotę. Braterstwo broni. Praktykant właściwie więcej przeszkadza, niż pomaga w ciągu pierwszego dnia pracy. Miałem możność się o tym przekonać, kiedy już po paru tygodniach przyszło mi pracować na parę z praktykantem Murzynem. Wtedy dopiero zobaczyłem, jaką fujarą musiałem być, ja sam. Butelki się przewracają, tłuką, nie chcą stawać na swoich miejscach... Ile razy niemal na płacz mi się zbierało. A po tygodniach... To, co było męką i rzeczą niemożliwą w najśmielszych marzeniach, teraz wydaje się zabawką. Wprawa to potęga. Wytwarza się przy tym w człowieku nerw sportowy. Chce bić rekordy, chce stawiać butelki, szybciej, eleganciej, oryginalniej od innych.

A z tego nerwu sportowego rosną potworne wprost dywidendy właścicieli. Miliony funtów. Moja mleczarnia wypłaciła podobno w roku ubiegłym dwadzieścia procent dywidend! Już

widzę ten obraz, jak każda kropla mojego potu zamienia się w błyszczącą półkoronówkę... A może i w kasztana. To by można ostatecznie obliczyć na upartego. Ogólną sumę dochodu podzielić przez iloczyn robotniko-poto-kropli.

Ale ja już na te obliczenia sił nie mam. Na pisanie dłuższego listu też. Wszystko boli — palce, plecy, ramiona, uda, płuca. O sercu to już nie mówię. I to mnie nawet dziwi: wprawy już takiej nabyłem, a boli.

Andrzej Namitkiewicz, jeden z tutejszych moich braci mlecznych, chichocze demonicznie, kiedy mu się skarżę na te różne bóle. Powiada, że on tu przyszedł na kurację wypoczynkową. Pracował przed tym na trawlerze rybołówczym.

— To była robótka — powiada — ręce miałeś w zaropiałych ranach przez cały czas kursu. Jeśliś do soli potem włożył, to... Gorące mleczko, to balsam w porównaniu z tamtym. — Uśmiecha się radośnie i gładzi gorącą szyjkę butelki.

LIST CZWARTY

Nie mam szczęścia do proroctw. Ale w ogóle to mam szczęście. Oszałamiające! Nie szoruję już kotłów, nie gotuję się w parze, nie pławię się w morzu. Wie Pani czym jestem? Studentem. Nie do wiary. Chodzę w czystej koszuli, pod krawatem, na czole moim nie ma kropelki potu (choć czasem instynktownie sięgam rękawem do czoła). Dookoła przyjemni faceci, uśmiechnięte panienki. Gdzie ja jestem? Jaka to planeta? Szkoła handlowa. Płacą za mnie tę szkołę, dają mi jeszcze na drobne wydatki grube hopy, przyjemnie się uśmiechają... Ameryka!

Jak to się stało? Zaraz, niech zbiorę myśli...

— Ciężko pracujesz, biedaku — mówi do mnie któregoś wieczoru Tymon Terlecki, głaszcząc szarą maszkarę, jakby żywcem urwaną z dachu Notre Dame, tego ich kota (nienawidzę kotów od czasu, kiedy mój bydlak tak wydatnie wsparł Reginę w owym sporze o buty).

— Faktycznie, mistrzu — mówię — nie letko.

— Boś głupia, ciemna masa — powiada Tola i patrzy we mnie trzema kółkami — oczu i ust.

Wielbię Tolę Korian i dlatego milczę.

— Czemu się nie starasz do szkoły?... — pyta Terlecki.

— Mam czas — mówię cierpko.

— Jakto masz czas, stary pryku? — krzyczy Tola.

— Michał kończy dopiero dziesiąty miesiąc.

Okazało się, że nie o Michała, ale o mnie szło. I wyszło. Kazali mi się odstrzyc, odkąpać, ubrać jako tako i iść do doktora Sochy. Nie, nie na badanie — to nie taki doktór — ale z prośbą o przyjęcie podania o stypendium.

— Panie, czytałem, jak Pan się męczy jako tragarz i cieć i czekałem na Pana. Dwa lata już czekam na Pana.

— I nie znudziło się Panu? — pytam nieśmiało.

— Ach, człowiek ma tyle roboty.

Doktór Socha to cudotwórca. Cudem przepchnął mnie przez wszystkie egzaminy i "interwiuwy", na których miałem się wykazać "posiadaniem" rzeczy nieposiadanej — biegłej znajomości angielskiego. Czego to się, moja Pani, nie dokaże, jeśli ma się przyjaciół wkoło siebie.

Na decydującej konferencji prezes "Polskiego Komitetu Edukacji Polaków w Wielkiej Brytanii" (ta nazwa brzmi niemniej szlachetnie, niż nazwa naszej chluby narodowej — Komisji Edukacji Narodowej), Anglik, Mr. Benet, wyraził wątpliwość czy takim językiem angielskim potrafię zdobyć dyplom ukończenia szkoły. Pocieszyłem staruszka zapewnieniem, że, zdobywając Monte-Cassino, jeszcze mniej znałem angielski. A jednak zdobyłem.

— Pan był pod Monte-Cassino? Trzeba było od tego zacząć, przyjacielu. — Uścisnął mi dłoń.

Bohaterstwo jednak się opłaca w tym kraju. Jaka szkoda, że wiarusi spod Samossiery nie mogą złożyć podań do Polish Committee for Education of Poles in Great Britain". Tylko że z nimi byłaby bieda — nie mogliby chyba przedstawić świadectw ukończenia Polish Resettlement Corps. I moje stypendium o mało się nie rozbiło o to świadectwo, bo je gdzieś zarzuciłem. Przewróciłem dom do góry nogami. Krzyczałem, kłóciłem się z Reginą, że wszystko gdzieś zapodzieje.

— Zajrzyj do portfela — powiedziała Regina po dwu dniach poszukiwań.

— Ty zawsze ze mnie idiotę chcesz robić — krzyczę.

Rzeczywiście, było w portfelu. Pod jej fotografią. No, więc czyja wina, że nie mogłem znaleźć? Ona tak zawsze.

Na drzwiach Komitetu Edukacji napisałem poświęconą kredą:

— Tutaj umarł tragarz John, a narodził się Jasio schoolboy.

Następny list — o szkole — przyjdzie w krótkich majtkach, z kleksami, z błędami i z dołączoną cenzurką. Czekam z niecierpliwością, kiedy Michał zacznie chodzić, to będzie mnie odprowadzał do szkółki.

Janusz KOWALEWSKI.

Kronika angielska

KULISY...

Na tle ogłoszonych dokumentów i wypowiedzi oficjalnych, oraz w oparciu o źródłowe informacje można dziś z pewnym obiektywizmem ustalić przyczyny klęski misji mediacyjnej gen. Kukiela.

Ustalmy wpierw sprawę natury formalnej: kto z kim się spiera? Dopiero ustaliwszy tę sprawę zajmiemy się przedmiotem sporu.

Nie jest bynajmniej łatwo ustalić kto z kim się spiera. Według opinii rządu, stronami w sporze są z jednej strony stronnictwa prorządowe, z drugiej stronictwa opozycji, wchodzące w skład Rady Politycznej.

Opozycja ujmuje tę sprawę inaczej. W czasie IX Sesji Rady Politycznej min. J. Zdziechowski powiedział wyraźnie, że stronami w sporze są z jednej strony stronnictwa Rady Politycznej, a z drugiej osoba Prezydenta R.P. Min. Zdziechowski podkreślił z naciskiem, że stronnictwa prorządowe — stroną w istniejącym sporze — choć chciałyby — być nie mogą i nie są.

Jak z powyższego widać, nie ma zgodnego poglądu nawet w tej formalnej sprawie: kto jest stroną w sporze.

Przewodniczący Wydziału Wykonawczego Rady Pol. odmawia stronnictwom prorządowym charakteru «strony» w tym sporze z przyczyn następujących: Prorządowego Stron. Pracy — które powstało na skutek niedawnego rozłamu — min. Zdziechowski nie uznaje za stronnictwo polityczne. (Faktem jest, że Stron. Pracy, któremu przewodniczy gen. Haller opuściło koalicję rządową). Stronnictwo ludowe «Wolność» oraz Liga Niepodległości — zdaniem min. Zdziechowskiego — stoją na stanowisku utrzymania prerogatyw Prezydenta bez ograniczeń. W takich warunkach — jeżeli stronnictwom Rady Politycznej chodzi o powrót do praworządności w oparciu o ograniczenia osobistych prerogatyw Prezydenta — spór mogą one prowadzi jedynie z osobą, której jednostkową władzę pragną ograniczyć.

Tak, w wielkim skrócie, wygląda argumentacja min. Zdziechowskiego. Argumentacja ta wydaje się całkowicie logiczna.

Z formalnego punktu widzenia, stanowisko Rady Politycznej jest słuszne. W praktyce — Prezydent i Liga Niepodległości to jest jeden obóz i jedna strona w sporze a Rada Polityczna druga strona.

Przedmiotem sporu są: władza i koncepcja polityczna.

Obiektywnie trzeba stwierdzić, że po stronie Rady Politycznej istnieje pewna koncepcja polityczna — po stronie rządu nie ma żadnej koncepcji. Rada Polityczna odrzuca projekt wyborów na emigracji i pragnie oprzeć rząd in exile o Radę Jedności Narodowej, której fundamentem byłyby stronnictwa polityczne, a

w szczególności stronnictwa wywodzące się z Kraju. Można być zwolennikiem lub przeciwnikiem tej koncepcji, nie mniej jest to pewien konkretny program.

Obóz rządowy nie ma żadnego programu. Opiera się właściwie tylko na jednej organizacji politycznej, tj. Lidze Niepodległości i afiliowanych do niej, prorządowych stronnictwach. Ludowcy p. Kuncewicza są jedną z trzech grup ludowcowych i w żadnym wypadku nie mogą sobie rościć pretensji do reprezentowania polskiego ruchu ludowego. Prorządowe Stronnictwo Pracy p. Sopickiego jest odpryskiem, którego nie uznaje Stronnictwo Pracy z gen. Hallerem jako przewodniczącym. W sumie rząd gen. Odzierzyńskiego nie ma poparcia ani PPS, ani Stronnictwa Narodowego, ani NiD'u, ani Ludowców «Jedności Narodowej», którym przewodniczą pp. Bagiński i Korboński. Rząd nie może opierać się na jednej organizacji politycznej, bo wolno sądzić, że zwolenników monopartyjnych rządów czy to w oparciu o BBWR czy w oparciu o Ligę Niepodległości — wśród Polaków nie ma. Nie ma ani tu ani w Kraju.

Rząd miał tylko jedno wyjście. Koncepcji Rady Politycznej przeciwstawić swoją własną koncepcję polityczną. Jeżeli rząd nie chce by Rada Narodowa reprezentowała główne stronnictwa polityczne — niechby przynajmniej reprezentowała Emigrację — niechby przynajmniej w połowie składała się z radnych wyłonionych z wyborów. Wówczas rząd na emigracji opierałby się o wolę emigracji, natomiast obecny rząd nie opiera się ani o stronnictwa polityczne ani o Emigrację. Opiera się o mianowaną Radę Narodową, której co dziesiąty członek jest generałem. Już ten fakt ilustruje dobitnie jak... wiernie Rada Narodowa odzwierciadla społeczny przekrój Emigracji.

Koncepcji Rady Politycznej, która jest logiczną konsekwencją pewnego poglądu — rząd nie przeciwstawił nic, prócz wiecznych powoływań się na legalizm (jakby legalizm miał zastąpić program) oraz wiązanki sloganów. Piłsudczycy i tym razem jako doktrynerzy polityczni okazali się całkowicie bezpłodni.

W naszym zrozumieniu koncepcja Skarbu Narodowego wiązała się ściśle z projektem wyborów na emigracji. Jest bowiem kardynalną zasadą wszelkiej demokracji umożliwienie tym co płacą, kontroli gospodarki finansowanej z ich kieszeni.

Rada Narodowa złożona w połowie z radnych wyłonionych na podstawie wyborów, nie byłaby oczywiście taką wygodną, nieustającą «akademią rocznicową» jak obecna Rada Narodowa. Byłoby z nią niewątpliwie wiele kłopotu. Opracowanie ordynacji wyborczej, zorganizowanie wyborów, podział mandatów itp. to są sprawy b. trudne do przeprowadzenia na emigracji i wymagające energii i dynamiki. Łatwiej jest urządzać patriotyczne masówki w Londynie i na prowincji, uchwalać rezolucje o Polsce «od morza do morza» i zapewniać się nawzajem, że jak wybije «dziejowa godzina» to itd.

Tak wygląda zagadnienie koncepcji. Zastanówmy się z kolei nad problemem władzy i ewentualnego jej podziału.

W razie zgody kto i ile by zyskał, a kto i ile by stracił?

Rada Polityczna żądała zaakceptowania jej koncepcji reprezentacji oraz domagała się by Prezydent określił wyraźnie kiedy zamierza ustąpić. Prezydent zgodził się ustąpić w «70-tym roku życia» — tj. jak prezes Bielecki to określił — za rok, lub za dwa lata, zależnie od interpretacji.

Osobiście muszę stwierdzić, że stanowisko Prezydenta w tej sprawie jest mi całkowicie niezrozumiałe. W tym sporze granica wieku nie odgrywa żadnej roli. Albo istnieją powody, dla których Prezydent decyduje się ustąpić — w takim wypadku powinien ustąpić zaraz — albo też uważa, że nie ma po temu dostatecznych przyczyn i wówczas nie ma powodu by w ogóle ustępował. Oświadczenie Prezydenta, że ustąpi w «70-tym roku życia» nie jest odpowiedzią na argumentację Rady Politycznej. Argumenty oponentów byłyby identyczne gdyby Prezydent liczył obecnie 45 czy 50 lat.

Ale przypuśćmy, że Rada Polityczna byłaby przyjęła jako wystarczające zapewnienie Prezydenta, że ustąpi w 70-tym roku życia. Zgoda i tak by nie nastąpiła albowiem rząd domagał się równouprawnienia dla stronnictw prorządowych. Rząd proponował bowiem — w odpowiedzi na propozycje Rady Politycznej — stworzenie przy Prezydencie Rady, która składać by się miała z 6 prezesów stronnictw. Trzech z Rady Politycznej i trzech ze stronnictw prorządowych. Oczywiście w takiej Radzie stronnictwa Rady Politycznej stanowiłyby faktyczną mniejszość, albowiem Prezydent wypowiadałby się zawsze za głosami trzech prezesów prorządowych. Projekt taki był nie do przyjęcia dla Rady Politycznej a zaakceptowanie go byłoby równoznaczne z podporządkowaniem się Lidze Niepodległości, która w Radzie dysponowałaby «de facto» trzema głosami plus głos Prezydenta.

Rada Polityczna uważa — należy wnioskować — Ligę Niepodległości za pełnokrwistą organizację polityczną, lecz nie zgodziłaby się w żadnym wypadku na taki układ, w którym Stron. Narodowemu czy PPS miałoby przysługiwać identyczne prawo głosu jak prorządowym Ludowcom czy prorządowemu, porozłamowemu Stronnictwu Pracy.

Krótko i po prostu Rada Polityczna nie zgodzi się na żaden układ, który by Lidze Niepodległości zapewniał «de facto» większość czy choćby równość.

W praktyce zaakceptowanie przez Ligę Niepodległości propozycji Rady Politycznej byłoby równoznaczne ze zmianą rządu. Liga Niepodległości musiałaby odejść od władzy i przejść do opozycji.

W warunkach emigracyjnych nie ma możliwości spowodowania zmiany rządu. I to stanowi istotę trudności osiągnięcia tzw. «zgody narodowej». Ci którzy rządzą musieliby odejść dobrowolnie. Takie rzeczy nie zdarzają się na tym świecie. W polityce nikt nie zrzeka się władzy jeżeli nie jest do tego zmuszony. Teoretycznie obóz rządowy może trwać przy władzy beztermi-

nowo i nikt na emigracji nie dysponuje środkami umożliwiającymi zmuszenie rządu do ustąpienia. Rząd powoła sobie zawsze odpowiednio skomponowaną personalnie Radę Narodową, która wszystko uchwali i zaakceptuje i trwać może na posterunku ad infinitum.

Morał z tej opowieści jest następujący. Nie należy na emigracji oczekiwać żadnej zgody narodowej. Być może, po pewnym czasie, pod naporem patriotycznej a nie zorientowanej opinii emigracyjnej rząd wystąpi znów z jakimiś propozycjami pojednawczymi. Takie gesty są potrzebne dla celów propagandowych.

Rada Polityczna jest dziś siłą rzeczy zbyt poważną i zbyt wiele reprezentuje by się miała godzić na udział w rządzie za cenę podporządkowania.

Z drugiej zaś strony Liga Niepodległości zdaje sobie w pełni sprawę, że jak raz odejdzie od steru — nigdy już do steru nie wróci. Z wszystkich naszych partii politycznych Piłsudczycy najmniej nadają się do opozycji. W opozycji nie ma się władzy, ale trzeba mieć program i koncepcje.

AUGUST — BOLESŁAW — TOMASZ

Jeden z zasłużonych tygodników katolickich, w n-rze noworocznym wystąpił we wstępnym artykule z następującym stwierdzeniem: "Obecnie trzech ludzi rości sobie prawo do tytułu prezydenta R.P.: Bolesław Bierut, Tomasz Arciszewski i August Zaleski".

Postawienie Prezydenta Zaleskiego w jednym szeregu z Bierutem — jako pretendentów do tytułu prezydenta R.P. — jest czymś niesłychanym. Można nie uznawać p. A. Zaleskiego za legalnego prezydenta, można przyjąć za zasadę, że wszyscy prezydenci R.P. po "zamachu majowym" byli nielegalni — można nawet stanąć na stanowisku, że ostatnią legalną głową Państwa Polskiego był Król Stanisław August Poniatowski. Jednak w żadnym wypadku nie wolno dwóch zasłużonych Polsce polityków, jakimi są niewątpliwie pp. A. Zaleski i T. Arciszewski publicznie mieszać z błotem przypisując im ten sam charakter "pretendentów", co Bierutowi, który jest "prezydentem" z nominacji Stalina.

Co jednak najdziwniejsze, autorowi omawianego artykułu widocznie nic nie szkodzi, że p. A. Zaleski jest "pretendentem", gdyż w tym samym noworocznym orędziu domaga się, by Prezydent Zaleski złożył publicznie następujące oświadczenie: "Nigdy nie należałem i nie należę do masonerii, ani do lóż szkockich, ani do Wielkiego Wschodu".

Takie rzeczy dzieją się u nas w roku Pańskim 1952, w drugiej połowie XX wieku.

Masoneria, obce agentury, "mafie"... Jesteśmy skompleksowanym społeczeństwem politycznych hipochondryków. I co najdziwniejsze — maniakalną podejrzliwość — jakże łatwo — łączymy z bezgraniczną naiwnością.

Jak wynika z jego "Dernier Rapport" — płk J. Beck nie był również wolny od tego kompleksu. Uważał, że cała dyplomacja francuska opanowana była przez masonerię, Liga Narodów również. Uważał też że genewskie Międzynarodowe Biuro Pracy było domeną wpływów drugiej międzynarodówki.

I równocześnie, ten sam nieufny, wietrzący wszędzie "mafie" — płk Beck jeszcze 11 września 1939 r., na sześć dni przed wkroczeniem Sowietów do Polski — dyskutuje w Krzemieńcu z ambasadorem so-

wieckim sprawę dostaw rosyjskich dla Polski. Tak dyplomacja i wywiad sowiecki zdołały uśpić naszą czujność. Podejrzliwy płk Beck dał się wprowadzić w błąd nie masońskiemu "Wielkiemu Wschodowi", ale realnemu, sowieckiemu Wschodowi.

KAPITULANCI

Jeżeli z przeciwnika politycznego nie można zrobić ani masona, ani pachołka obcej agentury — nie należy załamywać rąk. Zawsze bowiem istnieje jeszcze możliwość zrobienia z niego... kapitulanta.

Kto jest kapitulantem? To zależy. Jeżeli o kapitulantach pisze "Orzeł Biały" — to ma na myśli tych wszystkich, którzy do tej pory nie skapitulowali z własnego, niezależnego poglądu politycznego. Nie znajduję innej definicji terminu "kapitulant" przeczytawszy w noworocznym orędziu "O.B." następującą rewelację: "Odżyły znowu próby polskiej grupy kapitulantów, która nadal robi wszystko, by przekonać obce czynniki, że Polacy wyrzekają się własnej polityki, że gotowi są tylko słuchać i ponosić wszelkie ofiary, których się od nich zażąda, bez względu na ich interes narodowy. Jest to grupa, która wyrzekła się nie tylko granic państwa polskiego, nie tylko własnego rządu, ale i polskiej polityki".

Cóż to za klub politycznych samobójców? O niczym nie marzą tylko o ponoszeniu wszelkich ofiar i o słuchaniu obcych czynników, z góry wyrzekając się państwa, rządu, granic, interesów, polityki, pensji (z sojuszniczej kasy), awansów — wszystkiego!

To już jest specjalny pod-gatunek: kapitulant-masochista.

Jestem na ogół zorientowany w układzie politycznym polskiej emigracji — nie mogę jednak, żadnego z istniejących ugrupowań — wtłoczyć w termin kapitulantów. Czyżby Mikołajczyk pragnął ponosić "wszelkie ofiary" i gotów był "tylko słuchać"? Nic nie wskazuje również, by Rada Polityczna zamierzała zmonopolizować w całości ofiarnicze uzdolnienia narodu polskiego. Więc kto?

Grupa "kapitulantów" istnieje tylko w fantazji redaktora "Orła Białego". Faktem jest natomiast, że znakomita większość polskich ugrupowań politycznych nie zamierza kapitulować ze swych poglądów na rzecz politycznego przywództwa, reprezentowanego przez tenże tygodnik. I z tym "O.B." musi się pogodzić.

RZYM W MADRYCIE

Otrzymałem — wydaną w Londynie — broszurę angielską pod łacińskim tytułem "Roma III".

Autor wychodzi z założenia, że świat współczesny zmierza ku katastrofie, ponieważ decydują o jego losach dwie prymitywne i niedoświadczone potęgi — tj. Sowiety i Ameryka. Aby zapobiec katastrofie należy przywrócić prymat starych, historycznych, doświadczonych narodów basenu śródziemnomorskiego. Innymi słowy należy odbudować imperium rzymskie w postaci Rzymu Nr 3.

Pięknie. Ale jak to zrobić? Oto plan autora w przekładzie na język polski: "Generał Franco może zapoczątkować szybko zorganizowanie współczesnej "repliki" wielkich ideologicznych laboratoriów, których stworzenie poprzedziło (w przeszłości) ufundowanie pierwszego i trzeciego Rzymu. Można to zrobić w prosty sposób: W następstwie dyskusji — którą wywołać jest celem niniejszej broszury — i z należytym szacunkiem dla doświadczeń i planów Watykanu — gen. Franco wi-

nien zaprosić tylko czterech wybitnych humanistów, reprezentujących główne, założycielskie narody planowanego Trzeciego Rzymu którymi są: Hiszpania, Włochy, Turcja, polska społeczność na wygnaniu. Tych czterech reprezentantów przybyłoby na tygodniową konferencję do Madrytu przy czym każdemu z nich towarzyszyłby sztab złożony z 10 do 12 myślicieli i naukowców danego narodu (z uwzględnieniem elementu kobiecego)".

Wszystko jest świetnie obmyślane. Osobiście widzę tylko jedną trudność. Skąd na emigracji wziąć 12 polskich myślicieli. Autor (p. Tadeusz Dzieduszycki) będzie miał wielki kłopot z wyszukaniem pozostałych 11 myślicieli.

LONDYŃCZYK.

Kronika kulturalna

Polskie Kluby Artystyczne

Aleksander Janta, prezes polskiego "Arts Club'u" w Buffalo, w przemówieniu wygłoszonym w sierpniu ub. r. na konferencji Amerykańskiej Rady Pol. Kulturalnych Stowarzyszeń — poruszył niezmiernie istotne zmiany jakie zaczynają zarysowywać się w życiu kulturalnym Polonii. Janta podkreślił, że dziś polskie "Arts Club'y" w Ameryce nie są już tylko luźno ze sobą współpracującymi organizacjami, lecz są manifestacją nowego kulturalnego ruchu, który zapuszcza coraz mocniejsze korzenie w życiu amerykańskim.

Autor daje wyraz przekonaniu, że idea polskich Arts Club'ów odegra wielką rolę w życiu Polonii i w pewnym stopniu wyznaczy jej udział we wspólnym dorobku kultury amerykańskiej.

Typowo amerykańska tradycja związana jest z purytanizmem i z purytanami i sięga XVII w. Jednak wszyscy badacze kultury i socjologii amerykańskiej — choćby wymienić Andre Siegfried'a — doszli do wniosku, że imigranci pochodzący z krajów nie-protestanckich nie są w możności zaaklimatyzować się w pełni w atmosferze związanej z tą tradycją. Amerykanie nie-protestanckiego i nie-anglosaskiego pochodzenia nie rozumiejąc ani nie odczuwając tak specyficznie obcej tradycji kulturalnej — w licznych wypadkach znaleźli się poza nawiasem amerykańskiej kultury.

Nie można być w pełni Człowiekiem nie posiadając zaplecza własnej, rodzimej kultury. I tu należy szukać przyczyny i źródeł wielkiego renesansu ruchu, któremu służą polskie Arts Club'y. Amerykanie polskiego pochodzenia poprzez te kluby dążą do jak najpełniejszego poznania i pogłębienia własnej kultury — w słusznym przeświadczeniu, że ich wkład do kulturalnej wspólnoty amerykańskiej winien wypływać z ich rodzimej twórczości.

To jest w równym stopniu piękna co i głęboko mądra idea.

W Stanach Zjednoczonych każda z pochodzeniowych grup

Amerykanów jest oparta o rodzimą tradycję i w oparciu o tę tradycję wzbogaca swą twórczością kulturę amerykańską. Oczywiście, tradycje anglosaskie są w Ameryce najsilniejsze i zapewne takimi pozostaną. Stany Zjednoczone są jednak tak olbrzymim krajem, że jest w nich miejsce na twórczą pracę w oparciu o rodzimą tradycję i dla innych grup narodowościowych.

Janta w swym przemówieniu odważnie przeciwstawia się tym, którzy sądzą, że zerwanie wszelkich tradycji kulturalnych jest najkrótszą drogą wiodącą do pełnej amerykanizacji. Płytkiej teorii tzw. "melting pot" (wspólnego kotła, gdzie wszystko ulega stopieniu) — Janta przeciwstawia koncepcję współ-twórczości kulturalnej. W jego ujęciu nie jest to separatystyczna ideologia — pragnie on natomiast, aby "Arts Club'y" pomogły amerykańskim Polakom, przez ożywienie i pogłębienie rodzimego życia kulturalnego, zdobyć dla Polonii wpływ i znaczenie, odpowiadające jej rzeczywistym osiągnięciom i możliwościom.

Rozpatrywane pod tym kątem widzenia Arts Club'y są warsztatem jednego z najdonioślejszych zadań stojących przed Amerykanami polskiego pochodzenia.

L.

Książki

O Wańkowiczu i jego nowej książce

Jestem już, po dwukrotnym jej przeczytaniu, na dobre zaprzyjaźniony z nową książką Melchiora Wańkowicza, mogę więc jej wygarnąć, że pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobiła, wcale nie było korzystne. Nie podobał mi się najpierw tytuł — zbyt kontrastowy, zbyt przejrzyście «znaczący». Tym tytułem dziedzicznie obciążone są prawie wszystkie tytuły części, ba nawet — wielu rozdziałów, bądź to z «ziela», bądź z «krateru» przemyślnie wywiedzione. Nie zachwycam się tak «wytrzymanymi» przenośniami. To jak anagram — pomysłowe, ale nie piękne. Fotka z drugiej strony okładki też nie nastraja przychylnie. Zdjęć rodzinnych nie daje się do oglądania przygodnym gościom. Nota o tym, gdzie książka powstała, niepotrzebnie, po dziennikarsku, imponuje czterema częściami świata. Wreszcie — przedmowa. Z małymi wyjątkami (przedmowy Conrada np.) przedmowa do dzieła literackiego wydaje mi się nieporozumieniem. Bo albo, jak u Wańkowicza, nie mówi ona niczego, czego by nie było w samym dziele, jest więc zbyteczna — albo mówi coś, czego tam nie ma, a być powinno, odsłania więc tylko słabość dzieła, jest bezradną próbą jego naprawienia.

Ale krytycznie naburmuszonego czytelnika czeka wkrótce bezwarunkowa kapitulacja wobec uroków nienajszczęśliwiej zaczętej książki. Klucz do nich jest już na pierwszej stronie, gdzie mowa o «*wstrząsie,* jakim jest (dla dziecka) odbicie w lustrze i *zupełnie przechodzące pojęcie* zjawisko szyby, po której z tamtej strony łazi mucha». Ten *dar zdumienia* wobec spraw zwykłych, które «czuciem nawróconym z lat dziecinnych» umie

---

Melchior WAŃKOWICZ, **Ziele na kraterze,** wyd. Roy, Nowy Jork, 1951, str. 416. Rysunki Ireny Lorentowicz.

się uznać za «zachwycające» — jest jednym z podstawowych sekretów sztuki Wańkowicza. To więcej niż dar. To łaska, łaska uświęcająca przyrodę. Dzięki niej najpospolitsze kołki w płocie są zimą «niepokalanie wyiskrzone», przysypane świeżym śniegiem obejście jest «wspaniale odnowione przez Pana Boga», kamienie, trawa, ptaki, psy, ślimaki i obłoki «sączą hymn miłości», świat przypomina sobie i nam, że jest «majstersztykiem Największego Malarza». Tej to łasce zawdzięczamy strony poświęcone dzieciństwu, najlepsze chyba w naszej literaturze.

Ten dar zdumienia, który w krytycznym żargonie zwykło się nazywać «poetyckim spojrzeniem na świat», występuje w «Zielu na kraterze» pod przeróżnymi postaciami i różne przybiera imiona. Wymyka się on spod analizy. Niech ją zastąpią wyrwane z rozmaitych miejsc książki zdania, z których każde mówi o czymś innym, a jednak łączy je wspólny sens:

— «King, jako mały chłopiec, hodował w słoiku fasolę. Pamięta swoje zdumienia, jak rano, wstawszy z łóżka, biegł do okna patrzeć, jak z dnia na dzień, cudem jakiegoś musu wewnętrznego, rozwinął się nowy bujny pęd».

— «Och, jak prześlicznie! — mówi dziecko, gdy się dowiaduje, że przed urodzeniem «było w swojej mamusi».

— Budując dom «rodzice starali się wyobrazić sobie, jak też doczekawszy się w tym domu wnuków, będą sobie wspominali te rozważania, czy ma być okno tu, czy gdzie indziej, i kiedy tak zabawnie będzie myśleć, jakże to w ogóle gdzie indziej mogłoby być to okno niż jest».

— «Kingowi, kiedy myśli o przeróżności świata, dusza piszczy z ciekawości».

— «Z jakże wielką czułością patrzy się na mapę...»

— «Pan Montagné... ostatnim podlaniem, pomięszaniem, posypaniem dokonuje definitywnej przemiany *chef d'oeuvre'u* w niepojętą irracjonalną Tajemnicę».

— «Trzeba (dzieciom) zaszczepić szaleństwo eksploracji, niedosyt i pokorę».

— «Ojciec dał nam smak życia, łapczywość na dźwięk, barwę, smak, zapach...»

Może sporo wspólnego sensu tych zdań, a im podobnych są w książce dziesiątki, dałoby się zmieścić w jednym prostym słowie — *ciekawość*? Pamiętajmy o jego podwójnym znaczeniu. Książki Wańkowicza są *ciekawe*, bo autor ich umie być *ciekaw* — ciekawością nienasyconą i prawie wszechobejmującą. Ciekawość życia, to pierwszy stopień do świątyni sztuki. Z tą ciekawością łączy się i zdolność uwagi i fenomenalna pamięć*)

*) Tu nie mogę sobie darować złośliwego odnotowania dwu potknięć tej pamięci: We wspominkach ze szkoły średniej autor mówi na str. 191 o ukazujących się na rynku wiecznych piórach, a na str. 314 powiada, że nieznane mu były jeszcze na uniwersytecie... Gdzie indziej, w usta andrusów krakowskich, na dobitek ochrzczonych "batiarami", wkłada piosenkę z daleka pachnącą Lwowem!

(nie rozwodzę się nad nimi, by nie powtarzać tego, co swego czasu powiedział już doskonale Czapski w swym portrecie Wańkowicza w 16-17 numerze «Kultury»), i rozmiłowanie w szczegółach i pogarda abstrakcyjnej mgły i umiejętność patrzenia i — nade wszystko — słuchania. Umiejętność prawie niepojęta u tego pisarza tak skłonnego do egocentryzmu. Umiejętność, która zrobiła zeń mistrza reportażu. która jemu, nieobecnemu w kraju, pozwoliła teraz, na podstawie żoninych głównie relacji, dać niezrównany obraz okupacji niemieckiej i powstania warszawskiego. Czytałem niedawno powieść Dobraczyńskiego pt. «W rozwalonym domu». Dobraczyński, o ile się nie mylę, nie opuszczał kraju i bodajże brał udział w powstaniu. O ileż głębsza i... autentyczniejsza jest wańkowiczowska wizja z drugiej ręki!



«Ziele na kraterze», w dużej przynajmniej części, wywodzi się z tej samej tęsknoty, która zalewa prasę emigracyjną kubłami wspominarskiej wody. Najnieznośniejszą cechą tego wspominkarstwa jest to, że dla wielu autorów świat przestał być ciekawy w 1939 roku. Niejeden świetny «kiedyś i skądinąd» pisarz z prawdziwym smakiem przeżuwa tylko swe wspomnienia. To z czym się dziś styka, nie tylko mu nie smakuje, ale nawet go nie zajmuje. Wańkowicz jest jednym z niewielu niezarażonych tą emigrancką chorobą. Temu sześćdziesięcioletniemu pisarzowi jego niestępionego apetytu na życie i niewygasłej ciekawości świata mogliby pozazdrościć wszyscy emigracyjni zdobywcy «nagrody młodych». Cóż bardziej młodzieńczego od «Klubu Trzeciego Miejsca» napisano na emigracji? Kto przymusowy uchodźczy pobyt na nieznanych lądach potrafił wykorzystać na zanurzenie się po uszy w zupełnie obcym temacie, jak to zrobił Wańkowicz, autor «De profundis», książeczki świetnej, a będącej przecież tylko przygrywką do trzytomowego dzieła o Żydach? A w samym «Zielu na kraterze» ile razy odrywa się od wspomnień i od Polski — to aby wybiec niespokojną myślą w teraźniejszość i w przyszłość, to aby zaglądnąć, co się dzieje u innych...

Dewizą Wańkowicza mogłoby być: «Ars brevis — vita longa». Jest jednym z tych pisarzy, dla których życie jest ciekawsze od jego opisywania. Bez zdziwienia czytamy w «Zielu na kraterze» nieczęste u pisarzy wyznanie: «Ja pisać nie cierpię i tysiąc zawsze pretekstów wynajduję, żeby pisanie odkładać». Goetel się wyzłośliwił kiedyś, odpowiadając dowcipnie na ankietę «Wiadomości»: «Gdybym nie był pisarzem, chciałbym być Melchiorem Wańkowiczem». Pisarzem na pewno Wańkowicz jest, ale już trudniej by go było nazwać literatem, trudno go sobie wyobrazić w literackiej kawiarni nad literatką pół-czarnej. Znamienne, że w tej pół-autobiografii, jaką jest «Ziele na kraterze» prawie że nie ma ploteczek literackich, prawie że nie ma literatów w tłumie postaci. Zna-

mienne, że w długiej liście książek «tegoż autora» nie ma właściwie ani jednego... dzieła literackiego, jeśli przyjąć za profesorem Ingardenem, że element fikcji stanowi cechę wyróżniającą takiego dzieła.

Temu pisarzowi-amatorowi zupełnie obce są «problemy» literackich zawodowców: ich szkółki, kapliczki, kierunki i eksperymenty. Nie do pomyślenia jest «szkoła Wańkowicza» w tym sensie jak się mówi np. o «szkole Kadena». Sparodiować by się go dało, jak każdego autora o wyrazistym stylu, naśladować — nigdy. Nie ma potomków we współczesnej literaturze, a w genealogii jego dopatrzeć się umiem dwu tylko przodków. To — Sienkiewicz i Żeromski. Proszę otworzyć «Ziele na kraterze» na str. 362 — Sienkiewicz całą gębą! Albo proszę przeczytać tę króciutką frazę jakby żywcem wziętą z łaciny: «Poklękali na śniegu i klęczeli milcząc...». Sienkiewicz, ostatni bodaj z czołowych autorów polskich, który czytał po łacinie bez słownika — nic by tu nie znalazł do poprawienia, skreślenia czy dodania. Wpływy Żeromskiego są jeszcze widoczniejsze, do zadłużenia wobec niego Wańkowicz nieraz się przyznaje.

Kto w Polsce nie ulegał wpływom tych pisarzy? Przeważnie jednak były to wpływy albo jednego albo drugiego. Nie znam prócz Wańkowicza nikogo, kto by podobnie wziął w siebie obie te, tak odrębne że aż niemal wrogie sobie, indywidualności.



Ale bo też Wańkowicza słusznie nazwał Czapski wyjątkowym stopem sprzeczności. Nie zliczyć ich wszystkich, wymieńmy tedy kilka, przez Czapskiego pominiętych:

Libertyn, dworujący sobie z «ciotek-babek Zakrystianek» i ich katolickiej edukacji, wychowuje przecież swoje córki tak po chrześcijańsku, że sam arcybiskup Fénelon, autor traktatu o wychowaniu dziewcząt, mógłby mu pogratulować. Pogratulować tego co najważniejsze — zrozumienia, że «wychowanie winno być przede wszystkim dziełem miłości», jak w swym szkicu o Fénelonie pisze ks. Bremond dodając: «Jeśli ten pogląd jest dziś prawie banalny, zawdzięczamy to Fénelonowi». «Ziele na kraterze» jest bajeczną ilustracją takich rewolucyjnych maksym arcybiskupa (czy Wańkowicz go czytał?) jak: «il faut que le plaisir fasse tout...», «Que la sagesse ne se montre que par intervalles, et avec un visage riant», «Le moins qu'on peut faire de leçons en forme, c'est le meilleur...» Nie dziwię się więc nieoczekiwanemu komplementowi zakonnicy z college'u «Holy Child» (str. 302 «Ziela») i cieszy mnie, że w «Gazecie Niedzielnej» ukazał się artykuł wynoszący pod niebiosy wartości wychowawcze nowej książki Wańkowicza. Rozwiodłem się nad tym trochę ponad miarę, bo te właśnie wartości zasługują na szczególne podkreślenie u autora gardzą-

cego «smrodkiem dydaktycznym». Znowu — sprzeczność, mądra i wymowna.

Wańkowicz tyle się nasłuchał o swym «egocentryzmie» czy nawet «ekshibicjonizmie», że może się już nie obruszy, jeśli tym zarzutom przyznam bardzo częściową słuszność i dodam do nich nowy — «familiocentryzmu». Ale zaraz muszę sobie zaprzeczyć: w parze z żywiołowym egocentryzmem idzie przez całą książkę świadome, pełne wysiłku usuwanie w cień masywnej osoby autora, zwycięska w ostatecznym wyniku walka z pokusą autobiograficznej rozlewności. Książka, która pod niejednym piórem przeobraziłaby się w smakowitą opowieść «de se ipso» pozostaje książką o «domeczku», o rodzinie, aż staje się książką o Polsce. Nie mogę bez wzruszenia czytać tego imponującego przezwyciężenia «familio-centryzmu», jakim jest rozdział «Losy szesnastki», gdzie w opisie rozgromu pokolenia poległej Córki, Jej samej poświęcono *jedno* wstrząsające zdanie: «O niej mówiono, że ją widziano w pierwszych dniach powstania». Taki zarzut przestaje być zarzutem, «sprzeczność» staje się przejmującym kontrastem.

«Samochwał» (proszę, proszę, w encyklopedii figuruje...), «miles gloriosus» (zob. passus o koleżankach na str. 314) — ale jak umie się śmiać z samego siebie («Pusiuniu, no jak ci nie wstyd...), na jaką pokorę go stać, jak umie się «skurczyć w sobie», nazywając «kabotyństwem» słuchany przez radio w pierwszych dniach wojny, wyjątek z własnej książki!

Gaduła — niewątpliwie. W niejednej książce niejedną stronę mógłby sobie darować, na niejednej stronie — niejedno zdanie, w niejednym zdaniu — niejedno słowo. By nie szukać daleko przykładów, proszę się cofnąć do cytowanego wyżej zdania o panu Montagné. Po kiego licha tkwią tam zupełnie zbyteczne brzydkie słowa: «definitywna» i «irracjonalna»?

Gaduła i — mistrz zwięzłości. «Tol siedział w fotelu całą noc i modlił się. Miał sześćdziesiąt trzy lata». Wiadomo, że metafora jest siostrą dowcipu. Te zdania są przecież urobione na wzór: «siedziała na kanapie i miała za złe». To wyrafinowanie proste połączenie trzech zdaniek, z których jedno opisuje pozycję, drugie czynność, a trzecie na pozór tylko stwierdza suchy fakt — ileż mówi o bezsile starości i ciężarze wieku! Jak w dowcipie «miała za złe» staje się funkcją równie automatyczną jak siedzenie na kanapie, tak tu «miał sześćdziesiąt trzy lata» jest i pozycją i niemal funkcją i, jak one, trwa niemiłosiernie przez całą noc. O drugim tego typu zdaniu w innym miejscu książki: «Patrzyli wilkiem i pili wódę» — nie mniej można by napisać. Albo jaki świetny efekt duchowego «bycia razem» daje na str. 288 proste opuszczenie koniecznych w zwyczajnej narracji przydawek (wtrącam je w nawiasach): — «ja ślęczałem nad angielskimi słówkami (w Rumunii), a Krysia nad urządzaniem domu» (w Polsce)!

Winienem czytelnikowi wytłumaczenie, dlaczego w tej recenzji z nowej książki Wańkowicza tak dużo piszę o nim, a tak stosunkowo niewiele o niej. Otóż wydaje mi się, że «Ziele» jest jedną z tych książek, w których osobowość autora jest ich materią, elementem kompozycji, ich najważniejszą «wielką metaforą», by się posłużyć kapitalnym terminem Irzykowskiego. Tu nasuwa się nieoczekiwane porównanie z... Gałczyńskim (przedwojennym). Jego wierszom — niedbałym i pełnym przeróżnych, źle przetrawionych wpływów — nadaje główny czar nie co innego jak właśnie rozwichrzona osobowość poety. Można powiedzieć w tych wypadkach, że osoba autora staje się, świadomie czy nieświadomie, kreacją artystyczną. Właściwie powinienem stale pisać «Wańkowicz» w cudzysłowie, bo nie mam pojęcia, jaki jest stosunek kreacji artystycznej występującej pod imionami «Tata» i «King» do rzeczywistej osoby. Frywolny Boy był podobno dość suchym i smutnawym starszym panem, jurny Choynowski — cichutkim suchotnikiem...



Pisarz będący sam «stopem sprzeczności» ma szczególnie wyostrzony wzrok na sprzeczności w otaczającym go świecie. Mało kto ma równe zrozumienie tego, że każde zjawisko jest ich kłębkiem. Weźmy taką typową dla Wańkowicza charakterystykę wielkopolskiego ziemiaństwa: «Zabawnie oni tam w Poznańskim, mimo pałaców, lokai, aut — byli bliżsi ludu i demokratyczniejsi, a zarazem bardziej obskuranccy i bardziej prostaczkowaci, a równocześnie więcej cywilizowani». To zdańko dałoby się rozwinąć w całe studium historyczno-socjologiczne!

Absolutny słuch na dysonanse w podniosłych melodiach i na szczerozłote nutki w kakofonii życia. Iście szekspirowski nos tropiący komedię w tragedii i tragedię w komedii. Dar łączenia ognia z wodą.

Takim połączeniem na wielką skalę jest scalenie beztroskiej gawędy z patetycznymi trenami, dziejów domeczku z historią Polski, «ziela» z «kraterem». Książka składa się z dwu części, przedzielonych historycznym wrześniem, tak niejednorodnych, że połączenie ich pod jedną okładką wydaje się szalonym ryzykiem. Niewiele książek by to wytrzymało, każda prawie rozpękłaby się na dwoje, «Ziele na kraterze» wychodzi jednak zwycięsko z tej próby, choć nie bez draśnięć.

Dużo by pisać, jakimi środkami te dwie części złączono. Przykładowo zwrócimy uwagę na jedną klamrę i dwa ściegi. Klamrą jest końcowy «List od Tili», zawierający nawiasem mówiąc pierwszy tego rodzaju w naszej literaturze opis porodu, naturalistycznie wierny (wiem to od młodej matki dwojga dzieci), a pełen polotu, ot np. w takim zdaniu szczęśliwej położnicy: «Myślę, że Pan Bóg musi się tak czuć cały czas». Ostatnie zdanie tego listu, które jest również ostatnim zdaniem

książki, jest tak bliskim doskonałości przytaknięciem życiu, i jego bólom i jego radościom, że podnosi «Ziele na kraterze» niemal do godności skromnej epopei.

Przez część radosną książki przechodzą czarnym ściegiem ustawiczne napomknięcia o zdarzeniach, które przyjdą w części bolesnej. Poczynając już od 6 strony Wańkowicz raz po raz wybiega w przyszłość. «Ta książka przeprasza, że od czasu do czasu rozdzierają się jej pogodne na razie karty». Czarna jest przy tym nie tylko przyszłość, bo i z przeszłości autor wymotuje niejedną tej barwy nitkę i nie szczędzi cieni w opisie «krainy jasności», jaką było wolne dwudziestolecie. Nie znaczy to jednak wcale, by ta część była letnia, taka sobie wesoło-smutna. W tym właśnie cały kunszt, że bywając rozdzierająco smutna, nie przestaje być żywiołowo radosna.

Stałemu — w pierwszej części — poczuciu, że «groźny potok zdarzeń światowych szedł i idzie w każdej minucie», w drugiej — odpowiada uparte łowienie źdźbeł uśmiechu w toczącej się lawie. W tej paraleli jest jedno ze źródeł zadziwiającej równowagi pomiędzy obu częściami.

Obie są jednolite stylowo, ale jednolitością szczególną. To co w pierwszej, w której króluje zamaszysty facecjonista, należy duchowo do drugiej, jest pisanie jej stylem, oszczędnym, okrutnie rzeczowym. I odwrotnie.

Z równą więc słusznością można by mówić o dwu stylach, bardzo różnych. Tu natykamy się jednak na drugi ścieg: style te łączy jedna wspólna cecha, którą, z braku lepszej nazwy, nazwijmy «anegdotycznością». Jak pierwsza część roi się od anegdot w dosłownym znaczeniu, tak w drugiej pełno jest «anegdot» tragicznych; technika jest ta sama: obrazek, migawka bez preliminariów i bez dalszego ciągu, niezwiązana z tokiem opowiadania, a mocno związana w sobie, skupiona w ostrej poincie, tam budzącej wesołość, tu — zgrozę. Aż trzy przykłady znajdzie czytelnik na jednej (397) stronie. Czyż nie jest postacią z okrutnej anegdoty ten «samotny ojciec, który stracił córkę. Jest ciężkim jąkałą, a dławi go chęć mówienia o poległej»?

Wańkowicz od dawna cieszy się zasłużoną reputacją mistrza anegdoty. Oto kilka znamion tego mistrzostwa, których niestety, z braku miejsca, porządnie zilustrować nie jestem w stanie. Udałe anegdoty Wańkowicza są nie tyle dwuznaczne, ile wieloznaczne. Mówiąc obrazowo, chwytają wiele srok za ogon. W anegdocie o Mirze Zimińskiej*) w jednym słowie pointy jest i znudzenie aktorki wobec perspektywy «*busman's holiday'u*», i pasja, jaką budzi w niej natarczywość kupców, i niewysokie pojęcie o odpowiadającym im typie humoru! Pyszne!

*) Piszę cały czas tak, jakby czytelnik miał przed sobą "Ziele na kraterze". Robię to świadomie, bo uważam, że powinien je mieć. Tak mało wychodzi książek na emigracji, nie mówiąc już o dobrych — że recenzja nie powinna nikomu zastępować lektury omawianego utworu.

Druga anegdotka, o cioci Rózi na str. 171, też łapie kilka srok za ogon, a tym jeszcze jest lepsza, że poprzez błahostki odkrywa rzeczy ważne (hardość polskiego robociarza wobec burżujki i równocześnie jego pogardliwy brak zainteresowania dla komunizmu w szczególności, a dla wszelkiego «filozofowania» w ogóle...). To cecha najświetniejsza i wspólna wielu facecjom Wańkowicza. O zwięzłości napomknęliśmy już wyżej (pointa w jednym słowie!), inny świetny jej przykład, to ta historyjka o szlagonie, który «rozzłościwszy się na żonę, sześć lat w łóżku leżał, aż go pożar wypłoszył»! Tych parę słów nie jest nawet zdaniem (jeśli przez zdanie rozumiemy zdanie od kropki do kropki), a jest już anegdotą! Tu dotykamy dalszej cechy: Wańkowicz mówi swe facecje prawie zawsze «en passant», tło do nich szkicuje niezauważalnymi, leciutkimi dotknięciami pióra, rzadko schodzi z prostej drogi opowiadania, by zerwać kwiatuszek dowcipu: ledwo się po niego raczy schylić! Pouczające byłoby porównanie tej techniki z techniką Zygmunta Nowakowskiego — zwłaszcza w jego zbyt pospiesznych felietonach — który też zazwyczaj doskonale opowiada wyborne kawały, ale zbyt często felieton jest dla anegdoty, a nie anegdota dla felietonu.

◆

«King czasem wyręczał w czytaniu («Quo Vadis» dzieciom) Mamę i wtedy znienacka wprowadzał swoje dodatki... A więc w ustępie, kiedy się pali Rzym i oszalały Winicjusz szuka Ligii, King czytał, że Winicjusz jechał na białej mulicy. — Biała mulica, no to biała mulica. I co dalej!?... Więc to, i to, i to, i znowu... biała mulica... Zaprawdę, miłość wasza jest bez grzechu — położył dłonie na ich głowach św. Piotr — a wtem ryknęła biała mulica...»

Ta «biała mulica», te dodatki złośliwie psujące nastrój — to jedna z najbardziej samoswoich cech wańkowiczowskiego stylu, bez której, kto wie, czy nie pozostałby on tylko jednym z wielu w naszej literaturze miłych gawędziarzy. Wańkowicz umie znakomicie stworzyć miły czytelnikowi nastrój i równie znakomicie i świadomie go popsuć, rycząc ni stąd ni zowąd głosem «białej mulicy»: «Nie, braciszku, życie nie jest takie proste!»

I tak budującą opowieść, jak to oduczył swą córeczkę kłamstwa, Wańkowicz musi uroczo zepsuć westchnieniem dziecka, że jednak wygodnie byłoby kłamać. Łechtające próżność narodową opowieści o sprycie Polaków i tępocie niemieckich okupantów «psuje» historyjką o cenzorze niemieckim, który przejrzawszy «chytry» szyfr («ciocia Gercia» = Germania) list przepuścił, ale dopisał na nim: «Ciocia Gercia jest zdrowa i dobrze was za mordę trzyma». Ryk białej mulicy jest czasem okrutny (nie na darmo Wańkowicz przyznaje się do tatarskich przodków), jak np. w podobnym opowiadaniu o przechodzącym zieloną granicę junaku, który posłał do kra-

ju kartkę... z podziękowaniem za pomoc w ucieczce, skazując tym na śmierć tych, co mu dopomogli. Takie okrutne obrazki rozsiane są po całej książce przypominając ustawicznie o okrucieństwie, będącym jedną z niewielu cech, których człowiek nie dzieli z dziką bestią. A z drugiej strony portret bestii ludzkiej umie Wańkowicz popsuć «à rebours» nagłym zobaczeniem w niej rysów miłych. I tak hitlerowca, któremu nie żal niemieckich zbrodni wojennych, «musi» obdarzyć bodaj «wrażliwą twarzą»...

◆

«Pisarz-amator» rzekło się już wyżej o Wańkowiczu. To amatorstwo jest nader wyraźne w warstwie językowej jego nowej książki. Słowa «amator» używam oczywiście w podwójnym znaczeniu: pierwotnym — «miłośnika» i wtórnym — «nie-fachowca».

Zacznijmy od drugiego, by już potem z czystym sumieniem zachwycić się bujną wańkowiczowską polszczyzną. Bieda w tym, że czasem jest ona nadto bujna. Wspomnieliśmy już raz o tym, tu dorzućmy jeszcze kwaśną uwagę o zbyt rozlewnych czasem ustępach lirycznych, w których potężny bas autora niepotrzebnie rozdrabnia się na sopranowe trele. Wytknijmy przykładowo kilka usterek: niepotrzebne barbaryzmy w rodzaju «kamionu» czy «basementu» (w Polsce!), używanie takich potworków jak «w międzyczasie» i «światopogląd»*), niezręczności w rodzaju «pisałem przez pryzmat» (przez pryzmat można tylko patrzeć, jest to ciągle jeszcze odczuwane jako przenośnia), niedbały przekład na str. 302 tu i ówdzie nieskładną składnię (np. «na to zaufanie do życia mojego dziecka ciągnął ciężki czas»)...

Ale cóż znaczą te usterki, które dobry korektor nawet mógłby poprawić, wobec — jak to mocno powiedział p. Jan Rostworowski z okazji innej książki Wańkowicza — dynamiki językowej, od której aż dygoce forma tego autora!

Co ten człowiek na przykład wyrabia z przedrostkami! «Przypstrzania», «przyszantażowywać», «podbaronić, «ukobiecić», «zagłupić», «worywać», «wywrzasnąć», «zaspołeczniony» (!), «doranny», «naklapły»... całą stronę bym tymi przykładami zapełnił, a wśród nich jeden tylko nie przemawia mi do przekonania: «nawiadywać się» (na str. 341). A teraz inna seria: «naćpać», «przyskrybnąć», «zajezgły», «uzdajany», «szurpaty», «dropiaty», «cybaty»... Znów inna: «przyklejadła», «poznawadła», «przyszywadła»... A te prawie zapomniane już wykrzykniki: «At!» i «et!» i «licha tam!», a te «do ila», «za ciemna», «do zapóźna», «po jeinemu»...

Myślę, że jednym z najbardziej niezawodnych sprawdzianów doskonałości językowej pisarza jest trudność przełożenia go na

---

*) Wiem, że "światopoglądu" broni prof. Doroszewski tym, że porecznie tworzy się z niego przymiotnik, ale słaba to obrona.

język obcy. Proszę spróbować przełożyć na język np. angielski ten ubożuchny obrazek: «dzieciaki mocujące się z krowinami po przydrożnych rowach...» Przecież to aż pachnie Polską! Sama pani Marta Erdmanowa za boga tego nie zangielszczy!

Z drugiej strony Wańkowicz daje raz świetną próbkę swych zdolności przekładu (każdy dobry pisarz jest potencjalnie dobrym tłumaczem), tłumacząc w jednym miejscu «*Spasibo, gospoda*» przez «Dziękuję, *moi* panowie». To majstersztyk, bo «Dziękuję, panowie» byłoby w tym kontekście za suche, «Dziękuję panom» — z lekka wzgardliwe, «Dziękuję wam, panowie» — nieco, odrobinę, uniżone, albo zbyt serdeczne...

A gwara? Samym doborem słów, bez wsparcia dźwiękowego, Wańkowicz na stronach poświęconych ziemi wileńskiej uzyskuje efekt niegorszy od tego, który Wincuk Markotny wydobywa i melodią i miną i gestem.

Największa jednak zdobycz językowa Wańkowicza, to wprowadzenie do literatury tego czarującego zjawiska, które sam brzydko nazywa «slangiem rodzinnym». Te «kuwaki», «ziaby», «ti-ti-ti», «ale musi befsztyk będzie bardziej podchodzący»... przekazywane z pokolenia w pokolenie, zrodzone z doświadczeń i anegdot rodzinnych powiedzonka — niesprawiedliwie nazywa «słówkami-wytrychami». Są to raczej słówka-klucze do sezamu znaczeń.

Z nimi spokrewnione są słowa-skróty, słowa-wynalazki, słowa-nalepki na skrzynie, których zawartość trzeba by bez nich całymi opisywać stronami. «Smrodek dydaktyczny», «kwiczoły», «okręty strzaskane», «zwolennik przedyskutowania problemu, który szanpan poruszył», «genialny mężczyzna»... Równy Wańkowiczowi dar tworzenia takich nalepek, w innej zupełnie dziedzinie, miał chyba tylko Irzykowski, najlepszy pisarz międzywojnia, a tak haniebnie dziś zapomniany.

◆

Pozostaje najmniej wdzięczny obowiązek wyznaczenia «Zielu na kraterze» miejsca, jakie w skromnym mniemaniu krytyka, zajmie ono w naszym piśmiennictwie. Tu potykam się od razu o dwa wielkie słowa, niestety już zza grobu: «Arcydzieło» — mówi o jednej z poprzednich książek Wańkowicza Mieczysław Niedziałkowski. «Wielki pisarz» — wtóruje mu K. W. Zawodziński.

Nie, nie sądzę, by «Ziele na kraterze» było arcydziełem. Arcydzieło to utwór, którego nie można było napisać lepiej ani inaczej, w którym niczego nie sposób dodać, niczego ująć. Trudno mi też Wańkowicza nazwać wielkim pisarzem. Jest za mało spokojny, nie dość poważny, a także niewystarczająco opętany, zbyt trzeźwy, zanadto niedbały, niewiele w nim «zbankrutowanego proroka lub świętego».

«Ziele na kraterze» jest po prostu bardzo dobrą książką pierwszorzędnego pisarza.

Michał SAMBOR.

«Osobny świat»

Trudno jest człowiekowi, którego naród nie doświadczył na sobie instytucji obozów koncentracyjnych, w ich niemieckiej czy rosyjskiej formie, mówić do czytelników znających to z doświadczenia, o książce mającej za temat bolesne przeżycia więźnia. W takich wypadkach normalnym zadaniem brytyjskiego dziennikarza jest przekonanie swoich rodaków, że powinni książkę przeczytać. Powinien on starać się również, aby zdali sobie sprawę z tego co książka zawiera. Istnieje przepaść pomiędzy tymi, którzy zapoznali się z Gestapo i NKWD i tymi, którzy nigdy się z nimi nie zetknęli. Nie łatwo jest wprowadzić kogoś w obraz świata całkowicie obcy wszystkiemu co jest mu znane — w obraz świata, który wymaga od niego, aby znacznie rozszerzył swoje wyobrażenie o możliwościach ludzkich zarówno kiedy chodzi o czynienie zła jak znoszenie zła. Nawet tak żywy opis, jak Herlinga, może nie przekonać angielskiego czytelnika, że czyta o własnym współczesnym świecie, którego jest częścią, a nie o odległych egzotycznych przygodach. Może on tytuł "Osobny świat" wziąć zbyt dosłownie. Normalnym więc zadaniem brytyjskiego dziennikarza jest przekonanie swoich rodaków, że pośrednio obozy koncentracyjne weszły w ich własne życie.

Problem ten jednak nadaje tym większą wagę pytaniom: Jak mężczyźni i kobiety mogą przeżyć obozy koncentracyjne? Dlaczego je utworzono? Jak to jest możliwe, że dziesiątki milionów ludzi żyje w społeczeństwie, które je utworzyło? Pierwszą reakcją na książkę Herlinga jest gwałtowne uczucie sympatii dla więźnia, ale następną jest gwałtowna ciekawość dotycząca osoby człowieka, który więzi, to znaczy — biorąc to szeroko — ciekawość dotycząca całego rosyjskiego narodu pod reżimem sowieckim. Książka przykuwa uwagę Anglika dlatego, że sam Herling podziela tę ciekawość w najwyższym stopniu, w jakim może to być dostępne dla jednego z więźniów. Istnieje naprawdę pomost pomiędzy nim a tymi którzy więżą, bo obóz jest oczywiście zgęszczeniem jednego z aspektów sowieckiego społeczeństwa, tak jak więzienie w obrębie obozu jest zgęszczeniem jednego z aspektów obozu. Patrząc z więzienia na obóz, Herling miał wrażenie, że patrzy na wolny świat i to samo miał wrażenie patrząc z obozu na świat zewnętrzny. W rzeczywistości, czytelnik stwierdza, że krok za krokiem, poczynając od swobody w przedwojennej Polsce, Herling opisuje w jaki sposób człowiek przystosowuje się do otoczenia i w jaki sposób zdolny jest coś z tego otoczenia dla siebie zyskać. Są w tej książce stronice pełne dziwnie lirycznej siły, opisy czystej radości, tym bardziej wzruszające, że umieszczo-

---

Gustaw HERLING, **A world apart.** Str. 262. Wyd. Heinemann, Ltd. Londyn. Cena 16 sh. Książka ta ukaże się w jęz. francuskim w wyd. Plon, w Paryżu.

ne w takim kontekście. Jest opis występów tatuaowanego współwięźnia, wykręcającego ciało w pobliżu ognia; przyjemność jaką się odczuwa, idąc wieczorem do technicznego baraku; i ten ustęp, tak bardzo w tradycji polskiej literatury, który opisuje rozkosze sianokosów. A przede wszystkim fragmenty o szpitalu.

Jest w książce, jak mi się zdaje, sprzeczność, konflikt wewnątrz samego autora, konflikt niezbędny, jeżeli autor ma nas wprowadzić w przedmiot. Książka opisuje doświadczenie bardzo młodego człowieka, oglądane z perspektywy szybkiego dojrzewania w ciągu sześciu czy siedmiu lat jakie upłynęły od jego ucieczki w znacznie bardziej swobodną i nieskończenie bardziej ludzką atmosferę, chociaż była to atmosfera wojny. W ostatnim rozdziale książki sam Herling opowiada o swoim gwałtownym odrzuceniu wszystkiego co ma związek z obozami, kiedy prosi go o słowo zrozumienia człowiek, który uniósł w świat zewnętrzny etykę przyjętą w Związku Sowieckim, gdyż tylko przy jej pomocy mógł siebie usprawiedliwić. Po latach refleksji i przyswajania, przede wszystkim nieświadomego, później świadomego, Herling dał nam swoje doświadczenie z tych lat. Sięgnął wstecz poza te lata i jego książka jest zarówno całkowitym odrzuceniem świata sowieckiego, łącznie z tymi refleksami, które są konieczne dla ludzi w nim żyjących, jak opisem w jaki sposób człowiek przystosowuje się do niego i nawet znajduje w nim chwile radości. W pewnej chwili Herling, w swojej reakcji na całe wyrachowane poniżenie istot ludzkich przez rząd sowiecki woła, że obóz jest dowodem tego, iż można stworzyć społeczeństwo w którym na litość, przyjaźń, solidarność nie ma miejsca. Całe strony jego książki to potwierdzają. Są jednak inne strony, które robią zupełnie inne wrażenie i z najwyższym zdziwieniem odnajdujemy tam najczystsze ludzkie cnoty, przejawiające się wstydliwie w tym niesłychanym otoczeniu.

W porównaniu z dawniejszą literaturą więzienną są oczywiście jak najistotniejsze zmiany na gorsze. Poczciwy rosyjski strażnik więzienny, grający ważną rolę w wspomnieniach Piłsudskiego i Kwapińskiego — żeby wymienić tylko dwóch autorów — zniknął, zdaje się, całkowicie. Piłsudski w swoim słynnym odczycie o psychologii więźnia mówi o poezji więzienia, która będzie być może nieznana: niestety nieznana, młodszemu pokoleniu jego rodaków. Historia tragicznie obaliła jego zapowiedź epoki, w której Polacy nie zaznają politycznych więzień. Ale zgodnie ze świadectwem Herlinga i tysięcy innych, nowe więzienia polityczne mają takie właściwości, że nawet największy święty nie mógłby — sięgając ku nim wzrokiem wstecz — mówić za przykładem Piłsudskiego, o poezji więzienia. Mimo to jednak nawet ciemność więzień, tak jak je opisuje Herling, nie jest całkowicie czarna, a przynoszące ulgę światło, jakie wnosi niemożliwa do złamania żywotność ludzkie-

go ducha i odwaga, zdają się kryć za sobą jeszcze cenniejsze rzeczy. Nie tylko jest wiele małych aktów niezniszczonego szacunku dla bliźnich, ale nawet wielka zdrada Machapetiana nie całkowicie przekonywuje nas, że wylewnie przyjazny Machapetian był jednym fałszem.

Gdyby treść książki była opowiedziana z sowieckiego punktu widzenia, nie byłoby takiej sprzeczności pomiędzy postawą całkowitej odrazy i postawą częściowego przystosowania. Opowiadanie byłoby doskonale zgodne samo z sobą, ukazałoby zalety w Machapetianie-zdrajcy i znalazłoby miejsce jedynie na ludzkie właściwości znieprawione przez jakiegoś moralnego Łysienko. Książka nie rzuciłaby światła na życiè sowieckie, ponieważ byłaby całkowicie nieludzka. Całkowicie nietolerancyjny system, taki jaki usiłuje stworzyć rząd sowiecki, nie może pozwolić jednostce ludzkiej nawet na dostateczny dystans wobec siebie samej, niezbędny do autoportretu. Musi to nieuniknienie prowadzić do obalenia historycznej tendencji ku coraz większej samowiedzy, ku zwiększającej się świadomości tego czym się jest i czym są nasi bliźni. Aby była celna, myśl o człowieku musi być spontaniczna, a jeżeli jest spontaniczna nie może być żadnej pewności, że będzie prawowierna. Dlatego nie wolno pozwolić żadnemu obywatelowi sowieckiemu na analizowanie siebie i swoich współobywateli. Tylko mimowolny uczestnik z zewnątrz, taki jak Herling, może rzucić rzeczywiste światło na świat sowiecki. Zachód może przynajmniej występować przeciwko sobie, może sobie zaprzeczać, bo zdolny jest sięgać po nowe dziedziny i wzbogacać się w ten sposób. Sowiecki świat skazuje siebie na okrucieństwo i zastój. I trzeba człowieka zachodniego nawet do tego, aby przekonał nas, że i tam istnieją małe wysepki względnego spokoju i godności ludzkiej, takie jakimi zdają się być sowieckie szpitale.

Z tej przerażającej pasji, jaką jest dążenie do jedności — wynika, jak się zdaje, najbardziej godny zdumienia i najstraszniejszy aspekt sowieckich obozów pracy przymusowej — pomysł, że mogą one służyć wychowawczym celom. Oto system, który idzie tak daleko w odmowie tolerowania, nawet w najmniejszym zakamarku świadomości, innej koherencji niż jego własna, że zmuszony jest unicestwić wszelką indywidualną moralność, wszelką godność osobistą, wszelkie osobiste przywiązanie, a przede wszystkim to schronienie osobistej przyzwoitości, przyzwoite odnoszenie się do siebię nawzajem mężczyzny i kobiety.

Wszystkie te rzeczy mogą przechować jakiś podwójny system myślenia. Reedukacja oznacza więc przede wszystkim, że trzeba je zmiażdżyć. Nie ma znaczenia, jeżeli to powoduje, że zmiażdży się istoty ludzkie moralnie zanim nie zostaną zniszczone fizycznie, gdyż nie ma znaczenia istota ludzka, która jest nieprawowierna, a nawet jeżeli jest prawowierna ma, jak można

przypuścić, znaczenie tylko ze względu na wzór, który w niej jest wcielony, a nie ze względu na siebie samą.

Szaleństwo takie nie może być oczywiście całkowite. Muszą być w życiu sowieckim chwile odprężenia i wytchnienia. Herling zwrócił uwagę na szpitale. Być może podróż koleją, pomimo ohydy jaka jej towarzyszy, stanowi drugi taki moment? Nie ulega więc wątpliwości, że istnieje stała, instynktowna osobista ucieczka nawet jeżeli nie ma buntu. Czy rząd sowiecki wyprodukował gdziekolwiek doskonałego Homo Sowieticus? Nawet jeżeli to mu się nie udało, wyprodukował on dostatecznie wielu, którzy są zsowietyzowani w 50, albo więcej procentach. Ten jednak margines niedającego się zniszczyć oporu musi pozostać nadzieją świata; to, i zdolność jaką ma Zachód — jeżeli zechce jej użyć — zrozumienia tych, którzy nie mogą zrozumieć Zachodu.

Darsie GILLIE.

Pamiętnik J. Forrestala

Pamiętniki James Forrestal'a — ministra marynarki USA od maja 1944 do lipca 1947 i ministra obrony ("Secretary of Defense)*) od września 1947 do marca 1949 — nie są właściwie pamiętnikami w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jest to bowiem zbiór jego notatek i zapisków, które po jego samobójczej śmierci, w maju 1949 r., przygotowali do druku Walter Millis z "New York Herald Tribune" i E. S. Duffield, osobisty sekretarz i współpracownik Forrestal'a. Zapiski z których wiele wycofano z uwagi na ich tajność — obejmują czasokres: czerwiec 1944 do styczeń 1949.

Lektura tych 500 stron notatek jest b. interesującym studium i odkrywa przed czytelnikiem maszynerię polityczną najpotężniejszego państwa świata.

Na pytanie, kto właściwie decyduje w sprawach polityki zagranicznej — wojska i bezpieczeństwa St. Zjednoczonych — trzeba odpowiedzieć: prezydent. Prezydent Truman widziany poprzez pamiętniki Forrestala — jest jakby przewodniczącym grupy, czy komitetu zawodowych polityków. Oficjalny charakter członków tego zespołu jest różny. Widzimy wśród nich polityków z Kongresu, członków gabinetu, wysokich urzędników Białego Domu, względnie polityków, którzy są przydzieleni wprost do osoby prezydenta. Ta grupa związana jest ściśle z partią i maszynerią wyborczą.

The Forrestal Diaries — Edited by Walter Millis with the collaboration of E. S. Duffield. — New York, The Viking Press, 1951.

*) Pisownia amerykańska.

Bardziej różnorodnie przedstawia się kompozycja drugiej grupy doradców prezydenta. Jest to jakby zespół rzeczoznawców cywilnych. Członkowie tej grupy rekrutują się ze sfer wybitnych fachowców, ludzi "sukcesu" i reprezentują najróżniejsze kariery. Są wśród nich wybitni "businessmeni", bankowcy, prawnicy itd. Ludzie ci nie są ani zawodowymi politykami, ani swoich funkcji państwowych nie traktują jako życiowej kariery osobistej. Ekspertów i doradców tej kategorii powołuje prezydent w razie konieczności, a więc w chwili wojny, kryzysu gospodarczego itp. Do tej grupy cywilnych ekspertów należał również i Forrestal, a obok niego Robert Lovett, John J. Mac-Cloy i wielu innych.

Dopiero na trzecim miejscu należy umieścić grupę zawodowych urzędników i zawodowych wojskowych.

Jest rzeczą pouczającą śledzić wzajemny "balance of power" tych trzech grup. We wszystkich ważnych naradach w Białym Domu biorą zwykle udział przedstawiciele wszystkich trzech grup — nie znaczy to jednak, by wpływy ich były równe. Niewątpliwie najsilniejsze węzły łączą prezydenta z grupą pierwszą, tj. zawodowych polityków partii. Ten zespół ludzi, któremu osobiście przewodniczy prezydent — skupia w swych rękach najwięcej władzy.

Rzeczowy, obiektywny punkt widzenia reprezentuje grupa druga tj. cywilni eksperci czasowo w służbie państwowej. Pod koniec 1945 r. cywilni eksperci, a wśród nich i Forrestal — sprzeciwiali się zbyt szybkiej demobilizacji, przestrzegali przed zbyt pro-syjonistyczną polityką na Środkowym Wschodzie, krytykowali politykę amerykańską w Chinach. Lecz zawodowi politycy, związani z wyborcą przekonywali, że Amerykanie domagają się demobilizacji, przedkładali, że finansiery żydowskiej nie można sobie zrazić, utrzymywali, że Czang-Kaj-Szek utracił całkowicie popularność. Zawodowych polityków interesuje nie tylko to, co w danej sytuacji należy, względnie nie należy, zrobić, ale przede wszystkim interesuje ich to, co można, a czego nie można podać wyborcy do przełknięcia.

Grupa ekspertów cywilnych wywiera również potężny wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych, oddziaływując na prezydenta częstokroć poprzez polityków zawodowych.

Lecz ponad wszystkim stoi prezydent, którego władza rośnie systematycznie z roku na rok. Przy czym decydujący jest wpływ prezydenta na wyborcę — a nie odwrotnie. Toteż od indywidualności i formatu prezydenta zależy b. wiele — zależy coraz więcej.



Dla polskiego czytelnika interesujące jest śledzenie w zapiskach Forrestala jak się kształtował pogląd amerykański na Rosję. Czasami trudno jest wprost uwierzyć jak nie znali Rosji ci, od których decyzji tak wiele miało zależeć.

23 kwietnia 1945 r. odbyło się posiedzenie w Białym Domu

pod przewodnictwem prezydenta. Obecni byli m. in. Forrestal, gen Marshall, Harriman i Stettinius — wówczas min. spraw zagranicznych. Pierwszy po prezydencie — jak notuje w swych zapiskach Forrestal — zabrał głos Stettinius, który stwierdził, że Mołotow — z którym konferował dnia uprzedniego — domaga się kategorycznie by zaprosić do San Francisco rząd lubelski — uznany przez Sowiety za rząd polski. Stettinius oświadczył, że według jego opinii — żądanie Mołotowa stoi w jaskrawej sprzeczności z układem jałtańskim, albowiem w Jałcie Rosja zobowiązała się wraz z Ameryką i Anglią "zachęcić i patronować całkowicie wolnym i demokratycznym wyborom w Polsce". Tymczasem, według informacji jakimi wówczas dysponował Departament Stanu — rząd lubelski nie mógł być uważany za rząd reprezentujący naród polski. Tyle p. Stettinius.

Innymi słowy, wówczas, nawet najlepiej zorientowani ludzie, mający dostęp do wszelkich możliwych źródeł informacji, uważali za rzecz realną, że Rosja sowiecka patronować będzie prawdziwie wolnym i demokratycznym wyborom w kraju, który znalazł się w zasięgu czerwonej armii. I istotnie wielu w to wierzyło. To nie był cynizm tylko bezbrzeżna ignorancja.

Pod koniec wojny byli już w St. Zjednoczonych politycy, którzy zdawali sobie sprawę zarówno z tego czym jest sowiecka Rosja jak i z celów do których zmierza. Politycy ci stanowili wówczas bezwzględną mniejszość. Demokracji nie może zbawić żaden prorok. Świadomość niebezpieczeństwa musi być powszechna. Niestety, wojna na Dalekim Wschodzie nie była zakończona i to był główny argument realistów. Wszelkie "tarcia" mogły opóźnić upragnione wejście Rosji do wojny przeciw Japończykom.

Jeżeli bomba atomowa miała już upaść na Hiroszimę i Nagasaki — odniosłaby była niepomiernie większy efekt, gdyby upadła wcześniej... Gdyby Japonia skapitulowała na kilka miesięcy przed upadkiem Niemiec — "żelazna kurtyna" nie przebiegałaby dziś przez środek Berlina.

J. M.

«La guerre en question»

Literatura o komunizmie (pomijając oczywiście literaturę prawowiernych stalinowców) wyraźnie dzieli się na dwa rodzaje; albo zajmuje się teoretyczną stroną komunizmu, albo też działalnością rządu sowieckiego oraz rządów zainstalowa-

---

Jules MONNEROT: **La guerre en question.** — Ed. Gallimard. Paris 1951.

nych przez Sowiety w krajach satelickich. Dopiero ostatnio zaczęto stawiać pierwsze kroki na drodze badania komunistycznych metod działania i sposobów przeciwdziałania tym metodom.

Nieznajomość komunistycznych metod działania zagraża poważnie całemu światu wolnemu, a w szczególności krajom, które są narażone bezpośrednio na ataki komunizmu. By poznać i zrozumieć komunizm, trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę z przyczyn sukcesów komunizmu, i z metcd, które dotychczas stosowano w walce z komunizmem.

W swym poprzednim, tak wybitnym dziele "Socjologia komunizmu" Monnerot omówił komunizm, jako filozoficzny światopogląd i religię świecką; w obecnym, "La guerre en question" zajął się sprawą komunizmu w akcji.

Analizując podstawowe założenia komunizmu, autor obnaża jego wewnętrzne sprzeczności i proponuje praktyczne środki walki z komunizmem.

Te środki walki obmyśleć można dopiero po zapoznaniu się z właściwościami komunizmu, i to nie na podstawie oficjalnej doktryny, lecz na podstawie rzeczywistości. Pierwszą część swej książki autor poświęca analizie i dochodzi do wniosków, które wydają się murowane.

Komunizm, według niego, nie jest zjawiskiem typowym dla krajów najbardziej postępowych (jak przewidywała klasyczna doktryna marksizmu), lecz przeciwnie, krajów najbardziej gospodarczo zacofanych, jak Rosja i Chiny. Siłą dynamiczną tego komunizmu nie jest klasa robotnicza, jak powinno by być według Marksa, lecz intelektualiści (klasa inteligencka). Najbardziej obiecującym terenem dla pochodu komunizmu jest Azja, gdzie zbiegły się dwa czynniki: obudzenie się Azji i działalność bolszewickiego aparatu wywrotowego.

Podstawowymi czynnikami pochodu komunizmu są, w pierwszej fazie, utworzenie partii komunistycznej, a w drugiej — agresja militarna. Jednym z dowodów, jak bardzo świat zachodni nie orientuje się w istocie komunizmu, jest pomieszanie pojęć co do legalnej i nielegalnej działalności partii komunistycznej. Na ogół Zachód przyjmuje, że lepiej zalegalizować partię komunistyczną, niż ją zabronić i zmusić do ukrywania się, do egzystencji nielegalnej. Natomiast Monnerot dowodzi, że "od chwili powstania Kominternu jedna z głównych cech bolszewizmu polegała na tym, iż każda partia komunistyczna, nawet będąc legalną, była jednocześnie nielegalną". Zarządzenia przeciw partii legalnej nie wywołują powstania nowej podziemnej organizacji komunistycznej, ponieważ organizacja taka już istnieje, "ma ona swoje miejsce w samej istocie struktury stalinizmu; bez tego stalinizm nie byłby tym czym jest".

Drugim objawem zapoznawania przez Zachód istoty komunizmu jest pomieszanie pojęć w świecie wolnym, jeżeli chodzi o zagadnienia wojny i pokoju: o wojnie świat zaczyna myśleć

dopiero z chwilą, gdy stalinizm przechodzi do bezpośredniej akcji militarnej. Monnerot słusznie pisze: "Nie rozumie wcale bolszewizmu, kto nie zdaje sobie sprawy, że, z bolszewickiego punktu widzenia wywołanie wojny jest kwestią czystego oportunizmu... Dla bolszewików wojna jest częścią składową polityki; to polityka raczej jest tylko środkiem, i pewną formą, wojny: albowiem, jedyną wielką polityką jest ta, która ma spowodować przejście od reżimu burżuazyjnego i kapitalistycznego do reżimu komunistycznego. Jedną z form tej stałej i totalnej wojny, którą prowadzi komunizm, jest wojna psychologiczna. Ten rodzaj wojny ma porazić "morale" przeciwnika zanim zostanie on bezpośrednio zaatakowany. Przeciwnik musi być przekonany, że już jest pobity zanim się rozpocznie decydująca batalia. Te nowe metody prowadzenia wojny są trudne do pogodzenia z tradycyjnym pojęciem wojny, któremu kraje zachodnie pozostają wierne... Podczas, gdy stalinowcy używają niezliczonych środków dla atakowania Zachodu, nasze rządy umieją się tylko uciekać do przetargów, do chytrości, i do okazywania dobrej woli, a jako alternatywę widzą tylko to, czego najbardziej nienawidzą, to znaczy wojnę... Czy chociażby wiemy co zrobić ze stalinowcami w czasie wojny, równie dobrze jak stalinowcy wiedzą co zrobić z nami w takim wypadku?"

Wobec takiego systemu, tak totalnie poświęconego jednemu tylko bezpośredniemu celowi — zniszczeniu świata nie-komunistycznego — Monnerot zadaje sobie pytanie co robić? By dać odpowiedź konkretną, wychodzi on z założenia dobrze znanego bolszewikom: z założenia sprzeczności, istniejących w obozie przeciwnika.

Sam Lenin podkreślił zasadnicze znaczenie wykorzystania sprzeczności istniejących w świecie niekomunistycznym. W swej słynnej książce "Dziecinne choroby komunizmu" Lenin pisał: "Czyż prowadzenie wojny o obalenie międzynarodowej burżuazji, wojny stokroć trudniejszej, dłuższej i bardziej zaciekłej, niż wojny między państwami — wyklucza z góry wszelkie manewry, wszelkie wykorzystanie antagonizmów, choćby tymczasowych, które dzielą naszych wrogów, czyż wyklucza wszelkie porozumienie i wszelki kompromis z możliwymi aliantami, choćby to mieli być sprzymierzeńcy tymczasowi, niepewni, chwiejni, warunkowi? Czyż odrzucenie z góry tych możliwości nie jest szczytem śmieszności?... Można zatriumfować nad silniejszym przeciwnikiem tylko pod warunkiem, że się wykorzysta najmniejsze szczerby i niesnaski w obozie przeciwnika...".

W swych dziełach o leninizmie Stalin naśladował tezy mistrza, i wskazał na kilka fundamentalnych sprzeczności w świecie kapitalistycznym, i na możliwości praktyczne, które z tych sprzeczności wypływają dla komunistów. Według Stalina zasadniczym sprzecznościom między Kapitałem a Pracą od-

powiada walka klasowa prowadzona przez komunistów w społeczeństwach kapitalistycznych. Sprzecznościom między krajami imperialistycznymi a krajami kolonialnymi i pół kolonialnymi odpowiadają wyzwoleńcze ruchy rewolucyjne — narodowe, których kierownictwo komuniści powinni starać się objąć.

Monnerot stara się odwrócić tę tezę o sprzecznościach — przeciw światu komunistycznemu. Twierdzi on, że sprzeczności istnieją równie dobrze w świecie komunistycznym, a jeżeli nie są wyzyskiwane, to tylko z winy świata wolnego.

Ale podczas, gdy stalinowcy potrafili wynaleźć jakąś formę wojny psychologicznej czy innej, jako odpowiednik dla każdej sprzeczności w społeczeństwach wolnych, ludzie wolni nie potrafili zrobić tego samego, jeżeli chodzi o wykorzystanie sprzeczności w świecie komunistycznym.

Jakież są te sprzeczności, których Monnerot dopatruje się wśród komunistów? Z jednej strony dostrzega on sprzeczności pomiędzy światowym ruchem komunistycznym a już zbudowanym imperium Stalina. "Istnieje, powiada Monnerot, sprzeczność nie do pokonania pomiędzy mentalnością stalinowską i psychologią socjalistyczną i rewolucyjną, i ta sprzeczność jest głównym szkopułem na drodze do zwycięstwa komunizmu wszędzie poza żelazną kurtyną".

Między ideałami rewolucyjnymi i socjalistycznymi, zrodzonymi na Zachodzie, a tym co zrobił Stalin istnieje sprzeczność permanentna.

Natchnieniem socjalizmu europejskiego były ideały humanitarne; natomiast stalinizm posunął odczłowieczenie do granic przedtem nie znanych; socjalizm europejski był egalitarny, stalinizm wprowadził monstrualne nierówności, a nawet sam termin "równości" określił mianem drobno-burżuazyjnego przesądu: socjalizm staroświecki żył iluzją społeczeństwa bezklasowego, stalinizm wprowadził z powrotem system kastowy; ongiś wyobrażano sobie, że w społeczeństwie socjalistycznym państwo zniknie, u Stalina natomiast państwo jest silniejsze, niż gdziekolwiek indziej.

W samej Rosji najważniejsze sprzeczności są następujące: a) kwestie narodowe, to znaczy antagonizm między Rosjanami a mniejszościami, jak np. w wypadku Gruzji i Ukrainy; b) kwestia chłopska, która weszła w nową fazę na skutek polityki tak zwanego "upłotnienia", która zmierza do zrobienia z chłopa robotnika rolnego; c) kwestia techników i specjalistów, którzy są odpowiedzialni za produkcję i rozdział dóbr; ci technicy mają znaczenie decydujące dla systemu sowieckiego, a są całkowicie na łasce i niełasce władzy politycznej. Wreszcie, szczyty państwa sowieckiego składają się z trzech różnych elementów — z partii, z MGB i z bezpartyjnych techników, pomiędzy którymi do jedności jest daleko. Do tych

trzech kierowniczych elementów należało by może dodać czwarty, a mianowicie armię.

Sprzeczności, które się ujawniają w samych Sowietach, przybierają formę bardziej jaskrawą w krajach satelickich. Łatwiej jednak wyliczyć te sprzeczności, niż opracować plan konkretnego działania. Trudno dzisiaj odrobić stracone okazje. W 1945 roku czołgi amerykańskie mogły łatwo wkroczyć do Pragi i w ten sposób uniemożliwić sowietyzację Czech; w 1951 roku już nie czołgi, ale tylko baloniki mogą dotrzeć do Czech, a to nie wystarcza dla zagrożenia czeskiego reżimu komunistycznego.



Rzadkie są na Zachodzie książki polityczne, które by badały i omawiały program działalności przeciwko reżimom satelickim. Znacznie częściej można się spotkać z poglądami à la Walter Lippmann, który jest gotów poświęcić definitywnie ludy Europy Środkowo-wschodniej dla znalezienia modus vivendi z Sowietami, niż ze stanowiskiem à la James Burnham, który jest gotów walczyć o wolność tych krajów. Jules Monnerot należy do tej drugiej kategorii. Jest przeciwny polityce czysto defensywnej, albowiem "ograniczenie się do polityki czysto defensywnej byłoby równoznaczne z akceptowaniem klęski..." "Dzisiaj jedyną formą oporu jest przeciwstawianie ofensywy ofensywie".

Komunizm, zdaniem Monnerot, jest połączeniem Imperium i międzynarodowego Zakonu. By walczyć z nim skutecznie trzeba mu też przeciwstawić i Imperium i Zakon. Wychodząc z tego założenia Monnerot robi kilka praktycznych sugestii, które są jednak sporne, zwłaszcza jeśli chodzi o ich szanse realizacji. Pisząc o walce z komunizmem w krajach wolnych autor powiada: "Epoka mas jest epoką sugestii, a zatem samoobiektywna zmiana warunków bytu nie wystarcza — jak np. proste podniesienie stopy życiowej (które w każdym razie jest konieczne) — jeżeli jednocześnie nie zaradzi się sile sugestii. Nie wystarczy zmienić warunków bytu pracujących, czy też wytłumaczyć im, że nie dzieje się im krzywda, należy zrobić obie rzeczy jednocześnie".

By walczyć skutecznie z komunizmem na skalę światową (bo zasadniczo jest to fenomen na skalę światową) Monnerot zaleca dwa środki praktyczne: albo stworzenie organizacji międzynarodowej, powołanej decyzją rządów państw wolnych, albo stworzenie Stanów Zjednoczonych świata, co byłoby równoznaczne z transponowaniem na skalę globu struktury politycznej Stanów Zjednoczonych.

Branko LAZITCH.

Zbuntowany człowiek

Najnowsza książka Alberta Camusa, czołowego pisarza młodego pokolenia Francji, essay pt. "Zbuntowany człowiek" jest jednym z najciekawszych dzieł ostatnich lat. Duża wartość myśli autora, który twórczą pracą analisty-filozofa wprowadza ład i światło w ciemne zakamarki podświadomości rewolucyjnej, ukazuje się wyraźnie w tej rozprawie o tragicznym losie ludzkości w ciągu dwu ostatnich stuleci. Od tego bowiem okresu żyjemy pod znakiem morderstwa, najczęściej zbiorowego, dokonywanego w imię idei.

W pierwszych rozdziałach swej książki autor bada genezę człowieka buntującego się, uosobienie rewolty, wywodząc go od Prometeusza i poświęca swe rozważania dwom typom protestu: metafizycznego i historycznego.

Jako przedstawicieli buntu metafizycznego, protestujących przeciwko złu, triumfującemu tak często w świecie, poza Szatanem, Kainem, Prometeuszem Camus wymienia markiza de Sade, dopatrując się w jego pismach literackiego uzasadnienia Rewolucji francuskiej poetów Rimbauda i Lautreamonta oraz najgłębszego z myślicieli-artystów Nietzschego. Ten filozof tęskniący do nadczłowieka który by stał się wielkim przez nadludzki wysiłek woli i myśli znajduje żarliwego obrońcę w osobie Camusa naprawiającego dotkliwą krzywdę jaką wyrządził Nietzschemu hitleryzm pasujący go na jednego z proroków nacjonalsocjalizmu.

Za przedstawicieli buntu historycznego uważa Camus poza odległym Spartakusem prototypem wodza rewolty społecznej, Saint-Just'a, Bakunina, Marksa i Lenina. Ofiara rewolucji, której przewodził Saint-Just, znajduje dużo sympatii u Camusa. Ukazuje on nieprzeciętną inteligencję tego teoretyka wiernego do końca swym zasadom, milczącego i umierającego z honorem. Z kolei teoretyk nihilizmu Bakunin i jego odpowiednik literacki Dostojewski stają się przedmiotem wnikliwej analizy pisarza, który podkreśla wielokrotnie silne zasady etyczne, kierujące działalnością nihilistów i spokrewnionych z nimi terrorystów.

W ten sposób na żywym tle dziejów od 1789 roku do chwili obecnej Camus ukazuje stopniowe etapy rozwoju mordu zbiorowego w imię idei. Rewolucja francuska, skazując na śmierć króla, rozpoczęła erę królobójców; rewolucja rosyjska, potępiając religię jako "opium narodów", otworzyła nową epokę bogobójców. Dwa ostatnie eksperymenty totalizmu, hitleryzm i komunizm, znalazły surowego sędziego w osobie Camusa. Dla potępienia krwawej dyktatury Hitlera pisarz używa

---

Albert CAMUS, **L'homme révolté.** Str. 378. Wyd. Gallimard, Paryż, 1951. Cena 590 frs.

szeregu określeń genialnych wprost przez lapidarność ujęcia i głębię spojrzenia. Krótki okres panowania tego tyrana, który jedyny chyba w historii nie zostawił niczego po stronie aktywów, stał się okazją do zwięzłej i niezwykle trafnej oceny "dynamizmu bez idei".

Równie druzgoący jest sąd nad komunizmem. Camus rozpoczyna go od oceny dzieła Marksa. Wykazuje, że jest ono w dużej mierze owocem przesądnej wiary w naukę, podobnie jak u Renana w "Przyszłości wiedzy". "Novum" Marksa, jakim było twierdzenie, że historia oprócz praw dialektyki podlega prawom ekonomii, w ostatnich czasach doznało poważnych ciosów ze strony tej samej nauki, na którą się powoływał. Camus podkreśla bardzo wnikliwie, że marksizm, bawiący się zbyt często w proroctwa na temat nieubłaganego rozwoju wypadków, nie jest nauką, lecz najwyżej posiada jej pozory. Rozprawiwszy się z teorią, Camus ukazuje praktykę kierunku. Przedstawia jasno fatalizm dziejowy, który zmusza przywódców rewolucji z Leninem na czele, postawionych wobec dylematu "zabić lub zostać zabitym", do popełniania długiego szeregu moderstw najpierw przeciwników ideowych, potem rywali, a potem tysięcy niewinnych ofiar w imię dobra, które nie może przyjść odsuwane na odległość kolejno po sobie następujących "piatiletek". Także w tej części Camus, który przeprowadza swój dowód prawdy w sposób obiektywny, wymieniając nawet rzadko komunizm po imieniu, znajduje świetne określenia jak np. "Polityka nie jest religią; w wypadku jeśli tak jest, staje się ona inkwizycją".

Mogłoby się wydawać na podstawie powyższego szkicowego sprawozdania, że Camus przychodzi w sukurs zwolennikom "starego ładu społecznego" przez surowe potępienie ostatnich doświadczeń. W rzeczywistości wartość książki Camusa polega na fakcie, że szuka on uporczywie prawdy. Romantyzm, który kryje się na dnie umysłowości pisarza, każe mu niejednokrotnie występować w obronie ludzi lub kierunków niezrozumianych, pokrzywdzonych przez rozwój zdarzeń historycznych, utożsamiać się ze sprawą pozornie przegraną przed sądem dziejów. W tych wypadkach Camus, wgryzając się w miąższ treści, stara się ukazać silne zasady etyczne potępionych przez rozwój historii faktów społecznych.

To uporczywe śledzenie **prawdy** przez zagłębianie się w cudze wywody z obiektywizmem badacza, który nie przykrawa myśli drugiego do swoich potrzeb, łączy się w jedno z równie wytrwałym poszukiwaniem sprawiedliwości na przestrzeni dziejów.

W ten sposób obszerna książka (378 stron), dzieło sumiennie przeprowadzonych badań, obfitej lektury i głębokich samodzielnych rozważań, daje w sumie pozycję niesłychanie ciekawą, która zainteresuje na pewno czytelnika. Ogrom treści i konieczność "głośnego myślenia" połączonego z ukazywaniem

nieraz drugorzędnych etapów swego rozumowania sprawia, że początkowo "Człowiek zbuntowany" robi wrażenie dzieła bez jasnej idei przewodniej. Wkrótce jednak czytelnik dostaje się pod wpływ nieprzeciętnej umysłowości Camusa i pozostaje pod jego urokiem do końca, rozstając się z nią z żalem, co jest może największą pochwałą przy tego rodzaju utworach.

Ileż treści kryje się np. w takim syntetycznym ujęciu dziejów myśli "Zbuntowanego człowieka", ujęciu będącym równocześnie najświeższą historią ludzkości: "Tu kończy się niezwykła wędrówka Prometeusza. Krzycząc swą nienawiść do bogów i miłość człowieka odwraca się z pogardą od Zeusa i zbliża się do śmiertelnych, by ich prowadzić do ataku na niebo. Lecz ludzie są słabi lub tchórzliwi; trzeba ich zorganizować. Lubią oni rozkosz i szczęście doczesne; trzeba ich nauczyć odmowy miodu dni powszednich, by stali się wielkimi. W ten stosób Prometeusz z kolei staje się mistrzem, który naprzód uczy, potem rozkazuje. Walka przeciąga się jeszcze i staje się wyczerpująca. Ludzie wątpią czy dotrą do państwa słonecznego i czy ono istnieje. Trzeba ich uratować od nich samych. Heros mówi im wtedy, że zna to państwo, on jedyny. Ci, którzy w to wątpią, będą rzuceni na pustynię, przykuci do skały, oddani na pożarcie okrutnym ptakom. Inni będą odtąd kroczyć w ciemnościach za mistrzem zamyślonym i samotnym. Prometeusz jedyny stał się bogiem i panuje nad samotnością ludzką. Ale od Zeusa zdobył tylko osamotnienie i okrucieństwo, nie jest już Prometeuszem, jest Cezarem. Prawdziwy, odwieczny Prometeusz przybrał teraz wygląd jednej z ofiar. Ten sam krzyk wydobywający się z otchłani wieków rozbrzmiewa stale z głębi pustynnych obszarów Scytii".

Zygmunt **MARKIEWICZ.**

Nadesłane nowości wydawnicze

HISTORIA

BERTELOOT (J.). **La franc-maçons devant l'histoire.** Vol. I.: **Origine et deversité.** Pp. 254. (Ed. "Monde Nouveau", Paris).

BERTELOOT (J.). **La franc-maçonnerie et l'église catholique.** Vol. I.: **Motifs de condamnation.** Pp. 151. (Ed. "Monde Nouveau", Lausanne).

BERTELOOT (J.). **La franc-maçonnerie et l'église catholique.** Vol. II.: **Perspectives de pacification.** Pp. 243. (Ed. "Monde Nouveau", Lausanne).

GEORGE (P.), LEHR-SPŁAWIŃSKI (T.). i in. **Les fleuves et l'évolution des peuples.** Vol. I.: **Europe Orientale, Baltique - Mer Noire.** Pp. 103. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1950, frs. 300).

MIREAUX (E.). **La reine Bérénice.** Pp. 252. (Ed. Albin Michel, Paris, 1951, 420 fr.).

MICHENER (J.-A.). **Pacifique du Sud.** Pp. 328. (Ed. Flammarion, Paris, 1951, frs. 425).

NIMCZUK dr (I.). **595 dniw sowietskim wjazniem** (w języku

ukr.). Str. 235. (Wyd. OO. Wasilian, Toronto, Ont., Kanada, 1950).

CHURCHILL (W.S.). **L'Etau se referme.** (Tome V. "Mémoires sur la deuxième guerre mondiale"). 1re partie: **L'Italie capitule.** Pp. 383; 2e partie: **De Téhéran à Rome.** Pp. 389. (Ed. Plon, Paris, 1951).

LITERATURA

KOSSAK (Z.). **Przymierze.** Str. 340. (Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Veritas", Londyn, 1952. Cena 20sh.).

MIŁASZEWSKA (W.). **Księżniczka Dagny.** Str. 134. (Nakł. Katolickiego Ośr. Wydawn. "Veritas", Londyn, 1952, cena 7 sh. 6 d.).

HIGHSMITH (P.). **L'Inconnu du Nord-Express.** Pp. 300. (Ed. Calmann-Lévy, Paris 1951. Cena 600 frs.).

BURUCOA (Ch.). **Oeil pour oeil.** Pp. 246. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, 240 fr.).

GUASTALLA (P.-A.). **Journal (1940-1944).** Pp. 288. (Ed. Plon, Paris, 1951, 390 fr.).

CHATEAUBRIANT de (A.). **Lettre à la Chrétienté mourante.** Pp. 265. (Ed. Grasset, Paris, 1951, 420 fr.).

TENNESSEE (W.). **Le printemps romain de Mrs. Stone.** Pp. 196. (Ed. Plon, Paris, 1951).

YOURCENAR (M.). **Mémoires d'Hadrien.** Pp. 319. (Ed. Plon, Paris, 1951. 525 fr.).

BECKETT (S.). **Malone meurt.** Pp. 217. (Ed. de Minuit, Paris, 1951).

KERN (A.). **Les voleurs de cendres.** Pp. 315. (Ed. de Minuit, Paris, 1951).

ESCOULA (Y.). **L'apatride.** Pp. 349. (Ed. Gallimard, Paris,1951).

HERVIEU (M.). **Les hasards du Colibri.** Pp. 226. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951. 240 fr.).

WAŃKOWICZ (M.). **Ziele na kraterze.** Str. 413. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1951. Cena dol. 3,50).

POEZJA

Najwybitniejsi poeci emigracji współczesnej. Antologia obejmująca poezje Stanisława Balińskiego, Jana Lechonia, Józefa Łobodowskiego, Kazimierza Wierzyńskiego i Józefa Wittlina. Str. 207 ze wstępem Stanisława Lama i portretami autorów wg rysunków Stefana Mrożewskiego i Esteban Sanza. (Nakł. Księgarni Polskiej w Paryżu). Okładkę projektował N. Lurczyński. Egzemplarze numerowane od I do X (na papierze czerpanym) i od 1 do 1525 na papierze offsetowym.

SŁOWACKI (J.). **Anhelli.** Przekład na jęz. arabski Dr Józefa Assad Dagher. Z komentarzami i przedmową prof. St. Kościałkowskiego. Str. 115. (Nakł. Instytutu "Reduta", Bejrut,r.1948).

PANKOWSKI (M.). **Couleur de jeune Mélèze.** Pp. 37. Poèsie. Ed. La Maison du Poète, Bruxelles, 1951).

RÓŻNE

BURNHAM (J.). **The coming defeat of communism.** Przekład w jęz. arabskim. (Bejrut, 1951).

YOVANOVITCH (S.). **On the new machiavellism.** Str. 5. (Przedruk z Nr 3, T. IV "The Eastern Quarterly", lipiec 1951, Londyn).

Materiały oświatowe, Dział Odczytów. Wyd. Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Gł. Stow. Polskich Kombatantów w Londynie, r. 1951. Zeszyt 7: KUDLICKI (S.). **Ziemie odzyskane.** Str. 11 plus 1 mapa.

GIERAT (St.). **Młoda wieś.** Str. 32. (Nakł. grona koleżeńskiego, Londyn 1951.

BOUIEFF (B.). **Pays de rigueurs.** Pp. 158. (Ed. Du Seuil, Paris, 1951).

Katechizm religii katolickiej. Str. 179. (Instytut Wyd. "Pax", Warszawa, 1951).

JASIENICA (P.). **Wisła pożegna zaścianek.** Str. 254. (Instytut Wydawniczy "Pax", Warszawa, 1951).

AMBA (A.). **Ein Mensch sieht Stalin.** Str. 253. (Wyd. Rowohlt Verlag, Hamburg, 1951).

DĄBROWSKI (E. Ks.prof.). **Studia biblijne.** Str. 240. (Wyd. Instytut Wyd. "Pax", Warszawa, 1951).

The Slavonic and East European Review. Vol. XXX. No 74. Str. 329. (Nakł. University of London, December 1951).

Listy do Redakcji

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Zgadzając się zasadniczo na tezy "Oświadczenia", umieszczonego na czele grudniowego numeru, nie mogę go podpisać zarówno ze względów formalnych jak i zasadniczych.

Wzgląd formalny — nie należę do emigracji z 39-go roku i stroić się w jej piórka nie zamierzam.

Względy zasadnicze są innego rodzaju: po pierwsze nie spotykałem się dotąd z dyskryminacją nawet komunistów, którzy "wybrali wolność" i podsuwanie tego rodzaju tendencji środowisku polskiemu uważam za niewłaściwe. Nie słyszałem, by ktokolwiek wywierał presję na nowych przybyszach w kierunku wstąpienia do jakiegokolwiek stronnictwa, lub żądał publicznego "pokajania". Sądzę, że wszelkie tego rodzaju poczynania spotkałyby się z potępieniem wśród nas. Po drugie: służba obecnej władzy polskiej, bierutowej czy sowietoidalnej sama przez się nie może stanowić podstawy dla potępienia kogokolwiek, gdyż poza koniecznością życiową ludzi w Kraju, opiera się nieraz, być może, o przekonania ideowe, które mogę uważać za mylne, fałszywe — ale bynajmniej nie hańbiące. Nie wykluczam oczywiście istnienia pospolitych najmitów i zaprzańców.

Wreszcie: sprawa p. Miłosza jest zbyt poważna i posiada charakter o tyle indywidualny, że nie wolno załatwiać jej przy pomocy ogólnikowych oświadczeń. Waga jej rośnie w miarę postępującej dyskusji i musi być przeżyta sumiennie, dogłębnie.

P. Miłosz, którego ani przyjacielem nie jestem, którego poezja była mi zawsze obca, a radykalizm społeczno-polityczny nazbyt trącił snobizmem dyletancko-inteligenckim — według mego zdania właśnie należał do tych, którzy najdoskonalej dostosowani byli do zgłoszenia współpracy bierutowej władzy. Gdyby uczynił inaczej — byłbym niepomiernie zdziwiony. P. Miłosz szereg lat tej władzy służył. Jest rzeczą absolutnie nieistotną gdzie — w Kraju czy na placówkach zagranicznych. Służył tam — gdzie władzy i jemu samemu było najdogodniej. W pewnej chwili spostrzegł że służba ta wymaga zaparcia się samego siebie, swoich przekonań, swojego sumienia artystycznego czy społecznego. Zerwał. Ogłosił powody tego zerwania. Znalazł się na emigracji przymusowej.

Od początku do końca wszystko jest zgodne z przyjętymi normami etycznymi. Że p. Miłosz pomylił się co do możliwości współpracy z bierutnictwem — wolno to uznać za dyskwalifikację polityczną. Ale p. Miłosz na męża stanu ponoć nie kandyduje. A zresztą wraz z nim pomyliło się wielu polityków i nie tylko polskich.

P. Miłosz, jako się rzekło, ogłosił powody swego kroku. Można mieć wątpliwość, czy ocenił bez optymizmu nadmiernego osiągnięcia władzy bierutowej w dziedzinie pracy organicznej. Ale — gdyby nie miał złudzeń co do tego, prawdopodobnie nie znalazłby się po tamtej stronie. Można mieć zastrzeżenia względem jego oceny wartości emigracji, której organy w tej chwili służą mu do wynurzeń ideologicznych, do zwierzeń poetyckich, nawet do polemiki. Trudno jednak posądzać go o nieszczerość, gdyż, gdyby inaczej oceniał uchodźstwo polityczne — prawdopodobnie by losy jego podzielił od początku. Można polemizować z poglądami p. Miłosza. Ale sam fakt przejścia jego na stronę Zachodu trzeba oceniać jako zjawisko dla nas dodatnie, zwłaszcza, że jest to nie byle pozycja w naszym życiu kulturalnym. Względy utylitarne każą ten fakt wyzyskać jak najpełniej.

A przecież przeciwko p. Miłoszowi podjęta została kampania i nie tylko ostra, ale i pozbawiona jakiegokolwiek umiaru. Opiera się zaś na zarzucie, że od początku do końca człowiek ten działał w złej

wierze. A na poparcie tego wszystkiego służy tylko i wyłącznie dedukcja. "On wiedział", "on widział", "on musi rozumieć"...

O, biedny Koestlerze. Jakże cię uważnie czytano!

Co musiał rozumieć? Slogany o wolności i niewoli? Wszystko dla jednostki — z jednej strony, a z drugiej: jednostka jest niczym wobec społeczeństwa, wobec szczęścia przyszłego zbiorowości. Czy to?

Ale przecież on widział, że nie tylko lynchuje się gdzieś za morzem murzyna, ale i to, że Polak we Francji nie dostaje karty pracy, chyba do zajęć najcięższych, gdzie morduje pylica! I widział, że ci, co piorunują na obozy koncentracyjne, nie zawahają się dla zniszczenia stalinizmu użyć bomby atomowej i zmieść z powierzchni ziemi miast całych wraz z ich mieszkańcami (kobiety, dzieci, starcy — sentymentalizm). W tym świetle granica uznania praw jednostki może cośkolwiek się upłynni. I owo "widział", "wiedział", "musiał rozumieć" i inne przesłanki do dedukcji oskarżycielskich cośkolwiek stracą na pewności. I może wtedy my poczniemy wreszcie rozumieć, że przekonanie w tej dziedzinie stanowi bynajmniej nie oczywistość, lecz owoc poważnych i ciężkich przeżyć. Mówię otwarcie: bomba atomowa w razie wojny musi być użyta, gdy będzie po temu konieczność — ale zdaję sobie sprawę co to znaczy. I zdaje sobie sprawę, że krok dalej — a już gotowe stwierdzenie konieczności obozów koncentracyjnych. I wiem, że dla kogo innego te obozy to zło mniejsze od aplikowania atomówek.

To tylko jeden przykład — może efektowniejszy od innych, ale nie koniecznie najbardziej zasadniczy. Przykład stwierdzający, iż tej przepaści psychiki, o której tak często się mówi, w istocie nie ma. Wszak w Paryżu stoi pomnik Robespierra! Ale i w myśleniu i w działaniu ludzkim jest siła bezwładu, działają rozpędy. U nas samych mieliśmy bardzo pouczające przykłady. Człowiek ideowy (bez żadnej ironii to mówię) jeden przełknął i strawił zamach majowy (do tych należałem), drugi i pacyfikację, trzeci i Brześć, czwarty i Berezę Kartuską, piąty flirty Michałowskiego ze sprawiedliwością hitlerowską i nawracanie na katolicyzm i bataliony szlacheckie i białe pożary i przyzwolenie na bojkot Żydów i "ławki" uniwersyteckie. Gdzie koniec? I czy to naprawdę zła wola? Od którego momentu się ona zaczyna?

Zrozumienie dobrej woli p. Miłosza, kwestionować którą wolno by było tylko na podstawie niezbitych przedmiotowych dowodów, to zagadnienie nie tylko sprawiedliwości i — naprawdę — istotnego poszanowania jednostki — to kwestia i naszego stosunku do Kraju, bo wielu bardzo ludzi tam myśli tak, jak myślał p. Miłosz w czasie swojej współpracy. I właśnie oni będą przyszłą wolną Polskę budować, a nasz wpływ na nich można będzie mierzyć umiejętnością zrozumienia ich dobrej woli. Jeśli tego w sobie nie wykształcimy — przekreślimy własny wpływ na kształtowanie się myśli w Kraju zupełnie.

Dla tego to, Drogi Panie Redaktorze, ogłoszenie "Oświadczenia" uważam za wstrzymanie się wpół drogi, próbę wycofania się na dogodniejsze pozycje — w chwili, gdy trzeba wytrzymać atak na linii wysuniętych wedet — i kontratakować. A że wywoła to czasem i oburzenie — trudno: dla ludzi niezdolnych do tworzenia nowych wartości przecie nic innego nie zostało. Rzucając gromy na nieprawości istotne lub urojone człowiek nabiera przekonania, że sam jest czysty jak łza a sprawiedliwy jak Harun-Al-Raszyd i prawy jak Arystydes. Niechże się cieszy, skoro brak mu pociechy innej.

Proszę przyjąć serdeczne wyrazy.

Adam UZIEMBŁO.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwoli Pan, że jako Ukrainiec i obywatel świata zabiorę głos i wypowiem swe zdanie na temat pacyfikacji ludności ukraińskiej w Polsce, za którą odpowiedzialny b. minister Sławoj-Składkowski nadal się opowiada i nawet ją wychwala.

Odnośne wspomnienia Sławoja w numerach "Kultury" 7/8 i 9, z 1951 r. nie wykazują zbyt wielkiej kultury, ponieważ są nie tylko "niebohaterskie", lecz również zupełnie nieprawdziwe, a zwłaszcza niedżentelmeńskie wobec przeciwnika, pozbawionego pełnych praw narodowych, człowieka i obywatela. Brak im obiektywnej prawdy jeśli idzie o istotę rzeczy, a więc tym samym i sprawiedliwości w wyciąganiu wniosków. Albowiem z fałszywych założeń można wyciągać tylko fałszywe wnioski.

Dopatrywanie się w intrydze niemieckiej powodów aktywnej i pasywnej walki Ukraińców przeciwko okupacji polskiej ziem Zachodniej Ukrainy jest takim samym nonsensem, jak gdyby rosyjski lub sowiecki Moskal dopatrywał się powodów pasywnej i aktywnej walki Polaków przeciwko okupacji moskiewskiej ziem Polski w analogicznej intrydze tychże samych Niemców.

Nazwanie krwią spływającej pacyfikacji w większości niewinnych ofiar "bezkrwawą", nie zważając na siedzenia zbite aż do kości, połamane żebra, wybite zęby, rozbite głowy — nie wspominając o innych objawach sadyzmu przy podobnych egzekucjach masowego terroru — równa się przechwałce tego cara rosyjskiego imperium, który zniósł karę śmierci, ale pozostawił biczowanie pałkami aż do 12.000 uderzeń.

Rozwój kooperatyw ukraińskich nie był w żadnym wypadku ani pożądany przez rząd polski, ani nie był jego planową zasługą, jak to fałszywie stara się przedstawić b. premier w swoim "pamiętniku". Rozwój ten był jedynie następstwem niedopuszczania inteligencji ukraińskiej do stanowisk w administracji państwowej i samorządowej. Inteligencji ukraińskiej nie pozostawało nic innego, jak poświęcić się zawodom wolnym, zwłaszcza kupieckiemu, handlowemu, przemysłowemu, finansowemu...

Jakby reagował patriota polski na to, gdyby Polaków na terenie polskim, okupowanym przez Niemców, Moskali lub kogoś innego włącznie z Ukraińcami, brano za Rosjan, Niemców itd. lub po prostu nazywano bez określenia narodowego "tutejszymi", omijając starannie słowo "Polak" i "Polacy"?

Mnóstwo tych i podobnych pytań jest niewyczerpane, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę zbrodnię wobec ludzkości, jaką dokonano nad ludnością ukraińską przez pacyfikację, za którą Sławoj-Składkowski był i pozostanie odpowiedzialny. On nawet chlubi się krwią niewinnych ofiar na jego odpowiedzialnych rękach. Wszelkie jej usprawiedliwianie nawet post factum i po tragicznych następstwach jest bumerangiem, który trafia w tego, kto go rzuca.

Wystarczy zwrócić uwagę na następstwa, jakie mogłyby się wyłonić, gdyby Polska po pierwszej wojnie światowej, prowadzona przez mężów stanu przezornych i dalekowzrocznych, dała Ukraińcom możność dobrego samopoczucia w granicach Polski, co najmniej w stopniu gwarancji żądanej i przyjętej w Paryżu. Wtedy tęskniłaby za takim położeniem masa ukraińska wewnątrz Związku Sowieckiego. Byłby powstał Piemont ukraiński w granicach Polski, wtedy żaden Ukrainiec nie byłby zwracał swego wzroku na Berlin, szukając tam pomocy przeciw Polsce i ZSSR, a tylko na Lwów, na Warszawę i jej sojuszników na Zachodzie przeciw obydwóm wspólnym wrogom niepodległości Polski i Ukrainy, to jest i przeciw Moskwie i przeciw Berlinowi. Pytanie, czy 8 milionów Ukraińców w granicach Polski a 30 milionów poza jej granicami dawało sumę 38 milionów przyjaciół lub tyluż nieprzyjaciół, było zbyt ważne, aby je można było bagatelizować w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości. Bo w drugim wypadku robi to minus nie 38 a 76 milionów, ponieważ to jest różnica czy można rachować na pomoc 38 milionów, na ich neutralność czy na wrogość. Nawet tak wielki naród i państwo jak Niemcy wygrywali na Wschodzie tylko tak długo,

jak długo złudzeni wiarą w ich pomoc Ukraińcy byli za nimi, a przegrali, gdy tylko ciż sami Ukraińcy stali się ich przeciwnikami. A o wiele mniejszy naród i państwo, jak Polska, postawił kartę na drugą ewentualność i starał się usilnie zrobić z Ukraińców nieprzyjaciół. Czyż mogły być inne następstwa takiej polityki, jak te, które nam wszystkim są wiadome i które mu wszyscy przeżywamy?

Należy więc by i Polacy i Ukraińcy wyciągnęli naukę z błędów przeszłości. A ona brzmi: Tylko szczery i przyjacielski sojusz tych dwóch największych, prawdziwie słowiańskich narodów na zasadzie równouprawnienia i swobody, na czele innych mniejszych sąsiadów byłby w stanie odeprzeć nacisk i śmiertelne zagrożenie ze strony imperialistów na Wschodzie i na Zachodzie, którzy są ich wspólnymi wrogami. Na zasadzie i w duchu ideałów prometejskich, a nie w konkurencji z Moskwą i Berlinem i ich środkami à la pacyfikacja, które sprawiają że każdy prawdziwie kulturalny człowiek każdej rasy, każdej religii, każdego języka i każdego obywatelstwa — musi czerwienić się ze wstydu.

Wasyl KOSARENKO-KOSAREWYCZ.
Hamburg.

◆

Szanowny Panie Redaktorze!

Dowiadując się o zamieszczeniu w Pańskim cennym wydawnictwie artykułu Witolda Gombrowicza "Przeciw poetom", nie mogę odmówić sobie satysfakcji przesłania Sz. Panu kilku komentarzy, dotyczących Waszego polemisty, które, jak sądzę, zainteresują polskich czytelników.

Przede wszystkim: ów artykuł nie jest prymicją. Przed trzema laty został on udostępniony publiczności w Buenos Aires w formie — odczytu, który wywołał, trzeba przyznać, więcej konsternacji niż entuzjazmu.

Nie chcę ukrywać iż piszący te słowa (wykładam filozofię i uformowałem się w atmosferze niekłamanego kultu dla poezji) począł się dotknięty do żywego i zaszachowany na terenie najbardziej mu drogich upodobań estetycznych. Dopiero dziś, pod wpływem czasu i głębszych przemyśleń, mogę spojrzeć w oczy prawdom, zawartym w wywodach Pańskiego zdumiewającego rodaka.

Wieczór, o którym wspominam, był tyleż interesujący co pouczający. Im dalej w las wywodów prelegenta, tym bardziej wzbierało oburzenie sali. Niektórzy z obecnych opuścili ostentacyjnie zebranie. Gdy Gombrowicz skończył mówić, zapanowało milczenie. Gombrowicz wyjął z kieszeni zegarek i oświadczył: — Wiem, że wśród zebranych znajduje się co najmniej 20 poetów... Daję im minutę czasu na replikę. Powstał wtedy poeta Cordoba Iturburu, a w ślad za nim wielu innych poprosiło o głos.

Dyskusja pod przewodnictwem pisarza kubańskiego, Virgilio Piniera, wykazała wkrótce całą dezorientację zebranych.

W szczególności ci co znali i cenili rewelacyjne osiągnięcia artystyczne autora "Ferdydurke" i "Ślubu" — byli najbardziej zdezorientowani. Nie spodziewali się nigdy, aby ten artysta mógł w takiej formie zwrócić się przeciwko sztuce. Oczekiwali innego rodzaju krytyki, jednej z tych polemik na temat poezji, jakie czytać można w prasie literackiej argentyńskiej czy francuskiej. Nigdy nie przypuszczali aby artysta mógł, ze szczerością, która graniczyła prawie z naiwnością, przyznać, że sztuka go "nudzi".

My tutaj jesteśmy przyzwyczajeni do błyskotliwych "causeries" wybitnych pisarzy europejskich, głównie francuskich — błyskotliwych ale bardzo rzadko wnoszących coś nowego w ustalony porządek rzeczy. I tu nagle zjawia się ten cudzoziemiec aby mówić nam o sztuce nie z podziwem, czułością i czcią, ale z chłodną bezceremonialnością, jakby

chodziło o byle co. Nigdy jeszcze nie używano wobec nas tego języka. Myśleliśmy, że można atakować sztukę ze wszystkich punktów widzenia, prócz tego właśnie: że nie wzrusza, że nie podoba się, że nudzi...

Jeśli chodzi o mnie, to mój niesmak trwał aż do chwili, gdy miałem okazję przeczytać i przemyśleć na nowo tekst powyższego odczytu. Wtedy odkryłem, że ma on jeden ważny defekt: dopiero w zakończeniu ukazują się nam prawdziwe fundamenty tej polemiki. I one dopiero uwidoczniają nam, że między Gombrowiczem a ogólnie przyjętymi koncepcjami na temat sztuki otwiera się przepaść. O ile mi wiadomo, nie istnieje dziś żadna estetyka, która by w ten sposób odsuwała na dalszy plan samą "rozkosz odczuwania estetycznego", twierdząc iż sztuka jest nam "narzucona". Taka jest bezpośrednia konsekwencja tej nowoczesnej koncepcji człowieka, jaką nam proponuje Gombrowicz w swoich utworach artystycznych.

Ten intymny związek między jego poglądami estetycznymi i jego koncepcją człowieka wymknął się większości zebranych na pamiętnym wieczorze "ataku na poetów". Odwieczne pytania "czy sztuka ma być dla wszystkich, czy też tylko dla wybranych" i "jaką rolę odgrywać powinna metafora poetycka" szybko przytłoczyły żywotną i odnawiającą myśl, która do nas zawitała. Nie obyło się również bez małostkowych chwytów, którymi bronili się niektórzy z zaatakowanych artystów.

Pragnąłbym, aby czytelnik polski nie sądził kultury argentyńskiej miarką tych właśnie reakcji. Jestem przekonany, że w Paryżu stało by się to samo. Nasza kultura jest na pewno więcej warta niż to sobie wyobrażają Polacy i w ogóle Europejczycy (przecież i dla nas, Argentyńczyków, Gombrowicz to zupełnie nowy i nieoczekiwany aspekt kultury polskiej) i byłoby dla mnie prawdziwą satysfakcją, gdybym znalazł kiedyś okazję do poinformowania Polaków o naszym rozwoju intelektualnym i jego związkach, dziś bardzo ścisłych, z najnowocześniejszymi kierunkami myśli światowej. Ale powtarzam: Gombrowicz byłby ciężkim problemem i dla Paryża.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku i podziękowanie, jeżeli zechce Pan zamieścić ten list na szpaltach "Kultury".

(Tłumaczenie z hiszpańskiego).

ALEJANDRO RUSSOVICH.

Buenos Aires, Argentyna.



Styczeń 1952.

Krakowiaczek jeden miał koników siedem, pojechał na wojnę, został mu się jeden... A ten jeden to monopol na własne niepokalane poczęcie.

Zygmunta wawelskiego odleli ze spiżu zdobycznych armat. Nie wiem z czego odlany jest pan Zygmunt Nowakowski, ale brzmieć i grzmieć chce równie spiżowo, jak ten jego krajan znad Smoczej Jamy. Tylko że brzmi fałszywie. Bo serca nie ma. Tego serca miłującego i chrześcijańskiego, tego serca franciszkańskiego, które niewidzialnym, ale niezrywalnym węzłem złączone jest z rozumem. Z tym rozumem, który wszystko rozumie i wszystko wybacza.

Od czasu, kiedy mi pewien grafoman napisał, pewien organ wydrukował, a nikt nie zaprotestował, — że mi nie wolno zabierać głosu na temat niepokalańców londyńskich, jako że byłem kiedyś komunistą, postanowiłem nie brać udziału w emigracyjnych potępieńczych swarach. Ale dziś, wybaczcie. Przeczytałem sobotnie ("Dziennik Polski", 5.1.52) pana Zygmuntowe flaki z olejem i nie mogłem wstrzymać...

Pan Zygmunt, za przykładem pana Rublowym, odbezpiecza rewolwer na dźwięk słowa "Kultura". I strzela na oślep. Trafia w pana Miło-

sza. Że, powiada, ręki mu nie poda, bo kiedyś pan Miłosz, jako przedstawicieli régime'u żądał odesłania dzieci polskich z Ameryki do kraju. Więcej zbrodni pana Miłosza pan Zygmunt dogrzmieć się nie mógł, ale za tę jedną piętnuje, odsądza, ręki umyka, potępia na wieki wieków. Amen. Rozumiem "miłoszcz" pana Zygmunta do dzieci — jest bezdzietny. Ale nie mogę zrozumieć jego nienawiści do wszystkiego, co jest trochę starsze od dziecka, a dużo młodsze od niego, pana Zygmunta. Owszem, marynarzy, górników, tramwajarzy, szklarzy, dorożkarzy pan Zygmunt dopuszcza, kocha i szanuje. Nawet zachęca do wiania zza żelaznej kurtyny. Ale pisarze wont. Pisarze precz. Dlaczego?

Pan Zygmunt sam jeden literatury polskiej, niestety, muszę to otwarcie powiedzieć, obsłużyć nie potrafi ani nawet do spółki z swoim imiennikiem. Nawet i ze mną w najściślejszej spółce, gdyby był, też nie.

Uważam, przeciwnie niż pan Zygmunt, naczelna niańka literatury polskiej na uchodźstwie (straszny wyraz — bodaj że przez pana Zygmunta wygrzmiany), że przede wszystkim wiać do nas na wolność muszą właśnie pisarze, artyści, intelektualiści. Po to, żeby tworzyć kulturę polską. I wybaczać im trzeba, jak wybaczyliśmy Trembeckiemu. A marynarze, szczerze powiem, mniej mnie obchodzą. Mogą wiać, mogą nie wiać. Tam właściwie są potrzebniejsi, — aby w odpowiedniej chwili statkom swoim nadali bieg właściwy.

Że się ci pisarze "wysługiwali" régime'owi? Tam jest dla pisarza tylko jedno wyjście, jedna ucieczka od, mniej albo więcej powolnej, śmierci — "wysługiwanie" właśnie. Bo pisania tam nie ma; tworzenie jest zabronione pod karą śmierci. Wielu wysługuje się szczerze, wierząc, że służą "pokojowi", "szczęściu proletariatu światowego" itd. Pisarze to naród łatwowierny, w przeciwieństwie do kupców. A potem łuski z oczu opadają. I co? I wtedy takiego, nagle czy stopniowo ze ślepoty uleczonego, z powrotem pchać gwałtem w ślepotę?

Byłoby objawem dużej głupoty, gdyby nie było objawem dużej złości i braku serca, tego właśnie czystego spiżowego serca, przypuszczać, że pisarz, intelektualista, który raz się znalazł (a znalazł się przeważnie dlatego, że we wrześniu 1939 nie miał samochodu albo mapy na Zaleszczyki albo ochoty do porzucania ziemi rodzinnej mimo że wieńcem cierniowym się ta ziemia oblekła) po tamtej stronie żelaznej kurtyny będzie chemicznie czysty. Nie, w rozumieniu pana Zygmuntowego niepokalanego, zaleszczyckiego poczęcia, czystych tam nie ma. Choć znowu w pojęciu św. Franciszka z Asyżu czyści są tam wszyscy — przez mękę. Choćby nawet przez mękę **przymusowego** upodlenia.

Tego zrozumieć nie mogą i nie zrozumieją ani pan Sergiusz Piasecki ani pan Zygmunt Nowakowski. Jeden jako żarliwy neofita, drugi jako niepokalanie poczęty wieszcz i prorok, walczący o prawo do zastoju, do zaparcia.

Teraz słów parę, żeby nie było nieporozumień, pro domo sua.

Nie jestem osobistym przyjacielem pana Miłosza. Nie znam go. Nie jestem wielbicielem jego stylu i środków artystycznych. Przeciwnie: ja miłuję prostotę, jasność. Nie zachwycił mnie jego manifest neoficki o "Nowej Wierze". Ale wiem, że to jest pisarz i że jego miejsce jest tu, po stronie Wolności. Niech się wypowiada jak on sam uważa za stosowne. Można spierać się o sposoby wypowiadania na gruncie pojęć artystycznych. Ale nie wolno walczyć w płaszczyźnie pojęć policyjnych. Bo to robią tam, po tamtej stronie Wolności.

Po drugie. Z "Kulturą" jestem różnie. Raz dobrze, raz źle. Ostatnio pokłóciłem się na temat, nikt nie zgadnie jaki — pana Zygmunta. Napisałem, że zrobił "Sędziów" w sposób zawstydzająco naiwny, niepo-radny, nie-wyspiański. Giedroyc mi to zwrócił, bo powiada, nie należy robić przykrości starszemu panu. Nie znoszę na przykład również gombrowiczowszczyzny w "Kulturze". Ale wiem, że są ludzie, którzy to lubią. Niech więc czytają. A i Gombrowicz też musi żyć, mimo że on jest "pisarz trudny". W sumie jednak "Kulturę" kocham — tak samo jak i "Wiadomości" — za pełną wolność słowa.

A ostatecznie sobie też mógłbym, na zakończenie, poradzić trochę więcej pokory. Tylko skąd jej wziąć? Jestem wychowany na czwartkowych pieprznych flaczkach pana Zygmuntowych.

Janusz KOWALEWSKI.

✦

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Dr Wojciech Zaleski, w nr 5/43 "Kultury" odpowiedział na moje polemiczne uwagi, dotyczące jego poprzedniej wypowiedzi o robotnikach polskich w Niemczech, w latach 1940-1945. Niechętnie podejmuję polemikę, ponieważ żywię dla p. Dr Zaleskiego wiele szacunku, ze względu na jego znaną pochlebnie działalność na terenie Niemiec — że wspomnę tu tylko jego inicjatywę, dotyczącą ufundowania "nagrody literackiej gruźlików". Jednakże charakter odpowiedzi Dr Zaleskiego zmusza mnie nieledwie do "riposty", o ile "Kultura" udzieli mi łaskawie nieco miejsca na swoich łamach.

Dr W. Zaleski w polemice ze mną nieco złagodził swoje poprzednie stanowisko, pisząc, że polskie słowo drukowane prawie wcale do polskich robotników w Rzeszy nie docierało. Niemniej, zasadniczo podtrzymuję swoje poprzednie twierdzenia — powołując się na zdanie również innych b. robotników polskich w Niemczech. Następnie jednak dr Zaleski wysuwa nowe — budzące wątpliwości, twierdzenia: M. in. pisze, że w obozach dla ochotników, panowały jakieś specyficznie różne warunki, od tych, jakie były udziałem robotników przymusowych. Aby nie rozwodzić się zbytnio, podam skład robotników polskich, w b. III-ej Rzeszy, w latach 1939-1945. Grupa A. — Byli to byli polscy jeńcy wojenni, którzy pod wpływem szykan władz wojskowych Rzeszy (w małych obozach były stosowane nawet wymyślne tortury: bicie, zmuszanie do stania godzinami w wodzie, głodzenie itp.) — podpisali deklaracje, stwierdzające, że dany jeniec dobrowolnie (!?) zgadza się na zmianę swego statusu jeńca, na status robotnika cywilnego (w okolicach, w których pracowałem (Minden-Westphalen) stanowili oni ok. 10% ogółu polskich robotników). Grupa B: Drugą grupę (najliczniejszą) stanowili cywilni robotnicy przymusowi. Jeżeli dobrze zrozumiałem dr Zaleskiego, można by z jego wywodów wnosić, że... byli to wszyscy...' ochotnicy (?). Zaznaczam, że właśnie z obu wyż. wym. grup pewna część jeździła na urlopy do domów. Ta druga grupa stanowiła nie mniej, aniżeli 80% ogółu (czy wszyscy oni byli to zdrajcy, dr Zaleski?). Posądzić ich o "ochotniczość" można dość łatwo. jeżeli ktoś jest b. pochopny do podawania w wątpliwość czyjejś postawy moralnej, gdyż wszyscy przymusowo wywożeni do Niemiec, musieli na terenie obozu przyjściowego podpisywać różne "papierki" (oczywiście, nie czytając ich, raz ze względu na brak znajomości języka niemieckiego, powtóre ze względu na pośpiech, w jakim się podpisywanie odbywało. Możliwe, że między tymi "dokumentami" był również i taki, który stwierdzał, że dany Polak "ochotniczo" jedzie do Niemiec. Grupa C: Dalszą grupę stanowili: a) Byli powstańcy warszawscy, którzy nie dostali się z niewiadomych mi powodów do obozów jenieckich, b) Ludność polska wysiedlona z Wołynia, spod Baranowicz itd. w czasie rzezi i pogromów ukraińskich. Łącznie stanowili oni, po dodaniu pewnej liczby wysiedlonych z Zamojszczyzny ok. 10% ogółu. Grupa D: Wreszcie ostatnia, b. nieliczną grupę (ułamek procentu) stanowili istotni ochotnicy — którzy z różnych względów tam się znaleźli, a, ponieważ było wśród nich wielu inteligentów, stali się nieraz ludźmi opatrznościowymi dla ogółu polskich robotników przymusowych. Nie sądzę, aby dr Zaleski poważnie twierdził, że dla tych kilkuset, czy tysiąca ludzi na terenie całej Rzeszy Niemcy tworzyli specjalne obozy uprzywilejowanych. Przeciwnie — rozrzuceni oni byli po całym terenie i nikli zupełnie wśród mas "przymusowych ochotników". Wszystkie te grupy

przebywały w obozach pracy (przy fabrykach, kopalniach, większych majątkach ziemskich, stacjach kolejowych) jak i pojedyńczo, po 2-4-6-ciu, w poszczególnych warsztatach rzemieślniczych, czy gospodarstwach rolnych. Niemcy nie bawili się w wyodrębnianie poszczególnych grup, a tym bardziej w uprzywilejowywanie którejkolwiek na niekorzyść innych; tak samo każdy był traktowany w pracy, tak samo był karany za brak znaku "P", za przekroczenie granicy gminy, lub inne równie "poważne" wykroczenie grzywną pieniężną (normalnie w wysokości miesięcznej, lub dwumiesięcznej pracy), aresztem, lub... gumową pałką, bez względu na to, do której grupy należał (znałem osobiście kobietę młodą (może 22 lata) i właśnie ochotniczkę, która była bita pałką policjanta niemieckiego po gołym ciele). Tak więc, nawet ci nieliczni, którzy istotnie przyjechali jako ochotnicy, a nawet i ci (znałem i takich) którzy już w Niemczech złożyli podania o przyjęcie ich na listę "Volksdeutschen") — nawet ci, którzy istotnie wywodzili się w dawnych czasach z rodzin niemieckich, nie mieli lepszego losu, a nawet... byli nieraz w gorszym położeniu, gdyż Polak był karany za wykroczenie, taki zaś ochotnik lub Volksdeutsch, łatwo mógł być ukarany za sabotaż. Zastrzegam się, że wszystko, co powyżej napisałem, odnosi się do terenów, które mi są osobiście, lub za pośrednictwem znanych mi osób znane, są to tereny (w kolejności znajomości: Westfalia, Dolna Saksonia, Hannover, Nadrenia, Brandenburgia, Wirttembergia, Bawaria). Jeżeli na innych terenach panowały jakieś inne stosunki i istniały przywileje dla "ochotników", to nic mi o tym nie jest wiadomo. W dalszym ciągu podkreślam, że biblioteki polskie na terenie Rzeszy istniały i że dostarczenie polskiej książki nie było wcale tak strasznie trudne, czasami były książki przesyłane wprost pocztą, widocznie władze niemieckie nie orientowały się dostatecznie w tym, że jest to groźna broń, umacniająca w polskości. Oczywiście, pod słowem biblioteka nie należy rozumieć sali w budynku Zarządu Gminnego "AMTU" niemieckiego, sali wypełnionej półkami pełnymi książek, za pozwoleniem niemieckiego Gestapo. Nic podobnego — polskie biblioteki w Niemczech, były to walizy i kuferki pełne książek, po kilkanaście i kilkadziesiąt tomów liczące. Stan większości tych książek był fatalny (każda z książek spalonych przez SPK w Londynie, czy oddanych do przemiału byłaby tam jedną z najlepszych), ale... były setki czytelników spragnionych słowa polskiego. Jeżeli chodzi o "gadzinówki", to nie widzę tu powodu do polemiki, sam przecież w swej pierwszej wypowiedzi podkreśliłem nazwą gadzinówka, zarówno swój, jak i innych b. robotników przymusowych stosunek do tzw. "prasy polskiej" w okupowanej Polsce. Jednakże głód słowa polskiego, zwłaszcza w latach 1940-1942 był tak wielki, że nawet te gadzinówki były masowo prenumerowane i czytane. Nie trzeba dodawać, że nie wierzył w to, co tam pisano, niemal nikt. Byli tacy, którzy stosowali odpowiednią propagandę przeciw tym wiadomościom, były tajne nasłuchy radia z Londynu. Przede wszystkim jednak ten nasz "chłopek-roztropek" okazał się niezmiernie odporny na wrogą propagandę i... nie wierzył w nic, ani w oszczerstwa rzucane na członków b. polskiego Rządu i b. Naczelnego Wodza marsz. Rydza-Śmigłego, ani w nic podobnego (pamiętamy jeszcze wszyscy artykuły pp. "Zręba", czy Zygmunta Hofmokl-Ostrowskiego (w nieco ostrożniejszej formie) w różnych "Gońcach warszawskich" rzucające kalumnie na Rząd i władze Polski przedwrześniowej. Natomiast, może zanadto wierzono temu, co zawierały ulotki angielskie, polskie i amerykańskie, wierzono ślepo, rozczarowanie jakie później nastąpiło, jest znane.

Urlopy nie były przywilejem "ochotników", otrzymać urlop mógł każdy przymusowy robotnik, po roku pracy, o ile... wydał swą zgodę pracodawca, oraz miejscowa policja. W praktyce jednak, ponieważ wyznaczano tylko b. niewielkie kontyngenty urlopowe, nie wiem, czy choć 10% ogółu robotników miało możność wyjazdu na urlop. Jeszcze jedna uwaga dotycząca kompanii wartowniczych. Moralność, taka, jaką rozumiem ja, oraz, jak można sądzić z wypowiedzi dr Z. również rozumie i mój szanowny przeciwnik, polega, mówiąc po prostu, na nie-

przekraczaniu 6-go, 9-go i 10-go Przykazania Bożego. Jeżeli tak rozumiemy "moralność", wówczas należy stwierdzić, że moralność i czystość obyczajów była w kompaniach wartowniczych kilkakrotnie niższa, aniżeli wśród mężczyzn w obozach "DP" (nie tylko wśród pensjonariuszy domów starców, jak uszczypliwie pisze dr Zaleski). Dlaczego, jaka przyczyna? Znam dobrze i wartowników i "obozowiczów" i wiem, że przyczyna była b. prosta. Mężczyzna w obozie DP łatwiej mógł się ożenić z Polką, mając do wyboru dość dużą liczbę kobiet, natomiast wartownicy mieli do rozporządzenia pewną liczbę dolarów, "Naafi" itp. niezbędne akcesoria, bez których z Niemkami na konto "miłości" nie było co rozmawiać. Sądzę, że sprawa jest już jasna. Jeżeli ktoś ma jeszcze wątpliwości, niech porozmawia z byłym wartownikiem, ale tak, aby ten wartownik nie widział w nim p. doktora, czy p. majora, tylko... równego sobie, wówczas okaże właściwe swoje oblicze. Mnie się osobiście wydaje, że znaną ofiarność wartowników na cele kulturalne chce dr Zaleski przedstawić jako dowód "moralności", ale ja nie negując ofiarności, nie zgodzę się nigdy z przyznaniem moralności wartownikom, nie twierdzę, że mogłoby być lepiej (choć zapewne mogło) stwierdzam jednak fakt, który jest zbyt oczywisty, aby go nie skonstatować. Natomiast zarówno z dr Zaleskim, jak i przede wszystkim z Ojcem J. M. Bocheńskim (jako inicjatorem) zgadzam się, że powinna powstać "Biblia Polskiego Wychodźcy" i to już... zaraz... przecież nie wszyscy wrócimy do Polski.

Łączę wyrazy poważania.

Z. K.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Wasilewskiego, opublikowanym w KULTURZE Nr 7/45-8/46, 1951, pragnę zauważyć:

ad pkt. 1. Przyjmuję do wiadomości, że p. Wasilewski zwalnia mnie od zarzutu "chęci sprzeniewierzenia czeków, które stanowiły własność Państwa".

ad pkt. 2. Podkreślam, że do "Komitetu Siedmiu" nie tylko nie należałem, ale nawet o istnieniu takowego nie wiedziałem.

Z uwag p. Wasilewskiego zamieszczonych w Nr 12 1948 KULTURY dowiedziałem się dopiero że p. Gen. Sosnkowski nie aprobował działalności pułk. dypl. Schaetzla.

Nie znam także daty tej decyzji p. Generała, a data ta o tyle może być ciekawa, bo wyjaśniałaby czy decyzja ta zapadła przed moim wyjazdem do Belgradu, który miał miejsce w ostatnich dniach października 1939 roku.

ad pkt. 3. Rozmowa moja z p. Wasilewskim odbywała się bez świadków, nie posiadam przeto dowodu jak wyrażał się p. Wasilewski o Marszałku Piłsudskim. Przypuszczam jednak, że treść rozmowy powtórzyłem p. min. Dębickiemu.

Uprzejmie proszę ministra Dębickiego, by zechciał zabrać głos na łamach KULTURY w tej sprawie.

Taką samą prośbę kieruję do p. pułk. dypl. T. Schaetzla oraz p. dyr. T. Drymmera, którym niezawodnie po powrocie z Belgradu treść tej rozmowy powtórzyłem.

W związku z listem p. A. Ponińskiego, umieszczonym w tym samym zeszycie KULTURY, nie zamierzam wszczynać polemiki na temat działalności p. Ponińskiego w Bukareszcie w roku 1939.

Natomiast w liście p. P. znajdują się dwa konkretne fakty, które wymagają wyjaśnienia:

1) P. Poniński pisze: "Nieprawdą jest, jakoby były premier opuścił Rumunię na własną rękę, w tajemnicy przed Ambasadą. Stwierdzam, że uzgadniał osobiście ze mną, w Ambasadzie, zarówno zamiar jak i szczegóły swej ucieczki".

Ponieważ p. Generał Składkowski opowiadał mi w Turcji zupełnie inaczej przebieg swej "ucieczki" przeto uprzejmie proszę Pana Generała, by zechciał zabrać głos w tej sprawie na łamach KULTURY.

2) W innym miejscu, już pod koniec swego listu, pisze p. Poniński: "Spowodowało to w rezultacie, że przerwałem dalsze dochodzenia i opuściłem zebranie". I jeszcze wspomina p. Poniński, że ja pozorowałem zasłabnięcie.

W konferencji tej, na szczęście moje brał udział p. radca Stebelski jako delegat Ministra Skarbu.

Uprzejmie proszę p. radcę Stebelskiego, by zechciał na łamach KULTURY dać świadectwo prawdzie.

Gdy na skutek wysoce nietaktownego postępowania p. Ponińskiego opuściłem salę konferencyjną, to tuż przy drzwiach spotkałem p. ministra M. Arciszewskiego, któremu powiedziałem, że opuszczam ambasadę, bo nie jestem przyzwyczajony do niegrzeczności.

P. min. Arciszewski wpływał na mnie, by jednak konferencję kontynuować; oświadczyłem wówczas, że tylko pod warunkiem opuszczenia sali przez p. Ponińskiego mogę kontynuować dalej rozmowy z p. radcą Stebelskim. W rezultacie p. Poniński wyszedł, a my z p. radcą Stebelskim po kilku minutach uzgodniliśmy protokół konferencji.

Uprzejmie proszę p. ministra Arciszewskiego, by zechciał na łamach KULTURY dać świadectwo prawdzie.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów mojego głębokiego poważania.

Nairobi.

Jan BARAŃSKI.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie zupełnie zgadzam się z artykułem p. J. Lerskiego o Polonii ("Kultura" Nr 10/48, str. 106), stąd też skreśliłem kilka uwag: Nie w intencji obrażenia Redakcji, lecz po prostu w obronie duchowieństwa polonijnego. P. Lerski komentując o sprawach Polonii w "Kronice amerykańskiej", krytycznie ustosunkował się do katolickiego kleru polonijnego.

"Duża część kleru polskiego ulega naciskom hierarchii irlandzkiej" — pisze pan Lerski. To zależy w jakim sensie. Jeśli chodzi o sprawy kościelne, księża bez względu na narodowość i pochodzenie, w pierwszym rzędzie podlegają najwyższej władzy diecezji — biskupowi i zgodnie z prawem kanonicznym wykonują jego zarządzenia. Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie jest zrzeszeniem Polaków religii Rzymsko-Katolickiej, które zasadniczo prowadzi działalność charytatywną. P. Z. Rzym.-Kat. najskuteczniej niosło i niesie pomoc milionom wygłodzonych przez wojnę rodaków w Polsce. Charakter apolityczny tej organizacji ułatwił w dużej mierze jej dobroczynną działalność w Kraju, szczególnie gdy reżimowe władze zaczęły robić rozmaite trudności. Pan Lerski nie wspomina ani o polskich OO. Jezuitach w Chicago, OO. Franciszkanach w Pulaski, Wis., ani o Polskim Seminarium Duchownym w Orchard Lake, Mich. A myślę, iż warto by cośkolwiek i o tych "ex Polakach" powiedzieć. Polscy OO. Jezuici pracują wśród Polaków w Ameryce od roku 1903. Wydają pięknie ilustrowany miesięcznik religijny "Posłaniec Serca Jezusa", w języku polskim, w pełnym słowa tego znaczeniu. OO. Franciszkanie poza katolickimi wydawnictwami polskimi również oddają wielkie usługi Polonii. Nie wypada pominąć polskich zakonów żeńskich, cieszących się szczegółowym uznaniem Polonii. SS. Felicjanki, SS. Jó-

zefinki, SS. Nazaretanki, SS. Służebniczki N.M.P. — to przecież czysto polskie zgromadzenia, odpowiedzialne za wychowanie w duchu polskim wielu działaczy polonijnych.

Polskie Seminarium Duchowne, jedyne w Stanach Zjednoczonych, istniejące od roku 1885 posiada nie mniejsze znaczenie dla Polonii i dla Polski. Setki polonijnych kapłanów wychodzi z murów tej uczelni. Seminarium wydaje w poprawnym języku polskim ciekawy miesięcznik "Sodalis Mariański", o którym proszę osobiście wydać opinię, na podstawie jednego z numerów, wysłanego przeze mnie do Szanownego Pana Redaktora.

Życząc Panu Redaktorowi pomyślności w pracy dla sprawy polskiej łączę wyrazy należnego szacunku.

Ks. Z. MAJEWSKI

St. John Vianney's Seminary
Waterkloof, Pretoria, Afryka Połud.



Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Zb. Małeckiego pt. "Notatki z podróży do Kanady" w nr 11/49 "Kultury" nie przynosi zaszczytu autorowi.

Zadanie dziennikarza nie polega na dowcipnym i przejaskrawionym zestawieniu pewnych braków. I tutaj powinna przeświecać zasada złotego środka i... kultura.

Wspomnienie przyrody szwajcarskiej umiejscowiło się w mózgu autora jako "widowiskowo-prospektowa malowniczość", a miarą podejścia autora do wszystkich faktów jest określenie, że "góry odrutowane ski-liftami i kolejkami straciły swą urodę i powagę". Wyobraźmy sobie obszar i potęgę Alp i ten "sąd" dziennikarza. Nie wiadomo po co autor siedział 10 lat w Szwajcarii. Ten lekceważący sąd, jaki przebija w jego "reportażu" jest tym bardziej zawstydzający, że autor korzystał w znacznej mierze z pomocy władz szwajcarskich. Podkreślam to dlatego, że jest to już drugi, znany mi wypadek tego rodzaju ex-post stanowiska ze strony osób korzystających obficie z zasiłków tego kraju.

Będąc w ostatnim roku w ścisłym kontakcie z pracą emigracyjną w Niemczech, stwierdzić muszę, że "reportaż" roi się od niesprawiedliwych przejaskrawień. Dla ich wyliczenia i zbijania zabraknie w "Kulturze" tak cennego miejsca. Ot jedno: autor nie może zmienić plastra na swym czyrakowatym karku, bo... może być skreślony z listy wyjazdowej! Przytoczony z tego typu przykład jest zupełnie jasny: uchodźca, który odszedł do szpitala, został skreślony z listy wyjazdowej, gdyż jest ona drukowana w kilkunastu egzemplarzach, podpisywana, dołącza się akty uchodźców, itd., itd. Nie przeszkodziło to temu, aby ten sam uchodźca po powrocie ze szpitala, chociaż dowiedział się o skreśleniu z listy, dostał się zaraz na listę dodatkową, drukowaną w drugim nakładzie. I tak z każdym przykładem. Niesolidnością trzeba nazwać brak chęci zapoznania się z odwrotną stroną medalu, to jest problemami, które w tego rodzaju obozie mają do zwalczenia ludzie zań odpowiedzialni. Przeciwko nazwie IRO-nazi, nadanej przez człowieka, któremu IRO zapłaciło wszystko, łącznie z podróżą do Kanady, niewątpliwie należy zaprotestować.

Autor uważa za chwalebne, że "tym bardziej nie uważał za stosowne zdejmować kapelusza na dźwięk hymnu amerykańskiego" i wystawia sobie w ten sposób świadectwo na jakie zasługuje.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia

Aleksander WASUNG.
Genewa.

Szanowny Panie Redaktorze,

Deklaracji w sprawie Miłosza nie podpiszę, gdyż chorobliwie nie znoszę podpisywania wszelkich deklaracji. Proszę mnie zrozumieć. Proszę uszanować moje dziwactwa i moją wstydliwość. Wstydzę się występować jako "pisarz" i jako "przedstawiciel kultury". Niestety, wszyscy to wiedzą: jestem tylko biednym, szalonym, ciężko dotkniętym zupełną niepoczytalnością ultra-pokątnym Gombrowiczem. Zlitujcie się nad biednym Tomkiem! Nie męczcie biednego Tomka!

Ale mówi poeta:

"Furie zrodzone w podziemnym królestwie
Ciasno myślących łbów, co uderzają
Tępo brutalnym nożem... niechaj okiełzna
Duch szlachetniejszy cnoty, roztropności
Mądrej rozwagi..."

Z poważaniem

Witold GOMBROWICZ.

Argentyna, 9.I.52.

Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

•

Jules Mieroszewski dans sa dernière « Lettre de l'Ile » revient au problème de la fédération européenne et du danger des nationalismes et neutralismes de toutes espèces menaçant l'unification des Etats européens. La partialité et le chauvinisme de tous les manuels d'histoire nationale, la disparition, avec l'avènement des Etats totalitaires, de toute notion impartiale d'histoire universelle sont, à l'avis de Mieroszewski, à la base des cloisons qui divisent les nations européenes. L'Allemagne est le problème central de la fédération européenne, l'Allemagne, dont l'excédent de la population au total, en comparaison de la France, est de 27 millions. Sans l'Angleterre l'initiative fédérative française risque d'être faussée. Il est certain que l'axe de la fédération de l'Europe Occidentale devrait être l'entente franco-britannique et non franco-allemande. Le tronçon de l'Europe Occidentale unifiée n'aurait pu résoudre le problème allemand qu'en étendant ses limites aux Iles Britanniques en vue d'équilibrer les pertes subies du côté de l'Europe de l'Est. Vu l'attitude britannique il n'y aurait qu'une seule solution du problème, tout aussi historique que logique c'est l'extension du projet fédéral sur l'Europe Centrale et Orientale dont la libération et l'inclusion dans l'Europe unifiée est la condition inéluctable d'une fédération non fictive mais réelle.

◆

Joseph Lobodowski dans « Contre les Spectres du Passé » essaye de formuler un programme d'entente polono-ukrainienne et de compromis durable entre les deux nations. L'objet principal du litige étant les territoires sud-est de la Pologne d'avant 1939, habités par une population mixte polono-ukrainienne, l'auteur préconise une solution à base fédérative : ces territoires formeraient un organisme intermédiaire, genre d'un condominium polono-ukrainien où deux langues parallèlement seraient employées dans l'administration, la juridiction et l'enseignement.

Vu les expériences de leur histoire les Ukrainiens craignent toutes les unions même fédératives, et pourtant seules les larges fédérations pourraient assurer à l'Europe une stabilisation et une paix durable. Dans le cas présentement traité l'Ukraine, vu son étendue, le potentiel de sa population et de son économie pourrait jouer un rôle considérable dans la fédération de l'Europe Centrale. Une nouvelle guerre polono-ukrainienne pour Lwow permettrait à la Russie d'incorporer encore une fois l'Ukraine et aggraverait la situation de la Pologne à l'Occident.

◆

Jean Tokarski dans « L'Eglise et la guerre » soumet à une analyse serrée les thèses avancées par l'évêque auxiliaire de Lyon dans l'hebdobadaire *L'Essor*, thèses condamnant toute guerre, tant préventive que guerre de libération.

L'auteur démontre que Mgr. Ancel est en contradiction avec l'enseignement traditionnel de l'Eglise catholique qui selon St-Thomas, Fr Suarez, St-Robert Bellarmin, Molina et autres reconnaît à l'état le droit aux justes guerres, aux guerres offensives et même aux guerres de répresailles.

Monseigneur Ancel, affirme Tokarski, brouille en plus la notion de la paix chrétienne avec la notion toute négative de la soi-disant « absence de guerre ». « L'absence de guerre » n'est qu'un des éléments de la paix, et non le plus important, opinion clairement définie dans les nombreuses énonciations de Pie XII comme par exemple dans son dernier message de Noël.

Pour finir l'auteur reproche aux thèses de l'évêque de Lyon un sectarisme pacifique dans le style des mennonites, des quakers et des Ariens polonais du XVIIe s. ainsi que la prétention d'imposer un christiannisme sentimental et tout personnel, et de le faire passer pour « meilleur » que le christianisme lui-même.

◆

Nous trouvons en plus dans ce fascicule la traduction du poème de T.S. Eliot « La terre vaine » et un fragment d'un nouveau roman historique de Teodor Parnicki.

La partie politique comporte une large chronique de la Pologne occupée ainsi que de la Pologne émigrée et une correspondance de Londres et de Berlin.

La critique littéraire nous parle d'un nouveau livre polonais paru aux Etats-Unis : « Ziele na Kraterze » de M. Wankowicz ainsi que du livre de l'auteur polonais Gustav Herling, paru en anglais sous le titre « A world apart », et aussi des livres suivants : « La guerre en question » de Jules Monnerot, « L'homme révolté » d'Albert Camus et « Les Mémoires de Forrestal ».

P. Jerzy PRĄDZYŃSKI został stałym korespondentem „KULTURY" w Berlinie. Adres: Jerzy PRĄDZYŃSKI, Berlin-Wilmersdorf, Rüdesheimer Platz 1, *telefon* - 837711.

◆

Przypominamy jednocześnie, że korespondentem londyńskim „Kultury" jest p. Juliusz Mieroszewski — 21, *Fentiman Road, London SW* 8, *telefon REL.* 41-33.

DO PRENUMERATORÓW "KULTURY".

Zawiadamiamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji lub do przedstawiciela za pośrednictwem którego "Kultura" jest prenumerowana.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Ile, Paris (IVe).
Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 1er trimestre 1952.

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Roczna
RANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris IVe.	150 fr.	900 fr.	1800 fr.
V. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
VŁOCHY: **Ewa Wierusz-Kowalska,** Corso Trieste 130/5, Roma	250 lir	1500 lir	2500 lir
ZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kor.	28 kor.
IIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone	2.50 DM	15 DM	25 DM
RGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	8 peso	48 peso	96 peso
ANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. **Radomski**, 83 Front St. E. Toronto/Ont; **Stan. L. Opolski,** 880 Barton St. E. Hamilton/Ont. **Krystyna Krakowska,** 2290 Av. Marcil, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que; **Stanisław Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
.S.A.: **Józef Białasiewicz,** 1165 Milwaukee Ave., hicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf Publ.", 08 Wager Str., Utica, N.Y.; **L. Dudarew- Osetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, Califoria; **M. K. Dziewanowski,** 27 Aberdeen Ave., ambridge, Mass.; **Christian M. Kretowicz,** 1828 lenwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleczyński,** P.O. Box 750, Santa Barbara, Califrnia; **M. Szyprowski,** 200 East 21 st., New ork 10, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 leal St., Detroit 14, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
ELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.	30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
FRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
USTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
RAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo	15 cruz	90 cruz	150 cruz
ZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
IEKSYK: **Victor Stanisławski,** Apartado Postal 206, Culiacan, Sin	0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

◆

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedyńczego numeru: 30 fr. fr.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

◆

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

◆

Bieżący numer "**Kultury**" (luty-marzec 1952) jest — jak co roku — **numerem podwójnym. Następny kolejny numer ukaże się w pierwszych dniach kwietnia rb. w normalnej objętości.**

Cena 250 frs